



EDWARD LEE  
**GOLEM**

1  
PISARSTWO EDWARDA LEE JEST JAK PIŁA MECHANICZNA NA PEŁNYCH  
OBROTACH. JEŚLI PODEJDZIESZ ZBYT BLISKO, URZNIĘ CI NOGI.

- JACK KETCHUM

  
Replika

# Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

EPILOG

# **EDWARD LEE**

# **GOLEM**

(The Golem)

Przełożył: Bartek Czartoryski

Replika: 2012

# PROLOG

SIERPIEŃ 1880

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - powiedział stojący za szerokim sterem McQuinn.

Słowa te skierowane były do zmęczonego pracą na statku pierwszego oficera, na którego wołali Poelzig. Przygaszony mężczyzna stał przy niewielkim okienku sterówki. Wokół nich rozciągała się idealnie płaska Zatoka Chesapeake.

- Ducha... - wymamrotał Poelzig i zgrubiałymi łapami rozmasował sobie skronie. - Nie spałem zbyt dobrze, kapitanie. Żona również. A pan?

- Słodko jak niemowlę - odparł McQuinn ze swoim charakterystycznym irlandzkim akcentem i poklepał schowaną w kieszeni flaszkę. - Nie mamy się czym martwić. Obaj jesteśmy imigrantami, których nowy kraj powitał z otwartymi ramionami, nie? Dano nam wolność i dobrą, uczciwą robotę. Powinniśmy być wdzięczni, dozgonnie wdzięczni...

A obaj mieli za co dziękować - on, McQuinn, irlandzki katolik, i jego towarzysz Poelzig, Żyd z jakiegoś zakątka Europy. Podobno z Austrii, ale czort go tam wiedział, kto by się w tym połapał po tych wszystkich wojnach? Poelzig wraz z żoną, Nanyą, uciekli przed prześladowaniami, zaś McQuinn musiał uchodzić z Dublina w obawie przed wierzycielami i kilkoma zazdrosnymi mężami.

I, z tego, co wiedzieli, Ameryka spełnia złożone obietnice.

Tak, bardzo chcieli w to wierzyć.

Kapitan McQuinn nie powiedział jednak całej prawdy o zeszłej nocy. Nie tylko nie spał jak niemowlę - nawet nie zmrużył oka. Pływali po zatoce już drugi tydzień, najpierw dowozili ładunek rzeką Patuxent z Baltimore do Sandgate, potem obrali kurs na Nanticoke, a następnie skierowali się do Salisbury, gdzie poniosła ich Wicomico. McQuinn miał wrażenie, że z każdą wyładowaną w portach skrzynią czuł się coraz dziwniej i spał coraz krócej.

Poelzig wpatrywał się w monotony krajobraz.

- Boże... ostatniej nocy śniłem o...

McQuinn spojrzał bystro na ponurego kolegę.

- O czym śniłeś, druhu?

Poelzig pokiwał głową. Miał jakieś czterdzieści lat, lecz teraz wyglądał na osiemdziesiątkę.

Cholera! McQuinn nie lubił pokazywać, kto rządzi na pokładzie, szczególnie że pływanie po tych rzekach to bułka z masłem, lecz coś tutaj nie grało.

- Odkąd wypłynęliśmy z Baltimore, coś cię gryzie - powiedział - i z każdym kolejnym cumowaniem jest jeszcze gorzej. To nie służy ani mnie, ani twojej starej. No, o co chodzi? Co się z tobą dzieje?

Hardemu marynarzowi tym razem zabrakło języka w gębie. Podniósł rękę i wskazał palcem jakiś punkt za plecami McQuinna, nie spuszczać swojego kapitana z oczu.

- Co? Ładunek? Poelzig, przed nami tylko jeden przystanek i koniec trasy.

Poelzigowi załamał się głos.

- Nie chodzi o ładunek, ale o port, panie kapitanie. To port niepokoi i mnie, i Nanyę.

Na miłość boską! McQuinn wyciągnął dokumenty przewozowe i na głos przeczytał, gdzie płyną.

- Lowensport, Maryland, jedenaście mil na północny wschód rzeką Brewer. No i co cię w związku z tym martwi, kolego? Miasto jak miasto.

Poelzig odchrząknął.

Niezupełnie, panie kapitanie.

- Przed rejsem ledwie słyszałem cokolwiek o Brewer, ale komendant portu mówił, że jest głęboka przez całą długość, nie ma żadnych mielizn i pniaków. Nie zapominaj, że Wegener jest mocnym parowcem. Na miłość boską, nie zatoniemy.

Wyraz twarzy Poelziga nie zmienił się ani trochę.

- Nam chodzi o Lowensport, kapitanie.

McQuinn zmrużył oczy i przysunął się do swojego rozmówcy.

- Ty i twoja stara jesteście Żydami, co nie?

- Tak. I jesteśmy z tego dumni.

- Nie wiem wiele o waszej wierze, a i mało wiem o swojej, ale zapamiętaj, że nic mi do tego, kto w czym pokłada wiarę. - McQuinn wycedził kolejne słowa powoli i wyraźnie - ale komendant powiedział mi coś jeszcze, Poelzig. Całe te cholerne Lowensport założyli Żydzi. Twoi ludzie, Poelzig!

- Nie... to nie nasi ludzie, kapitanie - wymamrotał Poelzig ledwie słyszalnie, ale stanowczo.

Nic z tego nie rozumiem, pomyślał McQuinn. Lepiej będzie, jak o tym zapomni. Czemu dwoje Żydów miałyby się bać miejsca pełnego ludzi ulepionych z tej samej gliny? To tak, jakbym ja bał się wejść na mszę.

McQuinn spojrział na wody zatoki i zobaczył, że wpływają już do szerokiego gardła rzeki.

Sprawdził mapę.

- Cokolwiek się tam w tobie gotuje, musisz na razie się uspokoić, kolego. Wpływamy do Brewer. Płyniemy teraz jakieś sześć węzłów na godzinę, ale będziemy walić pod prąd, więc prędkość spadnie do trzech. Będziemy w Lowensport jakieś dwie godziny po zachodzie słońca, czyli spędzimy tam noc.

Poelzig zerknął w stronę rzeki i zamarł. Ogarnęła go czarna rozpacz.

- Kapitanie, proszę pana w imieniu swoim i żony. Nie możemy spędzić nocy w Lowensport.

Błagam pana. Zarzucimy kotwicę tutaj i dokończmy trasę jutro, za dnia.

McQuinn naprawdę tracił cierpliwość.

- Zwariowałaś? Wrócilibyśmy do Baltimore spóźnieni!

- Błagam pana, kapitanie. Nie możemy zostać tam na noc - powtórzył Poelzig. - Jeśli będzie pan nalegał, wyskoczmy z Nanyą za burtę, dotrzemy wpław do brzegu i pójdziemy do Baltimore na piechotę, a pan przebedzie resztę trasy sam.

McQuinn spojrzał na niego jak wryty. Czy Poelzig mu groził? Jestem kapitanem tej łajby i nie pozwolę, aby byle marynarzyk nią rządził, do cholery! Jednak im dłużej wpatrywał się w swojego towarzysza, tym bardziej tamten markotniał.

- Poelzig, ty chyba nie próbujesz podważyć mojego autorytetu, co?

- W żadnym razie, panie kapitanie. Jest pan wspaniałym człowiekiem i cieszę się, że mogę z panem pływać - powiedział smutno Poelzig. - Nie zatrzymujmy się jednak w Lowensport na noc.

Proszę.

McQuinn pociągnął łyk z flaszki. Jestem tak wściekły, że jeszcze chwila, a sam wyrzucę tego hultaja i jego starą za burzę, ale... Ale co? McQuinn uspokoił się i przemyślał wszystko ponownie. Poelzig pracuje na tym statku od miesięcy i ani razu o nic mnie nie poprosił.

- No dobrze - westchnął McQuinn. - Niech będzie po twojemu. Popłyniemy jeszcze rzeką jakąś milę albo dwie i opuścimy kotwicę. Tylko chcę, żeby całe drewno zostało porąbane.

Rozumiemy się?

Poelzig uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tego rejsu.

- Oczywiście, kapitanie. Razem z żoną dziękujemy panu serdecznie - odpowiedział i wybiegł z kabiny, aby przekazać wieści małżonce w swoim tajemnym języku.

Jezusie, Maryjo i święty Józefie, pomyślał McQuinn.

...

Po rzuceniu kotwicy McQuinn bez przekonania zagarniał przy rufie ostrygi, a Poelzig opuścił pułapki na kraby i razem z żoną zaczęli rąbać drewno.

Kiedy McQuinn spojrział na łódź, poczuł tę samą dumę, która ogarnęła go pierwszego dnia, gdy przejął na niej dowództwo. Wegener był ostatni w swoim rodzaju, jeśli chodziło o łodzie rzeczne małego zanurzenia: tylnokołowiec długi na sto stóp, w którym paliło się drewnem, a nie węglem.

Zresztą, w niektórych miejscach trudno było dostać tak zwane czarne złoto.

Pewnie, łodzie na węgiel osiągały większe prędkości, ale piece kosztowały dwa razy tyle, co te opalane drewnem. No i jednostki



takie jak Wegener były w stanie przewieźć sporo towaru, mieściły się w wąskich rzekach, a kiedy brakło paliwa, po prostu podpływały do brzegu, opuszczały trap, załoga wychodziła na brzeg i ścinała drzewo. McQuinn nigdy wcześniej nie widział takich lasów, jak tutaj, w Zatoce Chesapeake.

Zaraz przy piecu i kole łopatkowym, na pokładzie głównym, znajdował się ładunek, wyżej zaś umieszczone zostały kwatery. Nie było tutaj pokładu dolnego ani kadłuba; łódź oparto na planie wielkiej prostokątnej platformy, która unosiła się na powierzchni. Przez to statek był idealny na słabo uregulowane rzeki, gdzie nieznana była głębokość, szczególnie płycizny. McQuinn nigdy nie osiadł na mieliźnie, nawet podczas odpływu. Nigdy też nie zdarzyło mu się uszkodzić koła.

Uwielbiał nawigować, a po tylu latach spędzonych za sterem sam mógł decydować, jaki kurs obierze, w dodatku zarabiał więcej niż młodszy kapitanowie, którym udało się przeżyć wojnę.

McQuinn uznał, że dzisiaj nie będzie miał szczęścia i porzucił próby wyłowienia kilku ostryg. Spojrzał przez ramię w kierunku, z którego dochodziły uderzenia siekiery. Nigdy nie zrozumie tych Europejczyków, pomyślał. Facet pozwala swojej ŻONIE rąbać drewno. Musiał jednak przyznać, że wolał patrzeć na Nanyę niż Poelziga; była to bowiem zjawiskowa kobieta, atrakcyjna, za którą mężczyźni z pewnością oglądali się na ulicy, lecz o nietypowej posturze.

Matko Boska, pomyślał, patrząc na nią. On i Poelzig nosili typowe marynarskie kombinezony, koszule z długimi rękawami i buciory za kostkę. Nanya miała na sobie takie samo obuwie i zgrzebny, wełniany fartuch. Nic więcej. Pomimo twarde ciosanych rysów miała piękną twarz, a jej nierówno ścięte jasne

włosy wyglądały uroczo nawet w nieładzie. Za to jej ciało to oddzielna sprawa. Była wyższa niż większość mężczyzn, potężnie zbudowana, lecz próżno było szukać w jej ciele zbędnego tłuszczu. Wyglądała, jakby wyrzeźbiono ją z białego marmuru, jej mięśnie były sprężyste, wyrobione przez ciągłą pracę, i zapewne była tak samo silna jak McQuinn czy Poelzig. Kapitanowi przyszło do głowy słowo posągowa.

Łup... łup... łup... siekiera wybijała miarowy rytm, a z każdym zamachem całkiem pokaźny biust Nanyi wyraźnie podskakiwał i falował.

McQuinn nie uważał, że pożąda żony bliźniego swego, raczej podziwiał piękno jej ciała.

Kobieta podnosiła i opuszczała siekierę niczym maszyna; z każdym uderzeniem w drewno McQuinn czuł drżenie pokładu. Boże, pomyślał. Słońce zaczęło zachodzić za plecami kobiety, oblewając ją światłem, które zarysowało wyraźnie jej ponętną sylwetkę, przykrytą workowatym fartuchem.

Łup... łup... łup...

McQuinn wlał w siebie już połowę flaszki, nabrał więc odwagi, aby rzucić pełen uznania komentarz.

- Poelzig, dobry człowieku, mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli powiem, żeś sobie pierwszorzędną babkę za żonę wziął.

- Tak, to prawda, kapitanie - odparł Poelzig, odwracając się tyłem do McQuinna, aby dorzucić drewno do pieca.

McQuinn wybuchnął śmiechem.

- Muszę też powiedzieć, że jeśli Irlandczyk pozwoliłby swojej żonie rąbać drewno, skopaliby mu mordę na głównym placu.

Teraz Poelzig się roześmiał.

- Widzi pan, panie kapitanie, gdybym nie pozwolił jej tego robić, dostałbym jeszcze mocniej.

McQuinn nie zrozumiał.

- Jak to?

- Sama Nanya nakopałaby do dupy. Potrafi ściąć drzewo albo rozerwać sznur nie gorzej niż niejeden mężczyzna. Jest silna. Gibka. Jej ojciec, zapijaczony cham, bił ją codziennie, aż pewnego dnia, kiedy była już starsza, to ona mu wpieprzyła. I nie oszczędziła ani kawałka jego cholernego cielska.

McQuinn wybałuszył oczy, słuchając tych słów.

- I dlatego upiera się, żeby rąbać drewno. Chce być silna, żeby żaden mężczyzna już nigdy nie podniósł na nią ręki.

Łup! Siekiera uderzyła tak mocno w polano, rozłupując je na dwie części, aż zatrzęsała się łódź.

- No - wymamrotał McQuinn - naprawdę kawał z niej baby.

- Powiedziała sobie, że nigdy nie przytyje - dodał Poelzig - żeby nie przyszło mi do głowy porzucenie jej.

McQuinn zarechotał, aż odbiło mu się whiskey.

- Tylko debil bez piątej klepki zostawiłby kobietę z takim ciałem. Jaka ona musi być w... - kapitan zdołał powstrzymać się w porę, zanim dokończył zdanie słowem łóżko.

Poelzig uśmiechnął się do niego półgębkiem i skinął głową.

Piec grzał jedynie na ćwierć mocy, bowiem nie potrzebowali dzisiaj bojlera. Rozpalili ogień w małej wanience, do której zamocowano uchwyt na garnki i grill. Poelzig niemal piał z zachwytem, kiedy wyciągnął z wody drewnianą pułapkę na kraby i zobaczył w środku kilka wielkich sztuk.

- Boże! Jakie one duże! - wykrzyknął McQuinn.

- Ano - przytaknął pierwszy oficer i podszedł z pułapką do

wypełnionego wodą rondla, który stał nad ogniem. - Trzeba się z nimi ostrożnie obchodzić, potrafią napsuć krwi.

Poelzig wyciągał jednego kraba po drugim, chwytając je szczypcami, i wrzucał do wody.

- Są prawie tak wielkie, jak brązowe kraby, które mamy w Irlandii - powiedział McQuinn.

- A w swoim kraju mieliście takie paskudztwa?

- Nie, panie kapitanie - odparł Poelzig, wyciągając jeszcze kilka upartych krabów szczypcami i wrzucając je do wrzątku.

- Nie takie, choć mieliśmy kraby rzeczne. Mówiliśmy na nie krabem, lecz nie miały tak słodkiego mięsa jak te.

Nanya skończyła rąbać drewno i uśmiechnęła się, widząc, jak jej mąż w porę odskoczył od ostrych jak brzytwy krabich szczypiec.

McQuinn raz jeszcze spróbował zagarnąć kilka ostryg, ale bez rezultatu.

- Cholera, miałem nadzieję, że uda się wyłowić parę ostryg, tak jak w zeszłym tygodniu.

Nieźle smakowałyby z tymi krabami.

Nanya powiedziała coś do męża w swoim języku. Poelzig wziął od McQuinna grabie, którymi ten zagarniał ostrygi, i podał je żonie.

- Nanya dużo wie o rzekach, spędziła przy wodzie wiele lat. Przy ujściu rzeki zasolenie jest mniejsze, więc ostrygi łatwiej znaleźć bliżej brzegu.

- Niech mnie diabli, jeśli o tym wiedziałem - powiedział McQuinn, mierzając spojrzeniem rosnącą kobietę. - Ale czekaj, dziewucho! Co ty...

Nanya zrzuciła buty i od razu wskoczyła prosto do wody.

Uśmiechnęła się szeroko do McQuinna, położyła się na wodzie i popłynęła na plecach, z grabiami na piersi. Krzyknęła coś do Poelziga, a ten rzucił jej siatkę.

Niech mnie... pomyślał McQuinn. Nanya podpłynęła jeszcze kawałek, aż wyczuła nogami grunt. Stała po pas w wodzie i zaczęła zagrabiać ostrygi, a rzeczny prąd podwinął jej fartuch, odsłaniając nagie pośladki. Ten widok sprawił, że McQuinna zapiekły policzki. Dziesięć minut później wróciła na statek z pełną siatką.

- Muszę przyznać, że wy, Europejczycy, macie rękę do tego, co w wodzie siedzi - powiedział McQuinn i niemal się przewrócił, kiedy Poelzig pomagał wyjść swojej żonie z rzeki.

Ociekająca wodą Nanya weszła na pokład, a przemoczony materiał przylegał do jej ciała, uwydatniając każdy kontur. Moje gafy mają dzisiaj używanie, pomyślał kapitan. Zarówno kobieta, jak i Poelzig wydawali się nieświadomi efektu, jaki wywarł na McQuinnie ten widok. Nanya podeszła do stołu, wzięła do ręki nóż i zaczęła otwierać ostrygi.

- Apertiv, kapitanie - powiedział Poelzig. - Po naszymu nazywamy je ustrices. I najlepsze są na surowo, podobno po ich zjedzeniu mężczyzna... no wie pan...

Nanya zachichotała i sprawnie zaczęła otwierać jedną ostrygę po drugiej.

McQuinn starał się oderwać oczy od kobiety.

- Skoro już przy tym jesteśmy, Poelzig, po jakiemu wy mówicie?

- Po czesku, kapitanie - odparł pierwszy oficer i podsunął McQuinnowi pod nos talerz pełen ostryg.

Czesi. McQuinn nic o nich nie wiedział, choć czasem docierały

do niego skąpe informacje na ich temat. Wyssał mięsz z kilku ostryg i zapytał: - A skąd dokładnie jesteście?

- Z regionu zwanego Czechosłowacją. To piękne miejsce, bezprawnie zagarnięte przez kłamliwych władców austriackich, Habsburgów.

Na dźwięk tego słowa, Nanya skrzywiła się i powiedziała: - Te Habsburgi nie gzić Jude.

Poelzig uśmiechnął się.

- Moja żona chciała powiedzieć, panie kapitanie, że Habsburgowie nie lubią Żydów.

Obiecywali tolerancję religijną, gwarantowali ją konstytucją, ale zmuszają nas do życia w gettach.

Dlatego przybyliśmy do Ameryki.

- No, to faktycznie zachowanie godne kiepa - powiedział McQuinn, bo naprawdę nie rozumiał podobnych sytuacji. - Dopóki pracujecie uczciwie, przestrzegacie prawa, to jaka to różnica, do kogo się modlicie? Po prawdzie, to ja nawet nie wiem, czym różni się Żyd od protestanta czy katolika i nie powiedziałbym, nawet jakby mnie pod ścianą postawili.

Poelzig przytaknął.

- Ustrices chce, kapitan? - zapytała Nanya i położyła na talerzu jeszcze kilka ostryg.

McQuinn zastanowił się nad tym, co usłyszał, aż wreszcie zrozumiał.

- A tak, oczywiście - odpowiedział i zwrócił się do Poelziga: - No to jednak ta twoja luba trochę angielskiego liznęła.

- Uczy się, panie kapitanie. Dobrze jej to idzie.

Dobrze to ona wygląda, pomyślał McQuinn. Chciało mu się wyć, kiedy Nanya nachyliła się, aby wyciągnąć z siatki jeszcze

kilka ostryg. Spojrzał w jej dekolt i zobaczył lśniące, nagie piersi.

Aby odciągnąć swoją uwagę od tego widoku, wrócił do poprzedniego tematu: - Czechy, powiadasz? A możesz powiedzieć, z jakiego miasta jesteście, żebym mógł lepiej skojarzyć?

- Praha - powiedziała Nanya, lecz Poelzig poprawił żonę: - Irlandczyk powiedziałby: Praga. Tam się urodziliśmy.

Nawet pomimo szumiącej w jego głowie whiskey, McQuinn skojarzył nazwę.

- Co ty nie powiesz... Niech mnie szlag, jeśli nie... - Poderwał się z miejsca. - Zaraz wrócę, niech no tylko zajrzę w papiery...

Wszedł po drabinie do sterówki i przerzucił dokumenty. Kiedy wrócił z powrotem na pokład, Poelzig wyciągał z garnka ugotowane, pomarańczowe kraby. Słońce chyliło się już ku zachodowi. McQuinn zapalił latarnię na rybi olej i położył na stole dokumenty przewozowe.

- Tak myślałem, że już słyszałem o waszym mieście - powiedział rozentuzjasmowany. - O, tutaj. Ładunek zmierzający do Lowensport pochodzi z Pragi.

Kapitan zobaczył jednak, że ta wiadomość wcale nie ucieszyła Poelziga.

- Wiemy o tym, kapitanie. Widzieliśmy stemple na beczkach. Wiemy też, że ludzie zamieszkujący Lowensport wyemigrowali z Pragi.

McQuinn podrapał się po głowie.

- No to trochę zwariowane... Nie chwytam tego, Poelzig. Srasz w spodnie na samą myśl o Lowensport, choć mieszkają tam wyznawcy tej samej religii, a w dodatku pochodzący z twojego miasta! O co chodzi? Co jest takiego strasznego w spotkaniu z

Żydami z Pragi? Przecież to tacy sami ludzie, jak i wy!

Poelzig odpowiedział drżącym głosem: - To nie są Żydzi tacy jak my, kapitanie.

Nanya zmrużyła oczy, wysyczała pojedyncze słowo: - Kischuph! - odwróciła się i spojrzała bojaźliwie za burtę.

Nie rozgryzę tej dwójki, choćby nie wiem co, pomyślał McQuinn.

- Przepraszam, jeśli powiedziałem coś nie tak.

- Nic się nie stało, kapitanie. - Poelzig postawił na stole miskę z parującymi krabami.

- Nanya jest drażliwa, jeśli chodzi o niektóre sprawy. Ujmę to tak: są różne odmiany judaizmu, tak jak istnieją różne odmiany chrześcijaństwa.

McQuinn zaśmiał się.

- Wypiję za to, Poelzig! Spróbuj być katolikiem w przeklętym Kentucky! Teraz rozumiem, o co wam chodzi.

Nanya zdążyła się już otrząsnąć z oburzenia. Odsunęła męża od stołu i zaczęła przygotowywać kraby.

McQuinn wyciągnął ku nim flaszkę.

- Golnijcie sobie. Oboje. Dotarło do mnie, że jeszcze nie widziałem was z butelką.

- Dziękujemy za propozycję, kapitanie - odparł Poelzig - ale nasza wiara nie pochwała spożywania trunków.

- Żydzi nie mogą pić? - zapytał zdziwiony McQuinn.

- To nie tak, panie kapitanie, nie pijemy z wyboru. Wierzymy, że szum w głowie przeszkadza w spotkaniu z En Soph.

- En Soph?

- Z Bogiem - przetłumaczył Poelzig.

McQuinn zmarszczył brwi.



Jeśli to prawda, to ja dzisiaj na pewno nie zobaczę się z Bogiem, pomyślał i pociągnął z piersiówki kolejny łyk.

Oczy Nanyi błysnęły, nachyliła się do męża i wyszeptwała mu coś do ucha w ich języku.

- Co tam ona do ciebie gada? - zaśmiał się McQuinn. - Pewnie mówi, że kapitan to typowy, irlandzki opój!

- Oczywiście, że nie, panie kapitanie. Żona jest po prostu ciekawa, co my w ogóle wieziemy do tego Lowensport. Mówiłem jej, że to nie nasza sprawa...

To akurat prawda, gdyż obowiązkiem kapitana było upewnienie się, że ładunek klienta jest bezpieczny, a ujawnienie zawartości mogło prowadzić do kradzieży. A jednak tej parce na pewno mogę ufać, dumiał McQuinn. Zdążył poznać ich już dość dobrze.

- No cóż, nie widzę w tym niczego niestosownego. Pewnie jakieś narzędzia albo porcelana... - zajrzał do dokumentów. - Z papierów wynika, że wieziemy do Lowensport dziesięć beczek, z czego w jednej jest marmur, w drugiej cyna. W trzeciej i czwartej... ostrzałki i trzonki do młotków, w kolejnych dwóch miał węglowy...

- To w sumie żadne zaskoczenie - odezwał się Poelzig - w Lowensport działa całkiem spory tartak.

McQuinn skrzywił się.

- Po co jednak sprowadzać te rzeczy z Pragi? Przecież to wszystko da się taniej kupić na miejscu.

- Stal sudecka jest o wiele lepsza, kapitanie. I warta swojej ceny. Z rud wydobytych w naszym kraju. Taki młotek nie wygnie się nawet przy najmocniejszym uderzeniu, a ostrzałki wytrzymają długie lata.

McQuinn nie oponował, choć pokładał więcej wiary w irlandzkiej stali. Przeglądał dalej dokumenty i wreszcie natrafił na coś dziwnego.

- I jeszcze coś... Wygląda na to, że w pozostałych czterech beczkach jest jakaś substancja, ale nie mam pojęcia, co to takiego.

- Sub... stancja? - zapytał Poelzig.

- Nie jestem pewien. - McQuinn wskazał palcem słowo napisane w innym języku niż angielski, wzięte w nawias. - Zobacz, Poelzig. Może to po czesku? Spójrz tylko.

- To słowo to hilna, kapitanie.

Nanya chwyciła męża za rękę i ścisnęła ją mocno.

- Nie!

McQuinna zdziwiła ta nagła reakcja.

- Hilna? A cóż to takiego?

Poelzig odparł z kamienną twarzą: - To znaczy glina, panie kapitanie. Innymi słowy, w tych czterech beczkach znajduje się glina.

...

Nigdy nie zrozumieję tych obcokrajowców, pomyślał kapitan, zastanawiając się, czy powinien otworzyć ładownię. Zachowywali się tak, jakby zobaczyli ducha. Czemu zwyczajna glina z Europy zadziałała na nich jak płachta na byka? Na dodatek Poelzig poprosił go o pozwolenie, by mógł zajrzeć do beczek.

- Poelzig, to niezgodne z przepisami! Nasz klient zapłacił nam za przewiezienie towaru w stanie nienaruszonym!

Poelzig przez moment szukał odpowiednich słów.

- Panie kapitanie, chcielibyśmy jedynie zobaczyć tę glinę. Mogę usprawiedliwić swoją prośbę, jakby to powiedzieć, tęsknotą za ojczyzną. Rozumie mnie pan?

McQuinn uśmiechnął się.

- Aha, chcecie zobaczyć coś, co pochodzi z waszej ojcowizny, tak? Aby ten widok wam serca ogrzał, co?

- Można tak to ująć, panie kapitanie. Gdyby ktoś chciał przewieźć do Ameryki kawałek zamku Blamey pochodzącego z pana kochanej, rodzinnej Irlandii, nie chciałby pan choćby rzucić na niego okiem?

Porównanie wydało się McQuinnowi nieco dziwne, lecz odparł:

- No skoro tak stawiasz sprawę... Pewnie bym chciał.

- Dodam jeszcze, że ten ładunek ma wyjątkowe znaczenie dla każdego czeskiego Żyda...

- Człowieku, przecież to nic innego, jak kupa gliny!

- Dla czeskiego Żyda to o wiele więcej, panie kapitanie. Nie zrozumie pan tego w pełni, bo nie jest pan ani Czechem, ani Żydem.

McQuinn spojrział na Poelziga i Nanyę stojących w świetle wiszącego wysoko na niebie księżyca. Zewsząd dochodził przyprawiający o ból głowy śpiew cykad. Nawet w tej niecodziennej sytuacji kapitan nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć głodnym okiem na gibkie nogi Nanyi, jej krągłości i wydatny biust. Poczował jednak ukłucie winy i spojrział prosto w głębokie jak studnie oczy kobiety, które patrzyły na niego z nadzieją i wyczekiwaniem.

- Na Boga, miejmy to już za sobą. Idziemy - powiedział i wyciągnął z kieszeni klucze.

Nanya promieniała, Poelzig westchnął z ulgą. Złapali latarnie i pośpieszyli za McQuinnem do ładowni.

Kapitan otworzył toporną zasuwę. Gdy uchylił drzwi, powitał ich wyraźny ziemisty zapach przemieszany ze zgniłym odorem. Dźwięk ich kroków rozchodził się echem - ładownia była w trzech czwartych pusta. Na tyłach pomieszczenia, w słabym świetle latarni, dostrzegli masywne beczki i ich lśniące, metalowe obręcze. Nie mogę uwierzyć, że na to przystałem, pomyślał

McQuinn, podnosząc łom i podchodząc do jednej z ponumerowanych beczek. Na czterech widniały słowa: VLTAVA HILNA.

- Vltava? - zapytał McQuinn.

- To Wełtawa, wielka praska rzeka, panie kapitanie - odparł Poelzig, a jego słowa rozbrzmiały echem. - Jak mówią legendy, właśnie stamtąd pochodzi glina.

- Legendy?

A to dopiero. McQuinn podważył łomem wieko jednej z beczek i od razu się cofnął, rażony niewyobrażalnym smrodem.

- Masz swoją glinę, Poelzig. Śmierdzi jak z wychodka!

Lecz Poelzig i Nanya bez wahania podeszli bliżej, zagładając do środka z szeroko otwartymi oczyma.

- Rozumie pan, kapitanie - zaczął Poelzig - jeśli wierzyć legendom, glina z tej rzeki uratowała niegdyś naszych rodaków w praskim getcie.

- Masz na myśli Żydów? - zapytał skołowany McQuinn. - Wytłumaczysz mi, w jaki sposób kawał śmierdzącej gliny kogokolwiek uratował?

Poelzig uśmiechnął się blado.

- To tylko legenda, panie kapitanie, lecz mówi się, że glina z Wełtawy jest błogosławiona...

Tymczasem Nanya czule wodziła dłońmi po drewnie otwartej beczki.

Poelzig kontynuował: - Jeśli wierzyć starym podaniom, ludzie bogobojni, czystego serca, mogą czerpać z tej gliny moc.

- Moc z gliny? - wymamrotał McQuinn i pociągnął z flaszki kolejny łyk. - Nie mam zielonego pojęcia, o co ci chodzi.

- Musiałby pan być Żydem, kapitanie... - Poelzig doskoczył do żony, kiedy zobaczył, że Nanya nachyliła się nad beczką i wyciągnęła rękę, aby dotknąć bezbarwnej gliny, lecz zanim zdołała to zrobić, złapał ją za nadgarstek. - Nie wolno tego dotykać ot, tak sobie!

- Ot, tak sobie? - zdziwił się McQuinn. - Przecież to tylko glina! Zwykłe błoto!

Poelzig wydawał się rozbawiony reakcją McQuinna. Nałożył wieczko z powrotem na beczkę.

- O tak, panie kapitanie. Ta glina może dać siłę wierzącemu, lecz tym, którzy wątpią i szyczą, niesie zgubę. Czystą duszę oprószy czernią. Może czynić nie tylko dobro, ale i zło – zaśmiał się Poelzig. - Oczywiście, o ile wierzy pan legendom.

- Dobra, niech będzie - odparł powściągliwie McQuinn. - Zobaczyliście już tę glinę, idziemy.

Kapitan poprowadził małżonków z powrotem na pokład. Wychodząc z ładowni, spojrzął raz jeszcze w kierunku beczek, skrzywił się i zamknął za sobą drzwi.

- Dziękujemy, kapitanie - powiedział Poelzig. - Jesteśmy panu naprawdę wdzięczni.

- No to teraz idźcie i z wdzięcznością połóżcie się spać. Jutro

czeka nas naprawdę trudny dzień, a wstajemy o wschodzie.

- Dobranoc, panie kapitanie - powiedział Poelzig, a Nanya ukłoniła się lekko.

Weszli po schodach do swojej kwatery. McQuinn patrzył za nimi, aż zniknęło światło ich latarni.

Co za para, pomyślał McQuinn i upił łyk z flaszki. Głina z jakiejś śmierdzącej rzeczki, a oni zachowują się, jakby to był Święty Graal.

McQuinn podreptał do swojej kajuty i wkrótce zasnął, ukołysany cichym szumem rzeki.

...

McQuinn rzucał się niespokojnie na swojej koi. Sen chwycił jego czaszkę w imadło, niczym nieznośne przeziębienie; huczało mu w głowie od bełkotliwych koszmarów. Widział

nieprzeniknioną ciemność, przez którą przebijał się z początku trudny do rozpoznania dźwięk miarowych uderzeń siekiery w drewno.

Łup... łup... łup...

Następnie usłyszał słowa wymawiane kobiecym głosem, pełne ciepła, a nawet pożądania...

- Goilem!

Łup!

- Kischuph!

Łup!

- Loew!

Łup!

Aż wreszcie sen nabrał wyrazistości; McQuinn jęknął, bowiem ujrzał Nanyę, szaleńczo rąbiącą na pokładzie drwa.

Jezusie... Jaka ona piękna...

Nanyę okrywało jedynie światło księżyca. Mięśnie napięły się pod skórą, wciągnęła brzuch i wypięła pierś, unosząc w górę siekierę i...

Łup!

Ostrze uderzyło w drewno tak mocno, że aż zatrzęsł się pokład, a drzazgi poleciały na wszystkie strony.

McQuinn patrzył na nagość kobiety, na skórę obleczoną białawą mgiełką potu, drżące mięśnie i śliczną, zgrabną sylwetkę. Zmierzwił włosy opadały na twarz Nanyi, przez co kapitan widział tylko jej oczy - szeroko otwarte, lecz... martwe.

Nagle kobieta odwróciła ku niemu dziwacznie wykrzywioną twarz. Przerażony McQuinn otworzył powieki i...

Co, do cholery...

Nanya siedziała na nim okrakiem, zupełnie naga. Musiała wkraść się do jego kajuty i zdjąć mu spodnie, gdy spał...

McQuinn od razu zorientował się, co się musiało wydarzyć, bowiem jego ciało było w pełnej gotowości. Kobieta ujeżdżała go, dostrzegł jej stwardniałe sutki i przygryzioną dolną wargę - zupełnie jakby się na niego nadziała.

Przeszywała go martwym spojrzeniem i przy każdym powolnym, wymagającym wysiłku ruchu mamrotała jakieś słowa...

- Kischuph...

McQuinn przesunął dłońmi po jej udach i biodrach...

- Loew...

Przesunął palcami po jej sterczących sulkach...

- Goilem...

Co ja wyrabiam, pomyślał. To żona innego mężczyzny, ale...

Zanim zdołał rozstrzygnąć tę kwestię zgodnie z własnym poczuciem moralności, podniecenie wzięło górę. Czy można było go za to winić? Przecież to ona go uwiodła, nie miał nawet szansy zaprotestować...

- Na Boga, kobieto! Nie masz szacunku dla swojego męża?

Musiła jakoś wyczuć impuls, który kazał McQuinnowi ją z siebie zrzucić. Spojrzała na niego mętными oczami, a spomiędzy kołtunów wyzierał złowieszczy uśmiech. Nagle jej powolne ruchy nabrały szaleńczego wręcz pędu, ujeżdżała go jak dzikie zwierzę, aż trzęsa się cała koja.

McQuinn zazgrzytał zębami, gdy poczuł jak wagina Nanyi zaciska się na jego członku, wiedział, że długo nie wytrzyma...

Przeszył go dreszcz orgazmu i miał nadzieję, że nie krzyknął zbyt głośno.

Boże mój!

Gdyby Poelzig się obudził i przyszedł tutaj, aby sprawdzić przyczynę hałasu, co mógłby mu powiedzieć?

Nanya westchnęła i podniosła głowę, spoglądając na belki sufitu. Za jej plecami zamigotało światło i McQuinn przestraszył się, że to Poelzig, lecz przypomniał sobie, iż nie zgasił swojej latarni.

I wtedy zobaczył...

- Cóż to takiego...

Nanya miała coś na brzuchu, jakiś okrągły bohomas. Nad nim widniały nieco mniejsze, o podobnym kształcie, tworząc niewyraźny wzór - zupełnie jakby ktoś malował po jej skórze palcami.

- Co to jest, kobieto? - zapytał.

Policzył, że na brzuchu Nanyi znajduje się dziesięć niby-



okręgów, które tworzą wzór, a jedenasty, większy, namalowano wokół jej pępka. McQuinn dotknął jednego z nich i poczuł, że malunek jest jeszcze mokry, lepki, do tego ziarnisty.

I nagle zrozumiał.

- Ty durna suko! To ta glina, tak? Babrałaś się w tej cholernej glinie! - wykrzyknął i zrzucił z siebie kobietę. Naciągnął spodnie i wybiegł na pokład z latarnią w ręce.

Odprawdzał go dochodzący z kajuty śmiech.

Co powiem klientowi, jeśli uszkodziła jego towar?

McQuinn stąpał ciężko po deskach. Zaklął pod nosem, gdy zobaczył, że zasuwkę na drzwiach ładowni potraktowano ciosem siekiery.

Niech to lichy!

- Poelzig! - zawołał. - Zbieraj dupę z wyra i chodź tutaj!

Zaskoczony nagłym hałasem mewy zaskrzeczały gdzieś w oddali.

Kapitan wpadł do ładowni.

Dzięki Bogu!

Tylko jedna beczka została otwarta. Podeszedł do niej i zajrzał do środka, przyświecając sobie latarnią. Na mokrej glinie widniały ślady palców tej wariatki, lecz to wszystko. Podniósł z podłogi wieko, aby zamknąć beczkę.

Łup!

McQuinn krzyknął, gdy ostrze siekiery uderzyło w trzymane przez niego wieko, rozłupując je na kawałki.

Łup!

Nanya ponownie opuściła siekiere, celując w ramię kapitana, lecz chybiła o cal. Ostrze utknęło w drewnie beczki.

- Zwariowałaś! - wykrzyknął i przebiegł obok niej.

Nanya nadal próbowała wyciągnąć mordercze narzędzie.

- Poelzig! Poelzig! Obudź się, człowieku!

Panika zdążyła już zanieść McQuinna na schody, latarnia dzwoniła mu w ręce. Wpadł wreszcie do kajuty dla załogi.

- Ogłuchłeś, Poelzig? Na Boga, obudź się! Twoja żona oszalała! Żadnego odzewu.

McQuinn uniósł latarnię w górę i zobaczył, że koja jest pusta.

Za to coś leżało na podłodze.

Na środku kajuty zobaczył Poelziga, a raczej to, co z niego zostało. Deski błyszcząły od świeżej krwi. Poelzig został przecięty, a raczej przerąbany na pół - od krocza aż do czubka głowy.

McQuinn cofnął się o krok, próbując zebrać myśli.

Pistolet! Cholera, został w kajucie. Muszę...

Było już jednak zbyt późno.

Gdy odwrócił się w stronę drzwi, aby pójść z powrotem do swojej kajuty...

Łup!

Umazana gliną kobieta zatopiła ostrze siekiery prosto w jego przerażonej twarzy.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

HRABSTWO SOMERSET,  
MARYLAND DZISIAJ

## (I)

Seth Kohn bezmyślnie, niczym w transie, wpatrywał się w trzymaną w dłoni odbitkę. Silnik Chevroleta Tahoe buczał łagodnie, potęgując hipnotyczny efekt. Fotografia wywołała na twarzy Seta uśmiech, zobaczył na niej bowiem atrakcyjną, choć nieco pulchną kobietę z czarnymi jak smoła długimi włosami. Stała na molo w Sankt Petersburgu, uśmiechając się nieśmiało do obiektywu kamery. Seth nie był autorem tego zdjęcia, gdyż zostało zrobione przed laty, zapewne przez jednego z poprzednich chłopaków Judy. Sprezentowała mu je niedawno, wraz z dokładną instrukcją: - Trzymaj to zdjęcie w portfelu. Pochodzi jeszcze z grubszych czasów. Musiałam wtedy ważyć ze sto osiemdziesiąt funtów.

- Czemu chcesz, żebym je miał? - zapytał.
- Żebyś mógł mnie sprawdzać.
- Sprawdzać?

Zaśmiała się, odrzucając do tyłu głowę.

- Aha. Jeśli kiedykolwiek znowu się tak roztyję, masz zamknąć mnie w pokoju na cały rok i nie dawać mi nic poza chlebem i wodą... Pełnoziarnistym chlebem.

Nieźle z niej ziółko, pomyślał, siedząc w swoim nowym SUV-ie. Wziął do ręki kolejne zdjęcie, na którym stali razem. Zostało wykonane pół roku temu, po jednym ze spotkań terapeutycznych. Na kokainie Judy schudła w zaledwie rok do dziewięćdziesięciu pięciu funtów.

Na fotografii wyglądała jednak wystrzałowio: sto dwadzieścia funtów, żadnych fałdek, uśmiechała się, ubrana w kasztanową, letnią sukienkę, z włosami o stopę krótszymi niż na grubszym zdjęciu.

Oczy Judy lśniły radośnie. Jakim cudem taki kujon jak ja wyrwał tę dziewczynę?

Zastanawiał się nad tym nader często. Spojrzał na siebie i zmarszczył brew, nie pasował do tej fotografii. Wysoki, chudy, nieco przygarbiony, ale o równie roześmianych oczach. Pamiętał, skąd wzięła się ich radość... Odzyskaliśmy nasze życie... a nie sądziłem, że to kiedykolwiek nastąpi.

Seth popatrzył na swoje włosy: ciemne, długie, pofalowane. Rok wcześniej były praktycznie szare, gdyż cierpiał na chroniczny alkoholizm. Pozwolił sobie na farbowanie, uznał, że to odpowiednia nagroda za przebrnięcie przez trud odwyku i rezygnację z choćby kropelki alkoholu.

Rzucił okiem na fotografię raz jeszcze i wymamrotał z satysfakcją: - Jak na przygarbionego kujona z wielkim nochalem, dobiegającego pięćdziesiątki komputerowego cwaniaka, jestem całkiem przystojnym gościem...

Następne zdjęcie przyprawiło go o drżenie rąk. Przedstawiało kobietę o włosach barwy brzoskwiń ze śmietaną. Uśmiechała się kusicielsko do aparatu.

Boże. Nie powinien trzymać tego w portfelu, nie po takim

czasie...

Helene, pomyślał.

Słyszając zbliżające się kroki, pośpiesznie wsunął wszystkie trzy fotografie z powrotem do portfela.

Gdy Judy otworzyła drzwi po stronie pasażera, Setha zaskoczył widok czarnego vana, który nagle zmaterializował się na polu, wjechał na drogę i śmignął obok nich. Na boku naklejone miał logo jakiejś firmy dostarczającej warzywa i owoce. Zdążył zauważyć, że siedzący w nim mężczyźni uśmiechali się szeroko, prezentując braki w uzębieniu. Zdawało mu się też, że jeden z nich puścił do niego oko.

Wsiury z Maryland. Miejscowe chłopaki. Seth prychnął ze śmiechem. Mam nadzieję, że tutejsze wieśniaki nie są tak żałosne, jak wieśniaki z Florydy.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Judy, sadowiąc się na fotelu i zamykając za sobą drzwi.

- Myślisz, że ci kolesie z furgonetki widzieli?

- Co widzieli? - zapytał Seth.

- Jak sikam!

- Nie sądzę. - Seth próbował ją pocieszyć. - Trawa jest zbyt wysoka.

Judy westchnęła, opadła na siedzenie i zapięła pas.

- Zastanawiam się, czy takie rzeczy zdarzają się tylko mi. Dół totalny.

Seth zjechał z pobocza na asfalt i przyśpieszył.

- Dół, bo poszłaś sikać na polu?

Judy uśmiechnęła się i zaczęła skubać kosmyki swoich ciemnych włosów.

- Nie. Dół dlatego, że jestem kobietą sikającą w polu. Nie mam

przecież między nogami tego, co wy. Facetom jest łatwiej. Jestem elegancką, wysublimowaną kobietą, Seth.

- Czyli kiedy sikasz w trawie jak koń wyścigowy, to wydymasz dolną wargę?

- Pewnie! - odparła i paranoicznie spojrzała za siebie. - Mam nadzieję, że tych dwóch wieśniaków nie zadzwoni po gliny. Jak brzmiałby zarzut? Nielegalne opróżnienie pęcherza na terenie należącym do stanu?

- Nie martwiłbym się o to na twoim miejscu, skarbie - powiedział Seth i pokazał palcem na stojący przy drodze znak, który mówił LOWENSPORT 6 MIL. - Niewykluczone, że opróżniałaś pęcherz na ziemi, której jesteś właścicielką.

- Świetnie. Czyli jesteśmy już prawie na miejscu, tak? Mówiłeś, że dom stoi jakieś pięć mil przed Lowensport?

- Tak. - Seth nałożył głupkowate okulary przeciwsłoneczne na korekcyjne, które miał już na nosie, i ścisnął dłoń Judy. - I dzięki za przetrzymanie tego wszystkiego.

Judy wydawała się rozproszona mijanymi przez nich, niekończącymi się zielonymi polami.

- O co ci chodzi?

- Wiem, że nie cierpisz długich podróży samochodem. Trasę z Tamy do Maryland można przejechać w półtora dnia. Nie wiedziałem, że zajmie nam to aż trzy.

- No dobra, policzmy - powiedziała Judy. - Seks we Florence, Południowa Karolina. Dwa przystanki na międzystanowej, potem jeden w Ashland i dwa dzisiaj na promach z Virginii do Maryland. - Judy przeczesła swoje lśniące, ciemne włosy i wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. - Co daje sześć razy w ciągu trzech dni. I właśnie w taki sposób można pomóc

dziewczynie przetrzymać trudy długiej jazdy.

- Dziękuję za komplement - zaśmiał się Seth. - Lecz było siedem. Zapomniałaś o postoju w Tappahannock.

Judy zdziwiła się i nagle przypomniała sobie: - Jasne! Na stole piknikowym! Jak mogłam zapomnieć?

Seth przytaknął.

- A skoro już dojeżdżamy, trzeba będzie jakoś ochrzcić nowy dom...

Seth uśmiechnął się.

- Kochanie mam czterdzieści dziewięć lat. Daj staruszkowi trochę odsapnąć.

- Staruszek. Takiego wała! - zaśmiała się i z powrotem utkwiała wzrok w oknie, przez które nie było widać nic poza porośniętymi trawą polami. - A więc to tak wygląda proso różgowe.

Judy wpatrywała się jak urzeczona w połacie wysokich traw, które lśniły tak intensywną zielenią, że rozboleły ją oczy.

- Fajnie z tymi zwolnieniami od podatku, które zapewni ci to zielsko.

- A zapewni? Nawet nie wiedziałem - powiedział Seth i zwolnił, aby spojrzeć przez okno. - Wygląda jak przerośnięta trawa.

- To wysokiej jakości biomasa - poinformowała go Judy. - Do października urośnie do dziesięciu stóp wysokości. Potem zetną to wszystko, i tak w kółko.

- Robią z tego etanol czy coś takiego, nie?

- Przede wszystkim, ale inne rzeczy też. Wodór, metan, amoniak i jakieś syntetyczne gazy, które można wykorzystać w elektrowniach, a są bardziej wydajne i czystsze niż węgiel. No i jesteśmy w komfortowej sytuacji, bo nasze trawiska rosną tam, gdzie w okolicy nie ma żadnych upraw, więc nikt nie będzie nam

narzekał, że wcinamy się w czyjeś zarcie. Proso różgowe wydaje się bezużyteczne, lecz dzięki cudom dzisiejszej nauki może być wykorzystywane jako paliwo. Do tego odrasta co roku.

- Ale chyba trzeba to jakoś uprawiać?

- Koszta są praktycznie zerowe, jeśli porównasz je z kosztami uprawy kukurydzy, soi czy czegokolwiek. Proso różgowe nie potrzebuje nawozów ani pestycydów, poza tym doskonale znosi suszę i przynosi niezłe zyski. Niedawno ogłoszono je cudowną rośliną, jest szczególnie cenione przez ekologów, gdyż nie wydziela żadnych szkodliwych gazów.

Temat wydał się Sethowi całkiem interesujący, lecz...

- Ej, kiedyś uczyłaś filozofii, a teraz jesteś specjalistką od proso różgowego?

Judy zaśmiała się.

- Kiedyś spotykałam się z profesorem z uczelni przyrodniczej. Facet miał obsesję na punkcie źródeł energii odnawialnej.

- A czy miał też obsesję na twoim punkcie? - zaciekał się Seth.

Judy zawyła z radości.

- Żartujesz sobie? Po pierwsze, znałam go jeszcze w grubszych czasach, a po drugie, i mówię to poważnie, ten facet czytywał „Environmental Times” z takim zaangażowaniem, jak normalni mężczyźni „Playboya”.

- Pytanie tylko, czy normalni mężczyźni w ogóle czytają Playboya. - Seth prenumerował, a czasem nawet wspólnie przeglądali zdjęcia. - Jak długo z nim chodziłaś?

- Seth, daj spokój. Nie chce mi się o nim gadać. To debil.

- Poczuję się lepiej.

- Zresztą, rozmawialiśmy o prosie różgowym i zwolnieniu od



podatku.

Seth dostosował prędkość do ograniczenia.

- W tym roku będę potrzebował tylu zwolnień i ulg, ile się da. Nie jestem chyba chciwcem, co?

- Tego nie mogę pojąć - powiedziała jowialnie Judy - masz poczucie winy, bo odniosłeś sukces, co kojarzy mi się raczej z chrześcijanami. A przecież jesteś Żydem!

Seth puścił do niej oko.

- Tak, ale cieszę się, że powietrze jest za darmo, a mój nos jest ogromny.

Zbyła go machnięciem ręki.

- Kiedy zapieprzasz jak dzikus przez dwadzieścia pięć lat i wreszcie udaje ci się coś osiągnąć, nie musisz czuć się z tego powodu winny, lecz dumny, okej?

Seth zdecydował się jednak ciągnąć temat.

- Duma, czyli pycha, jest grzechem, kochanie. Przynajmniej dla was, chrześcijan.

- Podobnie seks przedmałżeński, ogierze, i to nie tylko dla gojów, ale i dla Żydów. A po naszym trzydniowym maratonie jesteśmy jednakowo spaleni u Boga.

Seth chciał rzucić jakąś kąśliwą uwagę, ale się powstrzymał. Czy musiała wspominać o małżeństwie? Nie rozumiał, czemu ten temat nadal go drażnił. Helene nie żyła już od dwóch lat.

Judy rzuciła mu zdziwione spojrzenie i szturchnęła łokciem w bok.

- To był żart, panie Poważny! Nawet gdy żartuję ze ślubu, to zamykasz się w sobie jak ostryga.

- Nie, nie, to nie o to...

- Ta, na pewno. Poza tym powiedziałam ci już na pierwszej

randce, że nie chcę brać ślubu. -

Judy opuściła szybę i pozwoliła wiatrowi zmierzwić sobie włosy. - Nie oszukujmy się. Oboje jesteśmy paranoikami, do tego straszna ze mnie nerwuska i małżeństwo pewnie rozpieprzyłoby nasz związek.

- Chodź do mnie - powiedział szybko i spróbował objąć ją w pasie. - No dawaj, przysuń się do mnie...

- Nie mogę! - jęknęła. - Mam zapięty pas!

- No to rozepnij, rozpinaj! - nalegał. - Szybciej!

Zdziwiona, rozpięła pas, a Seth przyciągnął ją do siebie, aż usiadła mu na kolanach.

Pocałował ją, włożył jej rękę pod bluzkę i złapał za pierś. Udawała, że opiera się jego pieszczotom, aż jego pocałunki stały się dłuższe i gorączkowe. Tahoe zaczął kołysać się z jednej strony starej, wiejskiej drogi na drugą. Seth oderwał usta od Judy i przytulił ją do siebie tak mocno, jak tylko się dało.

- Słuchaj mnie, dobra?

- Mhm.

- Nic, dosłownie nic nie zrujnuje naszego związku. Ani alkohol, ani dragi, ani jakieś pierdoły z naszej przeszłości. Nic. Wierzysz mi?

Nagle poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Wierzę.

- To super - powiedział i pocałował ją raz jeszcze.

Roześmiała się i odepchnęła go.

- Może i nic nie spieprzy naszego związku, ale rozwalisz auto, jeśli nie będziesz uważał na drogę!

- Obawiam się, że masz rację.

- Jedźmy do domu - szepnęła i poczuła, jak robi jej się gorąco. -

Jestem gotowa na numer osiem...

## (II)

- Nieźle - wymamrotał pod nosem D-Man, kiedy minęli zielonego Chevroleta Tahoe.

- Widziałeś jej cycki?

- Pytanie! - parsknął Świrus. - Widziałem też profesorka, z którym była. Kurwa, powinniśmy wrócić i zająć się nimi jak należy. Kto by się dowiedział? Zresztą, nie byłyby to pierwsze trupy, które zostawilibyśmy na tamtych polach.

Słońce odbijało się od łysej głowy D-Mana.

- Teraz skumaj, Świrus, dlatego ty byłeś w pierdłu trzy razy, a ja wcale. - Mięśnie D-Mana napięły się, kiedy dźgnął swojego kolegę palcem w ramię.

- Ała!

- Patrzeć to sobie możesz, ale zapamiętaj, że dzisiaj załatwiamy sprawę z Roshem i nic więcej. Jak chcesz zaczepiać ludzi tylko po to, aby ci stanął, to wszystko spierdolisz. Nie mam zamiaru stracić całej tej kasy, bo ty chcesz się wydurniać. Słyszysz mnie?

- Ta - burknął Świrus.

D-Man siedział na miejscu pasażera, jego kolega prowadził. Wielkim vanem trzęsło podczas jazdy, wszystko trzeszczało.

Świrus podrapał się po brodzie, aż z zarostu posypały się płatki łupieżu. Do boków jego zniekształconej głowy przykleiły się brudne, gówniano-brązowe włosy. Mężczyźnie brakowało kilku zębów i kawałka małżowiny usznej, którą stracił, jak sam mówił, w trakcie wojny gangów w więzieniu.

- Może i nie mam ucha, ale tamten chodzi teraz bez oka - chełpił się.

Tak naprawdę odgryzł mu je jeden ze skazańców, kiedy Świrus nie chciał wziąć udziału w zabawie znanej za kratami jako Wesoła ciuchcia - miał robić za lokomotywę.

- Pochyl się, cioto, podepniemy wagoniki - rozkazał mu pod prysznicami więzień o imieniu Barbell zaraz po tym, jak wypluł ucho Świrusa do odpływu - a jak nie, to zaraz odgryzę ci coś jeszcze.

Świrus posłuchał, a na jego ramionach zacisnęły się mocne, wytatuowane łapska.

D-Man reprezentował zupełnie inny rodzaj wieśniaka: barczysty, o poważnej twarzy, co prawda niezbyt czysty, ale z pewnością nie tak zapuszczony, jak Świrus. Mówili na niego D-Man, bo kiedyś rozwoził drożdżówki do cukierni, aż wreszcie wywalili go z roboty, bo zasnął za kierownicą samochodu dostawczego i walnął w barierkę na moście - setki słodkich bułek z miodem i dżemem oraz dziesiątki ciastek francuskich spoczęły w rzece Brewer.

Od tej pory udało mu się wspiąć kilka szczebli wyżej bądź spaść niżej - wszystko zależało od punktu widzenia - w brutalnym świecie kapitalizmu. Umięśniona sylwetka i ogolona głowa sprawiały, że przypominał Bruce'a Willisa dla ubogich.

- No i jesteśmy - oświadczył Świrus, kiedy zajechali do centrum i przy Somner's Cove odbili pod budynek Knajpy Krabowej Szalonego Alana.

Zajechali na tył jadłodajni, przestali rozmawiać i obserwowali uważnie zaułek. Co drugi dzień słyszeli o nowych akcjach antynarkotykowych i choć D-Man nie był bystrzacha, wiedział,

że wystarczy niewielka wpadka, a wyląduje w pierdlu na dwadzieścia pięć lat bez prawa do zwolnienia warunkowego.

- Spokojnie - powiedział - zwolnij.

Świrus obruszył się: - A czego mamy się tutaj bać? Kotów?

- Rób, co mówię, albo tak ci pierdolnę, że będziesz ryja z tyłu głowy szukał.

Czarny van zaparkował przy dokach znajdujących się za lokalem. Świrus wyłączył silnik.

Pułapki na kraby piętrzyły się wzdłuż ściany, nie widać było jednak ani jednej łodzi.

Dobry znak, pomyślał D-Man. Gdzie jest...

- Hej, D-Man? Gdzie, do cholery, jest...

- Przyjdzie - uciał D-Man.

Rosh zawsze przychodził na czas. D-Man zatarł ręce.

- Przygotuj towar, pójdę po niego.

Świrus przelazł na pakę, a D-Man wysiadł z auta i ostrożnie ruszył w stronę przystani, gdzie siedziało kilku pracujących na czarno ludzi, segregujących kraby pod kątem wielkości, aby potem dostarczyć je do restauracji. D-Man i Świrus robili interesy za pośrednictwem kapitana policji, Rosha, który przekazywał towar dalej, z rąk do rąk. Rosh nigdy nie spotykał się z nimi w innym miejscu; zawsze umawiali się tutaj, w knajpie, za którą rozładowywano kraby.

D-Man spróbował otworzyć tylne drzwi, lecz bez rezultatu.

Coś mi tutaj nie gra, pomyślał i ruszył z powrotem w stronę vana. Czemu mam wrażenie, że nas dzisiaj przydybią?

- Świrus?

D-Man zobaczył, że drzwi od furgonetki są otwarte na oścież, lecz ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. Mężczyzna zajrzał

do auta i zobaczył, że skrzynie z kukurydzą nadal stoją na swoich miejscach. Jednak na tyłach...

- O, kurwa...

Świrus leżał na brzuchu na podłodze vana, z rękoma unieruchomionymi żółtymi, nylonowymi kajdankami.

Cyk!

- Nie ruszaj się, wieśniaku, albo zgaszę ci światło na strychu!

D-Manowi zadrżała szczęka, kiedy podniósł swoje grube łapska w górę i poczuł przy skroni zimny metal lufy pistoletu.

- Nic... Nie...

- Zamknij się - powiedział mężczyzna i popchnął D-Mana, który upadł na podłogę furgonetki zaraz obok swojego kumpla, Świrusa.

Podniósł głowę i zobaczył gliniarza, którego nigdy wcześniej nie widział. Policjant uśmiechał się do niego z wyższością. Był szczupły, nosił bujny wąs i miał wąskie oczka. Na jego odznace widniało nazwisko STEIN.

- To ty jesteś ten wielki, zły D-Man, co? Wjebałeś ostatnio jakieś pączki do rzeki?

- Nic... Nie...

- Nasi informatorzy mają was na oku już od jakiegoś czasu, szmaciarze - powiedział Stein i kopnął Świrusa w plecy.

D-Man zobaczył łzy w oczach kolegi.

- Wskoczył znikąd, D-Man! I wie wszystko o...

- Zamknij się - rozkazał gliniarz. - Mażesz się jak baba i tak wyglądasz. No i te nerwy ze stali...

Wskazał pistoletem na krocze Świrusa, który zlał się w majty, i wybuchnął śmiechem.

- Mówię wam, chłopaki, kiepsko wypadacie jako dilerzy. Trzeba

było zostać przy rozwożeniu drożdżówek...

D-Man znalazł w sobie odwagę, aby spróbować wstać i wykrztusić: - Przywieźliśmy kukurydzę do knajpy, proszę pana.

Stein popchnął go na tył vana.

- To może sprawdzimy, co tutaj macie? Zaczniemy od tych skrzynek w rogu.

Skąd on to wie... Mózg D-Mana pracował na najwyższych obrotach, analizując sytuację.

Ktoś musiał dać mu cynk... ale kto? Rosh? Nie ma mowy. Stein popchnął go po raz drugi w stronę wspomnianych wcześniej przez niego skrzyń. I co ja, kurwa, mam teraz zrobić? Trzęsącymi się dłońmi złapał jedną ze skrzynek.

- Au! - zawył, gdy Stein kopnął go w udo.

- Podaj tę z drugiego rogu, twardzielu.

D-Man z trudem powstrzymywał łzy, gdy dźwignął wskazaną skrzynkę.

- No to zobaczymy, co tam mamy. - Stein nadal trzymał D-Mana na muszce, a wolną ręką sięgnął do środka.

D-Man zauważył coś dziwnego.

Gliniarz miał założone gumowe rękawiczki.

Co do...

Spomiędzy kukurydzy Stein wyciągnął dwie duże puszki po kawie.

- Prawdziwi z was geniusze. Niech no zgadnę... Harvard?

Policjant otworzył puszkę i spojrzał na tkwiące w środku kryształki cracku.

Złapał D-Mana za fraki i walnął nim o ścianę furgonetki.

- Skurwysyny, sprzedajcie to dzieciakom - powiedział i gruchnął D-Mana pięścią prosto w splot słoneczny. - Po ulicach

chodzą trzynastolatki zebrzące o numererek za kasę, bo tacy jak wy uzależnili je od tego gówna.

- Nie, to nie tak - jęczał D-Man. - My tylko przekazujemy towar. Przysięgam.

- Chcesz mi coś powiedzieć? - zapytał Stein.

D-Man i Świrus milczeli.

- No dalej, chłopaki. Lepiej zacznijcie śpiewać.

- Mieliśmy tylko przyjechać tutaj z towarem. Nie znamy odbiorcy. - D-Man zaczął gadać jak najęty. - Zamieniamy crack na trochę innego towaru dla siebie i parę dolców. Dwa razy w tygodniu.

- Komu dostarczacie? Kto jest waszym klientem?

- Za każdym razem ktoś inny, ale zawsze w tym samym miejscu.

Tym razem Stein uderzył go nie pięścią, ale ręką policyjnej pałki. Z D-Mana uszło powietrze i padł na kolana.

- Kłamiesz - powiedział Stein i podszedł do Świrusa. - Nie leć ze mną w chuja. Kto jest waszym klientem, Świrus?

- Kurwa, nie wiem! Nie wiem! - jęknął Świrus.

Stein walnął go pałką w krocze. Świrus krzyknął, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

- Nie mam na to czasu, kończy się moja przerwa na kawę.

D-Man nadal klęczał. Zacisnął z całej siły zęby, gdy poczuł lufę pistoletu przytkniętą do swojej ogolonej głowy.

- Kim jest wasz człowiek? Liczę do trzech.

- Jezu, człowieku...

- Raz.

- Słuchaj, zapłacimy ci!

- Dwa.



- Zaczekaj!

- Dwa i pół!

- D-Man! - wrzasnął Świrus.

- Trzy!

- Rosh! - D-Man i Świrus krzyknęli jednocześnie. - Kapitan Rosh!

Stein opuścił pistolet. D-Man i Świrus nadal nie mogli złapać oddechu.

- Dajcie mi pomyśleć, okej? - mruknął Stein. - Fajnie, że mi powiedzieliście, ale i ja muszę wam o czymś powiedzieć. Wiedziałem o tym. A teraz powiem wam, co zamierzam zrobić w zamian za to, że właśnie zweryfikowaliście tę informację.

- Wypuści nas pan? - zapytał nieśmiało D-Man.

- Blisko - syknął Stein. - Zabiję was.

Policjant przyłożył broń do głowy D-Mana.

- Nie! Jezu Chryste, nie zabijaj mnie!

Stein pociągnął za spust.

KLIK! - rozległo się głucho uderzenie cyngla.

D-Man opróżnił pęcherz i opadł bezwładnie na podłogę.

- Żartowałem, panowie - powiedział beztrąsko Stein i wybuchnął śmiechem.

Obok ciężarówki rozległy się pośpieszne, głośnie kroki. Nadal leżąc na ziemi z szeroko otwartą gębą, D-Man spojrzał w stronę otwartych drzwi vana i zobaczył maszerującego w ich stronę Rosha, ubranego w wyprasowany mundur, na którym świeciły się kapitańskie pagony.

Zaczął klaskać, zanosząc się od śmiechu.

- Jestem pod wrażeniem, chłopaki! Poddaliście się dopiero po pięciu minutach!

D-Man dźwignął się z trudem z ziemi. Czuł się jak po rundce na kolejce górskiej. Popatrzył na kapitana kompletnie skołowany.

- Co jest, do KURWY NĘDZY?

- D-Man, Świrus, przywitajcie się z Charliem Steinem. To mój nowy partner.

Nie przestając się śmiać, Stein przeciął założone Świrusowi kajdanki i pomógł mu wstać.

- Znasz się na żartach, co nie, kolego? - Uszczypnął Świrusa w policzek i poklepał go po głowie. - Tylko się wydurnialiśmy.

Świrus wydawał się oburzony i masował się po obolałym kroczu.

- Wydurnialiście? Walnąłeś mnie w jaja pałką!

Stein poklepał go po plecach.

- Kapitan Rosh chciał sprawdzić, czy potrafię przeprowadzić rozsądną rozjebkę. W końcu praca policyjna to nie bułka z masłem, trzeba być twardzielem, nie?

Serce D-Mana nadal kołatało w piersi, czuł się, jakby ktoś zaszył mu tam kolibra. Świrus rzucił mu spojrzenie, wymamrotał coś niezrozumiale i zemdłał.

Rosh ledwie powstrzymał się od śmiechu.

- Zostawcie go, nic mu nie będzie. Biedak jest trochę wstrząśnięty i tyle.

- Ma do tego wszelkie, kurwa, prawo! - obruszył się D-Man.

- No już, już. - Rosh zapukał kilkakrotnie w bok auta i po chwili do vana weszło kilku robotników. - Rozładujcie tę kukurydzę, chłopaki. - Odwrócił się w stronę swojego kolegi. - A ty, Stein, schowaj to gdzieś i przynieś działkę dla D-Mana. Będziemy w środku.

- Oczywiście, kapitanie.

D-Manowi nadal kręciło się w głowie, kiedy wysiadł z samochodu i poszedł za Roshem w stronę knajpy. Skręcili za róg i poszli do skąpanego w słońcu ogródka przylegającego do lokalu.

- Wystraszyłeś nas jak chuj!

- Wyluzuj. Nie znasz się na żartach? - Przy barze było pusto, usiedli więc na dwóch wolnych stołkach. - Hej, Jimmy! Dwa piwka, dobra?

- Jasne, pewnie - powiedział z uśmiechem obnażającym niekompletną klawiaturę polerujący szklankę, robiący za barmana wieśniak.

D-Man próbował się uspokoić. Kurwa... Rosh wyciągnął coś z kieszeni. Miał krótkie, rude włosy i bladą cerę, przez co wyglądał na jeszcze mniej godnego zaufania. D-Man pracował dla niego od pięciu lat.

- Popyt rośnie, mój przyjacielu.

- Poradzę sobie. Potrzeba nam tylko czystego towaru, a moi ludzie zamienią go w kryształ.

- Dobrze, bardzo dobrze.

Barman postawił przed nimi dwa piwa.

- Kocham to - powiedział, a jego głos zabrzmiał jak pierdnięcie.

- Umundurowany kapitan policji siedzi w moim barze, ucina sobie pogawędkę z dilerem i pije moje piwo.

- E tam pije, Jimmy. Pije za darmo. - Rosh puścił oko do barmana.

- Dokładnie tak.

- Jimmy, a może tak znikniesz na minutkę, co? Mamy kilka spraw do omówienia na osobności.

- Okej, pewnie - powiedział Jimmy i poszedł na zaplecze.

Stein wszedł do baru z malutką walizeczką i postawił ją obok

D-Mana.

- Waga się zgadza.

- A kiedy się nie zgadzała? - D-Man próbował zgrywać twarziela, lecz głos nadal mu się trząsał po tym, co przeżył w furgonetce.

- Powinno być po tysiąc kryształków w puszcze - powiedział Stein i klepnął D-Mana w plecy. - Ej, chyba się nie gniewasz za tamto, co?

- Nie - odparł szybko D-Man. - Była zajebista zabawa... Kutasie. Rosh i Stein gruchnęli śmiechem.

- Widzimy się na dniach, D-Man. Kazałbym ci przeliczyć kryształy, ale... nie chce mi się tutaj siedzieć do północy.

Rosh i Stein zarechotali jeszcze głośniej.

Pierdolone dupki... D-Man zajrzał do walizeczki i zobaczył w środku kilka woreczków z kokainą oraz trzy zwitki banknotów, w każdym po dziesięć tysięcy dolarów. Nawet biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj wydarzyło, D-Man wiedział, że miał cholerne szczęście, że brał udział w tym wszystkim. Mógł dać sobie spokój z uczciwą pracą, zresztą i tak nie szła mu ona za dobrze.

- Gra? - zapytał Rosh.

D-Man przytaknął.

- Wyświadczysz mi przysługę?

D-Man spojrzał bystro na kapitana.

- Przysługę za pięć kawałków, oczywiście - dodał Rosh i podał D-Manowi zwitek banknotów. - Twój człowiek wykonuje kawał dobrej roboty i doceniamy to.

- Co to za przysługa? - westchnął D-Man.

- A, taka mała robótka. Coś takiego, jak zeszłej wiosny - powiedział Rosh i położył na stole zrobioną w areszcie fotografię.

D-Man nadal był roztrzęsiony, nie mógł nawet przełknąć piwa. Spojrzał na zdjęcie i zobaczył typową ćpunkę: skołtunione rude włosy, zapadnięte policzki, mętne oczy, wąskie usta.

- Wydaje mi się, że ją już widziałem. To jakaś miejscowa ćpunka, co nie?

- Nazywa się Tracy Roberts. Ksywka Ciacho.

D-Man wzruszył ramionami.

- Czego od niej chcesz? Zwykła wychudzona ćpunka.

- Tak mówisz? - Rosh po raz pierwszy tego dnia spowaźniał. - Jeden z naszych powiedział, że to informatorka.

- Wielkie mi co. Przecież jesteście glinami.

- Nie nasza informatorka, D-Man, ale stanowych.

- Aha.

Rosh postukał palcem w plik banknotów, które D-Man położył sobie na udzie.

- Powiedz o tym swojemu człowiekowi. To ważne. Potrzebujemy twojego cyngla. Ciacho bunkruje się pod adresem zapisanym z tyłu fotografii.

D-Man odwrócił zdjęcie.

- Nie powinno być problemu.

Rosh uśmiechnął się, dopił piwo i powiedział: - Skoro nie tknąłeś swojego - spojrzał na szklanekę D-Mana i klepnął go w plecy, czego ten nie znosił - to coś ci powiem. Czytałem dzisiaj w gazecie, że w zeszłym roku susza nadwyrężyła nasze nadwyżki żywności, co oznacza, że możemy posłać mniejsze ilości do krajów potrzebujących. Na przykład do Afryki, gdzie ludzie umierają każdego dnia z głodu.

D-Man skrzywił się.

- I co?

- No i tak sobie pomyślałem - Rosh stuknął palcem w fotografię  
- o tych ćpunach. Każdy waży jakieś dziewięćdziesiąt, może sto funtów, nie?

- Dlatego, że ćpają, Rosh. Ćpuny mało jedzą.

Rosh podniósł w górę palec w mentorskim geście.

- Właśnie! Mało jedzą! I o to mi chodzi! Dlatego robimy wszystkim przysługę.

D-Man kompletnie się pogubił.

- Sprzedając crack?

- Tak! Tak! Popatrz, im więcej dzieciaków uzależni się od cracku, tym mniej zjedzą w ciągu swojego krótkiego życia. Jeśli będziemy ciężko pracować, damy radę nadrobić te utraczone nadwyżki, a nasz rząd będzie mógł wysłać żywność do Afryki. To chyba dobry uczynek, nie?

D-Man popatrzył na śmiertelnie poważnego Rosha, który momentalnie wybuchnął śmiechem i uderzył się w uda otwartymi dłońmi.

D-Man pokręcił głową.

- Beczka śmiechu, Rosh. Słuchaj, muszę lecieć zmienić spodnie. Dzięki, że pomogłeś mi je zaszczać.

Rosh powstrzymał go jednak.

- Zapytam cię o coś i zapewniam, że twoja odpowiedź pozostanie między nami.

D-Man westchnął i usiadł z powrotem.

- Co tym razem?

- To nie moja sprawa, ale... Czy to ty jesteś cynglem?

D-Man zmieszał się i wydukał: - Nie, no co ty...

- Przecież nie Świrus. Ta pierdoła nie potrafi nawet światła w sypialni zapalić. No to gadaj, kto to?

- Nawet jakbym wiedział, to bym nie powiedział. Taki mamy

układ.

- No wiem, ale... Jestem ciekawy.

- Kurwa mać, nawet ja sam nie wiem, więc daj już spokój, co?

Rosh wzruszył ramionami.

- Spoko, wyluzuj. Kimkolwiek jest, powiedz mu, żeby zrobił taką rzeźnię, jak ostatnio, dobra? Żeby to wyglądało jak robota wkurwionego kochasia albo jakiegoś gangu.

D-Man z trudem przełknął ślinę.

- Nie ma sprawy - powiedział, złapał walizczkę i czym prędzej wyszedł z baru.

### (III)

- To jest świetne! - ekscytowała się Judy, naciskając klawisze swojego notebooka i próbując przejść kolejny etap gry. - Przechodzę właśnie przez Miazgę!

- Nie spadnij - ostrzegł ją Seth.

Odkąd zaangażowali się w związek na poważnie, Judy okazała się idealną osobą do testowania projektowanych przez niego gier.

- Jak władujesz się w ten szlam, będziesz musiała zużyć cały Balsam, jaki masz w plecaku.

- I ten most linowy! - entuzjasmowała się. - Świetnie zaprojektowany! To twój pomysł?

- Mój i tylko mój.

- Podoba mi się, jak cały trzeszczy, kiedy łapię za sznur.

Seth zaśmiał się.

- Bo to nie sznur, ale jelita.

Judy jęknęła.

Chyba lepiej się zamknę i dam jej pograć...

Seth zawsze starał się iść do przodu z podniesionym czołem, nie zważając na to, czy działa się dobrze, czy źle. Gdy po raz pierwszy zobaczył Wirginię, to znaczy: po raz pierwszy od śmierci swojej żony, Helene, wbrew przewidywaniom nie rozkleił się. Nadal za nią tęsknił i nadal ją kochał, ale wiedział, że jego związek z Judy jest jedynym rozsądnym posunięciem.

Helene chciałyby mojego szczęścia, powtarzał sobie, a ja chciałbym tego samego dla niej, gdybym to ja odszedł wcześniej. Problem stanowiło poczucie winy, z którego nie potrafił się otrząsnąć. Nieraz, leżąc w łóżku, żałował, że to nie on leży w grobie, bowiem w swojej ocenie zasługiwał na śmierć bardziej niż ona.

Los jest nieprzewidywalny, pomyślał, patrząc na niekończące się akry wysokich traw, które mijali. A może to Bóg.

Wyjechali z Tamy przed trzema dniami - właściwie to zostawili ją na zawsze - i mknęli nieprzerwanie drogą numer dziewięćdziesiąt pięć, przecinając południową Wirginię, aby spędzić choć chwilę przy grobie Helene oraz raz jeszcze przepłynąć promem. Sentyment czy poczucie, że tutaj jest mój dom? - pytał sam siebie, choć wiedział, że to jedno i to samo. Judy była wspaniała, że towarzyszyła mu przez cały ten czas.

Czy uwiodła go na promie po to, aby nie myślał o Helene?

Nieważne, w końcu spełniało się moje marzenie. Moje i Helene, lecz jej już ze mną nie ma.

Teraz to marzenie moje i Judy...

Dom - Lowen House - był centrum ich marzeń, lecz to dom innego rodzaju umożliwił ich realizację. Chodziło o



komputerową grę, horror nowej generacji, którą Seth ochrzcił Domem z kości i mięsa. Zamiast klasycznych światów, jak korytarze kosmicznych pojazdów, czarnoksiężskie zamki albo siedziby terrorystów, gracz odwiedzał kompletnie nowe uniwersum: organiczne. Ścieżki z ludzkiej skóry wiodły pośród trawników z włosów; na przypominające labirynty lasy składały się grube kolumny mięśni z naroślami robiącymi za gałęzie; chatki zbudowane z ludzkich (i nieludzkich) kości, gdzie gracz mógł znaleźć odrobinę wytchnienia i uleczyć rany... O ile wcześniej miejsce nie zostało zajęte przez Grzybowatych.

Jednak właściwą część gry stanowiły tak zwane Organiczne Poziomy. Każdy Poziom oznaczał etap gry i oferował nowy motyw graficzny, na przykład Skóropolis, Rakowiocha, Wirusowo i Bronchitburg. Były też poziomy dodatkowe, które rozbudowywały świat gry: Kario-Zatoka, Tkanko-Katedra, Synaptyczne Przedmieścia, Labirynt Trądu i tak dalej. Każdy z nich został stworzony przez obcą istotę zwaną Szkarłatnym Obserwatorem. Gra nie miała specjalnie rozbudowanej fabuły: Obserwator wyzwał rasę ludzką na pojedynek, w którym wziąć miał udział najlepszy żołnierz, jakim ta dysponowała - sierżant Jake Breaker. Został on wysłany do samego środka królestwa zbudowanego z mięsa i kości, aby walczyć o swoje życie. Jego przeciwnicy byli równie nietypowi, co wykreowany w grze świat, i dybali na głównego bohatera. Pośród nich znajdowali się Cieleśniacy, Torbielarze, latające Gały Oczne i rzygający kwasem żołądkowym Wymiotnik. Ich zadanie polegało na powstrzymaniu Breakera, który, uzbrojony w różne zdobyczne techniki - Skalpel, Kościopię, Bakteriowe Bomby i helowokadmowy Laser Chirurgiczny - torował sobie drogę przez

zastępy wrogów. Gracz musiał przejść wszystkie Poziomy, aby dotrzeć do trupiej paszczy Domu z Mięsa i Kości, gdzie stawał twarzą w twarz ze Szkarłatnym Obserwatorem i musiał stoczyć z nim przyprawiający o dreszcze i drżenie rąk pojedynek. Stawką był los całego świata - jeśli przegra, Ziemia zostanie zniszczona.

Taki był pomysł Setha, który napisał i zaprojektował grę, a potem zaprosił do prac swoich kolegów wyspecjalizowanych w tworzeniu grafiki komputerowej. Razem ukończyli wersję beta i wysłali swoją ofertę do kilku firm zajmujących się produkcją i dystrybucją podobnych rzeczy. Seth zdawał sobie sprawę, że fabuła typu obcy atakują Ziemię i tylko jeden twardziel może ich powstrzymać jest mniej więcej tak nowa, jak Biblia Gutenberga, lecz wiedział też, że oryginalność i nowatorskie koncepty nie są zbyt mile widziane w branży - podobnie jak i w Hollywood. Fani preferują to, co znają, jedynie lekko podrasowane. Dlatego też Seth ze wszystkich sił starał się, aby jego gra była podrasowana graficznie do granic możliwości technicznych sprzętu, na którym pracowali. Spodziewał się, że w najlepszym przypadku Dom z Mięsa i Kości będzie interesującym kąskiem dla fanów, którzy czekali na kolejną wariację na temat gry Doom albo sequel Resident Evil. Pomyślał nawet, że może uda mu się trochę zarobić. Czas pokazał, że bardzo się mylił w swoich obliczeniach.

Dom z Mięsa i Kości trafił na półki sześć miesięcy temu i od tamtej pory cały czas okupował pierwsze miejsce na liście bestsellerów i wszystko wskazywało na to, że jeszcze trochę tam posiedzi. W tym tygodniu inne wersje językowe zostaną wysłane do dwunastu różnych krajów, do tego Seth zdążył już podpisać kontrakty na sprzedaż praw do filmu, figurek i komiksów. W przeciągu zaledwie kilku tygodni Seth Kohn stał się wręcz

obrzydliwie bogaty.

A teraz jadę do swojego nowego domu, pomyślał niemal zaskoczony.

Posiadłość, którą kupili, znana była jako Lowen House i zbudowano ją w połowie dziewiętnastego wieku. Widział ją tylko raz, przed dwoma laty, lecz to wystarczyło, aby wiedział, że musi ją mieć. Inspektor budowlany zapewnił go, że dom jest tak samo solidny, jak w dniu, w którym go zbudowano.

Chodziło o drewno, którego użyto. Modrzew - Seth nigdy o nim nie słyszał. No i impregnat naturalnego pochodzenia, stosowany w tamtych czasach, zapewniał ochronę przed szkodnikami.

Nie znał się jednak ani na drewnie, ani na owadach, umiał jedynie programować.

Wraz z domem zakupił sześć mil kwadratowych ziemi przy nim oraz długi na pięć mil pas, który rozciągał się aż do granic miejsciny zwanej Lowensport. Teren, położony na południowo-wschodnim wybrzeżu Maryland, cierpiał z powodu kryzysu gospodarczego przez ostatnie dziesięć lat, dlatego posiadłość i ziemia były stosunkowo tanie - udało mu się je nabyć za mniej niż ćwierć miliona, choć włożył cztery razy tyle w remont i wykończenie wnętrza. Można powiedzieć, że miał fioła na punkcie detali.

- Niech to cholera! - zaklęła Judy. - Załatwiło mnie jakieś latające gówno, które wygląda jak oko z metalowymi skrzydłami.

Z uporem maniaka waliła w klawisze, odpalając na ekranie cały arsenał.

- To Gała Oczna - wyjaśnił Seth.

- Mój Boże! I ma piłę w miejscu dzioba!

- Ano. A wiesz, co ma zamiar nią przeciąć?

Rozległo się szaleńcze klikanie i okrzyki: - Kurwa mać! Przecina most linowy!

- Nie strzelaj do niej z lasera, odbije go skrzydłami - poradził Seth. - Spróbuj Ultradźwiękowego Działa.

Z głośniczków komputera huknęło głośnie świst, a potem plask.

- Zadziałało! - ucieszyła się Judy. - Nie, czekaj...

Znowu coś łupnęło, potem dobiegł ich odgłos czegoś dużego wpadającego do wody.

Judy energicznie zamknęła komputer.

- Co się stało?

- Inna Gała przecięła sznur i wylądowałam w szlamie - powiedziała.

- Tak to już jest, kiedy igrasz z kosmicznym pomiotem - zaśmiał się Seth. - Podziwiam twój zapał, Judy, ale będziesz miała sporo czasu na granie, kiedy już dojedziemy na miejsce.

- Lowen House - powiedziała, jakby czerpiąc przyjemność z samego brzmienia tych słów. - Zgaduję, że człowiek, który go zbudował, nazywał się Lowen i założył również Lowensport, prawda?

- Tak mówił facet od nieruchomości.

- Które miasto jest bliżej, Lowensport, czy Somner's Cove? - zapytała, bawiąc się plastikowym papierosem, który, jak do tej pory, skutecznie odwodził ją od palenia.

- Somner's Cover leży pięć mil na południe, a Lowensport na północ. Tak sądzę.

- Mam nadzieję, że Lowensport jest w lepszym stanie niż Somner's Cove - powiedziała - bo tamto było nieco zapuszczone.

Przejeżdżali przez miasteczko, gdy opuścili już pokład promu.

- Jeden z moich technicznych z Mpyreal dorastał w tej okolicy.

Mówił: Somner's Cove nie różni się za bardzo od innych tutejszych miejscowości. Jest część biedniejsza i część bogatsza. W tej pierwszej znajduje się pełno szemranych knajp i dilerów.

- Nie będziemy więc tam chodzić - podsumowała Judy.

- Jeśli chodzi o Lowensport, to mogę tylko zgadywać. Ważne, że jesteśmy oddaleni pięć mil od miasta i sąsiadów. A jeśli zachce ci się znowu nauczać, Salisbury leży czterdzieści minut jazdy stąd.

- Nie chodzi o to, czy mi się zachce. Moja przeszłość może na to nie pozwolić -wymamrotała.

- Na pewno coś znajdziesz - zapewnił ją. - Zobacysz.

Nie odpowiedziała, najwyraźniej nie chcąc ciągnąć tematu, aż wreszcie zauważyła coś kątem oka.

- Kto to? Robotnicy?

- Na pewno nie ci, których zatrudniłem - odpowiedział Seth, zauważając zaparkowane auta.

- Nie tak daleko od domu.

Zwolnili przy stojących bez ruchu samochodach. Wszystkie pojazdy miały tutejsze rejestracje.

Na jedną z ciężarówek załadowano piramidę z rur PVC; na innej leżało wielkie wiertło, które z daleka przypominało gigantyczną piłę mechaniczną. I choć wiertło było przygotowane do użycia, samochód miał zgaszony silnik. Wokół błąkała się garstka robotników patrzących po sobie z zakłopotanymi minami.

- Wygląda na to, że coś im przeszkodziło w pracy - powiedziała Judy.

- Kurde, wiem, co oni tutaj robią. - Seth przypomniał sobie o wiadomości, którą otrzymał z biura rewidenta i stanowego wydziału agrokultury. - Te ulgi podatkowe przysługują nam

dlatego, że pozwalamy rządowi ścinać proso. A ci goście odpowiadają za system irygacyjny, który ma łączyć nasze pole z innymi.

Gdy przejechali obok, Judy odchyliła się, żeby zerknąć raz jeszcze.

- Wygląda na to, że mają jakiś przestój. Może natknęli się na skałę albo rurę z gazem.

- To nie może być rura, bo tutaj nie ma żadnych rur. W zimie ogrzewa się domy olejem opałowym. Nie biegną też tędy wodociągi.

Judy rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

- Ale chyba mamy bieżącą wodę?

- No tak - powiedział Seth z uśmiechem. - Ale nie mamy wodociągu.

- Co ty mówisz?

- Kochanie, to nie jest metropolia. Czerpiemy wodę ze studni, jest przefiltrowana i uzdatniona, a nasz zbiornik jest aseptyczny i w ogóle...

- Studnie, zbiorniki? - Judy wydawała się kompletnie zszokowana. - Nawet nie wiedziałam, że nadal używa się takich rzeczy.

- W domach stojących z dala od miasta jak najbardziej. Nikt nie poświęci czasu i pieniędzy, aby doprowadzić rury do jednego domu. Jesteśmy na zadupiu, mała. Przykro mi, ale tak jest.

- Jakoś to przełknę - powiedziała wreszcie, ale odwróciła się do niego z wybałuszonymi oczami. - Ale chyba nie będziemy mieli tam wychodka, co nie?

Seth zaśmiał się głośno.

- Jak na wykładowcę, nie masz bladego pojęcia, w jaki sposób

działa świat. Mamy prysznic, toaletę i bieżącą wodę, jak każdy w Ameryce dwudziestego pierwszego wieku. Będzie fajnie... I nie martw się, nie przegapisz swoich ulubionych programów. Mamy satelitę i pięćset kanałów oraz stałe łącze internetowe.

Judy wydawała się nieco udobruchana.

- Przepraszam, stale zapominam, że to ja chciałam się tutaj przeprowadzić. Im dalej jestem od cholernego sklepu Godiva w Międzynarodowej Galerii Handlowej, tym bardziej się cieszę i tym szczuplejsza jestem. Rzygam już wielkimi miastami...

- Oboje chcieliśmy coś zmienić...

- I potrzebowaliśmy tego... Kiedy dojedziemy? - Spojrzała na mapę. - Powinniśmy już być na miejscu.

Seth ścisnął jej udo.

- Kocie, to już tutaj.

Nagle droga wyszła na dziedziniec, a ich oczom ukazał się dwupiętrowy dom, który z tej odległości wyglądał, jakby pomalowano go na czarno.

- Wow. - Judy wychyliła się, aby przyjrzeć się budynkowi. - Jest inny niż na zdjęciach, które mi pokazywałeś. Wygląda staro, ale faktycznie solidnie. Sądziłam, że będzie zaniedbany.

- Nie ma w nim nic zaniedbanego, włożyłem naprawdę spore sumy w remont. Cieszymy się więc, że Dom z Mięsa i Kości chwycił. Nie było jednak potrzeby, aby robić coś większego z elewacją, jedynie przełożyłem dach. Wydawało mi się, że obicie wszystkiego sidingiem to głupota, wyglądałby wtedy tak samo, jak wszystkie inne domy. No i poza tym nie...

Urwał w połowie zdania.

- Nie byłby to ten sam dom, który pokazywałeś swojej żonie - dokończyła za niego Judy.

Seth milczał. Cóż mógł odpowiedzieć?

Judy przytuliła go mocno.

- Mówiłam ci już z milion razy, że nie jestem zazdrosna o Helene. Myślę, że to wspaniałe, że to jest dom, o którym zawsze marzyliście.

- To także i twój dom - dodał cicho. - Nasz.

- Naprawdę robi wrażenie.

- Okucia i drzwi są wyjątkowe. Wyglądają na europejskie, co wydaje mi się nieco dziwne, zważywszy na to, że w okolicy mieszkali niegdyś jedynie drwale i leśnicy.

- Okiennice też są fajne - powiedziała Judy, patrząc na wąskie, strzeliste okna. - Dom wygląda, jakby był częściowo mansardowy, a częściowo miał strop belkowy.

Na trawniku dostrzegli ślady opon, bez wątpienia pozostawione przez samochody należące do prywatnej firmy, którą Seth zatrudnił przy remoncie, lecz prace zakończone zostały już przed kilkoma dniami. Ludzie od przeprowadzki również nie mieli powodów, aby tutaj wracać, wszystkie rzeczy zostały już zwiezione. Jedynym autem, jakie zobaczyli, był stary, niebieski, dwudrzwiowy Pontiac. Seth zwolnił i zatrzymał się. Siedzieli przez chwilę w samochodzie, aby dobrze zapamiętać pierwsze wrażenie, jaki zrobił na nich nowy dom.

Szeroki, położony pod bardzo niskim kątem dach wydawał się wgniatać w ziemię drewno, z którego zbudowano budynek. Większość zewnętrznej konstrukcji stanowiły krokwie. Dom wydawał się nieco zbyt niski jak na dwa piętra. Okna ze wzmocnianymi szybami musiały być wykonane na zamówienie, aby pasowały do strzelistych kształtów framugi. Seth wymienił też stare gonty na nowe, lecz wyglądające jak oryginalne.



Gdy wysiedli z Tahoe, Seth poczuł w żołądku dziwne ssanie, ekscytację przemieszana z czymś jeszcze.

Tak, proszę pana, jesteśmy już daleko od Tampy... Judy z otwartą buzią przyglądała się domowi.

- Myślę, że to samochód faceta od nieruchomości - powiedział Seth. - Taki sam, jakim jeździł dwa lata temu, kiedy pokazywał nam dom.

Seth zamarł, gdy uświadomił sobie, że powiedział nam - chodziło bowiem o niego i Helene, a nie o niego i Judy.

Jestem przewrażliwiony! - skarcił się w myślach. Nawet nie zauważyła.

Judy zdążyła już oddalić się od samochodu, powoli zmierzając w stronę domu, z wypisanym na twarzy zachwytem. Widok ten cieszył Seta, oznaczał bowiem, że Judy nie ma żadnych wątpliwości co do podjętej decyzji, która zaważyła na całym ich życiu.

Judy praktycznie skakała z radości.

- Muszę, po prostu muszę zajrzeć do środka!

- No to dalej, nie krępuj się - powiedział Seth. - Ja muszę pogadać z pośrednikiem, ale zaraz do ciebie dołączę.

Judy pobiegła w stronę ciemnego domu.

- Świetne wyczucie czasu, panie Kohn - powiedział kuśtykający w stronę Seta mężczyzna.

Seth rozpoznał w nim pana Crotera, którego jasnyniebieski garnitur musiał mieć chyba ze dwadzieścia lat. Jeszcze gorzej niż jego garderoba prezentowała się fryzura pośrednika - kaczy kuper, na który nałożono zbyt dużo żelu. Uśmiechnął się, pokazując braki w uzębieniu, i uścisnął

Sethowi dłoń.

- Jak się pan ma, panie Croter? Wszystkie prace już ukończone?

- Zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, na pewno się panu spodoba.

- Dziękuję, że miał pan oko na dom - dodał Seth. - Na mojej głowie znalazły się firma, przeprowadzka... Trudno mi było się za cokolwiek zabrać.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zaśmiał się Croter. - Poza tym, słał pan hojne czeki.

Czytałem niedawno o pańskim sukcesie, gratuluję. Mój syn uwielbia Dom z Mięsa i Kości...

- Miło mi to słyszeć i dodam jeszcze, że to najlepiej sprzedająca się gra w Stanach.

Croter spojrzał na niego potulnie.

- Panie Kohn, chciałem pana o coś zapytać...

- Tak?

Croter wyciągnął ze swojego neseseru egzemplarz gry oraz srebrny mazak i z ociąganiem zapytał: - Marc, mój syn, nie da mi spokoju, jeśli nie zdobędę pańskiego autografu. Czy mógłby pan...

- Oczywiście - odparł z uśmiechem Seth.

Ostatnio często zdarzało mu się podpisywać płyty, lecz nie przywykł do tego. Przecież tylko sławni ludzie podpisywali swoje dzieła. Szybko nabazgrał coś na pudełku i podał je Croterowi.

Chyba muszę zacząć przyzwyczajać się do myśli, że JESTEM sławny...

- Świetnie, świetnie. Dziękuję panu bardzo. To naprawdę fajne, że wprowadza się tutaj ktoś znany...

- Nie jestem jeszcze taki znowu znany, ale dziękuję - odparł ze śmiechem Seth.

- Nie mogę się doczekać, aż pokażę panu wewnątrz - powiedział Croter i zmrużył oczy, dostrzegając stojącą przy drzwiach Judy. - O, widzę, że pańska żona przefarbowwała włosy. Wygląda naprawdę ładnie.

Cholera, pomyślał Seth.

- To moja dziewczyna, Judy. Moja żona, czyli kobieta, którą pan poznał... zmarła.

Croter spowaźniał.

- Panie Kohn, przepraszam za...

- Naprawdę nic się nie stało - przerwał mu Seth. - Wejdźmy do...

Nie zdążył dokończyć zdania, bowiem zobaczył wjeżdżający na dziedziniec biały samochód, za którym ciągnął się tuman kurzu.

- Kto to?- zdziwił się Seth.

- Chyba ma oznaczenia stanowe.

Z auta wyszedł krępy, ostrzyżony na krótko mężczyzna. Miał na sobie białą, zapinaną na guziki koszulę, krawat, jeansy i robocze buty. Żwir chrząścił mu pod nogami, kiedy do nich szedł.

- Czy któryś z panów nosi nazwisko Kohn? - zapytał.

- To ja.

- Jestem Ernest Hovis z Departamentu Agrokultury Stanu Maryland. Mamy ekipę jakąś milę stąd, zajmujemy się irygowaniem terenu, zgodnie z ustaleniami z...

- Tak, widzieliśmy was, gdy jechaliśmy do domu, lecz wyglądało, jakbyście mieli jakiś problem - powiedział Seth.

- No więc... - Hovis wyglądał na zafrasowanego i jednocześnie zdziwionego. - Przestaliśmy pracować, bo... Natrafiliśmy na pewną przeszkodę.

- Tak się domyślaliśmy - odparł Seth. - A cóż to takiego?

Kamienie? Jakieś korzenie?

Hovis zamilkł.

- To jest...

- No mów pan - popędził go Croter.

Hovis spojrzał Sethowi prosto w oczy.

- Nie wiem, jak to panu powiedzieć, panie Kohn, ale natrafiliśmy na statek.

- Na statek? - zapytał z niedowierzaniem Seth.

- Tak, proszę pana. Łódź zakopaną na pana terenie.

Seth zmarszczył czoło.

- Teraz mówi pan „łódź” ... Czyli taką zwykłą łupinę z wiosłami?

Kajak? Co to jest?

Hovis uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Jeszcze nie zdążyliśmy odkopać całości, panie Kohn, ale wygląda na to, że to sporych rozmiarów parowiec.

Seth gapił się na niego w milczeniu.

- Parowiec - powtórzył. - Żartuje pan?

- Nie, proszę pana. To parowiec. Zakopany na pańskiej ziemi.

Bez mała stuletni...

# ROZDZIAŁ DRUGI

LIPIEC 1880

## (I)

Światło księżyca zalało cmentarz. Mężczyźni wbili łopaty w ziemię, a chrzęszczący odgłos wydawał się Czankowi dziwnie zsynchronizowany, co przyprawiało go o dreszcze. Bojaźliwie oglądał się co chwilę przez ramię. Jihome naparł na łopate, która zatopiała się głęboko w ziemi.

- Coś taki niespokojny?

Czanek przestał kopać.

- Ciągle coś słyszę. Obóz Sibleya znajduje się nie dalej niż milę stąd - powiedział przyciszonym głosem młodszy z mężczyzn. - Mogą nas usłyszeć.

Jihome wyszarpnął wypełnioną ziemią szufłę.

- Trudno robić to ciszej, więc zamknij się, kop i miej wiarę. Miej wiarę, Czanka niemal rozbawiła ironia ukryta w tych słowach. Miej wiarę i wykopuj trupy.

Nie ośmielili się zabrać ze sobą latarni; jedynie księżyc świadcował ich znojom. Gdy Jihome ponownie wbił w ziemię łopate, natrafił na drewno.

- Ignoranci z obozu nie mają szacunku dla swoich zmarłych.

- O czym mówisz? - zapytał Czaneek.

- Grzech lenistwa kazał im kopać jak najpłycej się dało... Tym

lepiej dla nas, co nie?

Czanek paranoicznie obejrzał się przez ramię.

- Im prędzej stąd pójdziemy, tym lepiej.

- Odetchnij głęboko, bracie. - Jihome przestał kopać i uśmiechnął się. - Nasz wybawiciel nas ochroni, tak zostało zapisane w Księdze.

Czyżby? Czaneek miał nadzieję, że tak się stanie. Wierzył, że czasem trzeba robić rzeczy niegodne, które mają służyć wyższemu celowi.

Jeśli klan Connera nas tu znajdzie, zabiją nas...

- Widzisz? Nasypali na trumnę zaledwie stopę ziemi. - Jihome uśmiechnął się do księżyca.

- A jak ci idzie?

Czanek popatrzył w dół; również zdążył dokopać się do trumny. W tej części cmentarza nie było żadnych nagrobków, tylko niewielkie tabliczki z nazwiskami pochowanych oraz datą zgonu.

Tabliczki to w istocie zwykły betonowy placek, który wlano do płytkiego dołka po jednej stronie mogiły, a inskrypcje wykonano palcem w jeszcze niezaschniętej papce. Czaneek zmrużył oczy, aż wreszcie w niewyraźnym świetle księżyca udało mu się odczytać, kogo miał za chwilę wykopać.

ELSBETH CONNER  
MARZEC 1860 - LIPIEC 1880

Została pochowana zaledwie wczoraj - była ulicznicą, a w dodatku złodziejką. Jihome miał wyciągnąć innego goja, krępego stręczyciela, Waltera Caudila. Jego również dopiero co pochowano.

Gaon dał im dokładne instrukcje - musicie otworzyć groby,

zanim ich ciał dotknie rozkład, potrzebujemy bowiem ludzi z zepsutym sercem...

Czanek wskoczył na trumnę, w której spoczywała kobieta, i zaczął podwładać wieko. Jihome zdążył już otworzyć tę, w której leżał jegomość nazwiskiem Caudil.

- No i jesteśmy w domu - powiedział Jihome, podparł się na łopacie i spojrzał na świeżego trupa. - Ta szumowina wygląda, jakby spała we własnym łóżku. Dzięki naszemu wybawicielowi jeszcze nie zaczął śmierdzieć.

Zaczął nabijać przyniesioną ze sobą fajkę.

- Już też prawie skończyłem - poinformował go Czaneek i podważył wieko trumny łopata.

Głośne skrzywienie wyprowadziło go z równowagi, lecz w tej samej chwili snop księżycowego światła padł na leżącego w ziemi trupa i Czaneek zapomniał o strachu...

Kim ona...

Czaneek ledwie pamiętał, jak ta kobieta wyglądała za życia; Conner i jego umorusany węglem klan ograniczał swoje kontakty z Lowensport do minimum. Ale...

Rozbłysnął płomień zapalki, którą Jihome przypalił sobie fajkę. Czaneek wpatrywał się w trupa, urzeczony urodą zmarłej kobiety. Wszedł do środka trumny.

A co mi tam szkodzi?

Złote loki kobiety lśniły, zimne piersi wylewały się z dekoltu bawełnianej sukni. Czaneek rozdarł materiał.

- Co ty robisz? - fuknął Jihome.

Czaneek spojrzał na niego wściekle.

- Przecież to nierządnicą, szydziła z nas razem z całym swoim klanem. Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się

trochę zabawić. Nawet jeszcze nie śmierdzi.

Jihome pokręcił głową.

- O tym Gaon nie wspominał.

- Ale też i nie zabronił! - Czaneek niemal krzyknął.

Odwrócił głowę i spojrzał na piersi nieboszczki, które wyglądały jak świeżo zagniecione ciasto na stolnicy piekarza. Czaneek rozdarł suknię bardziej, aby zobaczyć jej łono...

Jihome trzepnął go w kapelusz.

- Zrobisz, co mówię, albo Gaon się o tym dowie. Nie będziemy działali na własną rękę i nie jest ważne, co uważasz za słuszne, bo będzie słuszne dopiero wtedy, gdy zostanie nam to powiedziane.

Czaneek usiadł na brzegu mogiły.

- Oni robili to naszym wiele razy...

- Nie mamy żadnych dowodów. Jak powiedział Gaon, musimy przestrzegać prawa...

Cholera, pomyślał Czaneek. Próbuję tylko odpłacić Connerom pięknym za nadobne. To ONI zaczęli tę walkę...

Jihome wszedł do mogiły, a na jego twarzy malowało się zniechęcenie.

- Zrobimy to, co nam kazano. Gaon wie wszystko lepiej od nas. Jeśli już chcesz jakoś ich pognębić, sprawdź, czy ta dziwka nie ma przypadkiem na sobie jakiejś biżuterii albo złota w gębie.

- Dobra. - Czaneek przystał na propozycję.

Przykucnął i zaczął obszukiwać ciało, cieszył się, że ma choć taką okazję, aby go dotknąć.

Nie znalazł jednak przy zwłokach niczego wartościowego, nieboszczka nie nosiła biżuterii. Nie zdziwił się zbytnio, wszak klan Connerów to same ubogie złodziejaszki. Brudnymi od ziemi



paluchami rozwarł zmarłej usta i popatrzył na jej zęby, ale nie zauważył złota. Dłonią przesunął po obnażonych, martwych piersiach...

- Masz, Czanek. Prezent od naszego przyjaciela - powiedział Jihome i rzucił w jego stronę niewielki przedmiot, który Czanek odruchowo złapał.

Spojrzał na trzymaną w ręce rzecz i zbladł; było to kilka kiepsko wykonanych, drewnianych zębów, nadal wilgotnych od trupiej śliny.

- Ale z ciebie szuja, Jihome! - syknął i wyrzucił protezy.

Jihome roześmiał się serdecznie.

- A teraz rżysz? Obudzisz wszystkich Connerów.

- Uspokój się - powiedział Jihome, lecz od razu spowaźniał i zamilkł.

Przestraszeni, otworzyli szeroko oczy.

Ktoś się zbliżał.

...

Polten i Corton zgwałcili kobietę dwukrotnie, w ciemnej alejce zaraz za szeregiem ciągnących się wzdłuż ulicy bliźniaków. To durny Polten uderzył ją w głowę, kiedy zeszła z głównej ulicy. Ciemność dobrze ich skryła. Obaj mężczyźni należeli do klanu Connera.

- Dobrze się zabawiliśmy, co nie? - rzucił Corton, zapinając swoje przyduże, płócienne portki.

Polten oparł się o ścianę z głupawym uśmiechem przyklejonym do poznaczonej bliznami twarzy.

- Taa. A wiesz, jak na nas wołają te żydki, Corton? Goje. To

znaczy brudny dzikus czy coś takiego. - Kopnął nieprzytomną kobietę, która nadal leżała na ziemi. - Mam nadzieję, że nasze brudne fiuty przyniosą jej dzidziusia.

Poltenowi podobała się ta myśl.

- Szkoda, że nie miała przy sobie pieniędzy.

- Nie wygląda jak ktoś stąd - powiedział jego kolega i wskazał paluchem pobliski dom.

- Nigdzie nie pali się światło, pewnie wszyscy są w tej swojej kaplicy. Synagodze, czy jakkolwiek oni to nazywają. Noc jeszcze młoda, nie?

I nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy wejść do któregoś z domów przez okno, rozumował Polten.

Słyszał, że Żydzi trzymali w domach sporo srebra i złota, które przywieźli z Europy.

- Na moje to nawet nie będzie kradzież.

- Żartujesz? To oni zajebali nam ziemię, wyrównujemy straty. Cokolwiek zabierzemy, jest i tak bardziej nasze niż ich.

- No tak...

Nie wzięli pod uwagę faktu, że społeczność żydowska z Lowensport uczciwie zapłaciła za swoją ziemię, choć i tak nie znaczyłoby to dla nich wiele.

Corton wsunął ostrze swojego noża pod okno, lecz kiedy już miał je otworzyć...

- Przestań! - szepnął Polten.

Nagle w pomieszczeniu błysnęło światło. Najwyraźniej właściciel wrócił do domu.

- Co...

- Cicho!

W domu zapłonęło jeszcze kilka latarni. Polten i Corton zajrzeli

do środka...

Zobaczyli dwie starsze kobiety w białych czepkach i sukniach w ciemnym kolorze.

Rozmawiały w dziwnym języku i za pomocą kuchennych szczypiec przekładały w palenisku szerokiego kominka żarzące się polana. Uwagę Cortona i Poltena przykuł wiszący wysoko na ścianie kolorowy emblemat przedstawiający coś, co przypominało im dwie piramidy, z tym, że jedna była odwrócona do góry nogami.

- Co to jest, to namazane na ścianie? - szepnął Corton.

Dwie piramidy, pomyślał Polten. Jedna odwrotnie.

Figury łączyły się u podstawy. Co było jednak wyrysowane wewnątrz każdej z nich?

- Nie wiem. Jakieś żydowskie malunki.

- Żydowska to jest gwiazda sześcioramienna, jaką noszą - zauważył Corton. - A tutaj? Co oni nabazgrali w tych piramidach? Jakieś twarze?

- Tak to wygląda.

- Czemu są takie ciemne?

Polten przeszedł dreszcz, gdy ponownie spojrzął na emblemat. No i wiedział, że żydowskim symbolem faktycznie była sześcioramienna gwiazda.

- Wiesz - szeptał w dalszym ciągu Corton - słyszałem, że ci tutaj, z Lowensport, nie są nawet prawdziwymi Żydami, tylko się nimi urodzili w tej Europie, czy skąd tam są.

Polten spojrzął na towarzysza.

- Też tak słyszałem.

- To nie Żydzi, tylko takich udają.

Udają, powtórzył w myślach Polten. Kurwa. Gównu mnie

obchodzi, w co wierzą.

Jedna z kobiet podeszła do szafki i wyciągnęła z niej kilka sporych kociołków.

- Będą pichcić - powiedział Polten. - Pewno ten ich chleb kukurydziany.

Corton zmrużył oczy.

- Ta, ale to trochę dziwna pora. Tak po nocy?

- Ano dziwna. - Polten próbował dojrzeć, co dzieje się w słabo oświetlonym pokoju. - Nie ma tam żadnych chłopów. Może wejdziemy tam, złoimy te dwie i zobaczymy, co da się zwinąć?

Corton zastanowił się nad propozycją.

A może puścić wszystko z dymem? Zabić kobiety, rozrzucić żar i spalić wszystko w chuj.

Nikt by ich nie złapał.

Zanim jednak zdołali cokolwiek zrobić, Polten dźgnął kolegę łokciem.

- Ej, zobacz! - szepnął. - Co to? Czy to jest...

Corton dostrzegł, o czym mówił jego kompan. Kobieta stojąca przy szafce włożyła coś do jednego z kociołków. Corton przełknął ślinę, gdy zobaczył, co to takiego.

Głowa psa.

- Co one, do cholery, robią, Corton?

Kobiety włożyły inną głowę psa do drugiego kociołka, który potem zaniósł na palenisko i zawiesił nad płonącymi polanami. Jedna z nich nabrała węgla małą łopatką i posypała nim pokrywki kociołków.

- Człowieku, one gotują psie łby!

- O czymś takim to jeszcze żem nie słyszał - przyznał Polten.

Raz nawet jadł psa, ale tylko żeberka i polędwicę. Nigdy łba.

- Jakieś żydowskie danie - ciągnął Corton. - Albo coś tam innego, co pichcą w Europie, czy skąd tam te dziady pochodzą. Ale w dupie mam, co gotują, wchodzimy tam, podrzynamy im gardła i plądrujemy ten dom, okej?

Mówiąc to, wsunął ostrze noża z powrotem pod framugę.

Zaczął majstrować narzędziem, lecz nagle opanowało go przecucie, że stoi sam.

- Dawaj, wyciągaj swój kozik i pomóż mi tutaj trochę.

Nikt nie odpowiedział. Gdy Corton wreszcie obejrzał się za siebie, otworzył ze strachu usta.

Poltenowi zarzucono na szyję metalową linkę i powieszono go jakąś stopę nad ziemią, na gwoździu wbitym w przeciwległą ścianę. Nawet w bladym świetle księżyca Corton widział wyraźnie jego opuchniętą twarz. Mężczyzna, wierzgając nogami, rozpaczliwie próbował podważyć drżącymi palcami linkę, aby zmniejszyć ucisk.

- Co, do kurwy...

Ktoś wybił Cortonowi nóż z ręki. Cienie zacisnęły się wokół. Zanim zdołał krzyknąć, złapano go za ręce i wybito mu zęby mocnym uderzeniem pałki.

Ludzie, którzy pojawili się znikąd, zaczęli bić kijami wiszącego bezbronnego Poltena w krocze. Corton ledwie widział na oczy, zamroczony dostrzegł jedynie, że któryś z napastników pomógł wstać zgwałconej przez niego kobiecie i wyprowadził ją z alejki. Ktoś inny uderzył go w krocze, miażdżąc genitalia. Tamci, którzy znęcali się nad Poltenem, nieprzerwanie uderzając go w krwawy punkt poniżej pasa, mieli na sobie ciemne płaszcze, a na głowach kaptury.

Corton poczuł kolejne uderzenie w krocze, a jego jądra

zmieniły się w papkę.

Eksplozja bólu odcięła jego umysł od wszelkich myśli, choć i tak w jego głowie nie krążyło ich zbyt wiele. Kolejne wyłaniające się z mroku ręce biły go po całym ciele, a któraś z nich podniosła z ziemi jego własny nóż i wbiła mu go w odbył, a potem pociągnęła mocno i przejechała ostrzem po zmalretowanych genitaliach. Krew połała się z niego jak z przechylonej beczki.

Zanim Corton wydał z siebie ostatnie tchnienie, wyjęto z niego wnętrzności i wciśnięto mu je w twarz.

...

Cztery postacie szły wolnym krokiem brukowaną ulicą. Księżyc rzucał snopy światła na strome dachy, w powietrzu czuć było zapach płonących dREW. Mężczyźni, odziani w peleryny i kaptury, chodzili od drzwi do drzwi, przechodząc obok słabo oświetlonych domostw i pustych ganków. Wydawało się, że całe miasto ukryte jest za zamkniętymi drzwiami - jedynie tartak tętnił życiem - a działo się już tak od jakiegoś czasu, gdyż bano się prześladowców.

Zło trzeba zwalczać złem, pomyślał jeden z mężczyzn.

Zza rzędu domów dochodził ich szum wściekle pędzącej rzeki oraz zgrzyt napędzanych tłokowym silnikiem parowym młyńskich pił.

Cztery postacie nie przerywały marszu, zaś jedna z nich niosła w ręce kadzielnice.

Mężczyźni szeptali ciche modlitwy.

Zatrzymali się jednak przy kolejnym domu. Jeden z nich wszedł po schodach i zapukał do drzwi, które otworzyły się po

krótkiej chwili.

- Nadszedł czas - rzekła postać - jak zapowiedział Gaon. Poprzez moc naszego wybawiciela musimy wyzwolić się z rąk naszych prześladowców, tak jak Mojżesz wywiódł naszych z ziemi egipskiej, z niewoli faraonów...

Zza progu wyłoniła się dłoń z palcami zaciśniętymi na jakimś zawiniątku wielkości połowy zwyczajnej cegłówki.

Postać skinęła głową i wróciła do zakapturzonych towarzyszy.

W przeciągu całej nocy święte zgromadzenie odwiedziło każde domostwo w mieście, odbierając od mieszkańców pakunki, czasem zawinięte w kawałek juty, czasem zamknięte w słoiku lub w puszkach po tytoniu.

Każda paczuszka zawierała substancję, na którą mówili w swoim języku hilna, co oznaczało glinę.

...

Czanek wzdrygnął się, przeczuwając, że zaraz wywiąże się bójka. Jihome również był na taką ewentualność przygotowany, co poznał po jego posępnym obliczu. Ktoś się zbliżał, kroki były coraz wyraźniejsze. Stali nad świeżo rozkopanymi mogiłami, więc jeśli nadchodził jakiś obwieś z klanu Connera, Jihome i Czaneek wiedzieli, że nie mają szans wyjść z tego cało...

Światło księżycy padło na idącą postać; Czaneek nadal nie widział jej twarzy, lecz mógł stwierdzić, że z pewnością trzyma ona coś w ręce. Najpewniej jakąś broń.

Serce łomotało mu w piersi.

- Ach, bracia - usłyszeli znajomy głos. - Praca ciężka, ale i nagroda wielka.

Postać roześmiała się.

Czanek odetchnął z ulgą. Jihome również westchnął, wycierając sobie przy tym spocone ze strachu czoło.

- Witaj, Gaonie! Prawie wyzionęliśmy ducha ze strachu! Myśleliśmy, że to zbiry od Connera.

Postać zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Bracia, wkrótce łaska naszego króla niebieskiego spłynie na nas i wypleni tę zarazę, a Connerowe szumowiny znikną z tej ziemi - powiedział już poważniej. - Słuchajcie mnie, wierni słudzy, kiedy do was przemawiam, yehiyeh tov.

- Amen - odpowiedzieli zgodnie.

Buty Gaona zaskrzypiały lekko, kiedy podszedł do rozkopanych grobów. W oczach błysnęło zadowolenie, gdy zobaczył zwłoki mężczyzny; jego wzrok zatrzymał się na dłużej przy nieboszczce.

- Smukła ladacznica, aż się miło patrzy. Czyście, jako ludzie wiary, zabrali rekompensatę za nasze krzywdy?

Czanek i Jihome spojrzeli po sobie, aż wreszcie odezwał się ten drugi: - Wielki rabbi, myśmy nie wzięli, bo nie wiemy, czy to aby nie wbrew naszym prawom.

Gaon zamilkł i podszedł do nich, wchodząc prosto w snop światła, które padło mu na twarz poznaczoną zmarszczkami mądrości i dostojeństwa. Popatrzył na nich z niezadowoleniem i powiedział ponuro: - Mężni jesteście, ale nie postępujecie zgodnie z tym, co nakazano. Oko za oko, bracia, zło za zło. Trzeba wam refleksji nad modłami.

- Tak, Gaonie! - powiedzieli wspólnie Jihome i Czaneek.

- Kiedy nasza Shelia Harav, najczystsza z dziewcząt z Lowensport, której uroda zachwycała męskie serce, zmarła na



grypę - Gaon zacisnął dłoń w pięść - to właśnie Conner i jego zdradzieckie mendy wykopały ją pewnej ciemnej nocy i zbezczęścili ciało, z którego uszło życie. Czyż nie tak było?

- Tak było!

- A teraz - wściekły Gaon pokazał palcem trupa - wyciągnijcie tę kurwę z trumny i połóżcie jej truchło na ziemi...

Miejsce strachu zajęła ekscytacja i Czaneek ochoczo wskoczył do mogiły. Prawie wybuchnął śmiechem, kiedy uniósł zwłoki.

- ...musimy więc i my wziąć to, co nasze, prosto z jej plugawego łona. Jak nakazał nasz wybawiciel, nasz pasterz, nasz król, poprzez Jedenastą Księgę...

I tak wzięli, co ich - zaczął Gaon, potem Jihome, a na końcu Czaneek.

Gdy skończyli, Gaon uśmiechnął się do nich jak ojciec do dzieci, które właśnie uczyniły go dumnym, i kopnął zwłoki z powrotem do grobu.

- Zasłużyliście na nagrodę i wieście, że wasz trud niedługo się zakończy. Weźcie chleb.

Mężczyźni dowiedzieli się tym samym, co było w przyniesionym przez niego zawiniątku.

Gaon podał im po bochenku, lecz żaden z nich nawet go nie tknął.

- Jak zostało napisane, bracia... Ofiara musi zostać uświęcona. Wiecie, co robić.

Czaneek położył bochen na klatce piersiowej martwej kobiety; Jihome swój chleb zostawił na piersi mężczyzny.

- Dobrzy z was ludzie - rzekł Gaon. - Niech was nasz król błogosławi!

- Amen.

Czanek i Jihome podnieśli łopaty i zaczęli zakopywać groby.  
Gaon wkroczył w ciemność, z której przyszedł.

- Zbierzemy się w tym miejscu za dwa wschody słońca i wykopujemy tę kurwę z powrotem, aby stała się wola króla.

## (II)

- Niech mnie cholera, jeśli to faktycznie nie jest parowiec - powiedział Seth.

- Parowiec - chichotała Judy.

- W ziemi...

Po usłyszeniu zaskakującej informacji, jaką przyniósł im Hovis, Seth, Judy i pan Croter pojechali za nim na miejsce robót. Ekipa odpowiedzialna za irygację już odjechała, zastąpiona przez grupę archeologów. Dość szybko udało im się odkopać coś, co wyglądało na sterówkę statku, nieco dalej wystawało spore koło łopatkowe.

Seth pokręcił głową.

- Nasz pierwszy dzień w nowym domu i masz. Parowiec na mojej ziemi. Czemu ktoś miałby zakopywać pieprzony statek?

- To pewnie sama natura go zakopała, Seth - powiedziała Judy.  
- Pewnie zatonał.

- Jak mógł tutaj zatonać? Rzeka jest milę na południe - powiedział Croter.

- Przyjaciółka pana Kohna ma rację - powiedział Hovis. - Obecnie nie ma tutaj rzeki, ale kiedyś była.

Judy po raz kolejny popisała się wiedzą, o którą Seth zupełnie by jej nie posądzał.

- Parowce w tamtych czasach często szły na dno, przeważnie z

powodu marnej konstrukcji albo zaniedbań załogi. Kapitanom płaciło się ekstra, żeby dopływali na miejsce tak szybko, jak to tylko możliwe, bez żadnych postojów. Silniki często eksplodowały albo topiły się od temperatury.

W dziewiętnastym wieku na parowcach zatoneły cztery tysiące ludzi.

Seth spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Skąd tyle wiesz o parowcach?

- Spotykałam się kiedyś z profesorem historii. Miał jakąś fazę na temat dziewiętnastowiecznej Ameryki. - Zaśmiała się. - Ja jednak nie miałam fazy na niego i rzuciłam faceta po drugiej randce. Peszek.

- No dobra - powiedział Seth. - Jestem zazdrosny, ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego ten statek znajduje się na mojej ziemi.

- Zgaduję, że to przez trzęsienie ziemi albo powódź - stwierdziła Judy. - Powodzie i lawiny zdarzały się dość często na rzekach regulowanych.

- Ma pani rację - przyznał Hovis. - Według władz, z którymi rozmawiałem wcześniej, faktycznie miało tutaj miejsce trzęsienie ziemi, dokładnie w sierpniu 1880 roku. Być może w ten sposób zatonał parowiec, a może to z jakiejś innej przyczyny. Jeśli zdobędziemy informację jak nazywał się parowiec, dowiemy się więcej.

Seth wytarł twarz, nadal skołowany.

- Ale to suchy ląd! Wmawiacie mi, że tędy płynęła kiedyś rzeka?

- Dokładnie to chcę panu powiedzieć, panie Kohn. - Hovis rozwinął mapę i pokazał coś palcem. - Widzi pan? Rzeka Brewer płynęła kiedyś dokładnie tędy. Ciągnęła się od zatoki

Chesapeake aż do Lowensport.

Croter spojrział na mapę.

- Praktycznie prosta linia...

- Tak, ale od zlodowacenia aż do sierpnia 1880 rzeka wyglądała tak. - Hovis nakreślił palcem na mapie literkę S. - Trzęsienie ziemi zmieniło jej bieg, a parowiec zatonął w obecnie wyschniętej części rzeki. Potem wstrząsy wypchnęły go z mułu. Nie słyszałem nigdy jeszcze o podobnym przypadku, lecz eksperci, z którymi rozmawiałem, twierdzą, że takie rzeczy miały miejsce w kilku mniejszych rzekach, takich jak Brewer.

- Tak mówią eksperci - zaczął Seth i odwrócił się do Judy - i gość, z którym się spotykałaś.

No to chyba rzeczywiście tak jest...

- To naprawdę dziwaczny zbieg okoliczności - powiedział Croter.

Usłyszeli szcęk narzędzi i ryk silnika. Wszyscy spojrzeli w stronę wykopaliska.

Specjalnymi narzędziami ostrożnie usuwano ziemię, odkrywając kolejne części statku. Sterówka wyglądała na niemal nienaruszoną - jeśli się wzięło pod uwagę, co spotkało parowiec - niektóre z szyb nawet nie były wybite.

- Ciekawe, jak głęboko siedzi - powiedział Seth.

- Parowce nie miały głębokiego zanurzenia - odparła Judy - przeważnie budowano dwa pokłady, ponad powierzchnią wody. Widzimy teraz sterówkę, więc pewnie następne odkopią kajuty dla załogi, a może i niewielki kambuz.

Seth przetrawił informacje i zorientował się, że w takim razie pod ziemią tkwi jeszcze jeden pokład.

- Co jest poniżej?

- Ładownia. Te statki budowano po to, aby przewoziły towary, Seth. - Pokazała palcem za siebie. - A tam, za kołem, pewnie znajduje się piec.

Przewóz towarów, pomyślał Seth.

- Czyli wewnątrz nadal może znajdować się ładunek.

- Niewykluczone, panie Kohn - powiedział Croter. - A sądząc po miejscu, gdzie go znaleźliśmy, można założyć, że płynął do Lowensport.

Hovis przytaknął.

- Nigdy nie było w tej okolicy innego portu rzecznego.

- Interesujące - wymamrotał Seth.

- Zainteresuje pewnie pana bardziej to, że jeśli cokolwiek nadal znajduje się w ładowni, niezależnie od wartości, zgodnie z prawem należy do pana. O ile, oczywiście, nie znajdą się spadkobiercy. - Hovis wydawał się jednak wątpić w taką ewentualność. - Nie martwiłbym się jednak o to.

Judy złapała Seta za ramię i zawołała z przesadnym podekscytowaniem: - Zagubiony skarb!

Seth wybuchnął śmiechem.

- Pewnie znajdziemy tam tylko zasuszone skrzynie z kukurydzą i twarde jak cement worki mąki.

- Może tak, a może nie - powiedział Croter. - Poczekamy, zobaczymy.

- Jeśli będą tam jakieś antyki, biżuteria albo nawet dokumenty, trafi pan na skarb – odezwał się Hovis.

Sethowi nie chciało się nawet o tym myśleć.

- Ja już trafiłem na skarb. - Objął Judy ramieniem i rzucił okiem na statek. - Nie obchodzi mnie, co jest w środku, choć to niezaprzeczalnie interesujące.

- Będziemy pana informować - powiedział Hovis, kiedy podbiegł do niego jeden z robotników.

- Panie Hovis! Wiemy, co to za statek!

Wszyscy podeszli do wykopalisk, gdzie ekipa zdążyła już oczyścić z ziemi prawie całą sterówkę. Robotnik, który ich tutaj przyprowadził, szmatką wytarł z burty zaschnięty muł, który pokrywał parowiec praktycznie na całej długości ponad otworami wentylacyjnymi.

Ledwie mogli odczytać stuletnie litery.

WEGENER.

...

Dziwny przypadek tkwiącego w ziemi parowca nie zajmował Seta praktycznie wcale. Jeśli w ogóle o tym myślał, to w kategoriach irytującej komplikacji. Poza obejrzeniem kilku zdjęć, które Croter przesłał mu e-mailem, Seth nie miał okazji zajrzeć do wnętrza domu.

- Miał pan naprawdę interesujący pomysł, panie Kohn - oznajmił pośrednik, kiedy już zawiózł ich z powrotem do domu, szperając w kieszeni za kluczami. - Zachował pan oryginalną elewację, a kompletnie zmienił wystrój wnętrza.

- Nie mogę się doczekać, aż wszystko zobaczę - powiedziała Judy, choć zbaraniała na widok ciemnych, chropowatych ścian. - Wszystko wygląda strasznie masywnie.

- To niedobre słowo - odparł Croter. - To modrzewiowe krokwie, czyli bardzo, bardzo gęste drewno. Świetnie izoluje, a do tego jest odporne na termyty i rozkład.

Croter wreszcie wygrzebał klucze, ale zanim otworzył drzwi,

uderzył pięścią w ścianę przy framudze.

- Na wszystkich tych trawiastych polach wokół niegdyś rosły drzewa. Modrzewie i dęby, lecz głównie te pierwsze. Człowiek który zbudował ten dom, Gavriel Lowen, zbił majątek na tych lasach.

- Był drwalem? - zgadywał Seth.

- Niezupełnie. Miał tartak, który zaopatrywał w tym regionie kolej. Modrzew świetnie nadaje się na podkłady pod tory kolejowe, jest używany w tym celu do dzisiaj. Lowen przyjechał z Czech wraz z innymi imigrantami i osiedlili się tutaj. Zorientował się, czego potrzeba tej okolicy, i rozkręcił biznes. W owych czasach był prawdziwym biznesmenem, zainwestował w kolej.

- Gavriel Lowen - powtórzyła Judy.

- Na zachód stąd zbudował miasto Lowensport, a w tym domu mieszkał z rodziną. - Croter ponownie postukał w drewno. - Można powiedzieć, że to dom łączony. Nie wbito tutaj ani jednego gwoźdźca.

- Jak to? - zapytał Seth.

Odpowiedziała mu Judy: - Zamiast wbijać gwoździe w krokwie, wiercono w belkach dziury i łączono je za pomocą drewnianych kołków. Kołki wykonywano z drewna liściastego, więc kiedy schły, pęczniały. Tym sposobem wszystko trzymało się razem.

Croter przytaknął.

- Już nie robią takich domów. Właściwie Lowen House to jedyny taki budynek w okolicy i jeden z najstarszych ocalałych domów tego typu w kraju. No i jest jeszcze kilka podobnych szeregowców w Lowensport.

Lowen House, pomyślał Seth. To teraz mój dom, a i tak już

zawsze wszyscy będą mówić na niego Lowen House.

- Nie rozumiem, dlaczego sprzedano mi ten dom za tak niską cenę. Sądziłem, że taka posiadłość będzie kosztowała fortunę, chociażby ze względu na wartość historyczną.

- Dokładnie - przytaknął Croter - ale sądzę, że w dzisiejszych czasach ludzie nie dbają za bardzo o swoją historię.

Pośrednik już miał otworzyć frontowe drzwi, lecz odskoczył od nich i stanął z boku.

- Panie przodem.

- Seth, czyń honory - powiedziała Judy. - To twój dom.

- To nasz dom i, jak powiedział pan Croter, panie przodem.

Uśmiechając się, Judy dotknęła klamki, lecz coś nad nią przyciągnęło jej wzrok.

- Co to takiego?

Seth zauważył ponurą kołatkę zamontowaną mniej więcej na środku drzwi; dziwaczny owal z matowego brązu, przedstawiający posępną, jakby niedokończoną twarz. Składała się tylko z pary oczu, żadnych ust czy nosa, nic więcej.

Pewnie jest tak samo stara jak dom.

- To najbrzydsza kołatka, jaką widziałem - powiedział. - Pierwszą rzeczą, jaką kupimy w Home Depot, będzie nowa.

Judy nie zdążyła nawet przestąpić progu, kiedy stanęła jak wryta. Korytarz wychodził na duży salon i kilka innych pokoi; każdy z nich był urządzony w subtelnym stylu art deco, podobnie jak ich mieszkanie w Tampie. Delikatne, łagodne kolory sprawiały, że pomieszczenia zdawały się płynąć, wibrować, unosić. W salonie stała masywna kanapa, a przed nią równie wielki, plazmowy telewizor.

- Seth, tu jest świetnie! - powiedziała Judy.



- Bardzo neutralnie i niezbyt wystawnie - zaśmiał się Seth. - Co odpowiada naszym osobowościom.

- Jest jak nasze stare mieszkanie. I ta dychotomia stylu...

Seth był szczęśliwy, że dom przypadł jej do gustu, lecz...

- Dychotomia stylu?

- Tak! Modernistyczny wystrój wnętrza został ukryty pod dziewiętnastowieczną elewacją!

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Seth.

Ekscytacja nie opuściła Judy po wejściu na piętro: uroczy kącik śniadaniowy oświetlony naturalnym porannym słońcem, które wpadało przez strzeliste okna; modna kuchnia z nowymi sprzętami i biblioteczka z ładnymi półkami na książki z chromowanego metalu, z czarnymi panelami...

- Mnóstwo miejsca na twoje podręczniki - powiedział Seth. - A na górze każde z nas może mieć swój własny gabinet.

Podłoga na całym piętrze wyłożona została zielonym dywanem, poza egzotyczną kuchnią, gdzie leżały czarne i białe kafelki. Pudła z pozostałymi materiałami stały z boku, starannie poukładane przez ekipę.

- Zakochałam się! - pisnęła Judy, objęła Seta i pocałowała go.

- Robotnicy naprawdę się postarali, aby pańskie instrukcje zostały wykonane co do najmniejszego detalu - powiedział Croter. - To naprawdę wyjątkowy dom. W całym hrabstwie nie ma podobnego, gwarantuję to państwu.

- Idź na górę, kochanie - szepnął Seth - a ja wypełnię kilka papierów, które przywiózł pan Croter. Zaraz do ciebie dojdę.

Judy potruchtała z radością na drugie piętro.

Podpisywanie ostatnich dokumentów zajęło tylko kilka minut.

- Jeśli kiedykolwiek zdecyduje się pan na remont piwnicy,

proszę dać znać - przypomniat

Sethowi Croter - a wyślę do pana odpowiednich ludzi.

- Piwnica! Zupełnie wyleciało mi z głowy, że w ogóle jakąś mamy!

- A, to tylko taka piwniczka. Ściany wzmocnione krokwiemi, klepisko zamiast podłogi.

Kiedyś służyła za lodówkę.

Seth przytaknął, nie wykazując zainteresowania. Po co miał marnować pieniądze na piwnicę?

- Gdzie znajduje się tartak, o którym pan wspominał? Gdzieś w okolicy?

- Tak, tak! Tartak Gavriela Lowena znajdował się nieopodal głównego placu Lowensport, zaraz nad rzeką. Może pan wierzyć albo nie, lecz ten dom też leżał niegdyś nad wodą.

- Ale wszystko zmieniło się po trzęsieniu ziemi, tak?

- Tak. I jeśli chodzi o tartak, zostały z niego praktycznie tylko fundamenty. Wątpię, czy mieszkańcy Lowensport kiedykolwiek sprzedadzą tę ziemię albo coś na niej zbudują, choć to kawał doskonale położonego terenu.

- Czemu mieliby nie sprzedać?

- To dla nich miejsce o znaczeniu historycznym.

- Oczywiście. Dzięki niemu Gavriel Lowen dorobił się fortuny.

- Otóż to. To istny pomnik przedsiębiorczości i, mam nadzieję, że nie zabrzmi to złowieszczo, również miejsce pochówku samego Lowena.

- Ma pan na myśli to, że został tam pogrzebany? - zdziwił się Seth.

Croter odłożył papiery na bok i przysunął do siebie swój neseser.

- Poniekąd. Został tam... zamordowany.

- Żartuje pan.

- Obawiam się, że jednak nie. Sukces Lowena nie każdemu był tutaj w smak, szczególnie tym, którzy mieszkali tu jeszcze przed przybyciem Żydów. Działał na tych terenach gang zwany klanem Connera. I choć ludzie z Lowen zakupili te ziemie legalnie i uczciwie, Connerowie uważali, że tylko prawdziwi Amerykanie mają prawo tutaj mieszkać, a Lowen i jego ludzie nie zaliczają się do takowych.

- Mówił pan, że przybyli z Czech?

- Tak. Do tego, jak wspomniałem, byli Żydami i, jak w większości znanych nam krajów, tutaj także byli prześladowani, szykanowani. Różne spory trwały miesiącami, a niektóre z nich kończyły się tragicznie. - Croter sprawiał wrażenie nieco zażenowanego. - W każdym razie w drugiej połowie lipca 1880 roku Lowen został porwany przez ludzi Connera.

Croter uznał, że tyle wystarczy, i nie miał zamiaru kontynuować, lecz Seth chciał poznać resztę historii.

- I co się stało? - zapytał.

- Związali go w tartaku, pobili, a potem podłożyli dynamit. Pozostali członkowie klanu Connera ruszyli do miasta i pozabijali wszystkich, których napotkali na drodze, chodzili od domu do domu. Nie patrzyli, czy to kobieta, czy dziecko, czy mężczyzna. Kobiety gwałcili, a i mówiło się, że starsze dzieci też. Oszczędzono tylko niemowlęta. W ciągu jednej nocy wszyscy dorośli z Lowensport, z Gavrielem Lowenem na czele, zniknęli z powierzchni ziemi. Tylko dlatego, że byli Żydami.

- Coś jak noc długich noży - powiedział Seth. - Gdy mówił pan, że Lowen został pogrzebany pod tartakiem... Mam to odebrać

dosłownie?

Croter ociągał się z odpowiedzią.

- To jest ponura historia, panie Kohn, ale skoro chce pan wiedzieć... Z jego ciała nie zostało wiele. Przywiązano do niego kilka lasek dynamitu i podpalono lont.

- Ojej - mruknął Seth, nie mogąc znaleźć słów. - To faktycznie załatwia sprawę.

- Podobno znaleziono jedynie głowę. Zakopano ją na terenie tartaku.

- Mam nadzieję, że Conner i jego ludzie zostali postawieni przez sądem.

Croter wydawał się wyjątkowo niespokojny.

- Niezupełnie. Szeryf i jego zastępcy sami byli antysemitami.

- Czyli co się wydarzyło?

Croter złapał swój neseser i ruszył do drzwi. Dopiero teraz Seth zauważył na jego szyi wisiorek z gwiazdą Dawida.

- W ciągu tygodnia - dokończył Croter - każdy członek klanu Connera, a była ich ponad setka, został zamordowany w brutalny sposób. Nie chodzi mi o to, że został po prostu zastrzelony czy coś takiego, ale pobity na śmierć, zwałtretowany, okaleczony. Niektórym odcięto głowę albo powyrywano kończyny.

Seth spojrzał na niego niepewnie.

- Ale jak...? Skoro wszyscy dorośli z Lowensport zostali zabici, kto pozbył się Connerów?

- Nikt tego nie wie - odparł Croter, odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z domu.

## (III)

- Wóz numer dwa, Somner's Cove, zgłoś się.

Rosh spojrzął na deskę rozdzielczą i wydał z niezadowoleniem wargi. Złapał dziewczynę za włosy i podniósł jej głowę do góry.

- Hej, już nie chcesz...

Rosh parsknął i wziął do ręki radio.

- Tutaj dwójka. Odbiór.

- Jedźcie na 12404 Pine Drive, mamy wielokrotne sześćdziesiąt cztery.

To chyba jakieś, kurwa, żarty! - pomyślał Rosh.

- Przyjąłem - powiedział i odwiesił radio.

Dziewczyna spojrzała na niego szklanymi oczami.

- Co to sześćdziesiąt cztery?

Policjant zapiął spodnie, poprawił kapelusz i zapalił silnik.

- Morderstwo - nachylił się i otworzył drzwi po stronie pasażera. - Wsiadaj. Muszę jechać.

Trzęsąc się, powiedziała: - A mój kryształ?

- Nie skończyłaś, kochanie. Wsiadaj.

- Gówno prawda! Nie moja wina, że cię wezwali. Daj mi kryształ!

Rosh chciałby przywalić jej w twarz pałką, ale to nie było w jego stylu. Łatwiej dać jej to, czego chce.

- Okej - powiedział i wyrzucił z auta malutką torebkę, jakby pozbywał się niedopalonego papierosa. - A teraz wypad.

Dziewczyna wyszła z radiowozu i trzasnęła drzwiami.

Rosh włączył sygnały oraz syrenę i z piskiem opon wyjechał z alejki. Wchłonęła go ciemność słabo oświetlonej drogi. Pędził Main Street, a potem Cove, przejechał obok bezkształtnego

osiedla slumsów, gdzie mieszkała większość jego klienteli. Ćpajcie dalej, szmaciarze, pomyślał. Kupujcie, a my będziemy sprzedawać. Jako pośrednik w całej operacji handlowej, Rosh czuł się całkiem bezpiecznie. Przekazywał pieniądze i dowoził crack do dilerów, którzy ponosili całe ryzyko, i sporo na tym zarabiał. Zanim przejdę na emeryturę, nie będzie już żadnych emerytur, myślał, a więc jeśli nie on, to robiłby to kto inny. Biznes to biznes. Nie moja wina, że ludzie są na tyle głupi, aby się szprycować. Powinni być mądrzejsi.

Zaparkował pod wskazanym przez dyżurnego numerem domu. Pod zapuszczonym budynkiem stały już trzy inne radiowozy oraz karetki pogotowia. Policjanci i techniczni przeczesywali teren. Rosh wysiadł z auta i od razu złapał za rękaw jednego z funkcjonariuszy, Eliota, który wyglądał, jakby ledwo trzymał się na nogach.

- Co jest, kurwa? - zapytał Rosh. - Chory jesteś?

Młody funkcjonariusz spojrzał na niego mętным wzrokiem, blady jak ściana.

- Kapitanie Rosh... Jezu...

Rosh uśmiechnął się. Pozory nade wszystko.

- Wyprostujcie się, funkcjonariuszu. Jesteście glina. Chryste, wyglądacie, jakbyście mieli się porzygać.

- Już rzygałem, proszę pana. W domu.

Rosh puścił go i poszedł w stronę budynku. W drzwiach spotkał Steina.

- Co jest? Tylu ludzi, że wygląda to wszystko jak porwanie, a nie morderstwo.

Nawet Stein wyglądał na lekko wstrząśniętego. Zniżył głos.

- To jest robótka D-Mana i Świrusa.

- Dyżurny mówił, że to wielokrotne morderstwo. Zapłaciłem im tylko za Ciacho.

- Ta? No to najwyraźniej zrobili dodatkowy rozpiardol gratis - powiedział Stein i wprowadził Rosh'a do środka, gdzie roіło się od policjantów i techników.

Fotografowie co i rusz pstrykali zdjęcia. Rosh musiał zmrużyć oczy, raziły go flesze.

- Tutaj...

Weszli do salonu, o ile można w ogóle było tak nazwać to miejsce. Brudne ściany z dziurami wielkości pięści, rozlatujące się meble i zapadnięta kanapa oraz puste, plastikowe transportery, na których ćpuny siadały, kiedy schodziły się tutaj, żeby przypalić. Śmierdziało uryną i potem - jak w każdym podobnym lokalu - lecz w powietrzu duszno było od jeszcze innego zapachu, który Rosh rozpoznał jako świeżą krew. W kącie piętrzyły się śmieci, a na starym, zakurzonym dywanie leżało kilka połamanych lufek i dobrze znanych policjantowi plastikowych torebeczek.

- Gdzie jest, kurwa, Ciacho? - szepnął Rosh.

- Tam gdzie wszyscy, w sypialni.

Po zapleśniałym dywanie poszli do pokoju, w którym wciąż błyskały flesze.

Do kurwy nędzy!

Rosh poczuł się, jakby ktoś kopnął go w twarz.

- Technicy mówią, że mamy sześć trupów - powiadomił go Stein.

- A jak oni to stwierdzili? - zapytał Rosh.

To, co zobaczył, trudno było nazwać zwłokami. Były to raczej członki, które porozrzucano po całym pomieszczeniu. Ręce i nogi

najwyraźniej wyrwano ofiarom ze stawów, lecz Rosh nie potrafił ich nigdzie zlokalizować. Dywan był tak nasiąknięty wciąż jeszcze wilgotną krwią, że nie sposób było stwierdzić, jaki miał kiedyś kolor.

Rosh naliczył sześć korpusów, lecz nie był pewien swojego rachunku, gdyż dwa z nich wydawały mu się rozpołowione. Inny miał rozcięty brzuch, na zewnątrz wystawały wszystkie wnętrzności; kolejnemu otwarto klatkę piersiową. Rosh gapił się na nieruchome serce.

Pomimo wyjątkowej brutalności tej masakry, Rosh doszedł do siebie w miarę szybko. W końcu biznes to biznes. Mam w dupie sypialnię pełną martwych ćpunów. Zapłaciłem tym dwóm wieśniakom za dobrą robotę i taką wykonali...

Rosh przyglądał się głowom, szukając jednej konkretnej.

- Na komodzie - szturchnął go Stein.

Z początku Rosh nie zauważył... Na starej komodzie z pootwieranymi szufladami, w których tkwiło pełno badziewia, stała głowa, której szukał. Właściwie leżała na boku, łypiąc swoimi szklistymi gałami, z rozchylonymi lekko ustami, jakby dziwiącymi się światu. Była to bez wątpienia głowa Tracy „Ciacha” Roberts.

Dobra robota. Rosh ledwo powstrzymał się od klaśnięcia w dłonie z radości. Niedawna informatorka już im nie zagrażała. Zastanawiam się jednak...

- Hej, Cristo! - zawołał jednego z techników, który w plastikowych rękawicach i siatce na włosy pakował oderwane ramię do wielkiej torby. - Ten łeb na komodzie. Który trup to ona?

Cristo wydawał się absolutnie nieporuszony widokiem, który



miał przed sobą.

- A, rudzielec. - Pokazał jeden z korpusów palcem. - Wydaje mi się, że ten, ale niczego nie jestem pewien, to jakaś pierdolona układanka.

Rosh popatrzył na trupa. Ciacho była ruda, a zwłoki miały rude włosy łonowe. No, no, pomyślał. To jest robota pierwsza klasa.

- Możesz mi powiedzieć co wystaje z jej... No wiesz...

Cristo uśmiechnął się.

- Z jej waginy, kapitanie?

- Aha.

- To jej macica i jajniki.

Rosh zmarszczył brwi.

- Ale... Ale jak...

- Chce pan zapytać, w jaki sposób jej macica i jajniki znalazły się na zewnątrz?

- Dokładnie.

Cristo wrócił do pakowania kończyn.

- Nie mam pojęcia. Może użyli haka?

- Haka!

- Tak. Kiedy pracowałem w Seattle, mieliśmy taką jedną pannę, którą podczas spaceru po molo wypatroszył jej facet. Wsadził jej do środka kij z wbitym hakiem i wyciągnął flaki...

- Co za... Pojebany świat. - Rosh miał już wyjść z pokoju, kiedy zobaczył coś jeszcze, co przykuło jego uwagę.

Serce zaczęło walić mu w piersi, lecz nie mógł dać nic po sobie poznać. Na zakrwawionym materacu, pośród innych kawałków ciała, leżała głowa Afroamerykanina, na oko dwudziestoparoletniego. W uchu miał zabawny kolczyk

przedstawiający niewielkiego, złotego delfina, a na uszach czapczkę New York Yankees.

- Wszędzie rozpoznałbym tę mordę - powiedział Rosh. - Toć to Caddy „Kapp” Robinson!

- Robisz sobie jaja - mruknął Stein, mrużąc oczy.

- Mordy Caddy’ego i jego brata wiszą na ścianie posterunku. Cholera, sierżancie Stein, czy wy kiedykolwiek sprawdzacie, kto jest aktualnie poszukiwany? Caddy zawsze nosi czapczkę Yankees, a jego braciszek Jary Red Soxów.

- Wiesz co... - Stein zadumał się. - Myślę, że masz rację.

- Wiem, że mam. Ten facet to połowa Cracksonville Boyz. Prawdziwa szycha. - Wyszedł z budynku, ciągnąc za sobą Steina.

Wsiedli do auta.

- Wyglądasz śpiewająco - szepnął do niego Stein, gdy już nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Hej, jestem funkcjonariuszem policji, więc cieszę się jak cholera, że niebezpieczny diler narkotykowy nie będzie już mógł dłużej rozprowadzać szajsu i nikt więcej nie umrze od jego prochów.

Stein uśmiechnął się.

- Cieszysz się, bo Cracksonville Boyz to twoja jedyna konkurencja.

- No cóż... - Rosh wyszczerzył zęby. - Bez jaj! To jest dopiero bonus! Zapłaciliśmy za Ciacho, a im udało się skasować przy okazji jednego z tych sukinsynów, którzy odcinają mnie od zarobków. Niech ich Bóg błogosławi!

- Tak, ale... Jezu. - Stein odetchnął ciężko. - Nie musieli przecież porąbać wszystkich na kawałeczki, co nie? Nigdy w życiu nie widziałem takiej sieczki.

Rosh wybuchnął śmiechem i wsadził sobie w usta papierosa.

- Śpiewam z radości, Stein. Płacę z radości. Chryste, zarabali kilku ćpunów, a ty biadolisz, jakby się wydarzyła jakaś wielka tragedia. Chuj. Kocham martwych ćpunów. Uwielbiam! Dzień taki jak ten, Stein, to... - Walnął towarzysza mocno w plecy i zaśmiał się raz jeszcze. - To dzień, w którym cieszę się, że żyję!

- Jesteś naprawdę pojebany.

Rosh spojrzał ostro na sierżanta.

- Przepraszam - powiedział Stein. - Jesteś naprawdę pojebany, kapitanie.

- Od razu lepiej! - zawołał z radością Rosh. - Zaczynałem się obawiać, że straciłeś maniery.

Ej, McDonald's chyba jeszcze otwarty, co? Może skoczmy na burgera z rybką? Masz ochotę?

Rosh spojrzał na zegarek, a Stein siedział z otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Przed chwilą zobaczyłeś prawdziwą sieczkę, a teraz jesteś głodny?

- Przyjąłem, co masz do powiedzenia, kolego!

- Kapitanie?

Odwrócili się, słysząc czyjś głos, i zobaczyli idącego ku nim Crista, który akurat zdejmował swoje rękawice.

- O, idzie nasz specjalista od krwi i flaków - zaśmiał się Rosh. - Pewnie załujesz, że nie wzięłeś ze sobą kaloszy, co?

Cristo westchnął.

- Jest pan naprawdę dziwnym facetem.

Rosh odparował: - Nie jestem dziwny, Cristo. Myślę o sobie raczej jako o kimś niereprezentatywnym, co oznacza kogoś wyjątkowego.

- Okej, ale... - Cristo wydawał się czymś zaaferowany.

- O co chodzi? Znalazłeś gdzieś kij z hakiem? - Rosh wybuchnął śmiechem.

Cristo odchrząknął.

- Pamiętacie tę dziwkę, której trupa znaleźliśmy za chińską restauracją?

- No pewnie - powiedział Rosh i pomyślał: pewnie, kurwa, pamiętam, bo sam zapłaciłem za jej skasowanie.

- Tak, tam też pojechali po bandzie - powiedział Stein. - Tamtej też odcięli łapy, no nie?

- Nie łapy, ale jedną rękę i jedną nogę - sprostował Cristo i wykonał ruch ręką w stronę domu. - I nikt ich nie odciął. Koroner mówił, że zostały oderwane. Zupełnie jak tutaj, żadnych śladów, żadnych skaleczeń.

Rosh uniósł palec w dramatycznym geście.

- No i teraz ty, rozsądny technik pracujący z trupami, jesteś zadziwiony, że jakimś cudem ktokolwiek zdołał oderwać komuś łeb i wyrwać kończyny ze stawów. Niech no cię oświecę. Wiedz, że rywalizujące ze sobą gangi często w ten sposób dają znak konkurencji, aby z nimi nie igrać.

Przywiązujesz komuś jedno ramię do drzewa, a drugie do zderzaka i wciskasz gaz. I już, zrobione, okaleczenie instant.

Cristo popatrzył na Rosha.

- Jestem tego świadomy, kapitanie, lecz nie o tym mówię. Chodzi mi o to, że badałem ciało po przewiezieniu go do kostnicy...

- Nie ciało, lecz kawałki - przerwał mu Rosh i zaśmiał się.

Cristo westchnął.

- A pamięta pan może szczegóły raportu z badania?

Rosh zdębiał.

- Obawiam się, że... Codzienny stres związany z odpowiedzialnym stanowiskiem kapitana pozostawił mój zmęczony umysł nieczułym na podobne pierdoły.

- Znalazłem na ciele osad, kapitanie.

- Jaki znowu, kurwa, osad?

- Obcą substancję, która przyłgnęła do ciała w momencie śmierci - odparł Cristo.

- Wyglądała jak sadza, lecz była lżejsza... Sądziłem, że to po prostu kurz.

Rosh skrzyżował ramiona na piersi.

- Cristo, czy możesz przejść do rzeczy? Chciałbym wpaść do McDonalda, zanim zamkną lokal. Jadłeś kiedyś podwójnego burgera z rybką? Są świetne.

Cristo pokręcił głową.

- Koroner zezwolił na wysłanie próbki do Germantown...

- Próbkę osadu - powiedział ze zniecierpliwieniem Ross.

- Wyniki wróciły do nas po kilku miesiącach, więc sprawa trafiła wcześniej do szuflady, ale jestem pewien, że tę samą substancję znalazłem na zwłokach w tym domu.

- Fascynujące - powiedział znudzony Rosh - lecz, prócz tego, że chcesz nam się zwierzyć ze swojego mylnego domysłu, iż za trupa z zeszłego roku odpowiada ta sama osoba, co za sieczkę w tej ruderze, mógłbyś też zdradzić, czym był ten cholerny osad.

- Jasne - odparł Cristo. - W laboratorium w Germantown powiedzieli, że to glina.

# ROZDZIAŁ TRZECI

LIPIEC 1880

## (I)

- Wstąp do Kręgu Dziesięciu Kręgów i zobacz, jak płomień jaśniej, kiedy się zbliżasz...

Gaon stał niewzruszony i patrzył na dwóch uczniów, którzy zrobili krok naprzód. Płonęło dziesięć pochodni, jedna na każdy z dziesięciu kręgów symbolizujących Dziesięć Piekieł.

Gaona przeszły ekscytacja.

Tylko wiara może nas uratować, mój najświętszy królu, nasz czarny wybawicielu.

Jego myśli uleciały ku niebu.

Daj nam siłę, błagam cię...

Dziesięć niewielkich okręgów z kamieni zostało ułożonych tak, aby utworzyły wielki krąg, którego środkiem był jedenasty, święty. Wszystkie kamienie były wilgotne od świeżej krwi, którą upuścili z psów i szakali. Pochodnie trzaskały, ogrzewając powietrze nawet w noc tak chłodną jak ta, lecz wiedzieli, że wkrótce będzie jeszcze goręcej.

Gaon pomyślał o Zemu'im, jednej z Tajemnych Uczennic z czasów Adama. Zgromadzeni przy kręgach mężczyźni zrobili to, co należało uczynić przed przystąpieniem do rytuału: Ugaszenie Pragnienia Krwią; Post Jedenastu Dni; Spalenie Olejków i Mirry.

- Gaonie! - zawołał Ahron, krztusząc się dymem. - Obawiam się, że...

- Miej wiarę! - syknął Gaon, a jego głos odbił się głośnym echem. - Moi bracia, jesteśmy ludźmi wierzącymi, musimy więc wierzyć. Aż do samego końca...

- Tak, Gaonie - powiedzieli razem Ahron i Eli.

Cała trójka stanęła na skraju kręgów, odziana w ciemne, płócienne peleryny. Gaon wiedział, że jego towarzysze są przerażeni. Tylko on zachował zimną krew.

- Patrzycie oczami ciała, a powinniście patrzeć oczyma duszy, waszej Neptesh.

- Wiemy, Gaonie, lecz...

Gaon uśmiechnął się.

- Znacie moc S'mola, naszego świętego króla, która jest wielka. Co stanie się dzisiaj, wyda się wam niemożliwością, albowiem namaszczone przeze mnie kamienie, ta licha granica rozciąga się aż do nieskończoności naszego wybawiciela.

- Tak, Gaonie - krzyknął Ahron radośnie.

U swoich stóp mieli szerszy, jedenasty krąg, do którego żaden jeszcze nie wszedł.

- Teraz przynieście ofiarę...

Ahron i Eli opuścili skąpane w szkarłacie kręgi i po chwili wrócili z dwoma brudnymi, odartymi z ubrań mężczyznami należącymi do klanu Connerów. Związano ich i zakneblowano, lecz tliła się w nich silna iskra życia. Otworzyli ze strachu oczy, ich ciała trzęsły się nieprzerwanie.

- Czy starczy miejsca na dwóch, bracie Eli?

- Modłę się, żeby tak było, Gaonie. Powinno wystarczyć. Musimy się postarać.

- Niech i tak będzie.

Ahron utkwiał wzrok w dwóch walczących z więzami mężczyznach. Bali się tak bardzo, że można było usłyszeć bicie ich serc.

- Coś ci chodzi po głowie, Ahronie - zauważył Gaon. - Mów.

- Czy musimy pozbawiać życia tych mężczyzn? Nie możemy uciekać od tego pytania, Connerowie na pewno będą nas podejrzewać. Nie jest bezpieczniej wykopać zwłoki?

- Miej wiarę - odparł Gaon. - Ci mężczyźni to poganie, złodzieje, którzy poniżają nasze kobiety i plądrują naszą ziemię.

- To gwałciciele, Ahronie - powiedział Eli - a nasze kobiety i nasze dzieci zostały zgwałcone. Robimy to więc za przyzwoleniem Zemu'im, mój bracie.

- Tak jest, Eli, tak jest - pochwalił go Gaon. - Nie zapomniałeś tego, co głosi Słowo, a o czym zapomniał brat Ahron: Zemu'im oraz Pieczęcie nie tylko na to zezwalają, ale wręcz tego wymagają. Za zło trzeba odpłacić złem.

Ahron przełknął ślinę.

- Tak, Gaonie...

- A teraz zamknijmy oczy i, uzbrojeni w wiarę, wkroczmy razem do jedenastego kręgu i weźmy ze sobą tych dwóch dzikusów...

Zrobili tak, jak im powiedział Gaon. Stali teraz w środkowym kręgu, a ludzie Connera wili się u ich stóp.

- Kiedy otworzymy oczy, będziemy świadomi tego, że Krąg Dziesięciu Kręgów rozrósł się jedenaście razy.

Oddech uwiązał w piersi Eliego. Ahron wstrzymał oddech. Pochodnie, przed sekundą płonące przy kręgach, wydawały się teraz oddalone o sto stóp.



- Pochylamy głowy, a oczy nasze zwracamy ku ziemi...

Gaon zaczął recytować tajemne słowa Zewu Pieczęci. Ahron słuchał świętych słów tylko jednym uchem, gdyż z oddali dobiegł go jakiś dźwięk.

Czyżby ktoś się zbliżał?

- Kiedy znowu podnosimy czoła, ufając nieskończonej mocy S'mola, zrodzonej z Tajemnic, które Bóg wyszeptał...

Ahron krzyknął. Pochodnie znowu się oddaliły.

Czuli się, jakby odebrano im cały świat, w którym dotychczas żyli. Tam, gdzie powinni byli widzieć rabiego Jacoba i rozległy las modrzewiowy, dostrzegali jedynie podświetloną dziwacznym różem ciemność.

Usłyszeli wycie i inne, coraz głośniejsze, okropne odgłosy.

I tak, na pewno ktoś się zbliżał, kroki były wyraźne.

Ahron zobaczył kilka idących w ich stronę postaci.

Nadchodziły zza granicy kręgu. Policzył je i wyszło mu, że widzi dziesięciu przybyszów.

- Gaonie! Pochodnie palą się na niebiesko! - krzyczał Eli.

Gaon przytaknął.

- Wiedzieliśmy, że tak się stanie... - Westchnął i wyszeptał słowa podziękowania za moc, którą go obdarzono.

Nagle mężczyznom zrobiło się gorąco.

Zakapturzone postacie powoli zbliżały się do mężczyzn, a z każdym ich krokiem niebieski płomień stawał się ciemniejszy i ciemniejszy.

Gaon wyciągnął przed siebie dłoń, a w jego pięści tkwił nóż. Niczym różdżkę, skierował ostrze w stronę Eliego, lecz kiedy ten chciał chwycić rękojeść noża, Gaon zacisnął na niej palce i zwrócił się do Ahrona.

- Weź ode mnie nóż, mój przyjacielu Ahronie - odezwał się głębokim głosem - i wbij go w ciała tych dwóch przestępców...

Ahron czuł się dziwnie zakłopotany, jednak wziął nóż, padł na kolana i zatopił ostrze kolejno w każdym z dwóch związanych mężczyzn.

Istoty z otchłani zatrzymały się kilka jardów od nich. Tylko jedna z nich kroczyła dalej, niestrudzenie, a jej widmowa, nieprzenikniona twarz odcinała się od ciała barwy czarnego żużlu.

Wyciągnęła przed siebie przekłete dłonie, jakby spodziewała się ofiary. Gaon spojrział na leżących na ziemi mężczyzn, podniósł dwa bochny zbryzganego krwią chleba i wyciągnął przed siebie, podając je tajemniczej istocie.

Przybysz wydawał się zadowolony i przyjął ofiarę. Nachylił się i szepnął coś wprost do ucha Gaona.

...

Jacob był jedynym rabinem, który pozostał poza Dziesięcioma Kręgami, aby strzec swoich towarzyszy z karabinem w ręce, na wypadek gdyby zaskoczyli ich ludzie Connera. Nie spodziewał się jednak, że przed jego oczami rozegra się to, czego teraz był świadkiem. A był to widok spektakularny: pochodnie płonęły błękitnym ogniem, zasłaniając to, co rozgrywało się wewnątrz kręgów.

Jacob miał wiarę.

Słyszał głos Gaona, który recytował kolejne linijki Zewu Pieczęci. Wielkie nieba, pomyślał i niemal zapłakał, uniesiony radością. Nawet stojąc kilka jardów od ognia, Jacob czuł jego żar.

I nagle płomienie buchnęły w górę, tworząc coś w rodzaju kopuły nad kręgami. Ogień wisiał wysoko w powietrzu, a towarzyszyła mu chmura dymu.

Jacob stał i patrzył na niespotykane widowisko.

Jego wiara pozostała niezachwiana.

Eli wyszedł stamtąd pierwszy, ciągnąc za sobą umorusanego trupa. Za nim wyszedł Ahron.

Kopuła z niebieskiego ognia nadal płonęła i z pewnością była na tyle gorąca, żeby spopielić każdego, kto znalazłby się w środku. Oświetlała otaczającą ich polanę i drzewa.

Nikt się nie odezwał. Ich oczy utkwione były w płomieniach. Minęła minuta. I druga. A potem trzecia. Ahrona znowu zżerały nerwy, na twarzy Eliego malowało się z troskanie.

Gdzie on jest? - zastanawiał się Jacob i nawet jego wiara zachwiała się.

Żar ogrzewał ich skórę, musieli się cofnąć, aby się nie poparzyć. Eli powiedział wreszcie: - To je spatne!

- Nie wychodzi! - dodał Ahron.

Gdy Jacob zdecydował się wejść w płomienie, zamarło mu serce...

Wielki S'molu!

Z ognia wyszedł Gaon, a błękitne płomienie zgasły.

- Moi bracia w wierze - powiedział, a Jacob podbiegł i objął go.

Ten człowiek spędził kilka minut w żywym ogniu, lecz - jak zauważył Jacob - jego włosy nie były nawet osmalone, a ubrania pozostały chłodne.

Ogień wygasał.

Nagle Gaona ogarnął niepasujący do tego wszystkiego spokój. Wyciągnął dłoń w kierunku dwóch żalonych trupów, które

leżały na ziemi.

- Dokonało się! - wykrzyknął Jacob.

Dwaj mężczyźni od Connera nie byli już mężczyznami, gdyż ich mięso zostało oddzielone od kości, a twarze zapadły się do środka. Ich brudne, długie włosy pozostały jednak nienaruszone.

Otwarte klatki piersiowe straszyły wystającymi żebrami, w środku ziała jedynie szkarłatna dziura, wypatroszono ich. Nadpalone mięśnie i skóra wyzwały gryzący smród. Nad polaną unosił się ciężki fetor spalonych wątrób.

Jacob wykonał ruch dłonią w kierunku lasu, a spomiędzy drzew wyjechał wóz zaprzężony w dwa konie, na który załadowali zwłoki.

Gaon odezwał się do swoich braci z uśmiechem.

- Zbliża się czas naszej zemsty.

Mężczyźni ruszyli w milczeniu w stronę miasta.

## (II)

Seth otworzył oczy i poczuł się jak młody bóg - jak nigdy wcześniej. Zauważył, że obudził się z uśmiechem na ustach, a będąc w tej krótkiej chwili pomiędzy jawą a snem, wystraszył się, że radość, która gościła w jego sercu, to kłamstwo, pozostałość jakiegoś snu, i gdy uniesie powieki, zobaczy, że nadal jest tym samym alkoholikiem bez przyszłości, którym był, gdy kładł się spać.

Zamrugnął i pomyślał, że to jednak szczerą radość.

Wyjechał z miasta na dobre, uciekł okropnym wspomnieniom, nigdy już trzydniowych kaców i zerwanych filmów. Wreszcie

miał swój dom na wsi i zarabiał miliony...

I nadal jestem zakochany, dodał w myślach, a nie sądził, że kiedykolwiek jeszcze będzie zdolny do miłości po stracie Helene.

Powoli opuszczał go sen, lecz doszedł do siebie, gdy dotarły do niego odgłosy obłąkanego klikania, stukania i szurania. Judy siedziała nago przy ustawionym pod oknem biurku i palcami uderzała w klawisze laptopa, próbując przejść kolejny etap gry.

- Cholera! Mam cię! - ekscytowała się, a jej okrzykiem wtórował dźwięk wystrzałów z lasera.

Seth patrzył na nią, nie odzywając się. Sam widok - gładka, biała skóra i lśniące, czarne włosy, nagie ramiona i plecy - lekko go podniecił.

A to nie wszystko, na co mnie stać, przyznał sam przed sobą. W ciągu ostatnich trzech dni, które tutaj spędzili, ich życie seksualne rozkwitło. Trzy razy dziennie... A wczoraj... Jezu, ujeżdżała mnie jak na rodeo...

- Osz, ty sukinsynu! - syknęła, a z głośników dobiegło plaśnięcie, co oznaczało, że przegrała starcie z Rakowym Wampirem. - Zapomniałam zapisać grę, kiedy wyszłam z Jaskini Jelitowej...

Odwróciła się tak szybko, że aż podskoczyły jej piersi.

- Przepraszam! Nie chciałam cię obudzić. Za bardzo się wciągnęłam.

- To chyba dobrze, co?

Uśmiechnęła się, a włosy opadły jej na twarz. Obróciła się i wróciła do gry.

- Nie spodziewałam się, że testowanie gier może być takie fajne. Te Rakowe Wampiry są masakryczne, ale cholerny Wymiotnik daje mi jeszcze bardziej do wiwatu.

- Wystarczy na niego dziesięć strzałów z lasera na pełnej mocy albo jeden z Ultradźwięków - odpowiedział jej Seth. - No i dobrze jest mieć dużo tabletek neutralizujących w apteczce.

- Nigdzie nie mogę ich znaleźć!

- Sprawdzaj polipy, można otworzyć je skalpelem. W niektórych można znaleźć naprawdę użyteczne gadżety.

- No to teraz mi to mówisz!

Na dole zadźwięczał dzwonek; Judy podniosła się z krzesła.

- Kawa gotowa. Zaraz wrócę. - Pobiegła nago do kuchni.

Boże, ale mam szczęście... Seth wstał z łóżka i narzucił na siebie szlafrok. Rozejrzał się po domu z pełnym satysfakcji uśmiechem. W całym budynku było niezwykle cicho. Zdążyli już rozpakować większość pudeł, więc ich rzeczy stały na swoich miejscach. Zaczęli się przyzwyczajać do nowego trybu życia. Seth rozpoczął pracę nad kontynuacją Domu z Mięsa i Kości, a Judy zajmowała się już nie tylko testowaniem nowych poziomów, ale i spędzała kilka godzin dziennie w swoim gabinecie, wysyłając podania o pracę.

Seth przeciągnął się i usłyszał, jak skrzypią mu stawy, a potem otworzył okno. Porośnięte prosem pola rozciągały się aż po horyzont. Chcieliśmy spokoju, to go mamy. Nawet nie byli jeszcze w mieście, ani w Somner's Cove, ani w Lowensport. Mam nadzieję, że są tam jakieś dobre restauracje, no i przydałoby się też kino. Nagle pokój wypełnił się wspaniałym aromatem świeżo zaparzonej kawy. Judy podeszła do niego z pełnym kubkiem, objęła go ramieniem i wyjrzała za okno.

- Wiesz... Rozumiem, że lubisz chodzić po domu na golasa, co absolutnie mi nie przeszkadza - powiedział Seth - ale naprawdę chcesz stać kompletnie naga przy otwartym oknie?

- Tak, chcę. I nie jestem jakąś nudystką. To było nietaktowne z twojej strony.

- No tak, zapomniałem. Przecież teraz nudyści nie są już nudystami, ale naturalistami...

- Naturalizm, mój drogi, to ruch literacki, którego przedstawiciele alegoryzują pryncypia nauk przyrodniczych, a są to na przykład Emil Zola, Henrik Ibsen i Theodore Dreiser.

- Jak już coś palnę, to porządnie - przyznał Seth, obejmując Judy w pasie.

Nadal pozostawał pod wrażeniem tego, jak swobodnie jego dziewczyna czuje się nago.

- Poza tym nie jestem naturystką - ciągnęła. - Nigdy nie byłam na odpowiedniej plaży.

- Jesteś taką domową naturystką, co?

- Dokładnie. Naturystka mniejszego kalibru. - Odstawiła swoją kawę i wychyliła się przez otwarte okno.

- Rewelacja - zaprotestował. - Pokaż cycki całemu światu!

- Nie przesadzaj, Seth. W promieniu pięciu mil nie ma żadnych sąsiadów, gdziekolwiek byś nie spojrzeł. Zresztą, sam o tym wiesz.

- Pewnie, ale...

- Nikt mnie nie zobaczy.

Seth patrzył, jak pije kawę. Ciągle narzekała na swoją wagę, lecz i tak miała idealną figurę; jej skóra lśniła, a kiedy wychyliła się bardziej, stając na palcach i eksponując pośladki, mięśnie jej łydek napięły się seksownie, podkreślając atrakcyjność jej kształtów.

- Spójrz na proso - powiedziała. - Kołysze się tam i z powrotem tak, że jakby człowiek się w nie wpatrzył, mogłoby go

zahipnotyzować.

- Gość z hrabstwa powiedział, że ciągnie się przez niemal pięćdziesiąt mil.

- A sześć z nich należy do ciebie.

- Tylko proso u nas rośnie.

- Bo wykarczowali te tereny, gleba nie nadaje się już pod uprawę. Gdyby chcieli posiać tutaj kukurydzę, musieliby użyć tyle nawozu, że przestałoby im się to opłacać, co nie pozostawia nam wielu możliwości. Zanim dopracowali metodę pozyskiwania paliwa z prosa, traktowane było jak chwast, a teraz jest jedną z najbardziej użytecznych roślin. Z jednego akra można uzyskać tysiąc pięćset galonów etanolu. - Zamyśliła się. - Obliczmy... Pięćdziesiąt mil kwadratowych... Jedna mila to sześćset czterdzieści akrów, co daje łącznie trzydzieści dwa tysiące akrów... Razy tysiąc pięćset...

To daje razem czterdzieści osiem milionów galonów etanolu rocznie. Tylko z tego kawałka.

Seth skrzywił się, słuchając tego popisu.

- Nie wierzę, że obliczyłaś to wszystko w dwie sekundy. - Zamyślił się przez chwilę.

- Kurde, masz rację. To będzie naprawdę sporo etanolu.

- I odrasta co roku. To jakby mieć basen z olejem, który sam się napełnia.

Seth pokręcił głową.

- Skąd ty to wiesz... Aha, no tak. Sypiałaś z takim jednym profesorem.

Judy uśmiechnęła się przebiegle.

- Nie powiedziałam, że z nim spałam. Mówiłam, że się z nim spotykałam.



Podszedł do niej i przytulił się do jej pleców.

- Aha, czyli wy nigdy...

- Seth, naprawdę chcesz wiedzieć, ile razy uprawiałam seks z tym facetem?

Seth zamilkł na moment, aż wreszcie odezwał się: - Masz rację, nie chcę.

- Zero! - krzyknęła. - I nie spałam też z profesorem historii, jeśli chcesz wiedzieć. Poważnie, ci faceci byli tak interesujący, jak jogurt naturalny.

- Uff... - Zaczął masować jej biodra.

Judy nadal stała w oknie.

- Co za widok. Nieprawdopodobny.

- Mi też trudno uwierzyć w to, co widzę. A nie patrzę na pola.

- Ej, rzuć na to okiem - powiedziała i wskazała coś palcem.

Seth wystawił głowę i zobaczył coś w rodzaju ścieżki wyciętej pośród prosa.

- Wygląda, jakby ciągnęła się przez całe mile - powiedział.

Judy udała zaskoczenie.

- Przypomina mi te kręgi w zbożu. Tyle że jest prosta!

- Myślę, że to ścieżka. Pewnie używają jej farmerzy zbierający proso.

- Może i masz rację - powiedziała Judy, lecz wychyliła się mocniej i zmrużyła oczy, próbując dojrzeć coś z boku.

- Kochanie, musisz się tak wychylać? Ktoś może akurat tędy przejeżdżać.

Prychnęła.

- Na Boga, nikt tędy nie jeździ. Odkąd się wprowadziliśmy, nie widziałam ani jednego auta.

Seth nie mógł się powstrzymać od ciągłego spoglądania w

kierunku jej kształtnych piersi.

- Co tam wypatrzyłaś?

- To dziwne, Seth.

- Co takiego?

- Zobacz, to chyba naprawdę jest krąg.

Seth przewrócił oczami.

- Jeśli są tam jacyś kosmici, to dajesz im teraz niezłe przedstawienie. - Spojrzał w kierunku, w którym wskazywała palcem.

Ma rację. Dalej na wschodzie zobaczył kawałek terenu, gdzie proso było ewidentnie skoszone albo ubite.

- Co to takiego?

- A tam jest następny.

Seth musiał zmrużyć oczy, ale faktycznie - w głębi pola zauważył jakiś prześwit.

- Ciekawe, czemu mają służyć... To nawet nie są kręgi, ten dalszy wygląda raczej na kwadrat.

- Seth, statki kosmiczne wcale nie muszą być okrągłe - zażartowała i nagle straciła zainteresowanie dalszą obserwacją.

Położyła obie dłonie na parapecie i podskoczyła w górę, podpierając się rękoma.

- Aha, czyli teraz moja naturystyczna dziewczyna, prócz swoich nagich piersi, musi jeszcze pokazać światu swoje...

- Łono? - zapytała Judy, patrząc na kępkę ciemnych włosów pomiędzy swoimi udami

- Masz rację, Seth, pokazuję się całemu światu. Ileż tu samochodów! Setki ludzi na mnie patrzą, jeżdżą tam i z powrotem.

Usłyszeli pisk hamulców. Kiedy oboje spojrzeli na podwórko,

dostrzegli stojący przed ich domem samochód listonosza, który zatrzymał się przy skrzynce. Sam listonosz patrzył prosto w okno z otwartymi ustami.

- Kurwa! - jęknęła Judy i odskoczyła od okna.

Seth wybuchnął śmiechem.

- Żadnych samochodów, co? Nikt nie widzi? Wygląda na to, że nudystka dostała po tyłku.

- Naturystka! - Judy krzykiem chciała odwrócić uwagę od swojego zakłopotania.

- Nie chcę tego mówić, ale jesteś jedną wielką oszustką.

- Słucham?

- Jesteś czerwona jak burak - zaśmiał się Seth. - Prawdziwa ekshibicjonistka nigdy nie czuje zakłopotania.

- Pocałuj mnie w tyłek!

Seth wyszczerzył się w uśmiechu i wyjrzał przez okno. Listonosz już sobie pojechał.

- Dobrze wyszło, w końcu ludzie tacy jak on ciężko pracują i coś im się od życia należy.

- O czym ty mówisz? - zapytała Judy.

- Że dzięki tobie facet ma zapewniony dobry humor przez cały dzień.

...

Zjedli lekkie śniadanie i wybrali się na przechadzkę po domu, aby sprawdzić, czy jakiś kąt nie wymaga jeszcze pomalowania. Seth zdążył się już ubrać, za to Judy paradowała w samym szlafroku, na bosaka. Mężczyzna skrzywił się, gdy zobaczył przychepione do drzwi lodówki zdjęcie Judy sprzed pięciu lat, gdy

jeszcze walczyła z nadwagą.

- Czy to konieczne?

- Dobrze wiesz, że tak. To ma mnie zmotywować - odparła.

- Skarbie, ważysz sto dwadzieścia funtów, to idealna waga. Jesteś piękna i szczupła.

- Dzięki za piękną, ale szczupła to przesada. W zeszłym miesiącu ważyłam sto piętnaście.

- Po prostu zdrowiejesz, nabierasz energii po tym, co przeszłaś. Tak samo jak ja - powiedział Seth, choć rozumiał jej obawy, biorąc pod uwagę to, w jaki sposób schudła, lecz jeśli chodziło o Judy, potrafił myśleć tylko pozytywnie. - Ale rób, co chcesz.

- Chcesz jechać dzisiaj do miasta?

- Zobaczymy. Czuję, że dzisiaj nieźle mi pójdzie praca, więc chcę co nieco zrobić.

Judy uśmiechnęła się ponuro.

- Nieźle to ci poszła ostatnia noc.

- Jesteś pewna, że to moja zasługa?

- Nie do końca. Do tanga trzeba dwojga.

Seth uśmiechnął się.

- Zaraz wracam, wyciągnę listy ze skrzynki.

Kiedy tylko wyszedł na ganek, poczuł na skórze ciepło porannego słońca, które wstało nad rozciągającymi się po horyzont polami. Przeszedł przez podjazd, a pod stopami chrząścił mu nie - jak wtedy myślał - żwir, ale pokruszone muszle ostryg. Niegdyś wysypywano nimi mniejsze drogi, gdyż w Somner's Cove odkryto ogromne złoża; poza tym miasto było czołowym dostawcą krabów w stanie. Sethowi podobał się ten staroświecki wygląd podjazdu, lecz podejrzewał, że i tak będzie musiał wylać tutaj asfalt.

Wyciągnął pocztę ze skrzynki, lecz nawet na nią nie spojrzął; nagle do głowy wpadł mu całkowicie nowy pomysł na projekt kolejnego poziomu w sequelu Domu z Mięsa i Kości.

Potrzebny mi jakiś etap, który będzie bardziej skomplikowany niż wszystko do tej pory...

No i przydałby się nowy stwór...

Ruszył w kierunku drzwi, kiedy usłyszał za sobą odgłos opon chrzęszczących na podjeździe.

Odwrócił się i zobaczył starego sedana w ciemnym kolorze, najpewniej czarnym. Kierowca zaparkował za ich Tahoe.

Kto to może być...

- Pan Seth Kohn, jak mniemam? - powiedział mężczyzna, wysiadając z auta.

Kierowca był szczupły, średniego wzrostu. Miał jakieś czterdzieści lat, lecz jego oczy zachowały młodzieńczą energię i pałały entuzjazmem; jego kręcone włosy były zmierzwione, a ich kolor trudno było określić - coś pomiędzy blondem i brązem.

- Tak, to ja...

Mężczyzna podszedł do niego szybkim krokiem, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Panie Kohn, nazywam się Asher Lowen. Jesteśmy sąsiadami, przynajmniej poniekąd.

Mieszkam w Lowensport.

Seth uścisnął delikatną dłoń swojego gościa.

- Miło mi pana poznać - powiedział, zauważając na głowie Ashera czarną jarmułkę, a potem resztę stroju, który wydał mu się aż nazbyt konserwatywny, biorąc po uwagę upał: czarne spodnie, lśniące, czarne buty wizytowe i starannie wyprasowaną białą koszulę.

Seth miał na sobie jedynie szorty khaki i koszulkę Tampa Bay Devil Rays.

- A to moja żona, Lydia. Lydio, to pan Kohn.

Seth zobaczył, że ktoś jeszcze wysiada z samochodu - nieco wyższa od Lowena kobieta z długimi, przyprószonymi srebrem włosami i wielkimi piersiami. Twarz miała tak białą, że wydawała się bardziej błyszcząca niż blada. Seth prawie otworzył ze zdziwienia oczy, kiedy zobaczył, że kobieta ma na sobie czarną, długą do kostek sukienkę z długimi rękawami.

Musi się w tym gotować, pomyślał. Uśmiechnął się i powiedział: - Bardzo mi miło panią poznać, pani Lowen.

- Mi również - odpowiedziała, ledwie poruszając ustami, i wyciągnęła w stronę Setha koszyk pełen świeżych owoców, serów i przetworów w słoikach. - To dla pana.

- Dziękuję bardzo, pani Lowen.

- Myślę, że pomiędzy sąsiadami formalności są zbędne, Seth - oznajmił mężczyzna.

- Oczywiście. Asher, Lydio, to naprawdę miło z waszej strony - zwrócił się do nich Seth. - No i to niezwykle interesująca sprawa. Mieszkacie w Lowensport, nazywacie się Lowen, a ja właśnie wprowadziłem się do Lowen House. Czy istnieje jakieś powiązanie?

- I to niemałe, Seth. - Asherowi zaświeciły się oczy. - Człowiek, który zbudował twój dom i nasze miasto, nazywał się rabbi Gavriel Loew.

- Gavriel Loew - powtórzył Seth.

- Zmienił nazwisko na Lowen w 1840 roku, kiedy przybył tu wraz z grupą emigrantów.

Sędzili, że unikną prześladowań, lecz tutaj natrafili na

podobną sytuację. Zmienił więc nazwisko na mniej żydowskie, lecz bez spodziewanego efektu. Jestem dumny, że Gavriel Lowen to mój praprapradziadek.

- No proszę - odparł Seth. - Teraz czuję się naprawdę winny.

- Dlaczego?

- Dom, w którym mieszkam, został zbudowany przez twojego przodka. Czemu wy tutaj nie mieszkanie?

- Nasze miejsce jest w mieście, z naszymi ludźmi - odpowiedział Lowen.

Ich ludźmi?

Seth pomyślał, że to nieco dziwny dobór słów, lecz szybko rozszyfrował, co Lowen miał na myśli.

- Masz na myśli kongregację... Pewnie powinienem powiedzieć: kahał?

- Dokładnie. Można powiedzieć, że praktycznie wszyscy w Lowensport są członkami kahału, naszej gminy wiernych.

- A ty jesteś rabbim?

- Trafiłeś w sedno. I tak w ogóle, to większość ludzi w Lowensport jest w jakiś sposób spokrewniona z Gavrielem i pierwszymi osadnikami.

- A to dopiero trzódka - powiedział Seth, ale zreflektował się, że nie powinien mówić tak lekceważąco. - Wybaczcie mi. Wejdźcie na kawę, chciałbym, żebyście poznali moją dziewczynę.

Seth uświadomił sobie ryzyko związane z jego zaproszeniem.

Boże, oby miała na sobie ciuchy!

- Dzięki, Seth, lecz innym razem. - Lowen spojrział na zegarek. - Musimy wracać do miasta na... Przerwał, patrząc na zasepioną żonę.

- No właśnie, kochanie, na co?

- Czytanie Biblii - odpowiedziała cicho, ledwo słyszalnie.

- Ano tak. Potem mamy kiermasz z wypiekami i spotkanie rady miejskiej.

- Napięty terminarz - powiedział Seth.

- Zawsze. Zawsze - odparł Lowen i spojrzał Sethowi w oczy.

- Nie można jednak pracować za ciężko, jeśli pracuje się dla Boga, prawda?

Seth stanął jak wryty.

- Skoro tak mówisz...

Lowen podał mu wizytówkę, Seth odwzajemnił mu się tym samym.

- Zadzwoń do mnie niedługo, naprawdę chciałbym móc oprowadzić cię osobiście po naszej wspaniałej miejscinie.

- Tak zrobię, Asher. Dziękuję.

- I koniecznie weź ze sobą Judy. Bardzo chciałbym ją poznać.

- Skąd wiesz, jak ma na imię moja dziewczyna? - zdziwił się Seth.

- Oczywiście z gazety. Jesteście tutaj zaledwie od kilku dni, więc pewnie nie miałeś czasu, aby którąkolwiek zaprenumerować. - Spojrzał na Lydię. - Kochanie, sięgnij proszę po gazetę dla Seta.

- Nie trzeba, dziękuję. Kupię w mieście.

- Nonsens. To gazeta z Somner's Cove, więc i tak jej nie czytujemy - zaśmiał się Asher. - A to, że są w niej wasze imiona, no cóż... Witaj w Małomiasteczkowej Ameryce. Niewiele rzeczy przypomni ci tutaj o życiu w wielkiej metropolii. Obawiam się, że twoja prywatność może nieco ucierpieć...

Świetnie, pomyślał Seth i zacisnął usta.

- Na pewno się przyzwyczaisz - dodał Lowen.



- Nie jestem pewien, o czym mówisz.

- Seth, daj spokój! - wykrzyknął rozbawiony Lowen. - Taki skromny z ciebie facet?

Seth był zdezorientowany, aż milcząca żona Lowena podała mu egzemplarz „Somerset County Herald”. Seth ledwie powstrzymał się od umęczonego jęknienia. Powinienem był się domyślić... Jeden z nagłówków na pierwszej stronie mówił: AUTOR POPULARNEJ GRY KOMPUTEROWEJ WPROWADZA SIĘ DO POSIADŁOŚCI W LOWENSPORT

Niech to szlag, pomyślał, lecz nie wyprowadziło go to z równowagi na tyle, by nie potrafił utrzymać przyjacielskiego tonu.

- Doceniam to, Asher. Wygląda na to, że czeka mnie niezła lektura.

- Baw się dobrze - powiedział Lowen, popędzając swoją żonę. - No i chciałbym powitać cię w tym domu raz jeszcze!

Seth podniósł koszyk.

- Dzięki ogromne. Do zobaczenia niedługo.

Lowen rzucił mu na pożegnanie uśmiech i odjechał.

Strasznie miły facet, pomyślał Seth. Tylko żona nieco dziwna... Zabrał koszyk, pocztę i gazetę z powrotem do środka. Gdy wszedł do domu, usłyszał dochodzący z góry dźwięk lecącej z prysznica wody.

No to zaraz się nasłucham, pomyślał, przeglądając artykuł, niech no tylko to przeczyta...

W artykule wymieniono ich oboje z imienia i nazwiska, lecz większość tekstu traktowała o sukcesie gry zaprojektowanej przez Seta. Pojedynczy akapit dotyczył Lowen House, a rok 1844 podano jako datę ukończenia budowy. Kilka ostatnich linijek

poświęcono zbliżającym się zbiorom prosa i budowie generatora gazowego. Najwyraźniej planowane zniwa były istnym błogosławieństwem dla podupadającej gospodarki tego regionu. Seth przewrócił kartkę, przeczytał widniejący na samej górze następnej strony nagłówek i westchnął.

Brzmiał on:

PAROWIEC Z CZASÓW WOJNY SECESYJNEJ ZNALEZIONY NA  
TERENIE NALEŻĄCYM DO CELEBRYTY

**(III)**

- Powinno pójść łatwo, jeśli robole skończą tak jak wczoraj - powiedział D-Man.

Przez lornetkę obserwował ekipę sześciu, może ośmiu pracujących mężczyzn i jakiegoś kolesia w białej koszuli, który zapewne był ich szefem. Przyczaili się jakieś pół mili od nich, słyszeli doskonale warkot koparki i innych sprzętów.

- No tak, ale jeśli ktoś nas zobaczy? - zapytał, o dziwo, przytomnie Świrus. - Wypatrzy nasz samochód i wezwie gliny?

Zaparkowali swoją furgonetkę na niewielkiej polanie, pomiędzy drzewami.

D-Man pokręcił głową.

- Masz gównem zamiast mózgu! Przecież sprzedajemy dragi glinom! Dlatego nas kryją! I nikt nas nie zobaczy, bo schowamy furę w tym trawsku.

- No, skoro tak... - Świrus wrócił do skręcania jointa.

Co za wieśniak, stwierdził D-Man i dostroił lornetkę.

- A skoro już jesteśmy przy glinach... Dzwonił do mnie Rosh.

- Tak? Następna wymiana chyba dopiero za kilka dni.

- Chodzi o coś innego. Mówi, że może nagra nam jakąś nową robotę.

Świrus skrzywił się.

- Kurwa, człowieku. Oby nie taką jatkę jak na Pine Drive. - Nagle, pomimo haju, Świrus spoważniał, a na jego twarzy zagościł strach. - Naprawdę sram od tego w gacie, nie chcę już takich fuch.

- Ja też nie - odparł D-Man i wbił mocno paluch w ramię Świrusa.

- Ała!

- Ale i tak będziemy brać takie robótki, bo taki urok naszego fachu, i nie chcę zapierdalać z mopem za siedem baksów na godzinę. Kapujesz?

- No kapuję...

- Poza tym, Rosh mówił, że nie mamy nikogo sprzątnąć, a tylko posprzątać.

Świrus wyraźnie się zrelaksował.

- A, to co innego. Mogę w tym pogrzebać. - Świrus zamilkł na dłuższą chwilę i wybuchnął śmiechem. - Łapiesz? Pogrzebać?

D-Man skrzywił się.

- Stul ryj, naćpany psycholu - rzucił i znowu spojrzął przez lornetkę.

Zdażył już wszystko przemyśleć. Będą potrzebowali kilku wózków. Ponoć są cztery, więc zmieszczą się w vanie. Z miejsca, w którym zaparkowali, widział nawet kawałek odkopanego parowca.

Poczekamy, aż się ściemni, wywozimy dziadostwo i w długą...

W przeżartym mózgu Świrusa coś zaiskrzyło i zrodziła się

kolejna konstruktywna myśl.

- Ej, a jeśli tego szajsu nie ma na statku?

- To już nie nasz problem.

- A jak postawią ciecia?

- Wczoraj nie postawili, więc jeśli dzisiaj postawią - D-Man wzruszył ramionami - to walniemy chłopa w łeb i do piachu, jak będzie trzeba.

- Dobra - zgodził się Świrus, zaciągnął się skrętem raz jeszcze i kaszlnął.

Debil powinien przestawić się na browar, pomyślał D-Man, jak ja. To gówno rozmiękcza mu mózg. D-Man nie mógł jednak poświęcić swojemu koledze ani jednej myśli więcej, bowiem jego uwagę przyciągnęło coś, co zobaczył przez lornetkę. Poprawił ostrość.

- Jedyne, o co musimy się martwić, to właściciel.

- Jaki właściciel?

- Jezu Chryste, czy słuchasz tego, co do ciebie mówię? Jak powiedział nam stary: właściciel może rościć sobie prawo do wszystkiego, co znajduje się na statku.

- Kto jest właści... A, ten koleś z zielonego auta.

- Ano - syknął D-Man. - Nazywa się Seth Kohn i, jak powiedział stary... Nosz kurwa, Świrus, czy ty w ogóle przeczytałeś ten artykuł z gazety?

- No, tu ten bogaty jest - wymamrotał Świrus.

- Ta. Koleś dopiero co wprowadził się do Lowen House, mieszka z tamtą laską, co miała cycki jak wory z mąką. O niego musimy się martwić. Jeśli wykopie te beczki przed nami, jesteśmy udupieni.

Los obdarzył Świrusa kolejną błyskotliwą myślą. Być może

dzięki marihuanie jednak myślało mu się lepiej.

- Na chuj mu to? Facet jest milionerem .Po kiego mu gruda gliny?

D-Man nie odrywał wzroku od ekipy.

- Miejmy nadzieję, że po nic.

## (IV)

- Daj mi chwilę - rzuciła zniecierpliwiona. - Cholera! Nie wiem, w co się ubrać.

Judy stała nago przed lustrem, trzymając przed sobą dwie letnie sukienki.

Seth leżał na łóżku i czekał.

- Nie idziemy przecież do Four Seasons, tylko oglądać dziurę w ziemi. - Seth przełknął ślinę, podniecony widokiem; nawet po roku wspólnego życia czuł się podekscytowany jej nagością, jakby widział ją po raz pierwszy. - Tak czy inaczej, nie śpiesz się.

Uśmiechnęła się, widząc, że utkwiał w niej wzrok.

- Skończ z kosmatymi myślami, bo nigdy tam nie dojedziemy.

Uznali, że pojedą na teren wykopalisk, aby zobaczyć, jak idą prace. Wcześniej Judy przeczytała artykuł w gazecie, który zdumiał ją bardziej niż Seta.

- Kurczę, w całym tym rejewachu zupełnie o tym zapomniałam - powiedziała.

- Ja również. A zgodzisz się chyba, że trudno zapomnieć o zakopanym na twojej ziemi parowcu, który tkwi tak od przeszło stu lat. Sądzę, że zapomniałem o tym dlatego, że w sumie mam to gdzieś.

- Daj spokój, to interesujące - rzuciła Judy, nadal zastanawiając się, którą sukienkę ubrać.

Nie tak interesujące, jak twoje ciało, pomyślał.

- Nieźle, że wspomnieli nas z nazwiska w tych artykułach - dodała.

- Moje rozumem - powiedział Seth - ale nie mam pojęcia, jak dotarli do twojego.

- Dzisiaj łatwo coś znaleźć. Samochód jest zarejestrowany na nas, a już zmieniałeś tablice w urzędzie, więc sam wiesz. Każdego można znaleźć w ten sposób.

Seth uśmiechnął się.

- Wygląda mi to na naruszenie prywatności.

- Bo tak chyba jest w istocie, ale gość od artykułu rozpląwa się w zachwytach nad tobą, co może wspomóc nieco sprzedaż Domu.

- Nie pomyślałem o tym.

- A o mnie napisali jedynie, że wykładałam na FSU. - Przerwała, jakby nagle się czegoś wystraszyła. - Cieszę się, że ten reporter nie dotarł do akt sądowych.

- Aha. Ciebie zamknęli za prochy, mnie za jazdę po pijaku. - Seth zaśmiał się sardonicznie.

- To na pewno spodobałoby się rabbiemu Lowenowi.

- Bardzo miło z jego strony, że przywiózł nam ten kosz ze smakołykami.

- Zgadzam się. Myślę, że powinniśmy pojechać do Lowensport na kilka dni i zabrać go oraz jego żonę na kolację.

- Dobry pomysł. A jaki on w ogóle jest?

- Wydawał mi się sympatyczny, szczery. Nieco dziwnie się ubrał, jak kwakier albo amisz.

Tylko że oni nie noszą jarmułek. Za to jego żona jest jakaś

dziwna. Nie odezwała się praktycznie ani słowem.

- No wiesz. Ludzie ze wsi nadal istnieją.

Nareszcie zdecydowała się, co na siebie włożyć: jeansowe szorty i koszulkę FSU.

- Cholera, koniec pokazu?

- Kolejny będzie w nocy. - Zachichotała, zakładając bieliznę i szorty, a następnie koszulkę.

- Bez stanika? - zapytał Seth.

- Daj spokój, jest lipiec.

- Nie chciałbym, żeby robotnicy gapili ci się na cycki. Już listonosz zobaczył za dużo.

- Dobra, dobra. - Założyła biustonosz, aby zadowolić Seta.

- Chodźmy już. Umieram z ciekawości.

Zeszli na dół. Judy wzięła aparat, Seth zgarnął klucze i komórkę. Oboje jednocześnie wyrzeli przez okno, zobaczyli bowiem jadącą w stronę domu ciężarówkę, której silnik ogłuszająco warczał.

- Co to? - zapytała Judy. - Śmieciarka?

- Na to wygląda - powiedział Seth.

Zadzwoiła jego komórka, wyjął ją z kieszeni i odebrał. W tym czasie Judy podeszła do okna.

- Halo?

- Pan Kohn? Mówi Hovis z departamentu rolnictwa...

- O, dzień dobry. Właśnie mieliśmy jechać do pana i ekipy...

Judy przerwała mu rozmowę: - Seth, jakaś zajebiste wielka ciężarówka parkuje przed naszym domem!

- Proszę się nie fatygować, panie Kohn - powiedział Hovis. - Podjechaliśmy przed pański dom, możemy się tam spotkać?

Seth rozłączył się.

Co, do diabła!

Wyszli z Judy na ganek i gapili się bez słowa na wielką ciężarówkę z płaską naczepą, która zaparkowała na ich podwórku. Za nią jechało kilka pickupów wypakowanych robotnikami.

Kolumnę zamykało służbowe auto Hovisa.

- Czy to...

- Wygląda mi to na beczki - powiedział Seth i trafił w sedno.

Na ciężarówkę załadowano jakiś tuzin drewnianych beczek.

Zanim Seth i Judy zdążyli zejść z ganku, kilku dziarskich robotników rozładowywało beczki z naczepy i stawiało je na podwórzu.

Hovis pomachał im ręką; w drugiej trzymał notatnik.

- Dzień dobry. Chcieliśmy jedynie poinformować państwa, że parowiec Wegener został odkopany.

- Dobra, ale - Seth pokazał na wyładowywane beczki - co to ma znaczyć?

Hovis spojrzał na niego, jakby nie działo się nic niezwykłego.

- To, panie Kohn, ładunek, który przewoził Wegener. Dziesięć beczek.

- No ale czemu stawiacie mi je na podwórku?

Hovis zaczął bazgrolić w swoim notatniku.

- Bo z prawnego punktu widzenia to pańska własność, zresztą mój zwierzchnik wszystko panu dokładnie wyjaśni, lecz to jest tak, że każda rzecz, nawet prywatna, pozostawiona na czyimś terenie przechodzi na własność właściciela tego terenu, jeśli pierwotny właściciel się po tę rzecz nie zgłosi.

Zaintrygowana Judy podeszła do beczek. Seth był jednak nieco mniej zaciekawiony.



- Dziesięć beczek? Nie chcę ich, panie Hovis.

- No cóż, należą do pana. Urząd miał obowiązek dostarczyć je panu, bowiem zostały znalezione w jednostce pływającej należącej do państwa. Czyli... - Hovis zawiesił głos, spojrzał wymownie na Setha i powiedział: - Jeśli będzie pan chciał się ich pozbyć, musi pan wynająć w tym celu prywatną firmę.

Seth nadal nie wiedział, jak zareagować na widok robotników uwijających się przy beczkach.

- Bo sam statek to inna sprawa - ciągnął monotonie Hovis.

- Należał do państwa, a dokładniej do Wydziału Portowego Baltimore, tak mówią dokumenty z 1880 roku. To znaczy, że nadal należy do państwa. Komisja Historyczna Stanu Maryland chce przejąć łódź ze względu na znajdujący się tam sprzęt, głównie to, co zamontowano w sterówce, kotwice i piec. Lecz wszystko, co jest wewnątrz parowca - Hovis machnął dłonią w kierunku ubłoconych beczek - jest pańskie.

Wielkie dzięki, pomyślał Seth.

Podbiegła do niego Judy, uśmiechając się od ucha do ucha.

- To wszystko nasze, Seth! Ale super!

- Cieszę się, że tak myślisz - powiedział Seth - bo mamy dziesięć cholernych beczek na naszym podwórku. Teraz musimy się ich pozbyć.

- Pozbyć? Czyś ty zwariował?

- Nie wiemy, co jest w beczkach, panie Kohn - wtrącił się Hovis.

- Może nic wartościowego, a może...

- Rzeczy warte fortunę dla muzeów albo kolekcjonerów! - ucieszyła się Judy. - To nie są żadne śmieci, Seth. To kawał historii.

Hovis uśmiechnął się.

- Nie liczyłbym na złoto albo zaginione klejnoty, ale nigdy nic nie wiadomo.

Seth skrzywił się. Robotnicy zbierali się do odjazdu.

- Pewnie w beczkach znajdziemy zapleśniałą mąkę, ziarna i jakieś zepsute jedzenie.

- Może tak - powiedziała Judy i złapała go za ramię - a może nie!

Nie mogę zostawić tej kupy gówna na moim podwórku! - krzyczał w myślach Seth.

- To może do piwnicy? - zasugerowała Judy. - Postawimy je tam i pootwieramy jedną po drugiej.

Seth podszedł do najbliższej beczki. Złapał za wieko, lecz nie dał rady go unieść.

- Projektuję gry, a nie jeżdżę wózkiem widłowym. To waży chyba tonę!

- Standardowych rozmiarów beczki służące do transportu wodnego ważą około trzystu funtów z ładunkiem płynnym. Jeśli chodzi o ładunek stały waga zależna jest od wagi zawartości.

Seth zwiesił ramiona i rzucił Hovisowi bezradne spojrzenie.

- Nie sądzę, żeby pańscy ludzie mogli przenieść te beczki do naszej piwnicy?

- Moi ludzie mogą zrobić to z łatwością, panie Kohn, ale to pracownicy państwowi, pracują w wyznaczonych godzinach - odparł Hovis i uniósł przy tym brwi.

- A może mogą przez parę minut popracować dla mnie? - zaproponował Seth. - Za, powiedzmy, stówkę na głowę?

- No nie wiem...

- Załadunek zabierze im dziesięć minut; kolejnych piętnaście zanieśenie ich do piwnicy.

- Stówka na głowę, pan mówi?
  - I, oczywiście, dla pana.
- Hovis odwrócił się i gwizdnął.
- Chłopaki! To jeszcze nie koniec na dzisiaj...

...

Seth, Judy i Hovis stanęli z boku i patrzyli, jak robotnicy przewożą na wózkach beczki. Do piwnicy prowadziły stare zapadome drzwi. Kilku mężczyzn zaczęło znosić beczki po schodach na dół.

Dobrze, że chociaż Judy bawi ta sprawa, pomyślał, zgaduję, że będzie miała dzięki temu co robić przez następny tydzień.

Jeśli zaś chodziło o niego, sam zaczynał być ciekaw, co znajduje się w beczkach.

Judy postukała w jedną z nich, zdziwiona, że zawartość zdaje się wypełniać całą objętość beczki.

- Niesamowite, że wytrzymały tak długo. Musiały być przecież mokre.

- Właściwie to niekoniecznie - powiedział Hovis. - Wierzcie państwo lub nie, ale ładownia była nietknięta. Drzwi nadal trzymały się w zawiasach, okna we framugach. Specjalista, z którym rozmawiałem, powiedział, że najprawdopodobniej koryto rzeki wyschło bezpośrednio po trzęsieniu, więc statek nie został zalany wodą, a spoczął na dnie, gdy obniżył się poziom wody.

Seth nie mógł tego rozgryźć.

- To w ogóle w jaki sposób ten statek znalazł się w ziemi?
- Aktywność sejsmiczna - rzuciła Judy, ledwie słuchając, co mówią. - Zdarza się. Trzęsienia zmieniają bieg rzek, w tym

przypadku akurat tej części, w której znajdował się statek, i w ten sposób parowiec utknął w mule. Kolejne wstrząsy sprawiły, że koryto zostało zasypane, ze statkiem w środku. No i dlatego znalazł się pod ziemią, przykryty piachem i mułem.

Hovis przytaknął.

- Mniej więcej to powiedział ten mój specjalista. Zna się pani na trzęsieniach ziemi?

- Nie, po prostu spotykałam się kiedyś z facetem, który wykładał sejsmologię.

Seth przewrócił oczami.

- W każdym razie - Judy przesunęła palcami po wieku jednej z beczek - to zrozumiałe, że drewno nie zawilgotniało, gdyż było w stosunkowo suchym środowisku przez te wszystkie lata.

Hovis przypomniał sobie o czymś.

- Aha, jedna z beczek okazała się uszkodzona, moja ekipa chyba jeszcze jej nie przyniosła. -

Rozejrzał się wokół. - A jednak jest!

Podeszli do beczki; Seth zauważył, że nie ma na niej wieka. Nie wyglądała, jakby ktoś użył siły do jej otwarcia, choć dostrzegł odłupany kawałek drewna, lecz zawartość pozostała w środku.

- To wygląda jak ślad po uderzeniu siekierą - powiedział.

- Też tak sądzimy - odparł Hovis.

- Tak, ale co jest w środku? - Judy dotknęła delikatnie palcami tego, co było wewnątrz beczki.

- Może wapno - zgadywał Seth - które skawaliło się od wilgoci.

Spojrzał do środka beczki i dodał: - Albo błoto. Na pewno. Nie było wieka, więc do środka naleciały woda i muł.

Hovis pokręcił głową.

- Ładownia była na tyle szczelna, panie Kohn, że do środka nie

dostało się wiele błota. Jeśli do jednej beczki dostałoby się błoto, inne byłyby nim umazane. Znaleźliśmy nienaruszone papiery przewozowe, lecz nie znaleźliśmy tam informacji na temat ładunku. Przejrzeliśmy jednak dokumentację znajdującą się w Muzeum Portowym w Baltimore i wiemy, że Wegener płynął do Lowensport, gdy dopadło go trzęsienie, wiemy też, że beczki pochodzą z Pragi.

- Czechy - wymamrotał Seth. - Skarbie, jak myślisz, co to takiego?

Judy wciągnęła powietrze, teatralnym gestem zasłoniła oczy i powiedziała: - Mam wizję! Wiem, co jest w beczkach! To... To... glina!

- Glina? - zdziwił się Seth.

- Nie mówi pani serio o tej wizji, co?

Judy zaśmiała się.

- Nie, przeczytałam napis na beczce - pokazała na nabazgrane ołówkiem litery, które odcinały się na tle ciemnego drewna.

Hovis spojrział na beczkę i wymamrotał pod nosem nieznanemu słowo: - Hlina?

Nieźle, pomyślał Seth.

- Judy potrafi mówić po czesku. I w kilku innych językach.

- A Hlina, panie Hovis, to po naszymu glina. - Promieniała ze szczęścia.

Na Hovisie zrobiło to wielkie wrażenie, zaś Seth nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

- Nie wiem, czemu ktoś z Lowensport miałby zamawiać glinę.

- Roboty murarskie, garncarstwo - powiedziała Judy.

- No tak...

- A tutaj - dotknęła beczki obok i wypowiedziała obco brzmiące

słowo widniejące na słabo widocznej już nalepce - marmorovy.

- Mam przeczucie, że nie chodzi o sztabki złota - rzucił z przekąsem Seth.

- To znaczy marmur - wyjaśniła Judy i pokazała kolejną beczkę, z napisem NADOBI. - Tam są talerze, w innych jeszcze więcej gliny, a napisów z niektórych nie potrafię odczytać. Nie mogę się doczekać, kiedy to otworzymy!

Uśmiechnęła się szeroko do Seta.

Świetnie, pomyślał, bo to ty będziesz to robić, a nie ja. Mam robotę do wykonania!

Kiedy tylko ostatnia beczka pojawiła się w piwnicy, wypisał wszystkim robotnikom czeki.

Hovis wziął je od niego.

- Dziękuję, panie Kohn. Jeśli to nie problem, proszę do mnie zadzwonić. Sam jestem ciekaw, co jest w środku.

- Oczywiście.

- Panie Hovis - powiedziała Judy - chciałam pana o coś zapytać.

Pokazała palcem w stronę drogi, gdzie zaczynała się ścieżka, którą zauważyli z okna sypialni.

- Co tam się dokładnie znajduje? Jakaś ścieżka?

- To droga serwisowa - odparł Hovis. - Przecina pole na całej długości w milowych odstępach. Jeśli spojrzeliby państwo na ten teren z lotu ptaka, zobaczyliby państwo wszystko bardzo dokładnie. Ścieżki mają szerokość dziesięciu stóp, aby ludzie wraz ze sprzętem mieli łatwy dostęp do zaworów irygacyjnych i aby móc sprawdzić jakość upraw w różnych częściach pola.

- Aha, to ma sens - przytaknęła Judy. - Domyślaliśmy się, że to coś podobnego.

Zauważyliśmy też okrągłą polanę na wschodzie, jakieś pół mili

stąd.

- Kolejna znajduje się jeszcze dalej.

Hovis pokiwał głową.

- A tak, jest kilka takich prześwitów, większość z nich to cmentarze.

- Cmentarze - powtórzył Seth.

- Straszne i wspaniałe zarazem! - ucieszyła się Judy.

- Niektóre są bardzo stare - ciągnął Hovis. - A jeśli chcecie iść je zwiedzić, zalecałbym ostrożność. Do większości z nich nie dojadą państwo drogami serwisowymi, wiodą tam jedynie mało widoczne dróżki. I warto też pamiętać o nałożeniu wysokich butów.

- Kleszcze? - zgadywała Judy.

- I węże.

- Nie będziemy tam chodzić, panie Hovis - zapewnił go Seth.

- Są u nas mokasyny, a nawet grzechotniki - kontynuował Hovis - ale zazwyczaj trzymają się lasów. Uważajcie jednak, w trawach roi się tam od heterodonów i węży smugowych.

- Nie są jadowite - wyjaśniła Judy - lecz gryzą tak cholernie boleśnie, że można się posikać, no i roznoszą tężec.

- Dokładnie.

- Jak już mówiłem - wtrącił się Seth - nie mamy zamiaru tam łązić.

- Ależ możecie, po prostu bądźcie ostrożni.

Robotnicy skończyli z beczkami i udali się w stronę swoich aut.

- Miłego dnia państwu życzę - powiedział na odchodne Hovis.

- Panu również - odpowiedziała Judy.

Nagle Sethowi przyszło do głowy coś oczywistego.

- Panie Hovis, zapomniałem pana o to wcześniej zapytać. Co się

stało z załogą parowca?

Hovis skrzywił się.

- Nie chciałem opowiadać państwu takich okropności, panie Kohn, lecz znaleźliśmy załogę Wegenera, choć powinienem raczej powiedzieć: ich szkielety.

Seth i Judy spojrzeli po sobie.

- Kapitanem statku był Irlandczyk o nazwisku Michael McQuinn. Na pokładzie miał dwóch imigrantów z Czech.

- Szkoda - powiedział Seth. - Nie udało im się uciec ze statku.

Hovis niechętnie ciągnął dalej swoją opowieść: - O ile nam wiadomo, dwójka z nich zmarła jeszcze przed trzęsieniem.

- Na jakiej podstawie to stwierdziliście? - zapytała Judy.

- Wygląda na to, że zostali zamordowani za pomocą siekiery... Prawdopodobnie tej samej, której użyto do podważenia wieka beczki z gliną - mówił Hovis. - Trzeci szkielet został znaleziony wewnątrz ładowni, z rękoma zaciśniętymi na trzonku siekiery...



# ROZDZIAŁ CZWARTY

LIPIEC 1880

## (I)

Kiedy Henry Bozman odzyskał przytomność, jego głowa pulsowała tępym bólem.

Co się, do cholery, dzieje?

Mrugnął, aby przegonić mroczki majaczące mu przed oczami, i rozejrzał się.

Gdzie ja, u diabła, jestem! Nigdy wcześniej nie widziałem tego pokoju.

To prawda; Henry Bozman nigdy wcześniej nie widział tego pokoju, bo nigdy wcześniej nie był w domu założyciela Lowensport, rabiego Gavriela Lowena.

Wczorajszej nocy podłożył ogień w dokach niedaleko tartaku i dzisiaj miał zamiar zrobić to samo, lecz...

Musieli mnie nakryć, pomyślał.

Mikre światło świecy tańczyło na ścianach; drewno trzaskało w wielkim, szerokim kominku, którego palenisko było niemal tak długie, jak sama ściana. W pomieszczeniu nie było nikogo.

Do cholery z tym, Bozman wreszcie się pozbierał i spróbował wstać, lecz zobaczył, że jest przywiązany do krzesła.

Zmrużył oczy i zauważył wiszący nad ogniem kocioł.

Otworzyły się drzwi i cień przemknął przez pokój, lecz Bozman nie widział, kto to taki.

- Gdzie ja jestem?

Jego głos poniósł się echem, aż wreszcie Bozman usłyszał odpowiedź: - W wyjątkowym miejscu. Niewielu gojów miało okazje je oglądać.

- Rozwiąż mnie! Nie masz prawa mnie tutaj trzymać!

- Mam wszelkie prawo - odparł mężczyzna i zbliżył się o krok.

Wiedziałem, pomyślał Bozman.

Jego gospodarzem był Gavriel Lowen.

- Nazywasz się Henry Bozman i pracujesz dla Connera. Czasem też dla niego zabijasz.

- Nigdy nikogo nie zabiłem! - skłamał Bozman.

- A ostatniej nocy spaliłeś jeden z moich doków.

- To fałszywe oskarżenia! Wy, Żydzi, po prostu nienawidzicie chrześcijan!

- Zapewne dlatego czcigodny pan Conner odrzucił moją ofertę

- zaśmiał się Lowen.

- Jaką ofertę?

- Zaproponowałem całemu klanowi pracę przy wyrębie drzew. Mój tartak przynosi większy dochód niż wytwarzanie węgla drzewnego. Oferowałem dwadzieścia osiem dolarów miesięcznie na głowę.

Nawet w swojej obecnej, nie najlepszej sytuacji Bozman zainteresował się tymi słowami.

Conner płaci mi tylko dwadzieścia...

- I on to odrzucił?

- Zgadza się, panie Bozman. Powiedział, że prędeziej umrze z głodu, niż zacznie pracę dla Żyda.

Pewnie kłamie, tłumaczył sobie Bozman.

- Dochodzimy tutaj do kolejnego problemu: do pana. - Rozwiąż

mnie, do cholery! To nielegalne. Znam szeryfa z miasta obok i, jak mi Bóg miły, walczyłem na wojnie.

- Zdezercerował pan, panie Bozman. - Lowen zaśmiał się ponownie. - Chyba się pan zgodzi, że to zachowanie, które nie przystoi bohaterowi wojennemu.

Skąd ten Żyd o tym wie? - zastanawiał się Bozman.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Nie spaliłem żadnego doku.

- A jednak Zemu'im mówi mi co innego.

- Kto?

- Coś, co kryje się od dawna w tajemnicach Zewu Pieczęci. Coś, co nigdy nie kłamie -oznajmił Lowen, zdjął kocioł znad ognia i szczypcami uchylił wieko.

Buchnęła para, nozdrza Bozmana zaatakował smród gotowanego mięsa.

Lowen zamknął oczy i zaciągnął się parą. Kiedy je otworzył, spojrzał pustym wzrokiem na Bozmana.

- Henry Bozman. Zdezercerował pan z Kompanii K w 1862 roku wraz z Williamem Tullem i Thomasem Parkerem. Kiedy prawdziwi mężczyźni ginęli w walce przeciwko Konfederatom, pan dołączył do klanu Connera...

Bozman gapił się na niego z niedowierzaniem. Skąd on...

- No i zgwałcił pan trzy kobiety z Lowensport. Ta trzecia, Jana Złato, właściwie nie była jeszcze kobietą, miała zaledwie jedenaście lat.

Bozman przełknął ślinę.

- Ostatniej nocy podłożył pan ogień w doku za pomocą puszek z naftą, którą ukradł pan Silahowi Srencowi.

Bozman zadrżał, aż mu z nosa poszło.

- Skąd możesz o tym wszystkim wiedzieć, wdychając parę?

- Wiem, bo Zemi'um Wielkiego Króla mi o tym mówi.

- O czym ty mówisz? Co to za czary? Żydowska czarna magia!

Lowen wydawał się coraz bardziej rozbawiony.

- Nie, panie Bozman. To wiara, a mam wrażenie, że panu wiary brakuje.

Bozmanowi zrobiło się niedobrze, lecz tracąc w całej tej sytuacji rezon, wyznał: - No dobra! I co z tego? Zrobiłem jeszcze więcej! I nie żałuję, bo to Żydzi robią pieniądze z naszej ziemi!

- Kupiłem tę ziemię, panie Bozman.

- W dupie mam układy, które zawarliście! I zabijacie naszych ludzi!

Lowen uśmiechnął się; połowę jego twarzy przykrył cień.

- Proszę pana...

- Polten i Corton to byli dobrzy ludzie! A wczoraj znaleźliśmy ich trupy w lesie!

- Może trudno będzie to panu uwierzyć, ale nie byli to dobrzy ludzie, a nawet nie byli ludźmi, tylko padalcami. Tak jak i pan; to złodzieje i gwałciciele.

- Przyznałeś się!

- Bo ja nie kłamię, panie Bozman - zaśmiał się Lowen.

- A teraz zniknęli dwaj inni od nas! Nickerson i Lem Yerby! Też ich zabiliście, co?

- Jest pan tego pewien? Właściwie to - Lowen stanął za Bozmanem - mogę pana do nich zabrać.

- Oni... Są tutaj?

- Są moimi gośćmi.

Ku swojemu przerażeniu, Bozman zorientował się, że krzesło, do którego został przywiązany, to właściwie wózek inwalidzki. Lowen zwolnił hamulec i popchnął go w stronę drzwi, którymi

tutaj wszedł. Koła jęknęły. Kiedy przejeżdżali obok gorejącego kominka, Bozman rzucił okiem do środka garnka: gotowała się w nim głowa jakiegoś kundla.

Odór bijący z naczynia sprawił, że Bozmanowi zakręciło się w głowie, ale zanim zdołał się nad czymkolwiek zastanowić, został wepchnięty w ciemność. Wąski pokój, do którego wjechali, oświetlały jedynie lampy naftowe i świecie. Bozman uznał, że jego wzrok jeszcze nie zdążył przyzwyczać się do mroku, bo wydało mu się, iż świecie płoną niebieskawym płomieniem.

Stanęli.

Bozman zobaczył wiszący na ścianie witraż, wielkości standardowego portretu. Na obrazie widniały dwa trójkąty złożone u podstawy; jeden z nich był odwrócony do góry nogami.

Dziwaczne litery wykaligrafowano przy wierzchołkach, a w centrum każdego z trójkątów namalowano twarz. Witraż ułożony był w ten sposób, że owe twarze były czarne, z wyjątkiem niebieskich, lśniących oczu.

Bozmana przeszły ciarki, kiedy to zobaczył...

- Widzi pan, że nie kłamałem, panie Bozman. Pańscy przyjaciele faktycznie tutaj są. Hiram Nickerson i Lemuel Yerby.

Bozman musiał odwrócić wzrok od makabrycznego widoku, który się przed nim roztaczał.

Na dwóch drewnianych stołach leżały rozłożone resztki tego, co niegdyś było ludźmi.

Zdarli z nich skórę! Bozmanowi zaczęło się kręcić w głowie.

Do kości nadal przyczepione były resztki mięsa, w niektórych miejscach wyraźnie nadpalone. Skóra została zdrapana z ich twarzy, zostawiono jednak włosy i genitalia. Bozman nie

rozumiał, czemu przy stołach stali dwaj mężczyźni. Co tutaj robili?

Na poustawianych wzdłuż ścian regałach stały kubły, z których obaj mężczyźni nabierali jakiejś lepkiej, wilgotnej substancji - wyglądała jak błoto.

Potem nakładali błotnisty szlam na obdarte ze skóry ciała.

Lowen wydawał się zaniepokojony; podszedł do swoich ludzi odprawiających krwawy rytuał.

- Ahron, jesteś pewien, że to wystarczy?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- To aż nazbyt, Gaonie. Upakowaliśmy glinę bardzo starannie. Nawet nam zostanie.

- Doskonale - szepnął Gaon.

Odezwał się też trzeci człowiek: - Dzięki temu możemy nałożyć więcej na stawy.

Lowen westchnął, zachwycony. Szepnął coś w języku, którego Bozman nie rozumiał, a potem powiedział: - S'mol jest z nami, nasz król i wybawiciel...

- Amen - odparli pozostali z opuszczonymi głowami i powrócili do swojego zajęcia.

Bozman zaczął łkać, bo choć nie wiedział, cóż to za szatańskie praktyki, mógł jedynie podejrzewać, że spotka go to samo.

- Na niebiosa...

- Niebiosa nie mają z tym nic wspólnego, panie Bozman. Raczej Dziesięć Piekieł, lustrzanych odbić Dziesięciu Emanacji...

Bozmana nie czekał jednak ten sam los, los, którego tak się obawiał. Lowen zaprowadził go z powrotem do pokoju, w którym się ocknął.

- Nie! - krzyknął Bozman.

Rabbi Lowen wepchnął go prosto w palenisko. Bozman upadł twarzą w żar.

## (II)

- Czego wy ode mnie chcecie? - zapytała rudowłosa kobieta z szyderczym uśmiechem.

ŁUP!

Rosh uderzył ją prosto w twarz.

Kobieta jęknęła i zasłoniła się dłońmi.

Siedzący na miejscu kierowcy policjant pogroził jej placem.

- Maniery, Carrie. Nie, czego wy chcecie, ale czego panowie sobie życzą. - Rosh spojrział na Steina, który siedział z tyłu.

- Wyobrażasz sobie, jacy ludzie dzisiaj potrafią być chamscy?

- Niewiarygodne, panie kapitanie.

- Mam nadzieję, że Carrie nauczy się podczas tego przesłuchania dobrych manier.

Carrie powoli opuściła ręce, odsłaniając załzawione oczy i różowiejący ślad po uderzeniu.

- Nie nazywam się Carrie.

- Naprawdę? - Rosh udał zdziwienie. - Nie jesteś Carrie Whitaker, alias Leń?

- Nie - odpowiedziała.

Rosh wziął do ręki kartkę z przesłaną faksem wiadomością i odczytał: - Whitaker, Carrie, pseudonim „Leń”. Dwadzieścia pięć lat, rude włosy, brązowe oczy.

Poszukiwana za trzy ucieczki przed organami ścigania, podejrzana o handel narkotykami, pełno mniejszych wykroczeń i napad z bronią w ręku w Jacksonville na Florydzie. - Pokazał

kobiecie zdjęcie. - Czy to nie ty, Carrie? Podczas napadu na sklep Circle K na Florydzie?

Carrie spojrzała ze strachem na fotografię.

- Nie.

- Sierżancie Stein? - Rosh pokazał mu zdjęcie. - Co pan myśli? Czy to nie nasza przyjaciółka?

- Tak jest, kapitanie.

- A tamten facet z tyłu w tych szerokich portach i czapeczce Red Sox to nikt inny jak Jary Robinson, czyli Jary, brat Caddy'ego, „Kapp” Robinson.

- Tak jest, kapitanie.

Nagle Carrie pobladła.

Rosh skrzyżował ramiona na piersi.

- No to co, Carrie? Możemy załatwić to sprawnie albo się trochę poszarpać. Wiemy, że jesteś laseczką Robinsonów, znanych jako Cracksonville Boyz... Cholera, Stein, mam już dość tych pieprzonych pseudonimów!

- Nic dziwnego, kapitanie.

Rosh spojrzał na wystraszoną dziewczynę. Niezła z niej sztuka... Spore piersi niemal wylewały się z jasnoróżowego, burdelowego topu.

- Wiemy, że hulasz z Robinsonami przynajmniej raz w miesiącu. I to mnie interesuje, Carrie. Pamiętaj, możemy załatwić to szybko albo się pobujać. Ściemniaj, a zarobisz. Ale jeśli odpowiesz szczerze na moje pytania, puszcę cię wolno.

Nawet zdając sobie sprawę z tego, że jest udupiona, nie odpuszczała: - Nigdy mnie nie puścicie, robicie sobie jaja.

Rosh wzruszył ramionami.

- Jesteś płotką, Carrie...



- Kapitanie! - zaprotestował Stein. - Niech pan uważa na słowa. Chciałby pan, żeby ktoś tak pana nazywał?

- Przepraszam, Carrie - zgrywał się Rosh. - Nie chciałem. Mam nadzieję, że te słowa nie obniżyły twojego poczucia własnej wartości ani nie przyprawiły cię o ból głowy. Chcę tylko Jary'ego „Kappa” Robinsona. Powiedz, gdzie jest, i możesz sobie iść.

Carrie pociągnęła nosem, napuchły jej oczy.

- Nie wiem, gdzie jest.

- Sierzancie Stein?

W mgnieniu oka Stein zarzucił na jej szyję skórzany pasek, który zacisnął, przekręcając policyjną pałkę, do której pasek był przywiązany. Carrie wystawiła język i wyprężyła się na siedzeniu. Z jej gardła wydobywały się charczące odgłosy.

- Czyli chcesz się z nami pobujać, Carrie? - zapytał Rosh, widząc, że twarz dziewczyny ciemnieje i puchnie.

Dał znak Steinowi, który poluzował pasek.

Carrie opadła na fotel, ze świstem wciągając powietrze.

- Uspokój się, Carrie. - Rosh gapił się na jej biust. - Masz nam coś do powiedzenia?

Kobieta wybuchnęła płaczem.

- Dobrze, powiem! Raz w miesiącu jeżdżę z nim do Jacksonville, gdzie zwijamy jakieś auto i dowozimy crack...

- Świetnie, świetnie! I o to chodzi! Mam jednak nadzieję, że masz nam coś więcej do zdradzenia. I nie gadaj, że Jary wyjechał z miasta, bo nie jest na tyle durny, aby się wychylać, skoro ktoś sprzątnął jego brata. Bo wiesz, że wczorajszej nocy ukatrupiono go na Pine Drive, co?

Przytaknęła.

- A Jary wie?

- Tak - wychrypiała. - On tam był...

Zaskoczony Rosh spojrzał na Steina.

- Carrie, czy ty chcesz powiedzieć, że Jary Kapp był na Pine Drive, kiedy ktoś sprzątnął jego brata i resztę ferajny?

Ponownie przytaknęła, pociągając nosem.

- Sierzancie Stein, jak powinno brzmieć następne pytanie?

- Nie wiem, kapitanie, jestem tylko sierżantem, ale wydaje mi się, że warto byłoby wiedzieć, czy Jary widział sprawców.

- Znakomicie! - wykrzyknął Rosh. - To co, Carrie? Czy Jary widział tych koleśi?

- Nie koleśi - powiedziała. - Powiedział, że był tylko jeden.

- No proszę bardzo. Jeden facet zabił tych wszystkich ludzi?

- Jary srał w majty, kiedy wrócił na chatę - odparła, wyraźnie wystraszona samym wspomnieniem. - I powiedział, że nigdy w życiu nie był tak przerażony.

- Dalej, dalej.

- Mówił, że wszedł do pokoju, bo usłyszał hałas, ale zobaczył, co się dzieje, i wyskoczył oknem.

- Szczęściarz!

- Nie zdołał się dobrze przyjrzeć, ale powiedział... Że to nie był facet.

Rosh i Stein zmarszczyli czoła.

- Koleś był kobietą? - zapytał Rosh.

- Nie - przełknęła ślinę. - To nie był człowiek... Tylko coś innego.

Rosh zastanowił się nad tym, co usłyszał, i powiedział: - Coś? Stein? Czy przypadkiem nie było takiego filmu?

- Pewnie, kapitanie, był.

- No to mamy sprawcę! - Rosh spojrzał na Carrie z uwagą. - Czy

to właśnie był zabójca?

Czy to było coś?

Carrie spojrzała na nich zdezorientowana; smarki leciały jej z nosa.

- Co? O czym wy mówicie?

Rosh wybuchnął śmiechem.

- Robimy sobie jaja, Carrie. Prawda jest taka, że gównu mnie obchodzi, kto wykosił te szumowiny, ważne, że Jary był przy tym obecny, ta informacja jest dla mnie istotna. I wiesz co, Carrie? Chcielibyśmy z nim pogadać. Pomożesz nam w tym? Oczywiście, możemy załatwić to po ludzku albo się pobujać.

Carrie powoli pokiwała głową.

- Niebieski dom w Chesapeake - powiedziała. - Tam jest melina, którą zajmujemy zawsze, jak przyjeżdżamy na Florydę. Jeden z ziomali Jary'ego mieszka tam z babcią.

- Bajecznie! A pamiętasz może adres, Carrie?

Dziewczyna podała im nazwę ulicy.

- Jesteś aniołem. - Rosh podniósł leżącą pomiędzy siedzeniami gazetę. - Zanim pójdziesz, chciałbym, abyś o czymś pomyślała, bo ta sprawa bardzo mnie zajmuje. Czytam sporo prasy i dowiedziałem się, że Kongres nie zezwoli na dalsze poszukiwania ropy w Zatoce Meksykańskiej.

Carrie spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

- Co?

- No tak, sama zobacz. Ameryka walczy z kryzysem paliwowym i stajemy się coraz bardziej zależni od zagranicznych źródeł, choć OPEC podnosi ceny. Jeśli zaczęlibyśmy wiercić w Zatoce, moglibyśmy odetchnąć z ulgą, no i więcej pieniędzy zostałoby u nas.

Carrie nadal chlipała w fotelu.

- Wali mnie to! Mielicie mnie puścić...

- I puścimy, ale ta kwestia naprawdę mnie nurtuje. - Rosh złożył gazetę. - A chcę przecież dla naszego kraju jak najlepiej, ty zapewne też. Ale w gazecie piszą, że Kongres nie pozwoli na odwierty, gdyż istnieje potencjalne zagrożenie środowiska, choć Stany Zjednoczone mają znakomite wyniki, jeśli chodzi o zachowanie wszystkich zasad bezpieczeństwa. I rzecz w tym, że my nie możemy tam wiercić, a wszyscy inni mogą, bo to wody międzynarodowe. Nadażasz, Carrie?

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - zawyła Carrie i rozplakała się.

- My nie, ale wszyscy inni taki - Rosh walnął pięścią w kierownicę. - Chińczycy tam wiercą, Rosjanie też! Nawet Niemcy i Francja, tak, Francja! I Dania! Jaki to ma sens! My nie możemy, ale oni tak? To oburzające!

Carrie spojrzała bojaźliwie na Steina.

- O czym... O czym on mówi?

- Nie mam pojęcia - przyznał Stein. - Czasem włącza mu się takie coś i nawija o ekonomii.

Rosh wydawał się oburzony.

- Martwię się o naszą politykę paliwową, przecież to, co robi Kongres, nie ma sensu.

Carrie drżała ze strachu.

- Wypuście mnie?

- Pewnie! Dzięki za współpracę, Carrie. - Rosh machnął ręką. - Idź sobie.

Stein zacisnął pasek na jej szyi.

- Albo jednak cię zajebujemy - dodał Rosh.

Oczy Carrie zdradzały, że czuje nadchodzącą śmierć. Wygięła się w fotelu, a jej twarz pociemniała. Stein przekręcił pałkę mocniej, skóra trzeszczała i wrzynała się głębiej w ciało dziewczyny. Z jej ust wypadł język.

Carrie wiła się w przedśmiertnych konwulsjach, a żyły na jej szyi pulsowały, jakby ktoś zaszył tam malutkie węże. Twarz kobiety zmieniała kolor z czerwonego na kasztanowy, a białka jej oczu zaszły krwią.

Wreszcie opadła na fotel.

- Przytrzymaj ją chwilę - powiedział Rosh. - Upewnijmy się, że nie żyje.

Stein z trudem przekręcił pałkę raz jeszcze.

Rosh przyłożył głowę do jej piersi.

- Okej, wykorkowała. Dobra robota.

Kiedy Stein zdejmował pasek z szyi Carrie, Rosh, nie zastanawiając się wiele, podwinął różowy top martwej dziewczyny i zaczął dotykać jej piersi.

- Jezu! - powiedział Stein. - Macasz trupa! Rosh parsknął.

- Komuś się dzieje krzywda? Przecież nie narzeka.

Stein westchnął.

- Jesteś mocno pojebany.

Rosh odwrócił głowę i spojrzał na Steina.

- Jesteście mocno pojebani, kapitanie.

- No! - Rosh włączył silnik. - A teraz zadzwoń do D-Mana i Świrusa, niech wezmą ją i gdzieś zakopią...

### (III)

Seth ruszył w stronę Gały, nacisnął spację i patrzył, jak obrzydliwa, poznaczona siatką żył powieka unosi się do góry z mokrym plaśnięciem.

Drzwi prowadzące do Zaworu Sercowego stały otworem. Seth przebiegł przez nie i wspiął się po Kościanej Drabinie.

Skalpelem rozciął Wodną Cystę, zabrał kolejną część Zbroi Antygenowej i Kulę Trombocytów, która podniosła poziom jego energii do stu procent. Teraz musi jedynie dostać się do Kanałów Kwasu Żołądkowego i pokonać przerażającego Mięsoluda...

- Nieźle - powiedział sam do siebie.

Potarł oczy i odepchnął swoje obrotowe krzesło od biurka, na który stał monitor LCD.

Drugi poziom wersji beta Domu z Mięsa i Kości II wydawał się wystarczająco zróżnicowany i nie za trudny, a grafika była dopracowana w najmniejszych szczegółach, no i uniknął pstrokaczny.

Zapisał stan gry i wyłączył komputer.

Nieźle jak na pół dnia pracy, pomyślał.

W chłodnym domu panowała cisza. Klimatyzacja działała jak marzenie, pomyślał, kiedy zobaczył na termometrze, że za oknem jest dziewięćdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheita. Zszedł na dół i przygotował dwie mrożone herbaty. Wyszedł z domu i skierował się w stronę piwnicy, gdzie Judy siedziała od rana.

Na dole panował gorąc jak w piecu, lecz przestał zwracać na to uwagę w momencie, kiedy zobaczył Judy. O mój Boże...

Aby uporać się z upałem, założyła swoje stare bikini.

- Herbata! - wykrzyknęła i położyła trzymany w ręce łom na jednej z beczek. - Ależ mam mądrego faceta.

Wzięła od niego herbatę i wychyliła połowę zawartości

szklanki jednym łykiem. Seth gapił się bezwstydnie na jej ciało, kiedy odchyliła głowę, przykładając krawędź naczynia do ust, drugą rękę opierając na biodrze. Każdy cal jej nagiej skóry błyszczał od potu, jakby wysmarowała się olejkami, zaś samo bikini, normalnie koloru jasnoniebieskiego, teraz było całe mokre, a przez to nabrało ciemniejszego odcienia.

- Jesteś cholernie seksowna w tym kostiumie, zlane potem.

- Cieszę się, że tak myślisz - dopiła herbatę i przyłożyła sobie zimną szklankę do czoła. - Bo czuję się raczej jak wieprz. Tutaj musi być ponad sto stopni. Sądziłam, że takie piwniczki miały być chłodniejsze.

- Nie w Maryland, nie w lipcu. Weź, potrzebujesz jej bardziej niż ja - powiedział Seth i podał jej drugą herbatę. - Wracaj zaraz na górę, nie chcę, żebyś nabawiła się tutaj jakiegoś udaru.

- Daj spokój, jestem dziewczyną z Florydy. Lubię gorąc...

Miał zaprotestować, ale zobaczył, że udało się jej otworzyć prawie wszystkie beczki.

- Unoszenie wiek ponad stuletnich beczek to niezłe ćwiczenie - zażartowała. - A uwierz mi, że nie odchodzą wcale tak łatwo. Chociaż poćwiczę ramiona.

- Świetnie, super i w ogóle, ale to nie o twoje ramiona się martwię.

- Coś ty dzisiaj taki zadziorny? - Zaśmiała się. - Tutaj też jest nasz dom. I możemy zrobić coś naprawdę szalonego. Na przykład seks na starych beczkach z Pragi.

- Nie kuś mnie - powiedział i podszedł do beczek.

Zajmowały jakąś połowę piwnicy; poza nimi wstawili tam jeszcze narzędzia ogrodnicze i kosiarkę, na której zakup nalegała Judy („Jak będę kosiła, to schudnę!”), oraz kanister z benzyną.

Sama piwnica nie była murowana, zbudowano ją tą samą techniką, co resztę domu, choć belki poukładano w pionie, a nie w poziomie, jak w samym domu. Podłoga była twardą, uklepaną ziemią.

Seth uniósł wieko jednej z beczek, a potem jeszcze innej - w obu znajdowała się glina.

- A gdzie ta z naczyniami?

Pokazała palcem jedną z beczek: - To coś więcej niż zwykłe naczynia.

- Poważnie? Coś wartościowego?

- Nie. Są pobite.

Seth zajrzał do środka i zobaczył pełno kawałków porcelany i słomę.

- Super. A co z marmurem? Stary marmur może być cenny dla kolekcjonerów.

- Pewnie, że jest. Lecz nie połamany.

Seth podniósł wieko beczki z napisem MARMOROVY i zobaczył, że wypełniona jest niemal po brzegi tysiącem niewielkich fragmentów marmuru.

- Jestem pewna, że sto lat gorących, letnich dni i mroźnych zim spowodowało, że marmur po prostu popękał - powiedziała Judy.

- Aha, w dwóch beczkach są narzędzia.

Seth zajrzał do wskazanych beczek. W jednej znajdowały się ostrzałki tak skorodowane, że rdza pękała niczym gryf od ołówka. Z drugiej wyciągnął coś wyglądającego jak cegielka z rdzy z dziurą w środku.

- Obuchy od młotków - rozpoznała Judy.

Nienadające się do niczego.

- To ja jestem obuchem, skoro zapłaciłem za ten szmelc. Czy



jest tutaj coś interesującego?

W końcu te beczki kosztowały kilkaset dolarów.

- Nic. Aha, mamy dwie beczki z uhliprach. - Kopnęła obutą w klapki nogą jedną ze stojących w rogu piwnicy beczek.

Seth spojrzał ciekawie do środka i zobaczył tam jedynie czarny proszek.

- Cóż to takiego?

- Miał węglowy.

- Po co ktoś miałby to kupować w Czechach?

- Trudno było wtedy dostać węgiel - odpowiedziała. - Dostarczano go do tego kupca, który dawał więcej, czyli do miast. Prowincjonalne miasteczka, takie jak Lowensport, nie były wysoko na liście priorytetów, mogły więc liczyć jedynie na szybkie dostawy łału. Dodawali do niego wodę i niewielkie ilości alkoholu metylowego i w ten sposób otrzymywali papkę, którą wykorzystali jako paliwo. Paliła się dość wolno i używano jej zamiast nafty.

Seth zaśmiał się, wyraźnie rozbawiony: - Połamane talerze, kawałki marmuru, pordzewiałe obuchy i ostrzałki, miał węglowy i glina.

To wszystko, co mamy?

- Zgadza się.

- Dziesięć beczek niczego.

- Może nie - powiedziała i podeszła szybkim krokiem do jednej z beczek. Przybiła do niej wieko. - Ta jest chyba najłżejsza.

- Co? - Seth nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Beczki pełne gliny są naprawdę ciężkie. Nie mam pojęcia, jak udało im się je tutaj wnieść tak szybko.

- Są młodymi, silnymi chłopakami, nie to, co ja. Możesz mi

wreszcie powiedzieć, o co ci chodzi?

Napięła mięśnie i naparła na beczkę, przesuwając ją o kilkadziesiąt centymetrów.

- Wiesz, spotykałam się kiedyś z takim facetem, który pisał książkę o rękodziele w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, głównie amerykańskim, ale też i zagranicznym. Jeśli więc mowa o rynku kolekcjonerskim, spróbuj sprzedać im piec Franklina, stare sanie albo taczkę. Nieźle chodzą również wczesne, amerykańskie kredensy, szczególnie, jeśli można zidentyfikować ich projektanta.

- Nie mamy nic takiego - powiedział Seth, pochłonięty myśleniem o jej ciele, a nie drogocennych meblach.

- Nie - zbeształa go - ale mamy bardzo stare beczki, prawdopodobnie praskie, w dobrym stanie. Bednarstwo, kochany, bednarstwo.

- Bednarstwo?

- Sztuka tworzenia beczek. Chodzi mi o to, że kolekcjonerzy kupują stare beczki, szczególnie jeśli mają autentyczne oznaczenia.

Seth spojrział na zakurzoną beczkę.

- Aha, czyli chcesz postawić ją dnem do góry, aby zobaczyć, czy ma oznaczenia?

- To może być cokolwiek. Napis, pieczęć, rycina - powiedziała, złapała metalową obręcz i popchnęła beczkę.

- Daj, ja to zrobię - rzucił Seth, chcąc dowieść swojej męskości.

Odsunął Judy na bok, sam objął beczkę, ledwie powstrzymał się od jęknięcia, podniósł ją, obrócił i położył na boku. Wyprostował się i mrugnął do Judy.

Podeksycytowana, uklękła obok beczki i zbadła dno.

- Seth! - krzyknęła. - Nie uwierzysz!

- Są oznaczenia?

Judy wstała i uśmiechnęła się do niego.

- Oczywiście, że nie.

- Zabawne, skarbie, naprawdę śmieszne. No to mamy jasność; beczki są bezwartościowe.

- Niekoniecznie. Napiszę e-maila do tego faceta, z którym się spotykałam, i zapytam go...

Seth westchnął.

- Proszę, daj sobie spokój. I tak jestem już wystarczająco niepewny swojej wartości.

Judy zaśmiała się.

- Jeśli chcesz wiedzieć, tylko raz uprawiałam z nim seks i było tak drętwo, że jak przyszłam do domu, musiałam chwycić za wibrator.

Seth poczuł się nieco lepiej, słysząc tę informację.

- I, Seth, pamiętaj, że bednarstwo było jednym z najważniejszych rzemiosł, do tego jednym z pierwszych, narodziło się już w epoce brązu. Niektóre z wczesnych narzędzi metalowych służyły do wyrobu beczek. Mówię tutaj o plemionach sprzed pięciu tysięcy lat.

Seth pokręcił głową.

- Naprawdę nie dajesz się zaszufładować.

- Słucham?

- Wykształcone laski są nudne i myszowate. Wręcz nie powinny mieć takich ciał.

- E tam - powiedziała, patrząc na siebie. - No i mam cellulit. I dobiegam czterdziestki. A to nieuchronne.

Seth podziwiał jej piękną sylwetkę.

- Judy. Jesteś piękna. Nie masz żadnego cellulitu. No okej, zbliżasz się do czterdziestki, ale wyglądasz o dziesięć lat młodziej. Masz wspaniałe ciało. Nie, lepsze niż wspaniałe.

- Czyli moje ciało jest wybitne?

Seth przewrócił oczami.

- Zgoda! Wybitne! Jesteś tak gorąca, jak kamień w ognisku.

- Ale to słodkie!

- Przestań więc gadać o byciu grubą!

- No wiem, że nie jestem gruba, ale byłam - powiedziała, masując sobie biodra wziętą ze szklanki kostką lodu. - Tego mi było trzeba w ten upał.

Seth dreptał w miejscu.

- Przestań, bo zejdem. Dobrze wiesz, że mam słabość do mokrej skóry.

Uśmiechnęła się do niego i podwinęła do góry biustonosz. Stała na palcach i przesunęła kostką lodu po swoim sutku.

- To nawet ma swoją nazwę. Ogólnie fetysze seksualne określamy mianem parafilii, a ten konkretny to chyba będzie... potofilia.

Seth usiadł na leżącej na boku beczce i zakrył twarz dłońmi.

- Boże, czy jest coś, czego nie wiesz? Mówisz po czesku, grecku, po łacinie i po hebrajsku.

- No i po staronordycku i scytyjsku - dodała.

- Wiesz wszystko o prosie różgowym, etanolu, biomasach, trzęsieniach ziemi, parowcach, fetyszach, bednarstwie, lampach naftowych i miałe węglowym.

- I paliwie z papki węglowej.

- I jesteś profesorem teologii.

- Teologii oraz teozofii - poprawiła go.

- Przy tobie czuję się jak kretyn.

- Niepotrzebnie. Po prostu dużo czytam.

Sutki Judy stwardniały pod wpływem lodu, spływała po nich zimna woda. Przesunęła topniejącą kostkę niżej, do majtek, i wodziła nią wzdłuż pasa.

Niech mnie... - pomyślał Seth.

Judy wzięła po kostce do obu rąk i zatoczyła nimi koliste ruchy wokół bioder. Strużki wody poleciały po jej udach.

- Chcesz, żebym zwariował?

Rzuciła mu wyzywający uśmiech.

- Nartroszyłeś piórka, co?

- Aha.

Judy nie przerywała, ponownie wmasowując lód w swoje piersi. Woda skapywała z jej sutków jak z nieszczelnych kraników.

Nie wytrzymam dłużej, pomyślał Seth. Skoczył na równe nogi i złapał Judy w objęcia, przytulił mocno i pocałował. Po sekundzie jego ręce przesunęły się w dół jej pleców. Ona odwzajemniła uścisk, złapała go za krocze i poczuła, że jest już gotowy. Seth zerwał górę od jej kostiumu i rzucił za siebie, a potem ściągnął jej majtki. Jęknęła, gdy rozmasował na skórze jej pleców i pośladkach kilka kostek lodu.

- Zrobimy to tutaj - wydyszał.

Judy, siłując się z paskiem jego spodni, powiedziała: - Tak, na ziemi...

Gdy jednak zaczęła kłaść się na klepisku, zerwała się i odepchnęła Seta.

- Co jest?!

- Nic, to...

- Ej, nie możesz tak rozpalać faceta i sobie przerywać!

- Seth. Spójrz - powiedziała i wskazała coś za jego plecami.

Nadal podenerwowany, odwrócił się.

O cholera...

Nie zauważyli wcześniej, lecz wyglądało na to, że kiedy Seth podniósł się z beczki, zaczęła się toczyć i uderzyła w ścianę.

Niektóre belki wyraźnie odstawały od pozostałych pod tym samym kątem.

- Ta beczka nie jest na tyle ciężka, aby wbić belki głębiej w ścianę! - krzyknął Seth.

- Może nie za wszystkimi kryje się ściana - powiedziała zaintrygowana Judy przyciszonym głosem. - Weź latarkę...

No i to by było na tyle, jeśli chodzi o seks w piwnicy, pomyślał z rezygnacją Seth.

Promienie słońca wpadające do środka przez otwarte drzwi były niewystarczające. Zabrał z domu latarkę i wrócił na dół...

Judy popchnęła odstające belki; trzy z nich z łatwością ustąpiły, jakby były przymocowane do zawiasów.

- Judy, czy to...

- Tak, Seth. To drzwi. Ukryte drzwi - powiedziała i weszła do środka, a Seth podążył za nią.

Okej, to faktycznie ukryte drzwi, pomyślał.

Szerokim strumieniem światła z latarki omiótł długi, wąski i niski pokój.

- Asher, ten rabbi, mówił, że mieszkał tutaj jego praprapradziad, Gavriel Lowen - powiedział Seth. - Dodał, że Lowen rozkręcił niezły biznes przy swoim tartaku. Założył także firmę kolejową i zajmował się wycinką drzew.

- I pewnie nieźle mu szło - Judy rozglądała się po

pomieszczeniu. - Co wyjaśnia obecność tego pokoju.

- To znaczy?

Uśmiechnęła się.

- Zapewne był bardzo bogaty, a tacy ludzie potrzebują bezpiecznego miejsca na swoje kosztowności.

- Tak, ale nie widzę...

Nie zdążył dokończyć zdania, kiedy światło latarki padło na jedyną rzecz znajdującą się w pokoju. Był to kredens przytwierdzony do drewnianej ściany.

Judy uśmiechnęła się szeroko i dotknęła uchwyty drzwiczek.

- Może to tutaj Gavriel Lowen trzymał swoje bogactwo...

Seth poczuł, że odzywa się w nim coś pierwotnego i serce zaczęło walić mu mocniej, lecz oprzytomniał, zdając sobie sprawę, że nie potrzebuje już żadnych kosztowności.

Nic by się nie zmieniło, gdyby w beczkach było złoto, a w tym kredensie klejnoty. Nie potrzebuje już niczego więcej...

Judy otworzyła kredens. W środku były trzy półeczki. Seth poświecił do środka; coś błysnęło.

- Nawet taki Żyd jak ja wie, co to jest. To menora - powiedział.

- Aha.

Pajęczyna pokrywała siedmioramienny, pokryty zaschniętym, starym woskiem kandelabr.

- Wygląda na złoty - powiedział Seth.

Judy wyciągnęła menorę, oczyściła ją pobieżnie z pajęczyn, postukała w metal i sprawdziła spód.

- Nie. Miedź. Data na spodzie mówi: 1810, Fabryka Schecktela. - Pokiwała głową, a jej nagie piersi lśniły w świetle latarki. - Coś wartościowego.

Na drugiej półce stała starannie wykonana, drewniana miska.

Judy wyciągnęła ją i skierowała pod światło. Na spodzie wyryta została...

- Gwiazda Dawida - powiedział Seth.

- A dokładniej Tarcza Dawida, Króla Izraela. - Postawiła naczynie z powrotem na półce i zmarszczyła brwi. - Co to takiego?

Wyciągnęła z kredensu coś przypominającego czarną marchew.

- Nie mam pojęcia - zaśmiał się Seth.

Pomacała i powąchała tajemniczą rzecz.

- Chyba jakiś korzeń, lecz nie wiedziałam, że Żydzi korzystali z czegoś takiego podczas swoich obrzędów.

Seth wzruszył ramionami i zajrzał do kredensu.

- Tutaj jest coś jeszcze - powiedział i sięgnął do środka, aby wyciągnąć pięknie wykonaną drewnianą szkatułkę, najwyraźniej cedrową.

Miała jakieś osiem cali długości, jeden szerokości i tyleż samo wysokości. Brakowało wieka, lecz po jednej stronie zauważył otwór w kształcie półksiężyca.

- To też poznajesz, co? - zapytała.

- Nie bardzo.

- To mezuzza.

- Poważnie? Myślałem, że są złote i mniejsze - powiedział Seth.

- I nosi się je na szyi.

Judy wzięła od niego mezuzę i przejechała palcem po otworze.

- Dopiero od niedawna ludzie je tak noszą. Kiedyś były właśnie takich rozmiarów i zawsze robiono je z drewna. Wieszano przy drzwiach. Mezuzza to właściwie nie samo pudełeczko, ale kawałek papieru, na którym wykaligrafowana jest modlitwa, schowany w



środku.

Seth poczuł się zupełnie zbędny.

- No dalej - powiedziała i ruszyła z powrotem do drzwi.

Seth spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma.

- To jednak będziemy się kochać w piwnicy?

- No co ty! Chodźmy na górę, odczytamy modlitwę!

## (IV)

- Nie wydawał się zbyt wkurzony - powiedział D-Man, następując na blachownicę szpadla, aby wbić go głębiej w ziemię.

- Bo to przecież jasne, nie mogliśmy przewidzieć, że facet zabierze beczki do domu.

- Dokładnie - zgodził się Świrus, kopiąc obok kolegi. - Nie nasza wina.

- Zobaczymy, czego chce dalej, ale domyślam się - spojrzał do wykopanej dziury - że nie będzie to tak pojebane, jak to, co robimy teraz.

- Ano. Robiliśmy dla niego już różne pojebane rzeczy, ale przy tym to była bułka z makiem.

D-Man skrzywił się.

- Masłem, idioto! Z masłem.

Świrus parsknął.

- Mak, masło? Co za różnica?

Kopali zaraz na skraju lasu, przy jednej z bocznych dróg. Od strony pól dobiegał ich śpiew ptaków, brzmiący niczym szum elektronicznej muzyki. Księżyc wisiał wysoko i świecił mocno, rzucając wystarczająco wiele światła, aby ułatwić im tę dziwną

robotę: zakopać ciało, żeby wykopać je później.

Porąbane, pomyślał D-Man i ponownie wbił łopatę w ziemię.

- Przyznaj, że to niezły zbieg świadomości - powiedział Świrus.  
- Dzwoni do nas facet i mówi, żebyśmy wykopali świeżego trupa, a potem dostajemy telefon od Roshy, który mówi, że ma dla nas ciało i mamy się go pozbyć.

D-Man przerwał kopanie i spojrzał na towarzysza.

- Zbieg świadomości? Idioto! Jakiej świadomości? Mówi się: zbieg okoliczności!

Świrus otworzył w zdziwieniu usta.

- Aha.

- Młot z ciebie, ale masz rację, choć pomyliłeś słowo. Upieczemy dwie pieczenie...

- Ta... Przy kolacji...

Gdy wykopali już dziurę wystarczająco głęboką, wyładowali z furgonetki pozbijaną ze sklejki trumnę. Wewnątrz leżała całkiem atrakcyjna młoda kobieta o rudych włosach. Niegdyś nazywała się podobno Carrie „Leń” Whitaker. Zdążyli już ją rozebrać, lecz kiedy Rosh przywiózł zwłoki, miała na sobie różowy top i jeansy. Lepiej nie wspominać, z jakiego powodu i w jakich okolicznościach straciła ubrania.

- Może przykręcę wieko? - Świrus przejął inicjatywę, lecz D-Man walnął go w tył głowy.

- Nie słuchasz mnie? Musimy coś najpierw zrobić.

- No tak. - Świrus podniósł leżące na podłodze vana zawiniątko i położył je w trumnie obok martwej dziewczyny; jej skóra nabrała już niebieskawego odcienia.

D-Man zapalił papierosa, a Świrus przykręcił wieko. Kiedy skończyli, wrzucili drewnianą skrzynię do dołu i zasypali.

Świrus zaczął udeptywać ziemię.

- Ała! - krzyknął, gdyż D-Man ponownie walnął go w głowę.

- Zgłupiałeś? Nie rób tego, ziemia będzie twardsza, a jutro musimy ją wykopać z powrotem.

- Ano tak.

- A teraz zwijamy się stąd. Jutro czeka nas pracowity dzień.

Wsiedli do vana i odjechali.

Zawiniątko, które wrzucili do trumny, zawierało kilka bochenków chleba.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

LIPIEC 1880

## (I)

- Zbliża się sierpień, panie Conner - powiedział Norris, pociągając łyk whiskey, która smakowała jak lakier.

Wskazał palcem wiszący na ścianie kalendarz.

- Potem będzie wrzesień i... Zima przychodzi szybko w tej części kraju.

Conner postawił swój kubek na stole tak energicznie, że aż wylało się trochę taniego sikacza, który właściciel pędził z byle czego.

- Myślisz, że nie wiem? - bardziej wycharczał niż powiedział. - Sądziś, że nie widzę, że połowa moich ludzi mieszka w pieprzonych namiotach jeszcze z czasów wojny?

- Chodzi mi o to, że zaczynają czuć się niepewnie. Ty, ja, majstrzy i starsi pracownicy mamy domy i piece, ale reszta... Nie chcą kolejnej zimy takiej jak poprzednia.

Zatłoczona mordownia nie miała nawet nazwy; właściwie osiedle, które rosło na północ od Lowensport trudno było nawet określić mianem miasteczka; to raczej skupisko wolno stojących, rozlatujących się chałupin, zbudowanych głównie za pomocą gołych rąk, a nie narzędzi. Niektóre były w tak złym stanie, że ich zapadające się dachy zostały załatane kawałkami płótna. Zaraz za tą zaimprovizowaną miejsciną ustawiono niekończące

się rzędy namiotów, które zamieszkiwali nieokrzesani robotnicy znani jako klan Connera.

Norris, najbliższy współpracownik Connera, ociągając się, kontynuował: - Krążą pewne plotki, panie Conner.

Conner podniósł poprzecinaną bliznami głowę.

- A jakie?

- Że Lowen zaproponował naszym ludziom robotę przy wycince... Za prawie trzydzieści dolarów miesięcznie.

Conner zmrużył oczy, które wydawały się płonąć teraz żywym ogniem pod poplamioną, skórzaną czapką.

- Nie pracuję dla Żydków i wy też nie będziecie! Kurwa mać, to nawet nie są Amerykanie!

Chcicie robić u skurwysyna, który zabrał nam ziemię? Tak?

- Nie, panie Conner, po prostu nasi ludzie nie chcą zamarznąć tej zimy. Zeszłego roku straciliśmy sześć, siedem kobiet i kilku mężczyzn. Pracując w tartaku Lowena, moglibyśmy zarobić więcej i wybudować prawdziwe miasto. Coraz mniej zarabiamy przy węglu, a mówią, że niedługo już nikt nie będzie go kupował.

- Tartak Lowena - prychnął zniesmaczony Conner. - Nic nie kumas, co? To jest nasz tartak i nasze drzewa. Rozumiesz? To my powinniśmy czerpać z nich zyski, a nie te Żydki od Lowena, które przypląnęły chuj wie skąd.

Machnął na barmana, aby nalał mu jeszcze jedno piwo, i dodał:

- Bądź cierpliwy, bo kiedy te pejsy wreszcie znikną, to my będziemy mieszkali w tym mieście i czerpali kasę z tartaku.

- Jesteśmy cierpliwi, panie Conner. Nie znikają jednak tak szybko...

- Zabijemy ich wszystkich, mówiłem ci to już. Mam pewien plan...

Norris dopił swoją whiskey.

- Tylko tak sobie gadam, panie Conner, ale chłopaki zaczynają myśleć, że nie ma pan żadnego planu. I to nasi ludzie znikają. Polten, Corton, Yerby, Fitch, Nickerson i...

Conner przerwał mu, podnosząc brudny paluch.

- Tak tylko gadasz? To pogadaj też i z nimi. Bo ja mam plan! I on zadziała. - Nachylił się bliżej i wyszeptał: - Robiłem to w czasie wojny. Byłem porucznikiem.

- Myślałem, że pan zdezerterował...

- No tak, ale wcześniej. Głównie w Południowej Karolinie i Georgii Wybijaliśmy tak całe miasteczka, zabijaliśmy dosłownie wszystkich. Potem do piachu i po sprawie. I wiesz co? Nikt nawet o nic nie spytał, bo nie została przy życiu ani jedna osoba, która mogłaby coś o nich opowiedzieć.

- Panie Conner, nie mamy wystarczającej ilości broni, aby to zrobić, wie pan...

Conner złapał Norrisa za frak i przyciągnął do siebie.

- Przecież trzymałem to w sekrecie, niech cię cholera - powiedział i puścił Norrisa, który usiadł z powrotem na swoim krześle.

- Ale co pan trzymał w sekrecie?

Kiedy barman zniknął na zapleczu, Conner położył rewolwer na stole.

- Widzisz to?

- No tak.

Brzegi rewolweru połyskiwały.

- To Beals-Remington, kaliber trzydzieści sześć. Nieużywany od lat, ale działa jak marzenie.

W Baltimore jest zbrojownia, która je wyprzedaje. Znaleźli całe

skrzynie z bronią, nowiutkie rewolwery, jeszcze nasmarowane.

Oczy Norrisa zajaśniały nadzieją.

- Świetnie, proszę pana, ale potrzebujemy jakichś dwudziestu, trzydziestu sztuk.

- Idzie do nas pięćdziesiąt - szepnął Conner.

Norris otworzył ze zdziwienia usta.

- Przyślą też amunicję, ale ładunek dojdzie dopiero pod koniec miesiąca. I zachowaj to dla siebie, nie chcę, żeby ktoś przejął transport, rozumiesz?

Norris pokiwał głową.

Conner dopił piwo i wstał.

- Uspokój ludzi jeszcze na kilka dni. - Uśmiechnął się, obnażając zepsute zęby. - No, ale już niedługo, Norris, się ustawimy - powiedział i wyszedł z baru w noc.

...

- Bonnie! - wychrypiał Conner, kiedy wszedł do swojej chaty.

Gdzie ona jest? Durna baba, pomyślał. Żona powinna czekać na męża w drzwiach, kiedy ten wraca do domu z pola. I zazwyczaj czekała, przygotowując obiad w pokoju, który służył im za kuchnię i sypialnię. Conner wyczuł zapach gotowanego mięsa, ale nigdzie nie widział swojej posłusznej żony.

Kiedy człowiek wchodzi do domu, pierwszą rzeczą, jaką chce zobaczyć, jest jego pieprzona ŻONA... A tu ani obiadu na stole, ani nawet obrusu. Conner wściekł się.

Minął jakiś miesiąc od ostatniego razu, kiedy ją pobił. Jestem dla niej za dobry, pomyślał.

Pewnie znowu będę musiał lać ją co tydzień. Tylko w ten

sposób można je zmusić do posłuszeństwa. Conner usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z pralni. Ta dziwka pewnie popija tam mój bimber, pomyślał, lecz jego gniew sięgnął zenitu, gdy spojrzął na piec. Na patelni leżała tłusta polędwica z jelenia, która zdążyła się już spiec i poczernieć.

- Kurwa mać! - Jego krzyk rozniósł się echem po małym domu.  
- Spierdoliłaś obiad!

Bonnie! Rusz dupę W TEJ CHWILI!

Nikt nie odpowiedział; nie usłyszał też żadnych kroków.

Conner wyciągnął ze spodni pasek, zawinął go wokół pięści i wszedł do korytarza.

Było tam ciemno, lecz zobaczył, że w pralni pali się światło.

Conner nigdy by przed nikim tego nie przyznał, lecz myśl o pobiciu żony podniecała go dość mocno. Przyśpieszył kroku, a jego ciężkie buciory wzbijały tumany kurzu. Wparował do pralni i...

Zanim zdołał krzyknąć, zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

- Bon...

Na ścianach tańczyły postrzępione cienie.

Conner zobaczył, że na podłodze leżą dwie wyrwane ze stawów ręce i nie potrzebował dużo czasu, aby uświadomić sobie, do kogo należą.

Zmrużył oczy i próbował coś dojrzeć w półmroku. Dostrzegł ruch, jakby jedna osoba leżała na drugiej i poruszała się miarowo. Gdy wreszcie mózg Connera zarejestrował, co tak naprawdę widzi, jęknął jak pies, odwrócił się i wybiegł z domu.

Na podłodze leżała jego bezręka żona, targana konwulsjami, a w miejscu, gdzie powinny być jej ramiona, wisiały jedynie



krwawe, postrzępione kawałki skóry. Była gwałcona przez coś, co ledwie przypominało mężczyznę.

Ze strachu dobiegł aż do domu Jake'a Howetha, który ten zamieszkiwał wraz z żoną i szesnastoletnim synem.

- Jake! - wrzasnął. - Coś... Coś zabiło Bonnie!

Zanim jednak zdążył otworzyć frontowe drzwi, jego uwagę przykuło to, co zobaczył przez okno... Z trzęsącymi się dłońmi podszedł bliżej.

Syn Jake'a leżał w wielkiej kałuży krwi. Nie miał obu nóg. Przy nim leżała naga, bezgłowa żona Howetha. Jakiś ciemny płyn sączył się z jej waginy.

Mój Boże, pomyślał z przestraszeniem Conner. Jeszcze jeden stwór...

Zobaczył potwora wyraźniej niż w swoim domu: obrzydliwe, kościste monstrum o brązowawej, miejscami popielatej skórze. Conner pomyślał, że wygląda jak szkielet upapwany błotem.

Stwór stał nieruchomo, jedną chudą nogę przyciskając do klatki piersiowej Jake'a Howetha, zaś paluchami chwycił go za nadgarstek i pociągnął. Bez wysiłku to coś wyrwało mężczyźnie rękę, a potem złapało drugie ramię, które, wyrywane ze stawu, wydało z siebie mlaszczący odgłos.

Conner nie wiedział, co począć, więc tylko stał i gapił się na makabryczne widowisko.

Niemalże z nonszalancją stwór podniósł bezrękie ciało Howetha z podłogi. Jake słabo wierzgał nogami, co wskazywało, że nadal żył; ale ledwie dychał, z miejsc po wyrwanych rękach buchała krew. Rozległ się zdławiony krzyk, kiedy monstrum wcisnęło głowę Howetha w stojący pod ścianą piec i trzymało ją tam przez chwilę, aż rozszedł się smród palonej skóry i mięsa.

Conner nie był pewien, czy mu przejdzie, czy zwymiotuje pod oknem. Tknęło go, że powinien wejść do środka z bronią i stawić czoła temu czemuś... Lecz pomysł ten szybko wyleciał mu z głowy. Stał jak sparaliżowany i gapił się w szybę.

I wtedy ta rzecz odwróciła się szybko w jego stronę i spojrzała na niego: zamiast oczu miała czarne dziury, a skórę na wychudłej twarzy zastąpiła glina. Kępki włosów wystawały z gołej czaszki, jakby tylko tam uchowały się resztki skóry. Conner dojrzał, że na piersi potwór ma wypisane jakieś litery: S'MOL.

I nagle, ustami tak cienkimi, jakby ktoś wyciął je nożem do mięsa... Rzecz uśmiechnęła się.

Conner odwrócił się, krzyknął, a potem biegł, biegł i biegł.

## (II)

Wczorajszej nocy Sethowi i Judy udało się wyjąć ze środka mezuzy zapisaną na kawałku pergaminu modlitwę. Seth sądził, że została napisana po hebrajsku i że Judy będzie w stanie ją odczytać, lecz niestety...

- Powinnam była się domyślić - powiedziała, przyglądając się pergaminowi. - To aramejski.

Nie znam aramejskiego.

Seth zwęszył okazję do żartu i podniósł dłoń do ucha: - Czyżby to ziemia się rozstała? Wreszcie coś, czego moja supermądra dziewczyna nie wie!

Judy odpowiedziała mu uśmiechem.

- A ty ile znasz języków?

Seth zastanowił się.

- Niech no pomyślę... FORTRAN, COBOL, SPL-1 Cold Fusion.

- Komputerowe się nie liczą. - Zaśmiała się. - Zresztą, Seth, to ty jesteś tym mądrzejszym.

- Tak? - zapytał, zaskoczony.

- Zgoda, wiem sporo rzeczy. Dlatego, że uczyłam na uniwersytecie, przebywałam wśród naukowców i zapamiętuję sporo z tego, co czytam i słyszę. Za to ty jesteś jak architekt idei.

Seth przetrawił to, co usłyszał.

- Cokolwiek masz na myśli, podoba mi się to.

- Chodzi o to, że nie zajmujesz się budową domów czy biurowców, ale całych fantastycznych światów. A ja? Mam po prostu świetną pamięć. I tyle.

Seth przyciągnął ją do siebie i zdjął z niej szlafrok.

- Masz o wiele więcej niż dobrą pamięć - powiedział. - Masz piękne ciało.

Judy westchnęła, kiedy jego ręce przesunęły się po jej skórze. Oboje momentalnie zapomnieli o tym, co znaleźli w piwnicy. Kochali się, aż padli z wyczerpania, a potem zasnęli.

Judy wstała wcześniej niż Seth. Następnego ranka nachyliła się nad nim i potrząsnęła.

- Co jest? - wymruczał. - Jest wcześnie...

- Wcześnie? Jest jedenasta! Musisz już wstać.

Spojrzał na nią. Potrząsnął głową i powiedział: - No, to jest lepsze nawet niż piękny wschód słońca.

- Co takiego?

- Ty. Stojąca nago przy łóżku.

Zaśmiała się i pocałowała go, a potem pomachała mu czymś przed oczyma.

- Wpadłam na pomysł. Zeskanujemy to.

Seth zamrugał oczami, strząsając z powiek resztki snu.

- Mezuz.

- Myślałem, że nie znasz aramejskiego.

- Nie znam, ale jeśli to zeskanujemy, dowiem się, co to znaczy.

Seth jęknął, ale opuścił nogi na ziemię.

- Aha, chcesz skorzystać z translatora? Podobno nie są efektywne.

- Nie, nie. Kiedyś...

- Niech zgadnę - przerwał jej. - Chodziłaś z facetem, który mówił po aramejsku!

- Daj spokój. Miałam kiedyś asystentkę. Tak, kobietę! Wandę, ona zna aramejski. Prześlemy jej skan do przetłumaczenia.

- Okej, niech będzie. Daj mi się rozbudzić.

Seth potarł oczy, otworzył je i zobaczył, że biodra Judy znajdują się jedynie kilka centymetrów od jego twarzy. Impuls kazał mu złapać ją i przyciągnąć do siebie. Zaczął całować jej brzuch, a jego palce powędrowały niżej. Kiedy polizał jej pępek, jęknęła, zbliżyła się, lecz po chwili wzdrygnęła.

- Zachowaj siły na później, teraz nie możemy - szepnęła.

- Czemu nie?

Wyswobodziła się z jego objęć i podstawiała mu pod nos mezuzę.

- Bo musimy to zeskanować, a potem jedziemy.

- Gdzie jedziemy?

- Do Lowensport. Kiedy spałeś, dzwonił do nas rabbi.

- Asher?

- Tak. Zaprosił nas na kawę, zgodziłam się. Wstawaj!

...

- No to już wiem, co znaczy określenie „widoczek jak z pocztówki” - powiedziała Judy z siedzenia pasażera, przyglądając się zadbanym, rustykalnym domkom, które mijali.

Spod opon Tahoe dochodziło leciutkie chrzęszczenie, jechali bowiem drogą wysypaną pokruszonymi skorupkami ostryg. Chodniki były ciemniejsze.

- Kostka brukowa - powiedziała Judy - użyli jej jako balastu.

Domki stały w zabudowie szeregowej, pomalowano je na głęboki, zielony kolor z białymi wykończeniami. Seth i Judy zauważyli architektoniczne podobieństwo pomiędzy tymi domami i Lowen House; wszystkie miały mansardowe dachy, lancetowate okna i drzwi.

- Domyślałam się, że to oryginalne budynki, jeszcze z czasów Lowena - powiedziała Judy. - Tyle że pomalowane.

- Zakładam, że zostały zbudowane w tym samym czasie co nasz dom - dodał Seth. - Są wykonane z tego samego drewna. To się nazywa umiejętne wykorzystanie materiału budowlanego.

Po drodze nie zauważyli wielu przechodniów: jedynie jakąś kobietę z psem i sklepową zmiatającą chodnik. Po ulicach jeździło równie niewiele samochodów, ale te, które zobaczyli, były ewidentnie starszymi modelami, jednak zadbanymi, czystymi i w dobrym stanie.

- Jakbyśmy znaleźli się w zupełnie innej erze - powiedział Seth.

- Taki mały wycinek przeszłości, amerykański gotyk i te sprawy.

Judy uśmiechnęła się.

- Przed tymi domami nadal są powbijane słupki, do których przywiązywano konie. Zobacz, zakład szewski. Kiedy ostatnio widziałeś taki w mieście?

- Właściwie to nigdy.

- Piekarnia - Judy zaczęła czytać napisy na wystawach sklepowych - odzieżowy, koszerne sklepy mięsne i, zobacz, księgarnia nienależąca do żadnej sieci.

Seth pokazał coś na rogu.

- Tamto to też nie 7-Eleven. Mają jednak Sklep Wielobranżowy Sydneya.

- Podoba mi się tutaj.

- Wydaje mi się, że niektóre społeczności wkładają sporo wysiłku w to, aby zachować z przeszłości jak najwięcej - powiedział Seth, ale wybuchnęli śmiechem, bo akurat przejeżdżali obok Starbucksa. - No dobra, prawie najwięcej.

Jechali dalej, aż zza drzew wyłoniło się słońce i oświetliło coś na szyi Seta: gwiazdę Dawida.

- Założyłeś gwiazdę - powiedziała. - Już dawno jej nie nosiłeś.

Słońce padło także na krzyżyk Judy.

Instynktownie Seth dotknął wisiorka.

- Tak naprawdę ledwie pamiętam, że ją założyłem.

- Pewnie chcesz się przypodobać rabbiemu, co? - zażartowała Judy.

- Pewnie tak. - Wzruszył ramionami. - Nadal nie przypominam sobie jednak, kiedy ją założyłem.

- A i ja skłamię, jeśli powiem, że mam na sobie krzyżyk, bo jestem jakąś dewotką... Od lat nie byłam w kościele.

- Miejmy nadzieję, że lepiej mieć w sobie odrobinę wiary niż wcale - wymamrotał Seth, choć nadal głowił się nad tym, kiedy założył gwiazdę.

- To chyba plac miejski - powiedziała Judy, kiedy skorupki ustąpiły miejsca asfaltowi, a dwupiętrowe domki zastąpiły większe, z trzema piętrami.

- Jaki adres podał ci Asher?

- Nie podał żadnego, powiedział, żebyśmy przyjechali na plac, a ktoś będzie na nas czekał.

Zaparkowali na publicznym parkingu, lecz kiedy Seth próbował wrzucić monety do parkometru, okazało się, że jest zepsuty.

Kolejny dowód na to, że stare wyparło w tym miejscu nowe.

Nagle Judy wypadła z auta.

- Co się stało? - zapytał Seth.

Na rogu pustej ulicy ciągnącej się pomiędzy rzędami domów i kończącej się w dokach widać było połyskującą taflę rzeki.

- Nie sądziłem, że rzeka Brewer jest taka duża - powiedział Seth. - Tak właściwie, to nigdy wcześniej o niej nie słyszałem.

- Ma chyba z milę szerokości.

Na placu stał długi, jednopiętrowy budynek, na którym widniał napis. DOM NADZIEI.

Kobieta w długiej do kostek, czarnej sukni przycinała stojące w oknie kwiaty.

- To chyba ich synagoga - powiedział Seth.

- Tak, ale jakaś skromna.

Dwie nastoletnie dziewczęta i ich rówieśnik wkroczyli na długi ganek budynku, skinęli na powitanie kobiecie od kwiatów i weszli do środka przez podwójne drzwi. Wszyscy mieli na sobie szorty i zwyczajne podkoszulki.

- Może to zebranie tutejszej młodzieży - powiedziała Judy.

- Pewnie tak. - Seth zmrużył oczy i spojrział na zachód, gdzie zobaczył kawałek niezagospodarowanej ziemi zaraz nad brzegiem rzeki.

Widział resztki fundamentów i jakieś gruzy.

- To pewnie tam stał kiedyś tartak. - Uśmiechnął się. - Judy, ty lubisz straszne historie, może ta cię zainteresuje. Croter powiedział mi, że Gavriel Lowen, czyli facet, który zbudował całe to miasto i nasz dom, został zamordowany w tartaku w 1880 roku. Jacyś miejscowi drwale przywiązali go do skrzynki dynamitu.

Judy wyglądała na zniesmaczoną.

- To się nazywa przesada, co nie? Czemu w ogóle go zabili?

- Bo był Żydem, a tamci antysemitami. Podobno wymordowali wszystkich mieszkańców Lowensport, oszczędzili tylko niemowlęta.

- Trochę zbyt dosłownie zrozumieli Boskie Przeznaczenie.

Seth przyciszonym, tajemniczym głosem dodał: - A potem ktoś wykosił w pień wszystkich drwali... I po dziś dzień nie wiadomo kto...

- Czarująca opowieść, Seth. Dzięki wielkie, że zdecydowałeś się nią ze mną podzielić...

Seth zachichotał i odwrócił się, słysząc kroki.

- To zapewne rabbi Lowen - szepnęła Judy.

- Prosi, aby mówić na niego Asher, ale nie, to nie on...

Podszedł do nich szeroko uśmiechnięty, szczupły mężczyzna w czarnych spodniach, białej koszuli i jarmułce.

- Pan Seth Kohn, jak mniemam - powiedział radośnie i uścisnął Sethowi dłoń. - Nazywam się rabbi Toz, ale proszę, mówcie na mnie Ahron. Cieszę się, że przyjechaliście.

Seth przedstawił mu Judy, a potem mężczyzna poprowadził ich przez plac do jednego z domów, wyższego niż pozostałe. Wewnątrz zastali cichy, udrapowany salon z miękkimi dywanami i ciemnymi panelami. Dołączył do nich inny



mężczyzna z jarmułką na głowie, ubrany równie konserwatywnie. Uśmiechnął się szeroko na powitanie.

- A to - powiedział Ahron - jest nasz specjalista od modlitwy i nalewania kawy, rabbi Morecz, lecz mówcie mu Eli.

- Toz, Morecz - powtórzyła Judy. - To chyba czeskie nazwiska, prawda?

- W rzeczy samej, Judy - odparł drugi rabbi. - Wszyscy w Lowensport są potomkami imigrantów z Pragi. Niektórzy pozmieniali nazwiska, inni nie.

- Wydaje mi się, że Asher wspomniał - odezwał się Seth - że jego przodkowie nazywali się Loew, lecz zmienili nazwisko, aby brzmiało mniej żydowsko.

- Tak było, Seth.

Eli nalał wszystkim kawy ze srebrnego serwisu, a Ahron posadził Seta i Judy przy niewielkim stoliczku na pluszowej, purpurowej kanapie.

- Przodkowie moi, Ashera i Ahrona, byli bliskimi przyjaciółmi. Pomogli zbudować to miasto - powiedział Eli.

- Wszyscy trzymamy się tutaj blisko - dodał Ahron. - Choć oczywiście wszyscy nowo przybyli są tutaj mile widziani.

- Nie ma nic złego w tym, że staracie się trzymać z daleka od zgiełku - odparł Seth.

- Znalazłeś słowa, których szukałem - zaśmiał się Ahron.

Otworzyły się drzwi i do salonu wszedł uśmiechnięty, przystojny, jasnowłosy mężczyzna około czterdziestki.

- Miło cię widzieć, Asher - powitał go Seth. - Dziękujemy za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział zadowolony rabbi, witając się z Judy mocnym uściskiem dłoni. - Witam was

oboje w moim domu.

- Raz jeszcze dziękujemy za zaproszenie - odpowiedziała Judy. -  
I za koszt pyszności.

- Cieszę się, że wam smakowało. Żona wybierała -  
poinformował ich Asher i postawił na stole filiżanki z kawą. - O  
wilku mowa. Lydio, pamiętasz Setha. A to jego przyjaciółka, Judy.

W salonie pojawiła się ciemnowłosa kobieta. Uśmiechnęła się  
słabo i postawiła przed nimi srebrną tacę z przystawkami.

- Robi najlepsze bliny pod słońcem - pochwalił się Asher.

- Tesi me, Pani Lowen - powiedziała po czesku Lydia.

Judy zaświeciły się oczy.

- Srdecne vas vitame.

- Wspaniale! - powiedział Asher. - Mówisz w naszym języku?

- Judy zna wiele języków - zaśmiał się Seth - czuję się przy niej  
głupi.

- Nie tak znowu wiele - odparła Judy.

- No pewnie, że nie, tylko grekę, łacinę, czeski, hebrajski...

Asher wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony.

- Hebrajski też?

- Tylko fonetycznie - przyznała - ale potrafię całkiem nieźle  
pisać w oryginalnym alfabecie.

- No to z ciebie kawał uczonej. Sam dawno nie używałem  
hebrajskiego, ale... Mah ha'miktzoah shelach?

- Ani Morah - odpowiedziała Judy. - Ani me 'od ohevet et zeh.

- Wspaniale! Gdzie się tego nauczyłaś?

- No cóż, wykładałam kiedyś na FSU - uniknęła bezpośredniej  
odpowiedzi. - Ale skoro teraz mieszkamy tutaj, myślałam o  
złożeniu papierów do Salisbury.

- Doskonale, doskonale. - Asher kipiał entuzjazmem. - Mówią,

że na świecie jest zbyt wielu prawników, no i ja sam jestem w stanie się z tym zgodzić, ale nigdy za wielu nauczycieli.

Asher przerwał i popatrzył na Setha.

- Dopiero teraz zauważyłem, że masz na sobie gwiazdę Dawida. To wspaniałe, że ktoś jeszcze ją nosi. To samo tyczy się twojego krzyża, Judy. W pewnym sensie wiara jest relatywna, ważny jest wspólny mianownik. Czasem jednak i mnie jest trudno zachować wiarę, szczególnie im jestem starszy.

- Dlaczego? - zapytała Judy, odruchowo bawiąc się krzyżykiem.

- Bowiem wiara słabnie, nie ma co do tego wątpliwości - powiedział rabbi.

Dopiero teraz Seth zorientował się, że zostali w pokoju sami z Asherem.

Rabbi kontynuował: - Dana kultura wraz z rozwojem zapomina o swojej duchowej podstawie. Dzisiaj ludzie noszą przy sobie ipody i telefony komórkowe, a nie symbole wiary.

- Stara dobra technologia - westchnął Seth.

- Nowe bożki - powiedziała Judy. - Nowe złote cielęta.

- Jakie to prawdziwe, Judy. - Asher usiadł wreszcie naprzeciwko, ze złożonymi rękoma, wydawał się poważny i skupiony. - Dlatego ja i moi ludzie staraliśmy się tutaj, w Lowensport, zachować nasze korzenie, pielęgnować wiarę, na której przecież opiera się cała nasza kultura.

Nasze miasteczko może wydać wam się dziwne, proste, wręcz nudne, ale ta sama wiara, która przypomina nam o naszym dziedzictwie, sprowadziła tutaj naszych przodków, zresztą waszych również. Przybyli tutaj, aby móc trwać przy swojej wierze.

Zacisnął dłoń w pięść.

- Przez ciebie czuję się winny - poweselał Seth - bo nie modliłem się od bardzo dawna.

- Modlitwa to rozmowa z Bogiem, Seth. Czasem przestajemy mówić, ale po pewnym czasie jesteśmy gotowi, aby znowu otworzyć usta, a Bóg zawsze na nas czeka. - Asher przerwał na moment, a po chwili dodał: - No dobra, koniec z religijnymi pogadankami. Proszę, spróbujcie blinów!

Przysunął w ich stronę tacę. Judy uśmiechnęła się, nadal czując się nieco niezręcznie po przemówieniu, którego właśnie wysłuchali, i sięgnęła po bliny.

- Szczerze mówiąc, twój monolog na pewno nam nie zaszkodzi.

Seth nie potrafił odpędzić od siebie dziwnego przeczucia - czegoś na kształt wyrzutów sumienia, ale nie takich, które nękały go po śmierci Helene.

- Zabawne, ale Judy zwróciła uwagę na to samo, kiedy tutaj jechaliśmy.

- O czym mówisz, Seth? - zapytał Asher.

- Chodzi o moją gwiazdę. Powiedziała, że nie nosiłem jej od dłuższego czasu, i miała rację, faktycznie tak było. Sam nie wiem, czemu ją dzisiaj założyłem. Nie mam pewności... Nie mam pewności, co ona jeszcze dla mnie znaczy.

Asher pokiwał głową.

- Kiedy myślimy, że straciliśmy wiarę, oznacza to tylko to, że nie potrafimy dostrzec Boga, że pozwoliliśmy mu przejść obok nas na drodze życia. Jesteśmy tylko ludźmi, Seth. Popełniamy błędy, jesteśmy wodzeni na pokuszenie i to powstrzymuje nasz duchowy rozwój. Musimy jednak zawsze mieć w pamięci, czym naprawdę jest Bóg i to, że w każdej chwili możemy przyjąć go do serca. Wystarczy tego chcieć, wyjść mu na spotkanie. -Uniósł w

górze palec i uśmiechnął się. - No i Bóg to wyluzowany koleś. Poczekaj na was, zwolni kroku.

- Naprawdę obiecująco to przedstawiasz - powiedziała Seth.

- Bo o to chodzi w wierze: o obietnice. - Asher nachylił się bliżej.

- Jeśli kiedyś będziecie chcieli o tym porozmawiać, dajcie mi znać. Pomogę ci, byś przypomniał sobie, co oznacza gwiazda Dawida. - Asher odchylił się i wybuchnął śmiechem. - W końcu jestem rabinem, to moja praca!

Seth i Judy zawtórowali mu, śmiejąc się głośno, i zabrali się za pałaszowanie blinów.

- Gdzie znajduje się wasza synagoga? Czy to ten budynek na placu? - zapytał Seth.

- Dom Nadziei - dodała Judy - nie wygląda na synagogę.

- No i właśnie o tym mówiłem - odparł Asher - chodzi nam o zachowanie naszego dziedzictwa kulturowego, nie zapominamy o naszych korzeniach. Przez setki lat, kiedy byliśmy prześladowani, Żydzi nie mieli synagog, w których mogliby się modlić. Musieli się ukrywać, trzymać swoją wiarę w sekrecie, inaczej spaliliby ich żywcem. Wierni spotykali się w piwnicach, w lasach, w jaskiniach. Nasza synagoga znajduje się więc w tym domu, a w czasach Gavriela Lowena - Asher uśmiechnął się do Seta - była w waszym.

Seth uniósł brew.

- Czym więc jest Dom Nadziei?

Asher wziął do ręki blinę i powiedział: - Mówimy, że to centrum dla młodzieży, ale to taki eufemizm. To w rzeczywistości ośrodek odwykowy. No i widzicie?

O tym też rozmawialiśmy. Istnieje wiele dróg odwodzących nas od Boga, a diabeł tylko czeka, aż zbłądzimy. Narkotyki to

przekleństwo dzisiejszej młodzieży, to przebiegły wróg, wcielone zło, dzieło bestii. - Pokręcił głową. - Mamy tutaj poważny problem z narkotykami.

- To zaskakujące. Jeśli jakiegokolwiek miasteczko wygląda na pozbawione problemu z narkotykami, to jest to właśnie Lowensport - powiedziała zaskoczona Judy.

- Och, ja nie mówiłem o Lowensport - uściślił - tutaj nie ma żadnych narkotyków. Nasi pacjenci przyjeżdżają z Somner's Cove. Mamy kilku alkoholików, jednego czy dwóch heroinistów, ale większość to uzależnieni od cracku. To przerażające. Mamy tylko dwadzieścia pięć łóżek, lecz gdy tylko dostaniemy potrzebne fundusze, rozbudujemy ośrodek. Staramy się przyjmować tylu pacjentów, ilu możemy, gdyż w Somner's Cove nie mają już miejsc. Działamy legalnie jako „yeshiya”, czyli coś na kształt żydowskiej organizacji parafialnej. Nie możemy jednak liczyć na dotacje państwowe, gdyż zostaliśmy zaklasyfikowani jako ośrodek wyznaniowy. To jest naprawdę zniechęcające, szczególnie że mamy tylko pięćdziesiąt procent skuteczności.

Judy wyprostowała się na kanapie.

- To przecież znakomicie! Krajowa średnia w przypadku uzależnienia od cracku to dziesięć procent. - Przerwała i wzruszyła ramionami. - Wiem, bo... Sama miałam podobny problem.

Asher przytaknął, próbując ukryć swoje zaskoczenie.

- Nigdy bym nie zgadł, ale to, niestety, znamienne. Narkotyki są zdradzieckie, to tylko stereotyp, że ten problem dotyka jedynie marginesu.

- Poznaliśmy się z Judy w ośrodku dla uzależnionych. Ją

niszczyły narkotyki, a mnie alkohol - wyznał Seth.

- Ach, to przecież wspaniały dowód na to, że Bóg was kocha i pomógł wam przetrwać tę próbę, wzmocnił waszego ducha - powiedział Asher.

Seth miał nadzieję, że to nagłe wyznanie nie zrazi do nich rabiego. Jednak w duchu był pewien, że nie ma to wpływu na ich znajomość.

- Zanim poznałem Judy, miałem żonę, Helene. To ironia, że to właściwie ona pokazała mi Lowen House.

Asher poprawił się na krześle.

- Obawiam się, że nie rozumiem. Sądziłem, że jesteście z Florydy.

- Helene miała krewnych w Wirginii - powiedziała Judy. - Przyjechali ich odwiedzić i...

Może lepiej niech Seth ci opowie?

Seth westchnął.

- Tak, wpadliśmy do jej rodziny z zamiarem wycieczki do D.C. na małe zwiedzanie, wjechaliśmy więc na prom i znaleźliśmy się w Somner's Cove. Szukaliśmy drogi na północ, ale źle skręciliśmy i wylądowaliśmy w okolicach Lowen House. Helene zauważyła go pierwsza. Tak nam się spodobał, że zadzwoniłem do agenta nieruchomości, którego numer widniał na wbitej w ziemię tablicy. Przyjechał, pokazał nam dom. Cena nie była wysoka, ale i tak nie było mnie wówczas na niego stać; niedawno straciłem pracę w firmie produkującej gry, która zbankrutowała. Wziąłem kilka pożyczek, bowiem chciałem popracować nad moją własną grą, Domem z Mięsa i Kości. Sam zaprojektowałem całość od podstaw, ale potrzebowałem pieniędzy na grafików i ludzi od silnika, aby gra wyglądała tak, jak chciałem. Potem

wysłałem wersję testową do dystrybutora i trzymałem kciuki. To było przed dwoma laty. W każdym razie, kiedy podjechaliśmy z Helene do Lowen House, powiedziałem niemal żartobliwie, że pewnego dnia, kiedy będę już bogaty, kupię ten dom.

- Co za zbieg okoliczności - powiedział Asher. - Domyślam się jednak, skoro mówisz o Helene w czasie przeszłym...

Sethowi głos uwiązł w gardle, Judy odpowiedziała za niego: - Helene zginęła w wypadku samochodowym kilka tygodni później, po powrocie do Tamy.

Tego samego dnia dystrybutor kupił grę Seta.

Seth wreszcie odzyskał głos.

- Potem... Zresztą, Asher, nie chcę cię zanudzać.

Oczy Ashera zaświeciły z przejęcia.

- Ale ja chcę posłuchać waszych historii, Seth. O ile, oczywiście, wy chcecie się nimi podzielić. Czasem ucho kogoś neutralnego może okazać się wręcz terapeutyczne.

Seth pokiwał głową.

- Dostałem całkiem sporą sumę za samo podpisanie umowy i praktycznie od razu po premierze pojawiły się dalsze propozycje, lecz ledwie je rejestrowałem. Po śmierci Helene...

- Szukałeś pocieszenia w alkoholu - dopowiedział Asher. - Zwykle dowiadujemy się zbyt późno, że tam go nie znajdziemy.

Seth zaśmiał się bez wesołości w głosie.

- Po miesiącu byłem wrakiem człowieka, zwyczajnym alkoholikiem. Urywał mi się film w różnych miejscach, w knajpach, na parkingach, czasem budziłem się w samochodzie na jakimś poboczu, nie pamiętając, jak się tam znalazłem.

- Trudno uporać się ze stratą - powiedział Asher. - Wielu pacjentów z naszej kliniki sięgnęło po narkotyki, aby załatać



ziejącą w sercu dziurę. I w ten sposób wpadają.

- Można powiedzieć, że wpadłem do głębokiego rowu. Nie miałem pojęcia, jak sobie radzić z życiem, nie rozumiałem, dlaczego musiała odejść, ale najciężej było mi, kiedy poznałem szczegóły wypadku. Kompletnie się załamalem. - Złapał Judy za rękę i próbował mówić dalej, ale zwiesił głowę.

- Seth obwinia siebie za śmierć Helene - ciągnęła za niego Judy. - Wracala z zakupów i Seth zadzwonił do niej, żeby kupiła mu paczkę papierosów. Zawróciła, bo jeszcze nie zdążyła odjechać zbyt daleko od sklepu i...

- I wtedy w nią uderzył. - Seth niemal zadławił się tymi słowami, lecz wiedział, że nie może się rozkleić, choć i tak czuł się lepiej, mogąc się zwierzyć z najgorszego, co go w życiu spotkało. -

Pijany kierowca.

Asher skrzyżował ramiona na piersi.

- Punktem stycznym dla uzależnienia od alkoholu i narkotyków jest nasza niezdolność do rozdzielenia przypadku od opatrności, a nawet pecha. Zapewne teraz już wiesz, Seth, że to niemądre obwiniać się za ten wypadek. Nie możesz też obwiniać Boga, bo nie miało to nic wspólnego z Nim. To błąd człowieka, a nie Boga. Bóg jest naszym duchowym partnerem, nie cielesnym. Daje nam poczuć swoją bliskość poprzez miłość i mądrość. Nie chwytą za ręce pijanych kierowców, nie uleczą chorych i nie daje biednym, nie tak działa Bóg. - Asher uniósł w górę palec.

- To znaczy mógłby, ale to mijałoby się z boskim planem. Ludzie sami muszą to odkryć i zrozumieć. Ważne, żebyś o tym wiedział, Seth. Obwinianie siebie za śmierć żony to brak szacunku dla jej pamięci.

Seth podniósł głowę, spojrzął na Ashera i przełknął ślinę.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Oczywiście, że nie! - zaśmiał się Asher. - Bo to za proste, prawda? A czemu? Bo jesteśmy ludźmi! Nawalamy! I jedyny sposób, abyśmy mogli naprawić swoje błędy, to trzymać się możliwie blisko boskiego światła, walczyć o Jego obecność w naszym życiu.

Seth poczuł, jakby uszło z niego powietrze. Niemal się rozpłakał, kiedy zrozumiał, że słowa rabina zdjęły z jego barków ogromny ciężar.

Judy wyczuła, że Seth nie ma siły, żeby mówić dalej, skierowała więc rozmowę na inne tory.

- Seth nie był jedynym, który coś spieprzył w swoim życiu. Wykładałam na prestiżowej uczelni, miałam pracę, której zawsze pragnęłam, czerpałam z niej sporo satysfakcji. Odnosiłam sukcesy, byłam lubiana przez kolegów. Raz umówiłam się z takim jednym facetem z wydziału nauk politycznych. Miałam wtedy nadwagę i ten gość powiedział mi, że bez wysiłku zrzucił czterdzieści funtów dzięki kokainie. Do dzisiaj nie wiem, jak ktoś z moim wykształceniem mógł być na tyle durny, żeby się na to nabrać. Uwierzyłam we wszystko, co mi powiedział, pewnie dlatego, że chciałam uwierzyć. „Nie martw się, to nie uzależnia, to tylko propaganda, strzelisz sobie raz, dwa razy w tygodniu i będzie dobrze, biorę to od lat i jeszcze się nie uzależniłem. Przecież nadal mam pracę, dom, przyjaciół, nic mi nie jest”. Ciągłe mówił mi takie rzeczy.

- Często słyszę podobne historie w Domu Nadziei - powiedział Asher.

Judy nie wydawała się zaskoczona.

- Zanim się w tym wszystkim połapałam, byłam tak uzależniona od kokainy, że nie poznawałam samej siebie. Inni wykładowcy na moim wydziale czuli, że coś jest nie tak, ale nie ja.

Moje zajęcia coraz bardziej się rozjeżdżały, studenci przestawali przychodzić na wykłady, kilku złożyło oficjalną skargę. - Judy utkwiała wzrok w ścianie. - Dziekan nakazał mi urlop i leczenie, ale mi przestała wystarczać kokaina, nie dawała już odpowiedniego kopa. Zamiast na odwyk, poszłam do dilera i kupiłam crack. To był początek końca, choć ten przyszedł szybko. Aresztowano mnie, zostałam wyrzucona z uczelni i... - Załamał jej się głos. - Nie wdając się w zbędne szczegóły...

Poszłam na odwyk i tam poznałam Setha. Koleś, który polecił mi kokę, miał jednak rację.

Faktycznie zrzuciłam zbędne kilogramy, lecz nie polecam tej diety.

Zaśmiała się ponuro.

- Najlepsze jest jednak to - powiedział Asher - że oboje poradziliście sobie z problemem, to dowód na siłę waszej wolnej woli, która pomogła wam naprawić błędy. Tak jak mówi Biblia, odkryliście siebie na nowo tylko dzięki wolnej woli, którą obdarzył nas En Soph, niczym mniej, niczym więcej.

- En Soph? - zapytał Seth.

- To jedno z żydowskich imion Boga - powiedziała Judy. - Tak jak Jahwe, Elohim i Hayyim.

- Niesamowite, że to wiesz - zdziwił się Asher.

Judy wzruszyła ramionami.

- Wykładałam teologię.

- Judy wie o judaizmie więcej niż ja - zaśmiała się Seth. - A jest

chrześcijanką.

- Tak - powiedziała Judy - jestem jego gojfriendem.

Asher usiłował ukryć zdumienie.

- Niezłe z ciebie ziółko, Judy - skwitował i zwrócił się do Setha:

- Seth, czytałem co prawda artykuł o tobie, ale przyznam, że nie wiem wiele o tym, czym się zajmujesz. Gry komputerowe, tak?

- Tak, zajmuję się projektowaniem gier.

- A ten Dom z Mięsa... To science-fiction, prawda? Nie żadne...

Seth zaśmiał się lekko, czując się prawdziwie oczyszczony.

- Nie, nie Asher. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak tytuł produkcji dla dorosłych, ale to typowa fabuła science-fiction.

- Musiałeś przejść samego siebie, skoro gra odniosła taki sukces.

- Dopisało mi szczęście. Ubrałem stare pomysły w nowe szatki i chwyciło.

- Seth jest czasem naprawdę skromny - powiedziała Judy.

- Już pierwsze wydanie sprzedało się lepiej niż jakakolwiek gra w historii.

- To nie lada osiągnięcie - przyznał Asher.

- A ja testuję zaprojektowane przez niego poziomy - dodała Judy. - Gra jest naprawdę rozległa, szczególnie w trybie dla kilku graczy; za pomocą sieci mogą w nią grać jednocześnie ludzie z całego kraju.

- Judy, będę z tobą szczerzy - powiedział Asher. - Tutaj w Lowensport nie znamy różnicy pomiędzy siecią rybacką i komputerową. Nawet nie mamy komputerów! Cieszę się jednak z waszego sukcesu.

- Dziękujemy, Asher - odparł Seth. - To było naprawdę ciekawe doświadczenie, ale, jak już mówiłem, po prostu miałem

szczęście.

Otworzyły się drzwi i w progu pojawił się Eli.

- Czy ma ktoś ochotę na jeszcze jedną filiżankę kawy albo bliny?

Odmówili, lecz zanim mężczyzna zamknął drzwi, Seth i Judy zauważyli coś na ścianie drugiego pokoju: figury geometryczne w kształcie piramid, złożone u podstaw; w wierzchołek każdej z nich wpisana była twarz. Ta na dole była jasnego koloru, na górze - ciemnego. Seth nie miał pojęcia, co to oznacza, lecz Judy rozpoznała symbol od razu.

- Asher - powiedziała, zaintrygowana. - Jesteś kabalistą.

- No tak. - Rabbi kolejny raz wydawał się zaskoczony jej wiedzą.

- Czy to widać?

- Zobaczyłam w tamtym pokoju Głowę Zohara. Nie wierzę, że nie domyśliłam się wcześniej. Żadnej osobnej synagogi, twoje nawiązania do emanacji...

- Naprawdę imponuje mi twoja wiedza. Niewiele osób wie o kabale.

- Prócz teologii wykładałam też teozofię...

Asher wydawał się podekscytowany.

- A to jest słowo, które słyszy się jeszcze rzadziej niż kabała. Nauka o Bogu.

- To był wspaniały kurs, ale niewielu studentów się za niego zabierało - powiedziała Judy. - Pewnie się ucieszysz, słysząc, że pierwszych kilka zajęć dotyczyło kabały.

Seth poczuł się zbędny.

- Słyszałem o kabale, lecz nie wiem zbyt dobrze, co to takiego.

Asher spojrzał na niego.

- Musisz najpierw zrozumieć, czym nie jest, Seth. To nie magia

ani szamanizm, ani nic z tych rzeczy, które są teraz modne w Kalifornii. Nie ma w niej nic ezoterycznego ani mistycznego, to głębsza i subiektywna interpretacja judaizmu.

Judy dopowiedziała: - Prawdziwa kabała to przekaz ustny, prawda? Mówi się, że to była pierwsza religia, której nauczył aniołów sam Bóg.

- Dokładnie - przytaknął Asher. - A potem aniołowie nauczyli Adama...

- Poprzez Dziesięć Sefirot czy też ksiąg, które odzwierciedlają dziesięć idealnych liczb...

- Dziesięć Boskich Emanacji - wyjaśnił Asher.

- Muszę ponownie przyznać się do całkowitej niewiedzy w tym temacie - rzucił Seth. -

Nieży ze mnie Żyd, co nie?

- Liczy się jedynie wiara, Seth - powiedział Asher. - Kabała nie jest dla każdego Żyda, tak jak jezuityzm nie jest dla każdego katolika. Kabała to sięgająca głębiej nauka o wczesnych dogmatach judaizmu.

Seth wskazał na drzwi.

- Co przedstawiał ten diagram w drugim pokoju?

Asher spojrzał na Judy.

- Chciałbym usłyszeć twoją odpowiedź.

- Magiczną Głowę Zohara - odpowiedziała. - Twarz znajdująca się na górze, ta jasna, przedstawia obraz Boga oświeconego przez Dziesięć Emanacji. Ciemniejsza, na dole, to... Nie mogę sobie przypomnieć imienia.

Judy przygryzła wargę, lecz Asher przyszedł jej z pomocą.

- Neptesh - powiedział. - Prymitywna dusza człowiecza, próbująca dostąpić chwały Emanacji i ich światła.

- Im bardziej piramidy nachodzą na siebie, tym więcej światła spływa na Neptesh - ciągnęła Judy - i kiedy zrównają się ze sobą, otrzymamy gwiazdę Dawida.

- Dobrze, bardzo dobrze - powiedział Asher. - Głowa Zohara to tak samo nasz symbol, jak krzyż jest symbolem chrześcijańskim.

Seth opadł na kanapę.

- Każdego dnia uczę się czegoś nowego, co przypomina mi tylko o tym, jak mało wiem.

- Nie czuj się z tego powodu źle, Seth - zaśmiał się rabbi.

- Niewielu ludzi ma wiedzę o prawdziwej kabale, lecz to jest ośrodek mojej wiary. Mojej i wszystkich w Lowensport.

- Czy Gavriel Lowen także był kabalistą? - zapytał Seth. - Twój praprapradziad?

- Prapraprapradziad - uśmiechnął się Asher - i odpowiedź brzmi: tak. Prawdopodobnie jako pierwszy sprowadził do Ameryki kabalistyczny kahał.

Rabin wskazał palcem na niewielki, wiszący na ścianie portret, na którym widniał mężczyzna o poważnej twarzy; nie miał ani brody, ani wąsów.

- Oto i on. Wielki człowiek, lecz spotkał go straszny koniec.

- Tak, słyszeliśmy - rzekł Seth. - Facet od nieruchomości, który sprzedał nam dom, wspominał o tym.

- Prześladowania zdarzają się wszędzie, jak każde inne zło.

- Asher spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. - Jej, straciłem rachubę czasu. Chciałbym pogadać z wami dłużej, ale musimy udać się z Lydią do kliniki.

- Jasne, my również będziemy się powoli zbierać - powiedział Seth i wstał. - Dziękujemy ci za zaproszenie. Jesteś bardzo inspirującą osobą.

- To ja dziękuję!

Uścisnęli sobie dłonie.

- A może wpadniecie do nas z Lydią na obiad? - zaproponowała Judy.

- Pewnie - dodał Seth. - W domu twojego prapraprapradziadka!

- Wspaniały pomysł. Na pewno skorzystamy. - Asher odprowadził ich do drzwi. - Zjedźcie do nas przy następnej okazji, moje drzwi są zawsze dla was otwarte. No i Judy, miałbym do ciebie prośbę. Jesteś przykładem zwycięstwa nad własną słabością, czy dałabyś się namówić, aby powiedzieć kilka słów w Domu Nadziei?

- Nie trzeba mnie namawiać, zrobię to z przyjemnością.

Już mieli wychodzić, kiedy Seth zatrzymał się w drzwiach.

- Asher, przyjmujecie dotacje, prawda?

Rabbi nie zrozumiał.

- Dotacje? Jakie?

- Na wasz ośrodek.

- Seth, nie zaprosiłem was tutaj, żeby wyciągnąć od was pieniądze.

- Wiem, Asher, ale na pewno przyjmujecie dotacje.

- Naprawdę nigdy tego nie robiliśmy. Ośrodek prowadzony jest przez wolontariuszy, a fundusze pochodzą ze środków miejskich...

- Chciałbym przekazać wam trochę pieniędzy - powiedział Seth i szybko wypisał czek. -

Proszę, przyjmij go.

- Dziękuję. - Asher przełknął ślinę, patrząc na widniejącą na czeku sumę. - Seth, ja nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic nie musisz mówić. Chcę tylko wyciągnąć pomocną dłoń.



- No cóż - powiedział zdumiony Asher. - Naprawdę bardzo ci dziękuję...

- To my dziękujemy. Zadzwonimy niedługo, by umówić się na ten obiad.

Seth czuł się świetnie, kiedy wyszli.

- Wspaniały człowiek. Naprawdę inspirujący.

- To zadanie każdego rabina - rzuciła Judy. - Ile mu dałeś?

- Trzydzieści kawałków.

- Seth!

Seth wzruszył ramionami.

- Dzięki takim jak on nadal żyję.

- Wiem, ale to... Bardzo hojny podarek.

- Jestem szczęśliwy, że mam się czym podzielić.

Wziął ją za rękę i ruszyli w stronę zaparkowanego auta. Po ulicach spacerowali przechodnie, głównie pary - mężczyźni ubrani jak Asher i kobiety w ciemnych sukniach podobnych do tej, którą miała na sobie Lydia Lowen. Ci, którzy zauważyli Seta i Judy, uśmiechali się ciepło i machali do nich. Przy końcu ulicy lśniła rzeka, nad wodą latały mewy.

- Dobra, wydajmy trochę kasy - zasugerował Seth. - Znajdźmy jakąś dobrą restaurację.

### (III)

- Gdzie jesteś? - warknął Rosh do swojego telefonu „na specjalne okazje”, zwyczajnej, taniej komórki na kartę. - Muszę z tobą pogadać.

- Pogadać, co? - usłyszał niewyraźny głos D-Mana. - Nie mogę

się doczekać, bo też muszę z tobą pogadać. Jesteśmy przy tej polanie, wiesz której, tej małej, zaraz na skraju lasu, no wiesz.

Rosh domyślił się, o czym mowa. Ciekawość wzięła górę.

- Czy to nie tam zakopaliście...

- Ta, to właśnie tutaj ich zakopujemy, zresztą najczęściej dla ciebie, Ro... - Krzepki wieśniak w porę ugryzł się w język.

- Nigdy nie zwracaj się do mnie po nazwisku. Żadnych nazwisk przez telefon - rozkazał

Rosh. - Nigdy.

- No tak, wiem...

- Coś powiedział? - syknął Rosh.

- Tak, wiem... proszę pana.

- Dobrze. I tak, kurwa, trzymaj. Jesteśmy teraz w mieście, ale siedźcie na dupie, przyjedziemy za piętnaście minut.

- Czekamy. - Głos D-Mana ucichł.

Co ci dwaj idioci wyrabiają?

Rosh schował telefon i skrzywił się, patrząc na to, co się dzieje.

Ludzie ze SWAT już się zbierali, a samochody patrolowe odjeżdżały spod rozlatującego się domu, którego dach wyglądał, jakby ktoś wessał go do środka.

Kolejny dzień, kolejna ćpuńska dziupla, pomyślał Rosh. Tylko nie ta, co trzeba...

Słońce chyliło się ku zachodowi, jakby uciekało przed tym, czego było świadkiem; Rosh stał w zabarwionej na pomarańczowo ciemności. Z domu wyszedł Stein i zatrzymał się obok niego.

- Nie mogę w to uwierzyć - narzekał Rosh. - Leń podała nam złe informacje. I jak ci się to podoba? Co to za człowiek, który okłamuje gliny?

- Kapitanie, właściwie to mówiła prawdę...

Rosh poczuł nagły przypływ radości.

- Nie chcesz mi chyba dać do zrozumienia, że znaleźliście Jary'ego Kappa na drugim piętrze?

- Nie - powiedział Stein. - Mówię tylko, że dziwka nie kłamała. Jary'ego nie ma w środku, ale był.

Stein wepchnął mu coś do ręki.

Czapeczka Boston Red Sox.

- Racja - przyznał Rosh. - Jego brat nosił Jankesów, ale Jary tylko Red Sox.

- Pomyślałem, że spodoba ci się pamiątka - skomentował Stein z rozbijającym uśmiechem.

- Bardzo, kurwa, dzięki. Idziemy. Prowadzisz.

Wsiadli do samochodu i ruszyli.

- Jary nie jest idiotą, kapitanie - powiedział Stein. - Wie, że mamy na niego oko, więc nigdzie nie zagrzewa miejsca na dłużej.

- Pewnie co noc kima gdzie indziej. Pierdolony, myśli, że jest jakimś Bin Ladenem.

Stein zapalił papierosa.

- Pewnie dopadniemy go, kiedy wróci na Florydę.

- Pewnie to za mało, Stein. - Rosh wbił palce w udo. - Dorwiemy go.

- Powiesz mi, gdzie jedziemy? - zapytał Stein.

- Na polanę, gdzie Flip i Flap zakopują truchła.

- Po co?

- Chcę ich o coś zapytać. Zresztą, mówią, że mają sprawę.

- Następną dostawa za dwa dni, może chcą przekazać nam prochy wcześniej.

- Niewykluczone - wybełkotał Rosh i spojrzał na księżyc, który wisiał nad niekończącymi się polami prosa.

Obaj skrzywili się, kiedy zajechali na polanę i zobaczyli zaparkowaną tam czarną furgonetkę. Na wbitym w ziemię kiju wisiała zapalona lampa, oświetlając makabryczną scenę: D-Man i Świrus akurat kopali grób.

- Myślałem, że ci idioci wykonują takie robótki tylko dla nas - powiedział Rosh.

Stein wyłączył silnik.

- Przecież nie jesteśmy ich jedynymi zleceniodawcami. W końcu to Ameryka, nie? To o tym ciągle gadasz. - Stein uśmiechnął się szeroko. - Wolny rynek, przedsiębiorczość?

- Zamknij się...

Podeszli do dwóch wieśniaków i spojrzeli w dół; tamci nie przerwali pracy.

- Kto was, do cholery, zatrudnił? - zapytał Rosh.

- Nikt - odparł D-Man.

- To co wy, kurwa, zakopujecie?

Świrus zaśmiał się, nabierając kolejną łopatę ziemi.

- Niczego nie zakopujemy, kapitanie. My wykopujemy.

Udało im się odsłonić wieko skleconej naprędce trumny. Świrus wlaźł do dziury i młotkiem podważył gwoździe.

D-Man wytarł spocone czoło przedramieniem.

- Boże, ale smród! - krzyknął Świrus po otwarciu trumny, wyskoczył z grobu i zasłonił twarz.

- A co? Chciałbyś, żeby waliło od niej perfumami? - parsknął D-Man. - Leży w ziemi od wczoraj.

Rosh i Stein gapili się z niedowierzaniem na zwłoki wewnątrz trumny; blade, lecz jeszcze świeże ciało kobiety po dwudziestce.

Jędrne piersi, rude włosy.

- Carrie Whitaker - głos Steina brzmiał szorstko jak papier ścierny.

- Alias Leń - dodał Rosh i spojrzał na D-Mana. - Co się tutaj, kurwa, dzieje? Zapłaciliśmy wam, żebyście tę dziwkę zakopali.

- No i zakopaliśmy - powiedział D-Man, wymachując puszką piwa. - A teraz wykopaliśmy.

Nie martwcie się, znowu pójdzie do piachu.

Gestem wezwał Świrusa i dał mu sygnał.

- Kurwa - powiedział Świrus, zacisnął palce na nosie i wskoczył do grobu.

Ogłupiały Rosh patrzył na zwłoki. Dopiero teraz zauważył, że wraz ze zwłokami zakopali coś jeszcze, jakieś zawiniątko. Świrus, klnąc na smród, zabrał pakunek, założył ponownie wieko i wyskoczył.

Następnie zaczęli zakopywać trumnę z powrotem.

Stein gapił się kompletnie osłupiały. Rosh odwinął pakunek i, za pomocą kciuka i palca wskazującego, wyciągnął...

- Trzy bochenki pumperniku - powiedział Stein.

Rosh wyprostował się i pomasował skronie. Spojrzał na mężczyzn zakopujących dziurę.

- Sierzancie Stein?

- Tak, panie kapitanie?

- Czy mi się wydaje, czy jest to najbardziej pojebana rzecz, jaką widzieliśmy?

- Zgadza się, panie kapitanie. To jest najbardziej pojebana rzecz, jaką widzieliśmy.

D-Man i Świrus zarzeli ze śmiechu, nie przestając zakopywać grobu. Kiedy skończyli, otrzepali ręce i ukleпали ziemię nogami.

- D-Man? - zapytał kapitan, próbując uspokoić głos. - Czemu. Wykopalście. Te zwłoki.

Zapłaciliśmy wam wczoraj za coś odwrotnego.

- No, żeby wyjąć chleb - odparł krępy mężczyzna. - Włożyliśmy go wczoraj do trumny, ale potrzebujemy go z powrotem.

Rosh otarł twarz i westchnął.

- D-Man, powiedz mi, proszę, na chuj wam ten jebany pumperniel wyjęty z pierdolonej trumny, w której rozkłada się ta martwa kurwa?!

- Lepiej nie pytać - odpowiedział D-Man i pociągnął łyk piwa. - Nawet sami nie wiemy.

Szef kazał. Zna pan to.

Rosh wydarł się tak zaciekle, że aż ślina poleciała mu z ust.

- Chcę wiedzieć, czemu pogrzebaliście tę dziewczynę z trzema bochenkami chleba i na cholerę ją odkopaliście!

Wrzask rozniósł się echem; kilka nocnych ptaków, przyczajonych na drzewach za ich plecami, poderwało się do lotu.

- Uspokój się, człowieku. Mówiłem, lepiej nie pytać.

- No właśnie - dodał Świrus. - Nie słyszał pan, że ciekawość to pierwszy stopień do nieba?

D-Man westchnął.

- Do piekła, idioto! Piekła!

- Aha.

D-Man zgniótł w ręce aluminiową puszkę po piwie.

- Jakaś chora akcja, kapitanie. Nie pytaliśmy, bo i nie było o co. Pojebani i tyle.

- Pojebani? To widzę! - krzyknął Rosh, podnosząc w górę chleb.

- Jakieś przesady, chyba z Europy. Na szczęście czy coś takiego.

- D-Man wygiął się, aż mu trzasnął kręgosłup. - Aha, miałem powiedzieć, że spóźnimy się o dwa dni z następną dostawą.

- Takiego chuja! - krzyknął Rosh.

Odkopanie trupa, chleb, a teraz to. Rosh był o krok od napadu szału.

- Mam ludzi, którzy czekają na prochy! Muszę sprzedawać i sprzedawać! To interes, D-Man! Powiedziałem, że towar będzie pojutrze, to ma być pojutrze!

D-Man wydawał się poirytowany.

- Luz! Spóźnimy się, a jeśli się to panu nie podoba - D-Man podał Roshowi telefon - to niech pan dzwoni i powie to facetowi, który nagrywa towar.

Rosh spojrział na telefon i powiedział: - Niech będzie. Dwa dni... Kurwa! A wiesz może, czemu?

- Nie mam pojęcia. - D-Man otrzepał ziemię z podeszwy buta. - Robimy, co nam każą, kapitanie; i ja, i pan. Bo to szef nabija nam kabzę.

- Ma rację, kapitanie - powiedział Stein. - Nie da się walczyć z systemem. Niech się trochę ćpunkci pomęczą, wyjdzie im na zdrowie.

Rosh wreszcie się uspokoił.

- Aha, okej. Masz rację.

Świrus zaczął wygrzebywać łupież ze swojego zarostu, zaś D-Man wrzucił łopaty na tył

vana razem z bochnami chleba.

- Załatwione. Co chciał nam pan powiedzieć?

Świerszcze cykały coraz zacieklej. Rosh podał D-Manowi fotografię Jary'ego „Kappa”

Robinsona.

- To brat jednego z tych kolesi, których stuknęliście na Pine Drive. Nazywa się Jary Kapp.

D-Man przytaknął, patrząc, na zdjęcie.

- Nie ma problemu. Pięć kawałków i zrobione. Powiedzcie tylko, gdzie go znajdziemy.

Stein spojrzał bezsilnie na Rosh.

- Nie wiemy, gdzie on jest, przyczał się.

- Macie na ulicach tyle samo zaufanych, co i my - dodał Rosh - ale nasi albo nie chcą gadać, albo nie wiedzą.

Świrus popatrzył na palec, którym przed momentem dłubał w nosie. D-Man otworzył kolejne piwo.

- Nie mamy żadnych ludzi na ulicach, tylko dostawców. To wy macie informatorów.

Rosh przygryzł z nerwów wargę.

- Nie chcę, żebyście go kropnęli, chcę go żywego.

- Skoro nie wiesz, gdzie on jest, nie możesz nam powiedzieć, gdzie jest - wydedukował D-Man.

- Tak. Czyli nie zrobicie tego?

D-Man i Świrus wymienili spojrzenia.

- Co to miało być? - zirytował się Rosh. Co znaczy to spojrzenie? Stein, zauważyłeś?

- Nie wiem, kapitanie. Miało być chyba złowieszcze.

D-Man wyciągnął telefon.

- Dajcie mi chwilę, zobaczę, co da się zrobić - rzucił i odszedł na bok.

Świrus milczał. Wyłączył elektryczną latarenkę i położył ją na pace furgonetki. Rosh i Stein poszli za nim.

- Świrus, co jest? - zapytał Stein. - Albo macie informatorów, albo nie macie.



- Człowieku, nie mamy. Jest taki inny sposób... Robiliśmy to wcześniej, ale lepiej nie pytać.

Kolejne pojebaństwo, pomyślał Rosh. Ta, ciekawość to pierwszy stopień do nieba.

Jeśli istniało coś, czego miał pod dostatkiem, to byłaby to właśnie ciekawość.

D-Man podszedł do niego z niewesołą miną. Świrus zwiijał skręta.

- Co do tej roboty, szef mówi, że możemy ją wziąć, ale za dziesięć kawałków. To bardziej ryzykowne, skoro mamy go wziąć żywcem.

Nie ma się co rzucać, skonstatował Rosh.

- Okej, ale jak to zrobicie, skoro nie wiesz, gdzie jest Jary?

- W tym cały szkopuł. Możemy go znaleźć, ale potrzebne nam coś, co należy do tego gościa - powiedział D-Man. - Zegarek, koszulka, but...

Rosh ledwie powstrzymał się, żeby nie pstryknąć palcami.

- Niech zgadnę! A może kosmyk włosów albo paznokieć?

- Też może być.

- Człowieku, daj spokój! Co to ma być? Jakieś pierdolone voodoo?

D-Man nie wiedział, co odpowiedzieć.

- No, coś w tym stylu. Tak sędzę. Jak chcecie, żebyśmy zrobili robotę, to takie są warunki.

Będziemy się teraz o wszystko droczyć?

Rosh ledwo nad sobą panował.

- Zajebicie. Po prostu zajebicie. Nawet gdybym wierzył w całe to gówno, a nie wierzę, to i tak nie miałbym skąd wziąć jakiejś rzeczy, która...

- Kapitanie, mamy coś - powiedział Stein, wychodząc z za radiowozu. - Czy to da radę?

Podał D-Manowi czapkę Red Sox.

- Dobrze! - powiedział Rosh.

- Jeśli to tego faceta, to załatwione - odparł D-Man. - A dycha? Płatne z góry.

Rosh spojrzał na niego.

- Myślisz, że noszę ze sobą takie pieniądze?

- Aha.

Rosh podał mu plik setek.

- Nieźle - podsumował D-Man. - Zadzwonimy do was, kiedy go załatwimy.

Rosh był zaskoczony.

- Tak po prostu? Bo macie pierdoloną czapkę?

- Ano - mruknął D-Man. Wraz ze Świrusem weszli do vana i odjechali.

Rosh i Stein wymienili spojrzenia; nie złowrogie, a pełne obaw.

## (IV)

- Muszę powiedzieć, że nasza pierwsza wyprawa do Lowensport i Somner's Cove zakończyła się sukcesem - powiedział Seth, kiedy zaparkował auto na podjeździe przed domem.

Na bezchmurnym niebie jasno świecił księżyc; Lowen House odcinał się wyraźnie na tle nocy.

- Dwa zupełnie różne miejsca - dodała Judy - ale wyjątkowe w swoim własnym zakresie. A te kraby w Somner's Cove były

pyszne.

- Szalony Allen - zaśmiał się Seth. - Zastanawiam się, czy faktycznie pracuje tam gość o takiej ksywce.

Seth objął ją ramieniem i poszli do domu. Zjedli ogromną kolację w Somner's Cove, a potem włączyli się po mieście i jeździli bocznymi ulicami wyłożonymi skorupkami ostryg, podziwiając rzekę. Wyglądała bosko przy zachodzącym słońcu. Kiedy wrócili, Seth pomylił drogi i musieli przejechać przez zadziwiająco rozległą dzielnicę slumsów, którą zepchnięto na obrzeża miasta. Każde miejsce ma swój newralgiczny punkt, pomyślał Seth. Judy milczała: młodzi ludzie na rogach ulic mogli być tylko dilerami. Niepotrzebne jej takie wspomnienia. Seth żałował, że tak zjechali. Na którejś z ulic zobaczyli pijaka wytaczającego się z podłego baru. Padł na chodnik, nie mogąc utrzymać się na nogach. A mi niepotrzebne są takie...

Seth przyśpieszył i odjechali stamtąd najszybciej, jak mogli.

Nastrój Judy zmienił się w sekundzie, w której przekroczyła próg domu. Seth miał nadzieję, że czuje się tak samo orzeźwiona jak on. Rozmowa z Asherem Lowenem pozostawiła ich w nadzwyczajnych humorach. Judy powiedziała później, że to „efekt spowiedzi”.

- Wygadaliśmy mu się ze wszystkiego i dlatego nam lepiej.

- Niezupełnie tak to odbieram, ale faktycznie czuję się lepiej - odpowiedział Seth.

Nie zwierzył się z wyroku za jazdę po pijanemu; zjechał wtedy na drugi pas i walnął w barierkę, minąwszy van pełen dzieci o niecały jard.

- Nie znalazłem jednak odwagi, aby opowiedzieć mu o moim wypadku - dodał.

- A i ja nie powiedziałam, w jakim dołku znalazłam się pod koniec mojej przygody z dragami - odpowiedziała Judy, a Seth pokiwał głową. - Jestem jednak pewna, że nie miałyby to dla niego znaczenia, moglibyśmy mu o tym powiedzieć, a on nadal byłby wyrozumiały.

Kiedy byli już w domu, Seth odruchowo udał się do biura, aby sprawdzić e-maile, lecz zanim zdołał włączyć komputer, za jego plecami pojawiła się Judy i wsunęła mu ręce pod koszulę.

- O, znowu próbujesz mnie poderwać? - zażartował.

- Aha - szepnęła. - Masz z tym jakiś problem?

- W żadnym razie...

- Możesz sprawdzić też moją skrzynkę - powiedziała, nachylając się - a ja sprawdzę...

Zsunęła dłoń niżej.

Dotyk jej rąk podniecił Seta. Zalogował się na jej konto, ale pomyślał: Pieprzyć e-maile i odwrócił się do Judy, która zdążyła zdjąć z siebie ciuchy i stała przed nim w samej bieliźnie.

- To też musisz zdjąć... - wybełkotał i już miał zdjąć jej stanik, gdy...

- Popatrz - powiedziała, zaglądając mu przez ramię na ekran. - Dostałam maila. Poczekaj, szybko sprawdzę.

Odepchnęła go lekko i dopadła klawiaturę.

Sethowi chciało się wyć.

- Naprawdę lubisz się ze mną droczyć, co?

- To nie droczenie się, ale napalanie - zaśmiała się. - Napalam cię.

Seth miał odpowiedzieć jej jakąś kąśliwą uwagą, lecz odjęło mu mowę, kiedy spojrzał na prawie nagą, nachyloną nad klawiaturą Judy, której skóra błyszczała w świetle księżyca. Nie mógł się

powstrzymać; podszedł do niej od tyłu i naparł biodrami na jej pośladki, a dłonie zacisnął na piersiach. Judy zamarła i ze świstem wciągnęła powietrze, kiedy dotknął palcami jej sutków.

- Nie możesz poczekać? Mam wiadomość...

- E-mail może zaczekać, ale mam tutaj coś, co nie może... - powiedział, czując, jak twardnieją jej sutki. - Poza tym ty zaczęłaś...

Judy zachichotała, naciskając przycisk przy drukarce. Odwróciła się i usiadła na biurku.

Seth poczuł kolejną falę pożądania; Judy rozchyliła uda, a jej piersi nabrzmiały.

- Możemy zrobić to teraz - zachichotała - albo...

- Albo co?

- Albo możemy sprawdzić tłumaczenie! - wykrzyknęła i zeskoczyła z biurka, a jej piersi zakołysały się, kiedy pochyliła się nad drukarką.

- Tłumaczenie? - zapytał Seth.

Czy ona to robi specjalnie, czy po prostu jest roztrzepana?

- Od mojej przyjaciółki Wandy - przypomniała mu. - Przełożyła z aramejskiego tę modlitwę, którą znaleźliśmy w mezuzie.

Aha... To...- pomyślał Seth, a jego podniecenie opadło.

Podeksytowana Judy złapała wydruk i podeszła do zapalanej lampy. Nagle opuściła ją energia, zastąpiona przez zakłopotanie i powagę.

- Nie tego się spodziewałam - mruknęła pod nosem. - Sądziłam, że będzie to jakaś modlitwa...

- Masz na myśli błogosławieństwo?

- Dokładnie, dowód na to, że dom został pobłogosławiony, a to... - Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Czyli teraz nie tylko się ze mną droczysz, ale też trzymasz mnie w niepewności - burknął

Seth.

Seksualne napięcie całkowicie wyparowało.

- Przepraszam, to jest... Ten dom nie został pobłogosławiony, ale... Wyegzorcyzmowany.

- Daj spokój!

- Wanda pisze, że istnieje wiele żydowskich rytuałów egzorcyzmujących, do których potrzebna jest miska wody święconej. Znaleźliśmy miskę, co nie? I jestem pewna, że właśnie do tego służyła. Wanda mówi także, że niektóre obrzędy wymagały korzenia mandragory...

Seth poczuł ucisk w klatce piersiowej.

- Był też i korzeń. W sekretnym pokoju. Wyglądał jak zgniła marchew.

- Aha. I była też menora.

- Jak brzmi tłumaczenie? - zapytał Seth.

- Już czytam - powiedziała Judy i zaczęła recytować: - En Soph, usłysz nas! S'mol i jego świta - avaunt! Święci Aniołowie, wysłuchajcie nas! Niech S'mol i jego świta, która może kryć się w mroku, trzyma się z dala od tego domu na zawsze, niech Twa moc nie pozwoli mu nigdy przekroczyć progu i skazać niczego.

Seth nie miał pojęcia, co to ma znaczyć.

- Avaunt?

- To znaczy „odejź” - powiedziała Judy. - A S'mol to hebrajskie określenie Lucyfera. To jest naprawdę dziwaczne, Seth.

- No to akurat widzę. Mówisz mi, że nasz dom został poddany egzorcyzmom...

- Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Wanda mówi, że to

jest tradycyjny obrzęd ochronny.

- Słucham?

- Przeważnie myślimy o egzorcyzmach jako o rytuałach, które wypędzają złe duchy z osoby uznanej za opętaną. Ale ten obrządek to coś innego, to prośba do En Sopha, do Boga, aby wygnał całe zło z tego domu. - Judy uniosła palec, aby nadać swoim słowom znaczenia. - Co myślisz o tym zdaniu: Niech S'mol i jego świta, która może kryć się w mroku, trzyma się z dala od tego domu na zawsze, niech Twa moc nie pozwoli mu nigdy przekroczyć progu i skazać niczego?

Sethowi wydawało się to jasne.

- Chodzi chyba o to, żeby nie pozwolił mu tutaj wejść.

- Tak, ale coś pominąłeś. - Spojrzała na niego, żeby zobaczyć jego reakcję. - Świta, która może kryć się w mroku...

Nagle Seth zrozumiał: - Kryć w mroku... Zakopać?

- Coś jest zakopane w domu - powiedziała Judy.

Niemożliwe!

- Nie myślisz chyba, że...

- Nie wiem - odparła. - Ktoś, kto to napisał, sądził, że pogrzebano tutaj coś złego.

Seth oczyma wyobraźni widział piwnicę.

- Croter powiedział, że Gavriel Lowen zmarł w sierpniu 1880 roku.

- Modlitwa jest datowana na wrzesień 1880. Założę się, że...

- Nie, Gavriel nie mógł zostać tutaj pochowany, przecież przywiązano go w tartaku do skrzyni z dynamitem i podpalono. Croter powiedział mi - nie chciałem, żebyś znała wszystkie makabryczne szczegóły - że znaleźli tylko jego głowę i nie zakopali jej w domu, ale na pogorzeliisku.

- Okej, faktycznie makabryczne. A więc kto leży w piwnicy?

Żadne z nich nie odzywało się przez moment, aż Seth wyrwał się z zamyślenia.

- Pewnie nikt, a nawet jeśli to... nie nasza sprawa. A to - powiedział i złapał kawałek papieru, na którym zapisano modlitwę po aramejsku - musi wrócić tam, gdzie zostało znalezione.

Wsunął zawiniątko do drewnianej skrzyneczki.

- Coś ty nagle taki uduchowiony?

Seth nie odezwał się ani słowem, lecz zanim wyszedł, odwrócił się i zapytał: - Idziesz ze mną?

- Pytasz mnie, czy chcę w środku nocy zejść do piwnicy, aby położyć z powrotem karteczkę z egzorcyzmem do kredensu w sekretnym pokoju, gdzie ktoś mógł zostać zakopany? Zgadnij!

Seth uśmiechnął się, złapał latarkę i ruszył powoli w stronę drzwi.

- Mam nadzieję, że głowa Gavriela Lowena nie lata po piwnicy na skrzydłach nietoperza.

- Seth!

- Zostawię drzwi otwarte, żeby mógł tutaj podlecieć i się przywitać. Wiesz, na pewno ma wampirze kły...

- Zamknij się, Seth!

Seth zaśmiał się, wychodząc z pokoju. Judy narzuciła na siebie szlafrok i pobięła za nim.

Na zewnątrz Seth uchylił drzwi od piwnicy i, przyświecając latarką, zszedł razem z Judy do środka, gdzie śmierdziało wilgotną ziemią.

- Nonsens - westchnęła Judy.

Seth skierował światło latarki na jej twarz, wyraźnie



niezadowoloną i bladą.

- Nie wiedziałem, że boisz się ciemności - parsknął Seth.

- Tylko wtedy, kiedy w piwnicy mogą być pogrzebane zwłoki.

Znalezienie wejścia do ukrytego pomieszczenia zajęło Sethowi dłuższą chwilę; popchnął drewniane belki i weszli do środka.

Z jakiegoś powodu jest tutaj cieplej, pomyślał.

- Widzisz? Nic strasznego - powiedział do Judy, odkładając na miejsce mezure i przy okazji zauważając leżący na półce korzeń. - Mandragora, tak?

- Zgadza się. Przez tysiące lat wierzono, że posiada nadnaturalne właściwości. Czasem korzeń może mieć kształt gwiazdy, a czasem nawet ludzkiej istoty...

Seth podniósł korzeń.

- No i jest trująca.

Seth odłożył go czym prędzej.

- Spokojnie, po stu latach na pewno utraciła wszelkie trujące właściwości.

Seth zawiesił oko na menorze i drewnianej misce, a potem zamknął kredens.

- Żadnych wyjących duchów.

- Wydajesz się tym rozczarowany. - Judy przeszła na drugi koniec wąskiego pokoiku. - Nic tutaj nie ma... Co, do cholery... Seth, przyświeć tutaj.

Coś wyraźnie przykuło jej uwagę.

Seth podszedł do niej z latarką i zobaczył, że Judy przyklęka na jedno kolano. Wyglądało na to, że bosą stopą nadepnęła na coś leżącego na ziemi, a teraz próbowała to wykopać palcami.

- Wydaje mi się, że coś tutaj leży - nie przestawała grzebać - to chyba...

Seth przyświecił jej latarką.

Judy krzyknęła.

Piwniczny mrok sprawił, że jej wrzaski brzmiały przekonująco; Sethowi włosy stanęły dęba.

- Co się stało?!

Judy podskoczyła jak oparzona i przywarła do ściany.

- Tam jest szkielet! - wychrypiała.

Seth zawahał się. Nawet jeśli to prawda... Nie ma się czego bać.

Uklęknął obok Judy, zobaczył wybrzuszenie w ziemi i dotknął go palcami.

- Nieźle - powiedział.

- Jak to „nieźle”?

- Masz rację, to faktycznie szkielet, ale popatrz... - odparł i delikatnie strząsnął ziemię z kości.

Seth był niemalże zaskoczony, że odkopane przez nich kości, które przeleżały w ziemi ponad sto lat, nie wywołują w nim większych emocji.

- Do cholery, Seth! Nie mam zamiaru na to patrzeć!

- Wyluzujesz trochę? Na Boga, jesteś wykładowcą uniwersyteckim, osobą o szerokich horyzontach. Przecież wiesz, że nie ma się czego bać.

Judy uspokoiła się nieco.

- Wiem, ale... Nie jest to coś, co lubię. Pieprzony szkielet w mojej własnej piwnicy.

- Zastanawiam się - Seth dotknął kości i nabrał pewności, że to dłoń - czym jest to coś wokół.

- Pewnie kawałki zmumifikowanego ciała - rzuciła Judy i podeszła do Seta.

- Szare?

- Zmumifikowane zwłoki są przeważnie brązowe lub żółte, a przynajmniej te, które widziałam na wystawach w muzeum.

I powinny mieć fakturę podobną do suchej skóry.

Seth przejechał palcem po szkieletowej dłoni.

- Nie przypomina skóry - zdrapał kawałek substancji paznokciem. - Jest raczej jak zaschnięte błoto albo coś takiego.

Niepokój odczuwany przez Judy został zastąpiony przez nagłe zaskoczenie.

- Wygląda jak glina.

- Glina? No w sumie...

Judy również dotknęła dłoni i spojrzała uważniej na kości.

- Na to wygląda. Zaschnięta glina, jakbym dotykała jakiegoś naczynia. Czemu jednak ktoś miałby pokryć czyjś szkielet gliną?

Seth zabrał jej kości z ręki i włożył z powrotem do wygrzebanej wcześniej dziury.

- Nie wierzę w duchy i zombie, tylko w szacunek dla zmarłych. Po co się tak nakręcamy?

Natknęliśmy się na zwyczajny grób, pewnie leży tutaj ktoś z rodziny Lowenów. Nic wielkiego.

- Wiem - zgodziła się Judy i odruchowo dotknęła niewielkiego krzyżyka, który nadal nosiła na szyi. - Trochę to wszystko straszne, wolałabym jednak znaleźć te kości w ciągu dnia.

- Albo wcale ich nie znaleźć. - Seth dłonią uklepał ziemię i spojrzał na Judy, czując niepokój. - Właśnie zbeczciliśmy czyjś grób. Znasz... Znasz jakieś modlitwy na podobną okazję?

- Niech pomyślę... - powiedziała. - Chyba coś mam... Boże, miej w opiece tego, którego spokój został zakłócony, i wybacz też tym, którzy są tego powodem. Zlituj się nad tą duszą i weź ją pod swoje skrzydła; wskaż jej drogę do wiecznego odpoczynania.

- Amen - dodał Seth i pomógł jej wstać. Świetnie. A teraz idźmy stąd i nigdy więcej tutaj nie wracajmy.

Judy przytaknęła i podążyła za nim do wyjścia.

Seth włożył palec w otwór znajdujący się po zewnętrznej stronie tajemnych drzwi i pociągnął, aby je zamknąć.

- Pośpiesz się! - powiedziała Judy, nadal nie mogąc się otrząsnąć.

- A może chcesz się kochać? Tak jak wczoraj?

- Nie!

Seth uśmiechnął się.

- Jesteś pewna?

Judy pobiegła na schody.

Seth podążył za nią, lecz zanim wyszli, odwrócił się, aby ostatni raz omieść piwnicę spojrzeniem.

- Czekaj! Czekaj!

- Co znowu?

- Wydaje mi się, że coś dziwnego... - Seth zmrużył oczy, lustrując skąpane w świetle latarki wewnątrz piwnicy, wodząc wzrokiem po kosiarce, kanistrach, narzędziach ogrodowych i masywnych beczkach.

- Idziesz?

- Poważnie. Popatrz. Nie wydaje ci się, że coś jest nie tak?

Judy niechętnie zeszła kilka stopni w dół i spojrzała na beczki.

- Mój Boże, masz rację. - Zaczęła liczyć beczki i spojrzała na Seta. - Czy przypadkiem nie było dziesięciu?

- Dokładnie.

Judy przełknęła ślinę.

- No to teraz jest sześć.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

LIPIEC 1880

## (I)

- Jakoś dziwnie dzisiaj, co?

- Dziwnie? - Mears zastanawiał się przez chwilę, czy to odpowiednie słowo, lecz domyślał się, o co chodziło Bullisowi. - Więcej niż dziwnie, Bullis. Coś jest... Coś jest nie tak. I to bardzo nie tak.

Bullis szedł obok niego, szepcząc swoim zachrypniętym od whiskey głosem: - Coś wisi w powietrzu...

Obaj pracowali przy węglu dla Connera i szef wysłał ich tutaj, aby zbadali jakąś okrągłą polanę znajdującą się w środku wyciętego lasu. Niegdyś cały teren wokół nich porastały wysokie drzewa. Żółtawy księżyc wisiał nisko nad ich głowami, oświetlając im drogę. Rozkaz Connera był jasny:

- Kilku naszych widziało, jak na tej polanie Żydzi coś palili, a potem ogień płonął na niebiesko.

Bullisowi i Mearsowi nie podobało się to nic a nic.

- Weźcie dupy w troki i idźcie tam. Zobaczcie, co robiły Żydki od Lowena. - Conner odchrząknął, jakby następne słowa nie przychodziły mu z łatwością. - Jestem pewien, że to ich czarna magia.

No i dlatego znaleźli się tutaj; maszerowali przez krzaki w

chorobliwym blasku księżyca.

Czarna magia, pomyślał Mears. Nie wierzył w takie rzeczy, ale odkąd zginęło dziesięciu czy też dwunastu ich ludzi, nie mógł tego lekceważyć. Lowen to na nas sprowadził. Wie, że zabijaliśmy jego ludzi, więc teraz zabija naszych...

A jednak takie wyjaśnienie wcale go nie uspokajało, szczególnie po tym, co usłyszał od Connera.

Gałazki, trawa i ziemia chrzęściły pod ich ciężkimi buciorami.

- Wierzysz w to, Mears? - zapytał wreszcie Bullis.

Mears nie odpowiedział.

- Kurwa, wiem, że Conner zdrowo popija, ale nie sądziłem, że wymyśla takie pierdoły.

- Ja też nie.

- Słyszałeś, co powiedział... Czarna magia.

Odruchowo pochyłili głowy, słysząc pohukiwanie sów, po chwili powtórzyli ten sam manewr, gdy przeleciał nad nimi jakiś ptak lub nietoperz.

Ten, kto zabił moją rodzinę, nie był człowiekiem! - powiedział dziś rano Conner. To nie człowiek zamordował Jake'a Howetha! Widziałem to na własne oczy!

To, powtórzył w myślach Mears.

Szatański pomiot posuwał trupa mojej Bonnie. Pobiegiem do Howetha, ale tam był następny. Przyzwali ich Lowen i jego Żydzi. DEMONY, mówię wam. POTWORY...

Potwory, pomyślał Bullis. A jednak kilku innych mężczyzn potwierdziło, że na polanie płonęły niebieskie ognie...

Kiedy zbliżyli się do polany, Bullis odruchowo zaczął recytować w myślach fragmenty znanych mu modlitw.

- Conner nie powiedział nam, jaki ma plan, zaczynam się więc

zastanawiać...

- O ile on ma jakikolwiek plan - przerwał mu Mears.

- Nie ma mowy, żebyśmy wybili wszystkich Żydów, a to chyba jedyne wyjście, abyśmy mogli wreszcie przejąć ich ziemię...

- To chyba będzie tutaj - powiedział Mears, kiedy wyszli na otwartą przestrzeń.

Mears podniósł w górę migającą latarnię.

- Niech to cholera...

Możemy być pewni, że coś się tutaj paliło...

- Coś leży na środku polany, spalone... Jakby wyjęte z pieca.

Mężczyźni podeszli bliżej, a Mears opuścił latarnię.

I obaj mało nie krzyknęli.

Białe robaki kłębiły się na czymś, co przypominało kawał przypalonego mięsa; w zwęglonej masie Bullis dostrzegł dwie sprzączki od paska. Jedną, z nabojami i wyrytą na środku liczbą „4”, natychmiast rozpoznał.

- Lem Yerby służył w czwartym pułku artyleryjskim stanu Pensylwania - wymamrotał. - Założę się, że druga sprzączka należała do Nickersona.

Mears skrzywił się, kiedy przypatrzył się dokładniej zwęglonej kupie. Ostrzem noża pogrzebał w spopielonych ciałach; nie potrzebowali żadnego wyjaśnienia, aby domyślić się, co się tutaj zdarzyło.

Żydzi rozebrali ich i zdjęli z ich ciał skórę i mięso... Dlaczego?

- Opuśćmy już to przekłete miejsce - powiedział Bullis.

- Dobra, idziemy, tylko zaczekaj chwilę.

- Co jest?

- Muszę się odlać - powiedział Mears i oddalił się o kilka kroków.

Bullis stał pogrążony w ciemności obok ścieżki, którą przyszli. Wydawało mu się, czy jego serce naprawdę waliło jak młotem? Nie miał przy sobie pistoletu, ale sięgnął po nóż, którym zdjął niejedną skórę w czasie wojny. Odczekał chwilę, potem kolejną, odwrócił się i krzyknął: - Pośpiesz się, człowieku! Na Boga, coś ty, pieprzoną rzekę wypił?

Mears nadal opróżniał pęcherz, kołysząc latarnią.

- W miejscu takim jak to, nie wymawiałbym boskiego imienia nadaremno.

Bullis usłyszał trzask.

- Mears! - krzyknął.

Latarnia zgasła.

W pierwszej chwili Bullis chciał uciec, ale po kilku krokach zacisnął zęby, zatrzymał się i dobył noża. Nie mogę go zostawić... Wolnym krokiem ruszył w stronę, gdzie powinien stać Mears.

- Ej! Co się stało?

Odpowiedział mu charczący dźwięk i ciche pop!

Bullis wyteżył wzrok. Chmura akurat odsłoniła księżyc i światło padło na polanę. Widział leżącego na trawie, nieruchomego Mearsa.

Co do...

Mearsowi brakowało jednej nogi i ręki... Lśniaca krew nabrała czarnej barwy. Nigdzie nie było jednak widać napastnika. Z nożem w ręce, Bullis uklęknął obok zwłok. Głowa Mearsa wyglądała nienaturalnie... Bullis dotknął włosów swojego przyjaciela; były mokre od krwi.

Zrozumiał, że Mears został oskalpowany.

Indianie? Nie, przecież przepędzono ich stąd lata temu... Zobaczył, że w usta trupa coś włożono, przypomniał sobie



zresztą charczący dźwięk. Lampa leżała obok zwłok. Bullis pośpiesznie podpalił knot i zobaczył, że w gardło Mearsa wepchnięto jego własny skalp, którym się udusił.

Po głowie krążyły mu słowa Connera. Demony. Potwory.

Bullis uniósł lampę i spojrzał w twarz czemuś gorszemu niż jakikolwiek demon czy potwór...

## (II)

Serce Setha mało nie wyskoczyło z piersi, kiedy śnił swój koszmary sen. Skoczył, aby uniknąć śmiertelnej pułapki wirusowej, przyjął pozycję do strzału, opierając się na kolanie, i wystrzelił samonaprowadzający Stent prosto w naczynie krwionośne, które blokowało korytarz prowadzący do Jaskini Sercowej. Usłyszał pluśnięcie, gdy Stent uderzył w cel. Kiedy otworzyło się przejście, Seth otworzył szeroko oczy, widząc przed sobą to, co czekało na niego po drugiej stronie: wydające dziwne dźwięki Krwinkowce, dwóch opalizujących Nerwowców i cały rój Peptydowych Roztoczy. Seth załadował Aspirator, ale ledwie miał czas, żeby podziwiać, jak jego broń wysysa z Krwinkowców ich płynne jądra, gdyż musiał rzucić Granat z Węglanem Wapnia, który zneutralizował Roztocza, a potem odpalić dwa ładunki Naddźwiękowe, aby zdławić Nerwowców, którzy dogorywali na ziemi w makabrycznym tańcu śmierci, gdy dźwiękowe impulsy paliły ich zwoje nerwowe. Seth odwrócił się i zauważył trzech Wymiotników, którzy zachodzili go od tyłu, i uderzył Metastatyczną Lancą. Wymiotniki padły bez życia, gdy rak błyskawicznie dobrał się do ich komórek i zamienił w

pokurczoną masę. Seth przeszedł przez otwarte uprzędnie przejście w samą porę.

Udało mi się, pomyślał, wskakując do ossuarium. Pozbył się kilku Trombocytów i fiolek z Hemoglobina, aby zastąpić je punktami życia, a potem wzmocnił swoją zbroję Limfocytami T i Podbijaczami Makrofagów. Przygotował Piłę Kościaną, przeciął się przez szwy i przecisnął przez otwór. Wyszedł w samym Domu z Mięsa i Kości, królestwie nikczemnego Czerwonego Obserwatora.

Krew i limfa spływały kaskadami po klatce schodowej zrobionej z pokrytych skórą kości.

Jego obciążone ochronną folią buty wydawały mlaszczący dźwięk, kiedy wchodził na górę. Gdy stanął na szczycie, zobaczył złowieszczy Przycisk Oczny. Kiedy go nacisnął, powieki otworzyły się i spojrzał na nabiegłą krew, przerośniętą gałkę oczną. Nastawił piłę i zaczął przedzierać się przez dyszący, organiczny korytarz. Z sufitu zwisało przypominające pajęczynę mięso; ściany były poznaczone pulsującymi naczyniami krwionośnymi. Przy wyjściu dostrzegł jasne, czerwone światło, które po chwili zasłoniła jakaś postać. Seth nie widział zbyt dobrze, kim jest, lecz po zmysłowych kształtach poznał, że to kobieta.

Zawahał się, myśląc: Chwileczkę, przecież wymyśliłem tę grę. Nie ma takiego przeciwnika w ostatnim etapie...

No ale to w końcu sen, czyż nie?

Wziął do ręki Chirurgiczny Zszywacz, nabrał powietrza do płuc i ruszył naprzód.

Cokolwiek to jest, zabiję to; inaczej nigdy nie dotrę do Czerwonego Obserwatora.

Zmysłowa postać nie wykonała żadnego ruchu, który można by uznać za wrogi; stała i jakby czekała na Seta. Czy jego umysł umieścił w tym śnie Judy?

Nie pozwól się zwieść, ostrzegł sam siebie.

Pewnie jeden z wrogów zmutował. Zrobił jeszcze parę kroków, a postać westchnęła, jakby z pożądaniem, i wyciągnęła rękę, żeby go objąć.

- Podejź - odezwała się przymilnym głosem. - Czekałam tak długo...

Weszła do korytarza i ruszyła pędem w stronę Seta.

Nie pozwól się zwieść! - krzyknął na siebie w myślach i wystrzelił dwukrotnie w kierunku biegnącej na niego postaci. Trafiona krzyknęła i padła na gąbczastą podłogę. Seth zapalił latarkę przytwierdzoną do jego hełmu i jęknął.

- Seth - wychrypiała zakrwawiona kobieta, a przy jej ustach utworzyły się pęcherzyki powietrza. - Jak mogłeś mi to zrobić?

Stał nieruchomo i gapił się na nagą postać. Nie, to nie była Judy, lecz Helene.

- Znowu mnie zabiłeś - charczała, drgnęła raz jeszcze i wydała ostatnie tchnienie.

O mój Boże..., lecz podstęp jego nemezis podziałał. Seth tak bardzo był zaabsorbowany pojawieniem się Helene, że stracił czujność. Dwóch Mięsnych Ludzi skoczyło na niego z góry, spomiędzy otwartych porów, przygwoździło go do ziemi i zaczęło okładać. Patrzył prosto w ich powykrzywiane twarze, napuchnięte jak napompowany tłuszcz. Śmiali się z niego, a jeden z nich wyrwał Sethowi z ręki Chirurgiczny Zszywacz i...

Wypalił jego zawartość prosto w twarz Seta. Stracił wszystkie punkty energii, a jego oczy zalał szkarłat.

NIE ŻYJESZ, informował napis, który pojawił się na ekranie.

Otrząsnął się, wyrwany gwałtownie ze snu, czując się jak ktoś, kto obudził się, siedząc za kółkiem, i ledwie uniknął zderzenia z ciężarówką, której maska wyrosła przed jego przednią szybą.

Kręciło mu się w głowie i był wściekły na swoją podświadomość, która spłatała mu takiego figła.

Zegar wskazywał dziewiątą rano.

Co za pojebany sen...

Druga połowa szerokiego łóżka była pusta. Miał wołać Judy, kiedy usłyszał dźwięk zakręcanego prysznicza i po chwili pojawiła się w drzwiach sypialni, wycierając się ręcznikiem.

Spojrzała na Seta i westchnęła, jakby poirytowana.

- Cześć...

- Co się dzieje? - zapytał. - Wyglądasz...

- Jestem pewna, że wyglądam tak, jak się czuję, czyli jak gównon - powiedziała i usiadła na brzegu łóżka, w zamyśleniu susząc włosy. - Miałam okropny sen...

- Nawet nie żartuj. Ja też - odparł Seth, usiadł obok niej i zaczął masować jej plecy, lecz zobaczył, że faktycznie Judy nie jest w humorze. - Śniło mi się, że byłem w Domu z Mięsa i Kości.

Świetnie sobie radziłem aż do ostatniego etapu, gdzie natrafiłem na przeciwnika, który nie jest częścią mojej gry - na Helene, co mnie nieźle wkurzyło.

Seth wzdrygnął się na samo wspomnienie.

- Mój też mnie wkurzył - zapewniła go Judy, ale nie zagłębiała się w szczegóły. - Zresztą zapomnij o tym, był obrzydliwy i już.

- Wydaje mi się, że oboje dostaliśmy po tyłkach - powiedział.

- Po prostu nie jest łatwo spać spokojnie po tym, jak dowiadujesz się, że ktoś włamał ci się do piwnicy.

- To moja wina, powinienem był zamontować tam kłódkę. Zrobię to jutro - powiedział i poszedł na górę, aby sprawdzić maile.

Kto, do cholery, kradnie cztery beczki zaschniętej gliny?

Zastanawiali się nad tym oboje od wczoraj. Dobrze, że reszta domu podłączona jest do alarmu.

- Zadzwoń na policję i zgłoś kradzież.

- Ktokolwiek je zwinął - powiedziała Judy - pewnie przeczytał w gazecie o znalezionym w ziemi statku i zgarnął pierwsze lepsze beczki, licząc, że będzie w nich coś wartościowego.

- No to się zdziwi - zaśmiał się Seth.

Judy nadal była wstrząśnięta, cokolwiek jej się śniło. Jej nagie ciało błyszczało w słońcu, kiedy podeszła do szafy i założyła szorty, sandały i top bez ramiączek.

- Łeb mi pęka, chodźmy na jakiś spacer. Świeże powietrze i słońce dobrze mi zrobią.

- Niech to, nie mogę - powiedział Seth, czytając ważną wiadomość. - Stuey, mój spec od 3D, znalazł jakiś poważny błąd w kodzie jednego z poziomów. Mamy czterech nowych wrogów w sequelu; wszystko się pokiełbasiło. No i muszę zabezpieczyć drzwi do piwnicy i zadzwonić po gliny.

- Okej, w razie czego będę przy domu.

- Daj spokój - nalegał Seth. - Idź na spacer, poczujesz się lepiej. Zadzwoń potem na twoją komórkę i dołączę do ciebie.

- Dzięki - powiedziała i pocałowała go. - Wybacz, że jestem dzisiaj nie w sosie.

- Nie ma problemu - odparł Seth. - Baw się dobrze.

Uśmiechnęła się słabo i wyszła. Seth był zaniepokojony jej złym humorem. Ubrał się i zszedł na dół. Z pewnością nie jest

dzisiaj sobą... Nalał sobie kawy i pogrzebał w pudłach z różnościami, gdzie znalazł łańcuch i kłódkę. I choć koszmar dał mu w kość, kiedy wyszedł przed dom i poczuł na twarzy słońce, nieco się odprężył. Miał nadzieję, że ciepły dzień będzie miał ten sam wpływ na Judy. W piwnicy ponownie policzył beczki; nadal sześć, czyli o cztery mniej, niż wnieśli robotnicy, tyle samo co wczoraj. Przynajmniej nikt niczego nie ukradł w nocy, pomyślał i żartobliwie dodał, że żałuje, iż nie zabrali ich wszystkich, szczególnie że okazały się bezwartościowe. Sprawdził raz jeszcze ukryte drzwi, aby upewnić się, że są zamknięte i niewidoczne. Wrócił na górę i za pomocą łańcucha i kłódki zabezpieczył drzwi do piwnicy.

To powinno załatwić sprawę, pomyślał.

### (III)

Judy przez cały spacer czuła niepokój. Pewnie, sprawa włamania stale ją gryzła, ale jednak to sen naprawdę nie pozwolił jej odetchnąć. Po całym tym czasie... Cóż za okropny sen...

Zdecydowała się pójść drogą serwisową, która wbijała się głębiej w pole prosa, mając w pamięci dziwaczne polany, które widzieli z okna sypialni. Słońce ogrzewało jej twarz i włosy, lecz z każdym oddechem, niejako na przekór, kiedy czuła w nozdrzach świeże, pachnące trawą powietrze, czuła się jeszcze bardziej opętana przez swoją przeszłość, którą, jak wierzyła, zostawiła już dawno za sobą. Niewystarczająco daleko, jak widać. Koszmar, który wyśniła, śmierdział, a nawet po przebudzeniu czuła w ustach paskudny smak.

Przyśnił jej się ostatni tydzień przed odwykiem, kiedy już zrezygnowała z kokainy na rzecz tego, co dawał jej crack. Straciła pracę, samochód, konto w banku, poza tym znalazła w skrzynce pocztowej kilka wezwań do zapłaty, zanim ostatecznie cofnięto jej kredyt na mieszkanie.

Wszystko poszło z dymem.

Oddała się dokładnie sześć razy za pieniądze na crack, szukając chętnych w podłych knajpach w Tampie. Większość z nich obsłużyła w ich własnych samochodach. Po odwyku szczęśliwie zapomniała o tych wszystkich obleśnych szczegółach swojego upadku, ale koszmar z ostatniej nocy był jak uderzenie w głowę kijem baseballowym: powróciło wszystko, łącznie z obrazami i zapachami, koszmarnymi dźwiękami i przyprawiającymi o wymioty smakami.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie mogła zamknąć oczu, musiała oglądać ten swoisty film, na którym zarejestrowano jej upadek. Judy obudziła się jak rażona gromem i od razu pobiegła do łazienki, gdzie opróżniła zawartość żołądka.

Dno dna, pomyślała. Tam właśnie byłam. Od wykładowcy do dziwki, i to w niecały rok.

Dzięki Bogu, że spotkałam Seta. Nigdy nie dałabym rady bez niego.

Szła szeroką ścieżką, po obu stronach mając wysokie na sześć metrów proso. Towarzyszyło jej niecodzienne uczucie, jakby ktoś ją obserwował.

Wczorajszej nocy nie czuła się nawet jak człowiek, ale ważący dziewięćdziesiąt funtów manekin o martwych oczach i niegdyś genialnym umyśle, którego pęd do wiedzy został zastąpiony

przez pragnienie zaznania narkotykowego haju. Szóstym klientem okazał się nie jakiś przypadkowy facet, ale działający pod przykrywką gliniarz. „Tribune” opublikowała szokujący artykuł o jej upadku, okraszając go zdjęciem z posterunku. Rodzina zerwała z nią kontakt.

Dlaczego teraz! Dlaczego to wszystko do mnie wróciło?

Szła dalej, bez celu, aż znalazła się w szczerym polu, nie wiedząc nawet, jak się tutaj dostała.

Otrząśnij się! To wszystko przeszłość, już nie wróci! Mam teraz wszystko, czego pragnę, i jestem szczęśliwa!

Po prostu zły dzień. I to chyba pierwszy, odkąd poznała Seta. To ty dałaś plamę ze swoim życiem, więc pozbieraj się i dziękuj, że mogłaś je odzyskać!

Judy zatrzymała się, gdy zauważyła ścieżkę biegnącą prostopadle do drogi serwisowej.

Czyżby do kolejnej z tych dziwnych polan? Ciekawość wyparła ponury humor; zboczyła na dróżkę.

Uwaga na węże, przypomniała sobie ostrzeżenie. Nowa ścieżka była wąska, ledwie się w niej mieściła. Czy są tutaj kleszcze? Nie, chyba nie. Pięćdziesiąt jardów dalej dróżka wychodziła na okrągłą, kamienistą polanę, o szerokości mniej więcej dziesięciu jardów. Co to za miejsce?

Hovis wspominał coś o systemie irygacyjnym, ale nie było tutaj widać niczego takiego.

Mówił też o cmentarzach, lecz próżno było szukać nagrobków w zasięgu wzroku.

Judy zauważyła, że wewnątrz polany ustawiony był niewielki krąg, a w jego środku jeszcze więcej mniejszych, wyznaczonych kamieniami.



Dziesięć, policzyła, plus jedenasty w samym środku. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Może to właśnie to. Cmentarz. Indiański cmentarz. Przypomniała sobie, że niegdyś na tych terenach żyło kilka plemion, które grzebały swoich zmarłych w stosach albo kopcach. Nagle uświadomiła sobie, że jest pierwszą osobą od lat, a może i dekad, która postawiła tutaj swoją stopę, lecz zaśmiała się, widząc porozrzucane puste puszki po piwie. No to tyle, jeśli chodzi o kręgi pozostawione przez obcych. Zauważyła kolejną ścieżkę, równie wąską jak ta, którą tutaj przyszła.

Biegła dalej na wschód. Kiedy skupiła się na eksploracji, opuściły ją złe myśli. Przeszła pięćdziesiąt jardów i wyszła na następną polanę, tym razem większą, o kształcie mniej więcej prostokąta.

Znalazłam, pomyślała.

Bardzo stary cmentarz otoczony siatką, którą zdążyła już przeżreć rdza i która chwiała się przy każdym podmuchu wiatru, jakby za moment miała runąć. Judy poczuła nieprzyjemny zapach, ale przecież nie mógł on dochodzić z wiekowych grobów.

Zaprawa murarska, pomyślała Judy, patrząc na stojące gdzieś nagrobki. Nie dało się ukryć, że pochowano tutaj biedotę; w wylanym byle jak cemencie palcem albo patykiem któryś z żałobników wyrył imię i nazwisko zmarłego na tablicy.

ELSBETH CONNER, MARZEC 1860 - LIPIEC 1880, mówił jeden z nich.

WALTER CAUDIL, MAJ 1844 - LIPIEC 1880. Wiele innych imion widniało na nagrobkach. NORRIS, FITCH, POLTEN, mówiły i wtedy Judy zauważyła, co je łączyło. Czas zgonu.

Niemal wszyscy ci ludzie zmarli w lipcu 1880 roku.

I nagle Judy krzyknęła, kiedy zapadła się jej stopa. O mój...

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała w dół. Płytkie groby, pomyślała. Przebiła się przez wieko trumny, którą zakopano nie więcej niż trzy lub cztery cale pod ziemią. Ostrożnie... Powoli wyciągnęła nogę, zdziwiona, że nie skręciła sobie kostki. Boże, moja stopa była w czyjejs trumnie!

Razem z sandałem wyciągnęła z ziemi kawałek deski i zobaczyła, że zrobiła całkiem sporą dziurę.

Przełknęła ślinę.

Otwór był wystarczająco duży, aby mogła zobaczyć zawartość mogiły...

Ciekawość skłoniła ją do ukłęknięcia na jednym kolanie i zajrzenia do środka. Ponownie przełknęła ślinę.

Widziała zebra, obojczyk, biodra, ale...

Brakuje czaszki. Nie ma... głowy.

Wygrzebała z ziemi jeszcze kilka kawałków desek. Nie, z pewnością w grobie nie było czaszki, a także kości jednego z ramion i nogi. Inskrypcja mówiła ALAN GOLDSBUROUGH, który zmarł w lipcu 1880 roku.

- A myślałam, że to mi przytrafił się zły dzień - burknęła, zrobiła krok w tył i...

Zapadła się w kolejny grób, tym razem należący do Williama Howetha, zmarłego oczywiście w lipcu 1880 roku.

- Cholera!

Miał tylko szesnaście lat, skonstatowała ponuro, wyciągając stopę. Poczowała ucisk w żołądku, gdy wyciągnięte z ziemi deski odsłoniły szkielet Williama Howetha, któremu brakowało nóg.

Nie grzebali swoich ludzi zbyt głęboko, pomyślała. Dwóch zmarło w lipcu 1880 i obu brakuje jakichś kończyn...

Co się z nimi stało? Czy przypadkiem Seth i Asher Lowen nie

rozmawiali o jakimś pogromie żydowskich osadników? Ale te groby oznaczone są krzyżami...

I wtedy przyszło jej do głowy makabryczne pytanie: Czy to możliwe, że wszyscy ci ludzie zmarli na skutek utraty kończyn?

Wzdrygnęła się na samą myśl. W pierwszej chwili chciała zbadać inne mogiły, ale uznała, że nie jest to najlepszy pomysł.

Już dość dzisiaj nabroiłam przy grobach.

- Alan, William, przepraszam, jeśli zakłóciłam wam spokój - oznajmiła i odwróciła się, aby odejść.

Nie miała nawet czasu krzyknąć, kiedy wielka łapa wystrzeliła z prosa i uderzyła ją w skroń.

Zakręciło jej się w głowie, potknęła się i upadła. Usłyszała śmiechy i chrzęst piachu i kamieni, kiedy nachyliło się nad nią dwóch mężczyzn w pończochach naciągniętych na głowy - jeden był chudy, drugi krępy. Ten drugi złapał ją i podniósł.

- Przestańcie! Proszę! - krzyknęła.

Mężczyzna uderzył ją i ponownie zakręciło się jej w głowie. Chudy podwinął jej top.

- No to są dopiero melony.

- O, kurwa...

- Mam... Mam pieniądze! - Judy próbowała wziąć się w garść. - Weźcie je i zostawcie mnie...

Odpowiedział jej śmiech.

- Chcemy i pieniędzy, ale zrobimy to po naszymu - powiedział krępy.

Jest naprawdę źle, pomyślała. Nie miała szans na ucieczkę, walka była bezcelowa. Gdyby chcieli mnie zabić, nie mieliby na sobie masek...

Jęknęła, kiedy jeden z nich złapał ją za włosy i zmusił do

klęknięcia.

- Wiesz, co robić, Cycek - powiedział krępy i rozpiął rozporek.

Boże...

- Tylko spróbuj ugryźć...

Nie musiał kończyć zdania, gdyż jego kolega przystawił jej do głowy niewielki pistolet.

- I żadnego plucia.

Po prostu to zrób, przyszła okropna myśl, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Zrób to i daj im pieniądze, a sobie pójdą. Zaczęła się bezgłośnie modlić. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Nieźle - powiedział.

Przynajmniej nie wytrzymał długo, lecz smak w ustach przypomniawszy jej wczorajszy sen. Ten chudszy był gorszym przypadkiem; nie mył się co najmniej od kilku dni.

- Zgadzam się. Niesamowity talent.

Kiedy skończył, Judy zgięła się w pół.

- Tylko mi tu nie rzygaj. Łykasz albo znikasz.

Padła niemal zemdlona na ziemię, przyciskając policzek do piachu. Proszę, Boże. Niech już sobie pójdą...

- Dobra, Cycek. Teraz ty się trochę zabawisz - ten większy złapał ją ponownie za włosy.

- Przecież to dla ciebie nic nowego - zaśmiał się ten chudszy. - Już ciągnęłaś druta za crack.

Judy otworzyła szeroko oczy.

- O czym ty mówisz?

- Nie ściemniaj, Cycek, wiemy o wszystkim - rzucił jej w twarz pomiętą kartkę papieru.

- Internet, słonko! Internet!

Judy spojrzała na zadrukowaną kartkę.

*WYKŁADOWCZYNI NAFSU  
ARESztOWANA ZA POSIADANIE  
I PROSTYTUCJĘ.*

Ci dranie sprawdzili mnie w sieci!

Odpowiedź na pytanie „dlaczego?” przyszła po chwili sama.

- Musisz wrócić tam, skąd przybyłaś - powiedział krępy, trzymając coś w ręce.

- Na Boga, co wy robicie! - krzyknęła.

Nabijał lufkę crackiem.

- Interesy, Cycek. Czytaliśmy o tobie i wiemy, że niezły z ciebie klient. A twój facet ma sporo kasy, nie?

- Widzieliście artykuł - powiedziała Judy - a potem sprawdziliście mnie w Internecie...

- Ano tak. Niegrzeczna była z ciebie dziewczynka. I znowu będzie. Ten... Jak mu tam...

Seth? Skapuje się, że ćpasz, dopiero za kilka miesięcy, a do tej pory wyczyścisz mu konto, wydając kasę na dragi. Na nasze dragi. Nie ma dla nas nic lepszego niż bogaty chłopak.

To było paskudne. Musieli to wszystko zaplanować...

- Jak to mówi nasz znajomy? - Zaśmiał się. - „Tak działa marketing wolnorynkowy”.

Gdy chudy zarechotał i uniósł pończochę na tyle, że przypalić sobie jointa, zobaczyła, że miał zarost. Podał swojemu koledze komórkę.

- A dlatego nie powiesz swojemu chłoptasiowi, co się naprawdę wydarzyło. - Pokazał Judy ekran aparatu.

Zrobił zdjęcie, kiedy ja...

- Te nowe telefony! - cieszył się chudy. - Technologia!

- Jeśli mu powiesz, dostanie na maila zdjęcie, jak ssiesz nasze fujary.

Judy siedziała i patrzyła na nich tępo, cała w piachu, zbierało się jej na wymioty. Jeden z nich włożył jej w usta lufkę i podał zapalniczkę.

- Dajesz, Cycek. Nie mamy całego dnia.

Judy wypluła lufkę.

- Nie.

Krępy westchnął.

- Jak to się dzisiaj mówi? Jesteś... kurwa, nieuprzejma.

- Dokładnie. Nieuprzejma.

Mężczyzna spokojnie podniósł lufkę.

- A teraz grzecznie to wypalisz - powiedział, a chudy przystawił jej pistolet do głowy.

Judy patrzyła na pokrytą odciskami dłoń.

- Pierdol się i idź do diabła.

Napastnicy wymienili spojrzenia.

- No już, rozwal mi głowę. Prędzej umrę, niż zapalę.

Krępy tupnął z wrażenia.

- Ta to ma jaja, nie?

- Większe niż suty.

- No dobrze, Cycek. Nie zabijemy cię. Zabijemy twojego bogatego frajera.

- Seth! Pomóż mi, Seth! - Jeden z nich przedrzeźniał ją piskliwym głosem. - Dwóch złych panów kazało mi palić crack!

Wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Zabijemy go, a ty będziesz na to patrzeć. I zrobimy to bardzo powoli. Ćwiczyliśmy już na paru takich. Wiertarki, piły, te

sprawy. Myślisz, że kłamię?

Judy poczuła, że słabnie. Wzięła do ręki lufę, podpaliła crack i pociągnęła.

- I o to chodzi! - krzyknął chudy, klaszcząc.

- Dobra dziewczynka - powiedział krępy, krzyżując ramiona na piersi. - A kiedy twój kochaś się o wszystkim dowie, będziesz się puszczać dla nas. Trochę już stara jesteś, ale dasz radę jeszcze przez parę lat. Potem wylądujesz na ulicy i będziesz dawała dupy za dwadzieścia dolców, pewnie podłapiesz AIDS, ale już wtedy będziesz miała to gdzieś. Tylko crack się będzie liczył...

Judy poczuła się jak na rollercoasterze. Śmierdzący, metaliczny dym spowodował nagły przyptyw endorfin, poczuła się tak dobrze, że lepiej być nie mogło. Serce waliło jej z niesamowitą prędkością, a mózg wił się w czaszce. Kiedy wypaliła wszystko, nabili lufę raz jeszcze i nie musieli jej zachęcać, aby powtórzyła odlot. Z każdym pociągnięciem ulatywała z niej część duszy.

Wypaliła jeszcze kilka działek, a gdy było już po wszystkim, leżała na plecach i drżała na całym ciele. Euforia owładnęła każdy nerw; po prostu delektowała się odlotem.

Dochodzący z oddali głos wydawał się jej rozmyty: - Wróciłaś do szkoły, Cycek.

- Kurwa pozostaje kurwą.

Coś dotknęło jej nagiego brzucha.

- Wystarczy ci na jakieś dwa dni, ale nie martw się, będziemy w kontakcie.

Kroki stopniowo się oddalały, towarzyszył im śmiech.

- Interesy z tobą to przyjemność!

Gdy już odeszli, Judy zaczęła wymiotować. Gdy podniosła

głowę, zobaczyła wreszcie, co było źródłem fetoru, który powitał ją na cmentarzu.

Zaraz za siatką leżało na kupie kilka psich trucheł; każde bezgłowe. Czemu ktoś miałby...

Ręką wymacała to, co zostawili wcześniej na jej brzuchu.

Plastikową torebkę z crackiem.

## (IV)

Po południu Seth złapał fazę na pracę, ten błogosławiony stan, który znają wszyscy zarabiający na życie własną kreatywnością, lecz przekleństwo dla związków. Próba rozwiązania problemu z bitmapami do sequela jego hitowej gry zajęła Sethowi większą część dnia, a i tak nie miał pojęcia, gdzie tkwi błąd. Konsultując się ze swoją ekipą z Tamy, majstrował przy kodzie, aż wreszcie udało im się zlokalizować i naprawić usterkę. No, to by było na tyle, jeśli chodzi o dzisiaj, pomyślał, kiedy wreszcie wstał od komputera. Spojrzał na zegar i zaniepokoił się, widząc, że jest już dziewiąta. Cholera! Zupełnie zapomniałem o Judy!

Złapał za komórkę, lecz kiedy wybierał numer, zauważył, że na kuchennym stole leży jej torebka. Musiała wrócić ze spaceru już jakiś czas temu, ale pewnie nie chciała mi przeszkadzać...

- Judy! - zawołał. - Jesteś?

Odpowiedziała mu cisza, wbiegł więc na górę po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, i wpadł do sypialni.

- Kochanie?

Judy leżała na łóżku, nadal ubrana w ciuchy, w których wyszła na spacer.

- Skarbie?



Podniosła się i zapaliła stojącą przy łóżku lampkę.

- Cześć...

- Nie słyszałem, jak weszłaś. Siedziałem przy komputerze i zupełnie straciłem poczucie czasu. Miałem do ciebie dzwonić.

- Tak, nie chciałam ci przeszkadzać, wróciłam jakoś po drugiej. Poszłam się zdrzemnąć i chyba przespałam cały dzień.

Miała zachrypnięty głos, a pod oczami ciemne kręgi.

- Na pewno wszystko gra? Wyglądasz...

- Chyba się przeziębiam. - Opadła na poduszki i westchnęła. - I czuję, że będę miała okres.

Naprawdę czuję się okropnie.

- Pewnie od rana nic nie jadłaś. Coś ci zrobię.

- Nie, nie, muli mnie w żołądku. Muszę to odespać.

Sethowi nie podobała się ta odpowiedź, ale co mógł zrobić?

- Jutro zabiorę cię do lekarza, jeśli nic się nie poprawi.

- Nic mi nie będzie - powiedziała i kaszlnęła. - To tylko przeziębienie. Udało ci się naprawić błąd w Domu?

- Tak, choć straciłem na to cały dzień. Zamontowałem kłódkę na drzwiach do piwnicy, klucz zostawiam w szafce w kuchni.

Aha, zgłosiłem Wielką Kradzież Gliny policji w Somner's Cove.

Rozmawiałem z sierżantem Steinem, wydawał się konkretny.

Powiedział, że od czasu do czasu do nas zajrzy. - Seth zaśmiał się.

- Głupio się czułem, mówiąc mu, co zniknęło.

- Domyślałam się. Cztery beczki pełne gliny. Przeważnie złodzieje biorą sprzęt. - Judy próbowała udawać dobry nastrój, lecz nie bardzo jej to wychodziło; kaszlnęła i skrzywiła się.

Zostawię ją lepiej w spokoju, pomyślał Seth. Sięgnął ręką i wyłączył światło.

- Potrzebujesz czegoś na przeziębienie? Aspiryny? Może trochę

zupy?

- Nie, dziękuję. Po prostu...

- Prześpij się - powiedział i pocałował ją w policzek. - Jakby co, jestem na dole.

- Mhm...

Seth wyszedł z pokoju, lecz zanim zamknął drzwi, zawołała go Judy.

- Seth?

- Tak?

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. I to bardzo. A teraz połóż się i śpij.

Seth wrócił na dół. Zaniepokoił się nie na żarty i nie wiedział, czy przypadkiem nie przesadza. Przecież wszyscy kiedyś chorują. Poczucił się zupełnie niepotrzebny. Fajny ze mnie chłopak. Nie było jej przez cały dzień, a ja nawet tego nie zauważyłem. A co, gdyby się zgubiła albo coś jej się przytrafiło? Pracoholik wcale nie jest lepszy od alkoholika. Powinienem poświęcać jej więcej czasu...

W kuchni nalał sobie kubek kawy bezkofeinowej i wyszedł na frontowy ganek. Przydałby się teraz papieros, ale... Nie ma mowy, upomniał sam siebie. Zdrowiej pooddychać trochę ciepłym, pachnącym trawą, nocnym powietrzem. Patrzył jak urzeczony na latające nad polami świetliki, które mieniły się zielenią. Dotarło do niego, że nigdy wcześniej nie widział świetliki. Jego uszy pieściły dźwięki nocy. Na co komu Tampa? Kto potrzebuje miasta, skoro to tutaj panuje cisza i spokój. I wszystko w zasięgu wzroku należy do mnie. Myślał o drzemce w bujanym fotelu, lecz wstał, gdy zobaczył w polu światło, jakby ktoś świecił latarką.

- Cóż to takiego? - mruknął.

Na pewno nie był to ogień, lecz światło elektryczne, zaledwie pół mili od domu, na wschód.

O tej porze? To nie mogą być przecież żadni biwakowicze. Seth uświadomił sobie, że to z pewnością ktoś z ekipy pracującej przy irygacjach i wzruszył ramionami.

## (V)

- No tak, ten facet, który kupił niedawno Lowen House - powiedział Stein do swojego szefa, kiedy przestępowali próg sklepu sieci Food Lion. - W gazecie napisali, że zrobił mnóstwo kasy na jakiejś grze komputerowej.

- I ktoś się do niego włamał? - zapytał Rosh.

- Tak, wczoraj, kiedy wyszedł gdzieś z dziewczyną. Nie włamali się do domu, ale do piwnicy.

- Co ukradli?

- Cztery beczki wypełnione gliną.

Rosh pokręcił głową i rzucił okiem na dekolty jednej z kasjerek, a potem przystanął przy tablicy informującej o dzisiejszych promocjach.

*SZYNKA SPAM: 3 za \$5!*

*MLEKO BEZLAKTOZOWE 2 ZA 1.*

- Jacyś pojebani ci złodzieje. Kraść glinę?

- Nie żartuję, Rosh.

Rosh spojrzał na niego wymownie.

- Przepraszam. Nie żartuję, kapitanie.

- Niech będzie. - Rosh skręcił w jedną ze sklepowych alejek.

- Mamy co robić, nie będziemy się przecież zajmować takimi pierdołami. Facet ma szczęście, że nie zajebali mu auta. Przecież nie możemy być wszędzie.

Przeszli jeszcze kilka metrów, aż Rosh złapał Steina za koszulę i powiedział: - Sierzancie, popatrzcie na to. - Wziął z jednej z półek małe, zamykane torebeczki. - Zawsze mnie to rozpierała.

- Co?

- Te torebeczki na crack! Te zamykane! Po co one są? Przecież nie zmieściłoby się tam nic innego, nawet jedno winogrono. Są stworzone do cracku. A jednak te wielkie firmy produkują, a potem inne wielkie firmy sprzedają je w zwykłych spożywcach. Nie wierzysz? Przypatrz się uważnie, Stein, sprzedają sto torebeczek za półtora dolca. Producent wie dokładnie, że kupują je tylko i wyłącznie ludzie, którzy handlują prochami, a i tak je sprzedaje. Czy to zgodne z prawem?

Pewnie, że zgodne, przecież to tylko małe, plastikowe torebeczki. Nie mogą tego zakazać, to wolny kraj.

Stein popatrzył na niego.

- Jezu, kapitanie, przecież sami tygodniowo zużywamy setki tych torebeczek.

- O tym właśnie mówię. Powinni ich zakazać, bowiem pomagają w pracy dilerom narkotyków.

Stein wypuścił z płuc powietrze.

- Kapitanie, co my tutaj robimy?

Rosh złapał kilka opakowań torebeczek i spojrzał krzywo na Steina.

- Kupujemy. A teraz płacimy. - Zaśmiał się i ruszył do kasy.

Gdy tylko wsiedli do radiowozu, odezwało się radio: - Jednostka numer dwa, Somner's Cove, zgłoś się...

- Wóz numer dwa, odbiór - odpowiedział Rosh.

- Próbuję się z wami skontaktować od paru minut. -  
Zatrzymały nas... obowiązki służbowe.

- Rosh poklepał opakowanie torebeczek.

- Otrzymaliśmy zgłoszenie z 705 Locust Street, sprawdźcie to.

- Zrozumiałem. - Rosh uśmiechnął się i odwiesił mikrofon. -  
Zgłoszenie, niech je chuj.

Nawet torebeczek na crack nie da się w spokoju kupić.

- Locust jest zaraz za rogiem - powiedział Stein i przyśpieszył.

- Kurwa - wypluł z siebie Rosh, kiedy zajechali pod  
jednorodzinny domek przypominający z wyglądu zaniedbany  
bungalow.

Stały przed nim trzy radiowozy z włączonymi kogutami,  
światła reflektorów skierowane miały na front domu.

- Nienawidzę, kiedy przyjeżdżamy ostatni na wezwanie w  
naszym własnym rejonie.

- Jeśli nie będziemy uważać, ludzie pomyślą, że jesteśmy  
kiepskimi gliniarzami.

- Ej, a co tutaj robią laboranci? Przyjeżdżają przecież tylko w  
wypadku...

- Morderstwa - dokończył za niego Stein. - Wygląda mi to na  
powtórkę z Pine Drive...

Gdy Rosh zobaczył to, co się dzieje, pomyślał o tym samym.  
Stojący przy drzwiach policjant był trupio blady, pozostali  
zachowywali kamienne twarze. Rosh i Stein weszli chwiejnym  
krokiem do zagraconego salonu, gdzie pod zapadniętymi  
kanapami i zniszczonym telewizorem rozpostarto dziurawy

dywan. Trudno było znaleźć miejsce, gdzie nie skapnęłaby choć kropla krwi: ściany i podłoga zbryzgane były czerwienią, plamy widniały nawet na suficie. Stojący na środku stół do kawy i cały leżący na nim sprzęt składający się z zapalniczek, szklanych lufek i popielniczek nie pozostawiał złudzeń, że palono tutaj crack.

- Nie wierzę w to, co widzę - powiedział niechętnie Stein. - Ile tym razem? Pięć? Sześć?

- Siedem trupów - powiedział Cristo. - To zaczyna przypominać powtarzające się nagranie z zepsutej płyty.

Znam nawet ten utwór, pomyślał Rosh, lecz jemu również trudno było robić dobrą minę do złej gry, kiedy patrzył na masakrę, jaka musiała się tutaj rozegrać. Tors jednego z mężczyzn został praktycznie wykręcony wokół własnej osi; oderwano mu obie nogi i zdjęto z niego skalp.

- Sprawca lub sprawcy oderwali mu czerep - powiedział bez emocji Cristo, pokazując palcem na nagie pośladki zmarłego - a potem włożono odseparowany w ten sposób kawałek ciała w jego odbyt.

Rosh przygryzł dolną wargę, kiedy próbował przetrwać to, co przed chwilą usłyszał.

- Masz na myśli, że ktoś włożył mu kawałek jego własnej czachy w dupę?

- Tak, sir.

- To po prostu to powiedz, Cristo - splunął zaniepokojony Rosh.

- Następnym razem powiedz, że wsadzili mu w dupę jego własną czachę.

Cristo uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Czarnoskóra kobieta siedziała tyłem na kanapie. Nie miała rąk. Obok leżała inna, wynędzniała baba po pięćdziesiątce, zapewne właścicielka tej nory, którą rozerwano na pół poniżej żeber. Roshowi nie podobał się sposób, w jaki ułożono na ziemi jej dolną połowę. Zupełnie jakby...

Nie, to niemożliwe. Dwóch innych mężczyzn również pozbawiono rąk, ponadto wyglądało na to, że zgnieciono im czaszki, ściskając jedną o drugą, aż pękły.

- A tej chyba dopisało szczęście. - Stein wskazał na niemalże atrakcyjną, młodą ćpunkę w jeansach i bluzce w cekiny.

Wyglądało na to, że nie brakowało jej żadnej kończyny.

- Co z nią? - zapytał Rosh - Chyba jest kompletna.

- Niezupełnie, kapitanie. - Cristo uniósł jej prawą nogę. - Oderwano jej stopę i... Czy widzi pan tę kulę?

Gardło dziewczyny wydawało się nabrzmiące.

- Ma świnkę?

Cristo pozwolił sobie na uśmiech.

- Korzystając z pańskiej terminologii, kapitanie... Oderwali jej stopę i wepchnęli w usta.

Technik przechylił głowę ofiary.

Rosh zobaczył wystające z otwartych ust palce.

- Nie widuje się takich rzeczy codziennie, nie?

Rosh i Stein pobladli.

- Idziemy stąd - powiedział Rosh, kręciło mu się od tego wszystkiego w głowie. - Tego typu zbrodnie to zabawa dla hrabstwa, nie dla nas.

Cristo wytarł dłonie w spodnie.

- Nie idźcie jeszcze, kapitanie. Pamiętaj pan, co powiedziałem wtedy na Pine Drive 64?

- Tak, coś o... - Rosh przerwał i spojrzał na Steina.

- Glinie - dokończył Stein.

- Osad z gliny, kapitanie. Osad - poprawił ich Cristo. - Powiedziałem panu, że laboratorium znalazło taki osad na miejscu zabójstwa z poprzedniej wiosny, lecz wczoraj dowiedziałem się, że na podobną substancję natknięto się także na Pine Drive. Niektóre z ofiar były pomazane gliną.

Znaleźliśmy ją też w...

- No gdzie?

- W waginach niektórych zamordowanych kobiet. - Cristo podszedł do ciała starszej kobiety i wskazał palcem na jej łono. - Tak jak tutaj.

Z jej waginy wypłynęła szarawa ciecz.

- To jest glina?

- W innym stanie skupienia, ale tak.

Rosh nie mógł zrozumieć, co się właściwie tutaj wydarzyło. I nie chciał wiedzieć.

- Powiedziałem to raz, powiem i drugi. Idziemy stąd.

Rosh nie odzywał się przez całą drogę do radiowozu.

- Prowadzisz - powiedział do Steina. - Całe to gówno sprowadza złą karmę. Czuję się, jakby mnie jakiś duch nawiedził.

Stein splunął za okno, jakby chciał się pozbyć smaku, który zalegał mu w ustach. Odpalił silnik.

- Kimkolwiek był ten cyngiel, nasłali go D-Man i Świrus.

- Tak, to na pewno ten sam typ. Nie chce mi się jednak wierzyć, że jeden koleś zrobił taką rozpierduchę. Leń Whitaker i Jary gadali, że był jeden. A teraz to...

- Glina - powiedział Stein. - Co z tą gliną? Ten facet z Lowen House zgłosił, że zajebali mu z piwnicy beczki z gliną, nie



wspominając o tym, że znaleziono ją na zwłokach pochodzących z trzech różnych miejsc zbrodni.

Zadzwoiła komórka Rosha, co wyrwało go z zamyślenia. D-Man.

- Hej, właśnie odjechaliśmy spod meliny na Locust, robota jak na Pine Drive. Wasza, prawda?

- Tak - przyznał D-Man. - A co?

Rosh zaczynał odchodzić od zmysłów.

- Do kurwy nędzy, zapłaciłem wam za Jary'ego Kappa. Żywego. A nie za rozpierdolenie na kawałki jeszcze siedmiu przypadkowych ćpunów.

- Ej, nie mówiłeś, że mamy nie zabijać świadków! Zapłaciłeś za kołesia, to go zgarnęliśmy.

Rosh zaniemówił.

- Co?

- Mamy chłopca.

- Jary'ego? Żywy?

- No tak.

Rosh nie mógł w to uwierzyć.

- Tak szybko?

- Bo szybko pracujemy. Siedzimy z tym chujkiem w naszym wanie, dlatego dzwonię.

Spotkajmy się tam, gdzie zwykle. Odbierzcie go, jesteście zajęci.

Rosh nie wiedział, co powiedzieć.

- Jesteś tam? - zapytał D-Man.

- Tak, tak. Zaraz przyjedziemy. - Rosh rozłączył się, a w głowie szumiało mu od podekscytowania. - Kurwa. Mają Jary'ego Kappa. Żywego.

- Uwinęli się. Ledwie wczoraj dałeś im kasę i tę czapkę.
- Rosh popatrzył w stronę zachodzącego słońca.
- Ja pierdołę, może to faktycznie jakieś voodoo...

...

Księżyc świecił tak jasno, że Rosh musiał przymknąć oczy, kiedy wyszli z radiowozu. Za plecami mieli milczący las, przed sobą polanę i tętniące życiem pola prosa. Furgonetka stała nieruchomo niczym ponury pomnik, zaś jej właściciele krzatali się przy aucie, drepcząc po cmentarzu, który sami tutaj założyli. Świrus palił jointa, zaś D-Man wywijał w powietrzu jakimś kijem.

- Co on ma? - zapytał Rosh.

Stein zmrużył oczy.

- Nie wiem. Kij golfowy?

Wiedzeni ciekawością, podeszli do D-Mana. Wygląda to na wykrywacz metali.

- Po jaką cholereę ci ten wykrywacz? - zapytał Rosh.

- To nie jest wykrywacz, kapitanie - zaświstał Świrus znad jointa. - To jest ten... No taki kijorzecz, który strzela tymi... Kijorzeczofalami, które nam pokazują, gdzie są zakopane rzeczy.

- Dzięki za wyjaśnienie - powiedział sarkastycznie Rosh. - D-Man! Co robisz?

- To sonar. Testuję go - odparł D-Man, a maszyna zawtórowała mu nieregularnym brzęczeniem, kiedy machał nią na wszystkie strony. - Nie wykrywa metali, ale wszystko, co ma gęstość większą niż ziemia. Sprawdzam, czy działa.

- D-Man! Powtórzę... Co robisz?

- Coś dla szefa, kapitanie. - D-Man wydawał się poirytowany. - Nic, co by mogło pana zainteresować. Świrus zakopał gdzieś

tutaj małą kulę do kręgli, więc szukam.

Nagle maszyna zaczęła wariować.

- To tutaj? - zapytał Świrusa.

- Bingo. - Świrus chwycił za łopatę i wykopał niewielką kulę.

- Słyszałem o wielkanocnym polowaniu na jajka - powiedział Stein - ale nie na kule do kręgli.

- Ta kula jest mniej więcej takiej wielkości, jak to coś, co mamy wykopać dla szefa - powiedział mu D-Man i włożył sonar do vana.

Rosh pomasował się po policzku. Nie pytaj po co.

- Okej. To gdzie ten Jary? Mam wrażenie, że robicie nas w wała, bo nie ma opcji, żebyście dorwali tego dupka żywego w przeciągu zaledwie jednego dnia.

D-Man krzyknął do kolegi: - Świrus? Idź po paczkę dla Rosh... To znaczy, dla kapitana. - Mężczyzna uśmiechnął się bezczelnie.

Świrus poszedł na tył masywnej furgonetki. Po chwili usłyszeli jakieś odgłosy, potem trzask zamykanych drzwi i Świrus pojawił się z potulnie wyglądającym Jarym „Kappem” Robinsonem.

- Oto wasz kowboj - powiedział D-Man.

Niski, ale muskularny mężczyzna stał przed Świrusem. Jary miał na sobie luźne spodnie, koszulkę drużyny Jaguarów i niezawiązane buty firmy Nike. Na głowie sterczało mu afro, jakby był jakimś aktywistą z lat sześćdziesiątych - może za wyjątkiem wygolonej wzdłuż czaszki kreski.

- Proszę, proszę - powiedział spokojnie zaskoczony Stein.

Niewiary-KURWA-godne.

- Cześć, Jary - powitał go Rosh. - Zapłaciłem za ciebie mnóstwo forsy, śmieciu. I wiesz co?

Fajnie było móc zobaczyć oderwany łeb twojego braciszka.

Rosh splunął mu w twarz, lecz Jary nawet nie mrugnął;

wydawał się kompletnie wyprany z życia, jego oczy były niemalże martwe. Usta miał zaklejone taśmą, nadgarstki związane, a jego ręce zwisały luźno wzdłuż ciała.

- Widzisz... Jedynymi większymi sukinsynami niż ty i twój brat jesteście... my. - Rosh wyszczerzył zęby. - Nikt nie handluje na naszym terenie. To my przemieniamy chłopców i dziewczynki z Somner's Cove w ćpunów i kurwy, a nie tańczący kowboje jak wy.

Jary gapił się na niego swoimi dużymi, zmęczonymi oczyma. Nie skrzywił się, gdy Rosh szybkim ruchem oderwał taśmę wraz z fragmentem jego zarostu.

- Co z tobą, koleś? - zapytał go Rosh, a następnie zwrócił się do D-Mana: - Ućpaliście go, czy co? Facet wygląda, jakby przeszedł lobotomię.

- Pewnie jest w szoku - odparł D-Man. - Czasem tak się dzieje.

- W szoku! Czemu? - zdziwił się Rosh.

Stein zaśmiał się nerwowo.

- Może zamienili go w zombie tym swoim voodoo.

Ani Świrus, ani D-Man nie zaśmiali się, słysząc tę uwagę.

- Zaprowadź tę kupę gówna do auta - rozkazał Rosh, a Stein złapał Jary'ego i poprowadził go w stronę radiowozu.

Naszprycowaliście go, co? - naciskał Rosh.

Nie. Zrobiliśmy to, za co nam zapłaciłeś, a teraz odjeżdżamy. Zadzwoń, jak przyjdzie dostawa. Pewnie jutro albo pojutrze.

- O nie, nie, nie. - Rosh doskoczył do D-Mana i złapał go za ramię, zanim ten zdążył wsiąść do vana. - Nie chcesz wiedzieć, czemu zapłaciłem wam, żebyście złapali go żywego?

D-Man wzruszył ramionami.

- Bo jesteś chorym skurwielem, który lubi torturować ludzi, aż się posrają?

Rosh był wściekły.

- Dlatego, że widział, kto zrobił rozpiardol na Pine Drive. Widział waszego cyngla! To mnie interesuje i gryzie po nocach. Ciekawość, wiesz? Chcę wiedzieć, kto wywija te numery, chcę zobaczyć waszego faceta!

Żyły na głowie D-Mana pulsowały.

- Daj spokój, człowieku! Zapomnij. Co za różnica, skoro dostajesz to, za co bulisz?

Świrus zapalił kolejnego skręta.

- Nie uwierzyłbyś, gdybyś mu powiedział.

Brząk!

Rosh zeszywniał, słysząc nagły hałas. Spojrzał na furgonetkę. Dźwięk doszedł ze środka.

- Co to było?

- Nico - powiedział D-Man.

- Gość jest w aucie, tak? Wasz cyngiel jest w aucie.

- Człowieku, daj już spokój! Świrus, jedziemy...

- Chcę go zobaczyć! - wrzasnął Rosh tak głośno, że aż poczerwieniała mu twarz. - Muszę zobaczyć faceta, który wyrwał ręce, nogi i głowy kilkunastu ludziom!

Rosh wyciągnął z kabury broń.

- Nie wierzę w żadne pieprzone voodoo! Koniec tego gówna, otwieraj vana!

- Jesteś zdrowo jebnięty, Rosh - powiedział zniesmaczony D-Man.

- Kapitanie Rosh! - krzyknął Rosh i podniósł broń. - Otwieraj! Już!

Odezwał się Świrus: - Pokaż mu, D-Man. Dawaj. - Uśmiechnął się, pokazując swoje brązowe zęby. - Zakład, że się posikasz w swoje policyjne spodnie, kapitanie.

D-Man zastanawiał się przez moment, a potem powoli uśmiechnął.

- A co nam w sumie szkodzi?

Przeszli z Roshem na tył furgonetki. D-Man otworzył drzwi, wyrwał kapitanowi latarkę i skierował snop światła do środka.

Niczym powietrze z przebitego szpilką balonu, z Rosha uszła cała odwaga; w jednej sekundzie stracił całkowite rozeznanie świata, nie odróżniłby nawet bieli od czerni i dobra od zła, bowiem był świadkiem czegoś wymykającego się poznaniu, szalonego. Rosh spojrział do środka tylko raz, wrzasnął, zwymiotował i pobiegł, szlochając, do radiowozu, gdzie popuścił w spodnie.

D-Man i Świrus śmiali się jeszcze długo po tym, jak Rosh i Stein odjechali.

## (VI)

Judy obudziła się zlaną potem; czuła się, jakby ktoś zanurzył ją w syropie, pościel po jej stronie łóżka była przemoczona. O Boże, o Boże, pomyślała. Zegar pokazywał drugą nad ranem.

Pomimo zmęczenia po całym tym przerażającym dniu nie mogła spokojnie spać. Zasypiała i budziła się w drgawkach.

Nie przestawała myśleć o cracku.

Zeszła z łóżka i uklękła na podłodze, modląc się. Boże, daj mi siłę, bowiem wierzę w Zbawiciela.

Żadna siła jednak nie przyszła.

Czuła się paskudnie, oblepiona zimnym potem. Wiedziała, że nie może wyjść z domu nago, choć Seth nie miał nic przeciwko jej paradowaniu po domu na golasa, i czułaby się źle, zakładając ubranie na mokre ciało, lecz nie miała wyjścia.

Nie mogę powiedzieć Sethowi, przecież to rzucę... Muszę rzucić!

Tylko nie dzisiaj.

Narzuciła na siebie szlafrok i wymknęła z sypialni, zostawiając leżącego na łóżku Seta.

Trzęsły jej się ręce, próbowała jednak uspokoić się i zastanowić raz jeszcze nad wszystkim. Z pewnością dwóch zamaskowanych napastników to ci sami ludzie, którzy włamali się do piwnicy. Z jakiegoś powodu nie miało to jednak dla niej znaczenia, nie bała się też zejść do piwnicy, gdyż to właśnie tam w ciągu dnia, podczas gdy Seth brał prysznic, schowała torebkę z prochami.

Księżyc rozświetlał krawędzie kuchennych mebli; wszędzie panował spokój. Judy wyciągnęła z szuflady klucz i wyszła na zewnątrz.

Serce waliło jej jak oszalałe...

Na dworze było ciepło i parno, co wycisnęło z jej porów ostatnie krople potu.

Nie może mnie nakryć...

Co powiedziała by Seth? Co by zrobił? Judy wolałaby umrzeć, niż się dowiedzieć. Na bosaka poczłapała po schodach i szła wzdłuż domu; może nawet nie szła, bowiem czuła się, jakby ktoś ciągnął ją na niewidzialnej smyczy.

Zdjęła kłódkę i weszła do środka. Cicho, po cichu... Zeszła po schodach i wzięła do ręki latarkę na baterię, którą zostawiła tutaj wcześniej. Z jakiegoś powodu przypomniał jej się widok

martwych psów z cmentarza - bezgłowych, martwych psów. Mimo to przeszła na środek piwnicy i nie odstraszyła jej także świadomość, że za ścianą, w tajnym pomieszczeniu, znajduje się zmumifikowana dłoń - a może i coś więcej. Nie mogła opanować drżenia rąk, sięgnęła pomiędzy beczki i wyjęła torebeczkę z crackiem. Zostało jedynie sześć grudek, pomyślała, zrozpaczona.

Na cmentarzu wypaliła pół woreczka, potem jeszcze trochę, kiedy Seth brał prysznic.

Teraz machnę trzy, planowała, dwie jutro, a jedną zostawię na pojutrze. A potem...

Rzuci, choćby miała stanąć na głowie.

Albo się zabiję...

Nabiła lufę, wyłączyła latarkę i zapaliła. Haj od razu uderzył jej do mózgu; poczuła zachwyt, choć wiedziała, że nie powinna. Bo wiem, że nie robię dobrze. Płomień zapalniczki rzucał cienie na ściany, które drżały niczym skradający się ludzie. Pół godziny później kończyła trzecią lufę, czuła się, jakby w jej czaszce ktoś smażył coś na głębokim oleju. Jęknęła, nie mogąc się powstrzymać, i zapłakała.

A potem wypaliła resztę.

Kiedy z powrotem włączyła latarkę, przed jej oczyma pojawiła się uśmiechnięta morda i ciężka dłoń zasłoniła jej usta, aby nie mogła krzyczeć. Latarka spadła na ziemię, światło omiotło ciemne kąty piwnicy. Spocona łapa przycisnęła ją do ściany, twarz nie przestawała się uśmiechać.

Był to jeden z gwałcicieli, ten krępy.

- No cicho już, cicho! Żadnego krzyku albo pójdę na górę i zabiję twojego chłoptasia...

Judy wciągnęła powietrze, kiedy mężczyzna zabrał dłoń.



Zadrzała.

- Mój Boże! Co ty tutaj robisz?

- Przejeżdżałem obok, zobaczyłem światło, to zajechałem, żeby zobaczyć, jak się miewasz.

Wszystko gra, Cycek?

Nie, nie, nie, nie, proszę, nie.

- Po co przyjechałeś? - zaszlochała.

- Pomyślałem, że ćpunka z taką chcicą jak ty już pewnie jedzie na rezerwie. Co nie?

Judy spuściła wzrok.

- Już... Nic nie zostało.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Dziewczyno! Nie tracisz czasu, co? Dobrze. Masz... - Wyciągnął z kieszeni torebeczkę z crackiem. - Może jeszcze działeczkę? Za friko. Co ty na to?

Oczy jej załśniły, kiedy zobaczyła narkotyk.

- Powiem ci, co musisz za to zrobić - powiedział ostrym szeptem. - Posłuchaj, masz się upewnić, że twojego faceta nie będzie w domu pomiędzy południem a drugą. Okej?

Judy jęknęła.

- Jak mogę zagwarantować...

- Zrób to i już - powiedział twardo. - Skorzystaj ze swojego bystrego mózdzka, co?

- Ale... Po co?

- Nieważne - odpowiedział i nagle złapał ją za gardło, aż język wyszedł jej na wierzch. -

Żadnych pytań. Rób, co ci każe, i będzie bajecznie. A jeśli nie, to...

Telefon komórkowy, niczym w magicznej sztuce,

zmaterializował się w jego dłoni. Na małym ekraniku pojawiło się zdjęcie Judy palącej crack na cmentarzu. Zebrało jej się na płacz, kiedy na kolejnej fotografii zobaczyła siebie podczas fellatio...

- Rozumiem - wychrypiała.

- Grzeczna dziewczynka. Muszę co prawda lecieć, ale... A co mi tam. - Zamaskowany mężczyzna spojrzał na zegarek. - Zawsze jest czas na odrobinę miłości, nie?

Posadził Judy na jednej z beczek i rozchylił poły jej szlafroka.

- Nie, proszę, nie...

- Jeszcze słowo, a pójdę na górę i potnę mu ryj...

Judy wierzyła, że tak właśnie by się stało. Przygryzła wargę tak mocno, aż poleciała z niej krew. Mężczyzna rozchylił jej uda i wszedł w nią. Judy zamknęła oczy i próbowała wyczyścić umysł, przeczekać to wszystko i skupić się na narkotycznym haju, który nadal huczał w jej głowie.

Gwałciciel poruszał się w niej miarowo i mechanicznie, aż Judy podskakiwała na beczkach.

- No. I już - powiedział, kiedy wreszcie skończył i zapiął spodnie. - Tak jak mówiłem, bądź spokojna, a twój Seth-fiut będzie bezpieczny.

Judy nadal siedziała nieruchomo na beczkach.

- I nie zapomnij: jutro pomiędzy dwunastą a drugą. Ma was nie być. Czaisz?

Judy przytaknęła.

- Zostaw te cholerne drzwi otwarte.

- Rozumiem...

Uszczypnął ją w policzek.

- Rób, co mówię, a będzie tu na ciebie czekało dwadzieścia

kamyczków.

Odwrócił się i odszedł, Judy nadal siedziała ze zwisającymi z beczek nogami, aż zakręciło się jej w głowie, kiedy poczuła, że z jej pochwy wypływa sperma gwałciciela. Gdy wstała, poczuła się jak wstający z grobu trup. Spojrzała na woreczek z crackiem i zapłakała.

Wypaliła jeszcze trochę, resztę zostawiła na później i wybiegła z piwnicy. Euforia, która szarpała jej ciałem, sprawiła, że trudno było jej zapamiętać instrukcje.

Drzwi. Zostawić otwarte.

Wróciła do środka i po cichu zamknęła drzwi i nałożyła łańcuch, jednak nie zatrzasnęła kłódki. Przez jej otumaniony narkotykiem umysł przedostał się zdławiony dźwięk: silnik?

Światło księżycy padło na podjazd przed ich domem niczym błyszczący szron. Duża, czarna ciężarówka z wyłączonymi reflektorami odjeżdżała w stronę głównej drogi.

To on.

Spodziewała się, że pojedzie prosto, lecz chwiejący się van skręcił w lewo, w szeroką drogę serwisową, która wbijała się klinem w pole prosa; właśnie tą drogą poszła wczoraj na spacer.

Czarne auto zniknęło, lecz w oddali, na wschodzie, pojawiło się jasne światło.

Gdzie on, do cholery, jedzie?

## (VII)

D-Man zatrzymał samochód na drodze serwisowej i zdjął z siebie maskę, żeby zobaczyć, co się dzieje, choć miał to gdzieś.

Jedyne, co go obchodziło, to pieniądze i łaska boska.

Świrus spał na pace, upalony trawą, chrapiąc donośnie. Frajer, pomyślał D-Man i wysiadł z auta. Idiota, nie wie, co go ominęło. Nadal czuł mrowienie w biodrach po dokonanym gwałcie.

Wszedł w wysokie po ramiona proso i skręcił w ścieżkę prowadzącą na wschód, na której końcu migąło światło...

Jak on to nazwał? Kręgi? Nieważne, jakieś żydowskie hokus-pokus. D-Man starał się nie poświęcać podobnym rzeczom zbyt wielu myśli, nie obchodziło go też zbytnio stworzenie, które ze sobą wozili. Taka robota... Gaon mówił na to golem, ale D-Manowi nie robiło to różnicy; potwór wydawało się odpowiednim określeniem.

Światła przybrały na sile, kiedy zbliżył się do ich źródła; wszedł na polanę.

Cholera, ale widok. Kilka martwych, bezgłowych psów zwisało z drewnianych trójnogów.

D-Man nie wiedział, do czego używają czaszek, ale było jasne, po co im cielska. Pod każdym psim truchłem stało wiadro, do którego z otwartych ran skapywała krew. Na wybranych stojakach umieszczone były lampy oświetlające polanę - było tak jasno, jakby pośród pól właśnie wstało słońce. Dziesięciu członków kahału nadzorowało upuszczanie krwi, zaś pozostali chodzili z wiadrami, polewając kamienie ich zawartością. Krąg Dziesięciu Kręgów, przypomniał sobie D-Man. Dziesięć okręgów ułożonych z kamieni tworzyło główny, jedenasty krąg, który znajdował się w samym środku. Wszyscy byli ubrani dokładnie tak jak Gaon - w czarne spodnie i koszule w takim samym kolorze. Nagle światło przysłoniła jedna z sylwetek, która wystąpiła przed lampy.

- Mój wiemy przyjacielu, co cię tutaj sprowadza?

D-Man zawahał się.

- Przetestowaliśmy detektor, działa bez zrzutu.

- Świetnie. A kobieta? Zastraszycie ją?

„Zastraszycie” nie jest odpowiednim słowem, D-Man zaśmiał się w myślach.

- Zrobi, co jej każemy. Jutro pomiędzy dwunastą a drugą wyciągnie go z domu i zostawi otwartą piwnicę.

- Doskonale - wyszeptał Gaon.

- No i...

- Co cię trapi, przyjacielu?

D-Man powiedział otwarcie: - Na przykład te światła. Nie pomoże to, że jesteśmy pół mili od drogi, widać je doskonale.

- Nikt niczego nie zobaczy - powiedział Gaon. - Wiem to, bo mam wiarę. Mam nadzieję, że i ty pewnego dnia ją posiadasz.

Lepiej siedź cicho, skonstratował D-Man. Po co się szarpać?

Pieniądze nie śmierdzą. Popatrzył na leżące na ziemi kamienie i zmienił temat: - A to po co?

- To świątynia prześlągania śmierci, D-Man. Po tych wszystkich latach święta wola naszych przodków zostanie wypełniona. Nie oczekuję, że zrozumiesz, ile to dla nas znaczy.

Nie rozumiem i wali mnie to, pomyślał nadal skrępowany D-Man. Wszyscy ci ludzie, ich magia, skropione krwią kamienie... Gaon faktycznie wierzył w reinkarnację jakiegoś Żyda, który umarł przed stoma laty. Pracuję dla nieźle pieprzonej bandy...

- A co tam u kapitana Rosha? - padło kolejne pytanie.

- Nie był zadowolony z powodu opóźnienia, ale kiedy przywieźliśmy mu tego kolesia, trochę się uspokoił.

- Mieliśmy ważniejsze sprawy - powiedział Gaon - gdyż glina

musiała zostać odpowiednio wymieszana, ale to też już za nami.  
W ciągu dwudziestu czterech godzin dostawa będzie gotowa.

- Jest jeszcze coś... Dzisiaj widział...

- Co widział?

- No... To. Nie mieliśmy wyjścia.

- Rozumiem - odparł Gaon. - I jak zareagował?

D-Man uśmiechnął się.

- Posrał się w gacie ze strachu. Para z niego uszła.

Gaon pokiwał głową.

- Możemy to wykorzystać. Tak jak kobieta została przekabacana, tak i kapitan może. Za pomocą pieniędzy... I strachu.

Dokładnie, D-Man aż bał się pomyśleć, co się stanie, jeśli kiedykolwiek wypadnie z łask Gaona.

- Czyli jutro mamy dostęp do piwnicy?

D-Man skinął głową.

- Jeśli to tam jest, to to znajdziemy.

- Oczywiście, że jest, tak zostało nam to przedstawione.

- Więc wszystko gra.

Gaon podał D-Manowi kartkę papieru.

- A tutaj masz listę zadań na jutrzejsze popołudnie. Przy odrobinie szczęścia uwiniecie się do północy.

Co, do kurwy? - pomyślał D-Man, patrząc na kartkę. Gaon wyjaśnił mu wszystko dokładnie.

- Że co mamy zrobić? - nie dowierzał D-Man.

- Nigdy wcześniej nas nie zawiodłeś. Niech lepiej tak pozostanie.

- To niebezpieczne! Mogą nas złapać!

Gaon odwrócił się do światła, które padało mu teraz na twarz. -

Seth i Judy rozpoznałoby Ashera Lowena.

- Potrzeba ci wiary. Czy masz ją w sercu?

- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?

- Wszystko, co robicie, jest ryzykowne, D-Man, a jednak nigdy nie zostaliście złapani. Jak ci się wydaje: że macie szczęście czy że ktoś nad wami czuwa?

- Czuwa? - zdziwił się D-Man.

- Chroni was to samo, co chroni i nas - dodał Lowen, położył dłoń na ramieniu D-Mana i popchnął go lekko w stronę ścieżki, którą tutaj przyszedł. - Nie martw się, przyjacielu. Mam w sobie tyle wiary, że wystarczy jej i dla nas dwóch. Bo wiara jest...potęgą.

## (VIII)

Tym razem Stein użył nie skórzanego paska, ale niewielkiego łańcucha.

Cykanie świerszczy niosło się przez noc; szumiała rzeka. Stein stał nad Jarym Kappą, który leżał na ziemi z zawiązanymi rękoma i nogami.

- Hej, kapitanie - zawołał Stein. - Szukał pan tego faceta przez rok i zapłacił za niego sporo kasy, a teraz co?

- Mam to w dupie - wymamrotał stojący przy masce radiowozu Rosh, pocierając podbródek.

- Co się stało?

- Nie wiem! - ryknął, choć wiedział.

Stein tego nie widział, ale on tak. Tę... rzecz w furgonetce. Tak, bardzo chciał dorwać Kappa, aby wypytać go o morderstwa na

Pine Drive, ale teraz nie było już takiej potrzeby...

Jary leżał z zamkniętymi oczami i mamrotał coś pod nosem. Modlił się? Rosh nie sądził, aby ktoś taki wierzył w Boga. A może uwierzył, gdy zobaczył TCP. Kto wie?

Rosh dźgnął go czubkiem buta.

- Czy to była ta rzecz, Jary? Ta rzecz, którą widziałeś na Pine Drive?

Kapp przełknął ślinę. Czyżby nadal był w szoku? Zresztą, sam jestem, pomyślał Rosh.

Kopnął Jary'ego mocniej, kiedy ten nie odpowiedział.

- Co to było?!

Kapp skrzywił się i wydukał: - Coś z piekła.

Coś z piekła... Rosh mógł kupić i taką wersję, choć widział tę rzecz jedynie przez ułamek sekundy. Chuda jak szkielet i lśniąca niczym kościotrup pokryty wilgotnym błotem. Nie miała ust ani nosa, z gęby wystawały jej popsute zęby; twarz wyglądała, jakby ktoś rozgniótł na niej ciasto, a potem doprawił rzadkim gównem. Kiedy to coś spojrzało na Rosha, zobaczył, że nie miało oczu; w miejscu, gdzie powinny się znajdować, ziała czarna pustka.

Rosh popatrzył na Kappa, który nadal mruczał coś do siebie: - Modlisz się, co?

Kapp otworzył oczy i uśmiechnął się.

- A ty nie?

Roshowi zrobiło się niedobrze.

- Zajeb mnie, pierdolony glino - szczekał Kapp. - Jebie mnie, jak to zrobisz, wolno czy szybko. Nie chcę już żyć w tym popieprzonym świecie, chodzić po tej samej ziemi, co tamta rzecz.

Rosh popatrzył na niego i powiedział do Steina: - Skończ z nim.



Stein uklęknął i zacisnął łańcuch na szyi Kappa, a potem włożył łom pomiędzy ogniwa.

- Gotów na spotkanie ze stwórcą, Jary?

Kapp uśmiechnął się.

- Jak cholera.

Stein przekręcił łom. Łańcuch wbił się w skórę Kappa, ale ten tylko się śmiał.

- Mocniej! - wrzasnął Rosh.

Stein napał na łom z całej siły. Kapp nie przestawał suszyć białych jak śnieg zębów nawet wtedy, gdy jego ciało drżało w konwulsjach.

- Pamiętaj, kapitanie... Ja odejdę, ale ty zostaniesz tutaj... Z tym czymś! - ryknął i zachrypiał w parodii śmiechu.

Wściekły Rosh podszedł do Steina, aby mu pomóc.

- Z całej pary, obracamy! - Zacisnął dłonie na łomie i faktycznie udało im się go przekręcić.

Kapp nadal się śmiał, nawet gdy jego głowa opadła bezwładnie.

- Masz, skurwysynu! - krzyczał Rosh.

Stein westchnął, kiedy rozplątał łańcuch.

- No, to by było na tyle, jeśli chodzi o Cracksonville Boyz.

- Wypierdziel go do wody.

Głowa Kappa wyglądała, jakby ktoś po niej skakał. Stein zaciągnął jego zwłoki - nadal lekko podrygujące - na brzeg rzeki i wrzucił do wody, gdzie zatonęły z pluskiem.

Rosh wrócił do auta i wyciągnął papierosa z paczki Steina. Kiedy sierżant wrócił do samochodu, skrzywił się: - Przecież nie palisz od lat.

Rosh zaciągnął się i utkwiał wzrok w szybie.

- Jedź.

Stein wyjechał ze starej drogi prowadzącej na przystań.

- No dobra, kapitanie. O czym wy w ogóle gadaliście z Kappem?

- Zapomnij o tym.

Stein zaśmiał się.

- Potwór, co? Gada pan jak Leń Whitaker.

- Stul pysk!

- Co jest, kapitanie? Kim był ten koleś w furgonetce?

- To nie żaden koleś! A teraz prowadź i zamknij mordę! -  
wściekał się Rosh.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

LIPIEC 1880

## (I)

Ostatni dzień miesiąca.

Conner i jego ludzie stali na skrzyżowaniu, oczekując na wóz ze zbrojowni w Baltimore.

Norris stał obok swojego pracodawcy, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

Gdy podjechał transport, wyładowali skrzynie i oderwali wieka. Pięćdziesiąt pistoletów.

Proch i kule pomyślał Norris.

- Jeśli wszystko działa jak należy, to załatwimy sprawę w trymiga, panie Conner.

Conner wydawał się zamyślony.

- Oby tak było. Wóz odjechał coś zbyt szybko jak na mój gust. -  
Gdy tylko wypowiedział te słowa, jego ludzie skończyli sprawdzać skrzynie.

- Jest dobrze, panie Conner! - wrzasnął jeden z nich. - Są tutaj wszystkie, całe pięćdziesiąt!

Norris uśmiechnął się z ulgą i trzymaną w ręku siekierą porozcinał papier, którym owinięto wyjęty już ze skrzyni pakunek. Wewnątrz znalazł pistolet kalibru trzydzieści sześć, pokryty grubą warstwą smaru.

- Policzyliście je?

- Tak, panie Norris! Równo pięćdziesiąt!

- A proch, kule? - dopytywał Conner.

Inny mężczyzna krzyknął znad kilku skrzyń: - Jest proch i są też kule, co to wyglądają jak bycze jaja, proszę pana!

- Bogu niech będą dzięki - mruknął Conner.

Norris miał wątpliwości, czy Bóg ma cokolwiek wspólnego z tym, co się będzie tutaj działo.

Z pięćdziesięcioma pistoletami i amunicją dadzą radę wytłuc całe Lowensport.

- Aż się milej człowiekowi robi na sercu, kiedy ma świadomość, że w Ameryce nadal da się zrobić uczciwy interes.

Conner wydawał się nieco niespokojny.

Pił całą noc, pomyślał Norris. Pewnie nie bardzo wie, co widział. Potwory, mówił. Zabiły mu żonę, Bonnie, a do tego Jake'a Howetha, jego małżonkę i dzieciaka. Lowen i jego Żydzi! - krzyczał potem. Wezwali je swoją czarną magią!

Norris, oczywiście, w to nie wierzył, pewnie dwóch ludzi od Lowena zrobiło wypad. Nie było to jednak ważne. Mieli przecież pięćdziesiąt sztuk nowiutkiej broni...

- Załadujcie te skrzynie, panowie - rozkazał. - Wracamy do obozu.

Conner podszedł do skrzyń.

- Powinna być jeszcze jedna - powiedział z przestachem w głosie.

- Mówi pan o broni? Zgadzą się przecież.

- Nie, zapłaciłem za coś jeszcze...

- Może o to chodzi, panie Conner? - powiedział jeden z młodych ludzi, z uśmiechem pokazując wszystkim zawartość otwartej przez niego skrzyni.

Była pełna dynamitu.

- Co pan chce z tym zrobić, panie Conner? - zapytał Norris.

Z Connera wyraźnie uszło napięcie, kiedy zobaczył materiały wybuchowe.

- To część mojego planu, Norris. Widzisz, pistoletami wystrzelamy wszystkich Żydków w mieście; poza jednym. - Wskazał na dynamit. - Bo dla Gavriela Lowena wymyśliłem coś specjalnego.

Norris nie drążył, lecz ktokolwiek - lub cokolwiek - zabił Connerowi żonę, pogłębił tylko jego nienawiść go Żydów.

- A kiedy zaczynamy?

- Poczekajmy jeszcze kilka dni, zbadamy grunt, podzielimy się na grupy, żeby wszystko dobrze wypaliło, jak na wojnie.

- Tak jest, panie Conner.

Dźwięk końskich kopyt przykuł ich uwagę; spojrzeli na drogę i zobaczyli dwóch jeźdźców.

- To John Reid i jego chłopak - rozpoznał Norris. - Wracają od strony Salisbury.

- A tak, wysłałem ich tam tydzień temu, żeby najęli kilku ludzi z łopatami. Jak już skończymy z tymi Żydkami, będzie trochę kopania...

- Tak, ale... - Norris zmrużył oczy.

John Reid był wyraźnie zatroskany. Zszedł z konia i przywitał się: - Dzień dobry, panie Conner, panie Norris.

Skinęli mu głowę.

- Nająłeś ludzi do kopania, Reid?

- Nająłem, ale...

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał Norris. - Bo widzę, że coś cię trapi.

Reid zaczął niechętnie.

- No to jest tak, że najęliśmy tych ludzi od dołów, ich majster nazywa się Hawberk. Mówił, że jego brat pracuje w dokach, a wspomniał o tym dlatego, bom powiedział wcześniej, że obozujemy przy Lowensport.

- Do rzeczy, Reid.

- No kiedy powiedziałem o Lowensport, ten Hawberk rozpoznał nazwę i zapytał, czy to żydowskie miasto, odpowiedziałem, że tak, ale że my nie Żydzi, że tam nie mieszkamy.

- Reid, mów, o co chodzi - powiedział zniecierpliwiony Norris.

- Brat tego Hawberka powiedział mu, że niedawno do Salisbury przypłynął parowiec i kapitan, jakiś Irlandczyk, wspomniał, że płyną do Lowensport.

- Parowiec? - zapytał Norris.

- Tak, proszę pana. Z ładunkiem, za który zapłacił Gavriel Lowen, i dlatego panu o tym mówię. Nie brzmi to zbyt dobrze, kiedy się o tym pomyśli.

Nie, nie brzmi, pomyślał Norris.

- Czy ten człowiek mówił, co było ładunkiem?

- Nie, proszę pana. Jakieś beczki.

- Może broń - wymamrotał Conner. - Niewykluczone, że Lowen planuje wywinąć nam taki numer, jaki planowaliśmy wywinąć jemu. Kiedy ładunek dotrze do Lowensport, Reid? Wiesz coś?

- Hawberk mówił, że w następnym tygodniu.

Norris wziął Connera na bok.

- Proszę pana, to zmienia postać rzeczy. Wygląda na to, że Lowen sprowadza broń.

Conner przytaknął z ponurą miną.

- Czyli musimy ich załatwić, zanim dotrze do nich transport. - Spojrzał na Norrisa. - Nie możemy więc czekać. Zbierz wszystkich w obozie.

- Kiedy ruszamy, proszę pana?

- Dzisiaj. Zabijemy wszystkich. Dzisiaj.

## (II)

O wpół do dwunastej Judy poganiała Setha, aby wyszli z domu.

- No chodź! Będzie fajnie! - udawała entuzjazm.

- Niech będzie - powiedział wreszcie Seth. - Cieszę się, że czujesz się lepiej.

Tak naprawdę Judy czuła się gorzej, jakby gniła od środka. Jak to szło? Kurwa pozostanie kurwą? Te słowa krążyły jej po głowie, lecz musiała wywabić Setha z domu.

- Zabiłabym za te kraby!

Właściwie to wcale nie miała apetytu, do tego czuła się okropnie, widząc, jak dobrze idzie jej kłamstwo. Tego ranka, zanim Seth się obudził, zakradła się do piwnicy i wypaliła resztę cracku.

Nie możesz odpuścić, powtarzała sobie, gdy jechali do Somner's Point. Wiedziała, że będzie musiała poświęcić całą swoją uwagę, aby nie wyłożyć się na żadnym z kłamstw, którymi karmiła ukochanego mężczyznę.

Skrojony pod turystów wystrój restauracji nadawał lokalowi całkiem miłą atmosferę, choć wewnątrz nie zauważyli żadnych obcych, jedynie miejscowych robotników, którzy okupowali stołki przy barze.

- Cieszę się, że lubisz kraby - powiedział Seth, zamawiając tuzin u kelnerki.

- Dzisiaj mamy promocję na Screwdrivers, dwa drinki w cenie jednego - poinformowała ich młoda dziewczyna w fartuszkach, na co Seth zareagował śmiechem i poprosił o dwie mrożone herbaty.

Judy siedziała naprzeciwko, w pokrytym okleiną, drewnianym boksie, usiłując skupić się na tym, aby wyglądać w miarę normalnie. Niemal wybuchnęła płaczem, kiedy Seth powiedział: - Dla mnie, jako byłego pijusa, to naprawdę odświeżające, że nie ciągnie mnie do alkoholu, nie mam w ogóle potrzeby tykać wódki, żadnej ochoty na libację, nic. Zresztą na pewno wiesz, o czym mówię.

Judy zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

Mów coś! Zachowuj się normalnie!

- Kiedy mieszkaliśmy w Tampie, nie miałam ochoty na kraby. Drogie i dużo z nimi zachodu.

- Czytałem gdzieś, że to miasto było niegdyś krabową i ostrygową stolicą kraju. Kurde, a może zamówię też trochę ostryg. - Uśmiechnął się lubieżnie. - No, wiesz, o co mi chodzi.

Minęła chwila, zanim Judy załapała.

- A tak. Afrodyzjak. Możemy to sprawdzić - znowu skłamała, gdyż crack zupełnie zlikwidował jej libido. - Zaraz wrócę, muszę... No wiesz.

Seth wskazał jej drogę do toalety.

Weszła do kabiny i niemal opadła na ziemię.

Boże, Boże, Boże! Jak mogła mu to robić? Wyszła i popatrzyła na siebie w lustrze, crack zdążył już odcisnąć swoje piętno na jej twarzy. Ile minie dni, zanim potwornie schudnie i zmieni się w



tyczkę, którą była przed dwoma laty? Nie mogę na to pozwolić! Boże, daj mi siłę, nie pozwól na to!

Ochlapała twarz wodą, ochłoneła, lecz po chwili przypomniała sobie o dwóch gwałcicielach, którzy teraz buszowali po ich piwnicy. Czego mogli tam szukać? Pozostałe beczki byty tak samo bezwartościowe jak te, które ukradli wcześniej. Wpuściłam ich do naszego domu...

Wiedziała, że po powrocie będzie na nią czekała torebeczka z crackiem.

To już ostatnia, więcej nie biorę.

Dotknęła srebrnego krzyżyka, który nosiła na szyi i zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna zamiast niego nosić pętli...

...

Podczas lunchu Judy specjalnie jadła bardzo powoli, ledwie czując smak pysznych skorupiaków. Na przemian uśmiechała się i potakiwała; Seth mówił o projektach kolejnych poziomów gry, nad którą pracował. Starła się dorzucić jakieś uwagi od siebie, lecz czuła już usilną potrzebę zapalenia cracku i nie potrafiła jasno myśleć. Seth wreszcie zauważył, że coś jest nie tak, i zapytał: - Czujesz się lepiej, co?

- Tak, już prawie dobrze - odparła. - Ale nadal coś mnie trzyma. Pewnie przeziębienie.

- Może lepiej wróćmy do domu, zdrzemniesz się. - Złapał ją za rękę. - Jak to mówią, sen jest lekarstwem na wszystko.

- Może masz rację - odpowiedziała, zerkając na zegar ścienny.

Było już po drugiej.

Seth uregulował rachunek i wyszli, obejmując się. Dzień skąpany był w słońcu. Nagle Judy przeraziła się, gdy wsiadali do Tahoe. A co, jeśli oni nadal są w piwnicy? Jeśli ich nakryjemy?

I wtedy obok nich przejechał czarny van.

Judy poznała, że to ta sama furgonetka, którą widziała wczorajszej nocy; prowadził ją wtedy jeden z zamaskowanych gwałcicieli. Napis na boku vana reklamował jakiś produkt spożywczy.

Przez moment gardło ścisnęło jej przerażenie, lecz dostrzegła również dobrą stronę tego wszystkiego - wiedziała, że skończyli już z tym, co robili w ich domu. Próbowwała dojrzeć tablicę rejestracyjną, lecz nie potrafiła nic z tej odległości rozczytać, a van po chwili zniknął za rogiem.

Kierował się najwyraźniej w stronę doków.

Nie zdołała też przyjrzeć się kierowcy.

### (III)

Asher Lowen wstał ze swojego krzesła obrotowego, słysząc silnik furgonetki; była już prawie pierwsza nad ranem. Czy to możliwe, że jednak czuł obawę, iż zostali złapani?

Nie.

Asher wiedział, że jego Bóg ich ochroni.

- Przepraszamy za spóźnienie, Asher - powiedział Świrus, kiedy weszli tylnymi drzwiami do Domu Nadziei. - Pieprzony prom znowu nawalił, musieliśmy zrobić objazd.

- Nie ma sprawy, ale czy...

- Mamy ciało - powiedział D-Man. - Ale... Nie mamy czaszki.

Asher zbladł.

- Próbowaliśmy dodzwonić się do ciebie.

- Byłem na spotkaniu modlitewnym - odparł Asher. -  
Sprawdziliście całą piwnicę?

- Aha.

- Poodsuwaliście beczki, przeszukaliście wszystko?

- Tak, bardzo dokładnie, z sonarem - potwierdził D-Man. - Nie  
ma jej tam.

Ależ musi być. WIEM to, pomyślał Asher.

Spojrzał na jeden z kotłów, którego zawartość poświęcił.

- Powiedziano mi, że tam jest. A więc być musi.

D-Man westchnął.

- W takim razie powiedz nam, gdzie szukać, bo tej czaszki tam  
nie ma.

Asher podrapał się po brodzie.

- Może jest jeszcze jakaś inna piwnica, o której istnieniu nie  
wiemy.

- Nie sądzę, nie było żadnych innych drzwi.

- A może są tam jakieś ukryte drzwi - zasugerował Asher. -  
Zapytajcie dziewczynę, będzie potrzebowała więcej cracku.  
Dajcie jej trochę w zamian za informacje.

D-Man był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Niech będzie - mruknął. - Pójdziemy do niej jutro.

- Dobrze.

Świrus oddalił się od drzwi, a na jego zaniedbanej twarzy  
pojawił się dziwny grymas.

- O, lezie...

Chudy, postrzępiony cień padł na podłogę. Golem wkroczył do  
pokoju; z jego lśniącej, pokrytej gliną twarzy nie można było nic

wyczytać. Na ramieniu niósł zawinięte w prześcieradło ciało. Asher spojrzał na niego z dumą. Dowód na potęgę mojego króla, S'mola. Służy nam wiernie już od ponad stu lat.

- Nadal przyprawia mnie o dreszcze - wymamrotał D-Man.

- Ranisz uczucia mojego sługi - zażartował Asher i wskazał na stół, gdzie chudy golem położył zwłoki. - Byłbyś zaskoczony, wiedząc, że ta rzecz kiedyś posiadała imię. Yerby.

- Yerby - powtórzył D-Man, odwracając wzrok.

- Spocznij - powiedział Asher do stwora.

Golem podszedł do podłużnej skrzyni, położył się w niej i zamknął wieko.

- To on wykopał trupa - powiedział D-Man. - Oszczędził nam odcisków.

- Tak, służy mi wiernie, jak niegdyś służył moim przodkom - zaczął Asher. - Lecz nic nie trwa wiecznie, jest już stary... Ten będzie silniejszy, świeższy, szybszy, jak chciał tego Gavriel Lowen. Czuwa nad nami opatrność, a wy, panowie, przysłużyliście się jej.

Chwycił prześcieradło i jednym ruchem ściągnął je z trupa.

D-Man i Świrus przełknęli ślinę na widok zwłok młodej kobiety. Nie leżała w ziemi zbyt długo, można było pomyśleć, że śpi.

- Nawet nie śmierdzi - powiedział Świrus.

- Wygląda jak żywa - dodał D-Man.

- Magia nowego wieku, panowie - rzucił Asher. - Balsamowanie. Przyjdźcie jutro wieczorem, wtedy będzie nie tylko wyglądała na żywą.

Poprowadził ich korytarzem do kafeterii, w której nigdy nie przygotowano żadnego posiłku; siedziało tam kilku ćpunów

zajmujących się produkcją cracku. Stróżowali przy kotłach; dobywał się z nich charakterystyczny dźwięk, od którego narkotyk wziął swoją nazwę.

Co jednak znajdowało się w następnym pomieszczeniu?

- Bądźcie świadkami mojej magii - powiedział Asher.

Glina ze skradzionych beczek została wyłożona do metalowych naczyń, do których dodano, w odpowiednich proporcjach, wodę. Proces ten powtarzano raz po raz, aby dobrze wymieszać substancję.

- Hlina, panowie. Błogosławiona glina z Wełtawy. Gavriel Lowen nie dożył dnia, gdy przybył tutaj ten ładunek, lecz odzyskaliśmy jego skarb i dokończymy jego dzieło.

D-Man i Świrus nie bardzo wiedzieli, o czym mowa.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział D-Man.

- Możecie już iść, przyjaciele - oświadczył Asher, a kilku ćpunów włożyło do naczyń jeszcze trochę kawałków gliny. - Pamiętajcie jednak, że wiara zostanie wynagrodzona...

## (IV)

Judy obudziła się zrana zlaną lepkiem potem; ręce jej się trzęsły, potrzebowała cracku, lecz na szczęście udało jej się powstrzymać przed zejściem do piwnicy po powrocie z knajpy. Otworzyła oczy. Seth siedział na brzegu łóżka i rozmawiał przez komórkę: - Chyba żartujesz! Co znowu nie zagrało? Co robimy źle? - Pełna udręki pauza. - No wiem, do cholery. Masz rację. Przylecę pierwszym samolotem.

- Co się stało? - zapytała Judy, kiedy już się rozbudziła.

- Muszę lecieć do Tamy. Nadal mają problemy techniczne - powiedział i pobiegł pod prysznic.

Wyglądała jak gówno, pomyślała, widząc swoje spojrzenie. Prędzej czy później domyśli się, że to nie przeziębienie.

- Może polecisz ze mną? - zaproponował, wycierając się po kąpieli i zakładając szybko ubranie. - Nie wiem, ile mi tam zajdzie, ale...

- Zostanę tutaj i stanę na posterunku - poinformowała Seta. - Nadal nie czuję się dobrze.

Spojrzał na nią zatroskany i pogłaskał po policzku.

- Czy wszystko w porządku? Pytam poważnie.

- Tak, to przeziębienie. - Pociągnęła nosem i ruszyła w stronę drzwi. - Dam sobie radę, a teraz zrobię ci kawę.

Zeszła na dół, przygotowała kawę i włożyła jego laptopa do pokrowca.

Zanim wróci, pozbędę się tego obrzydlistwa z organizmu, obiecała i przypomniała sobie, że w piwnicy czeka na nią torebeczka pełna cracku. Wypalę to i koniec. Wiedziała jednak, że sama się oszukuje. W przeszłości wielokrotnie składała podobne przyrzeczenia i nigdy żadnego nie dotrzywała.

- Cholera, to naprawdę popieprzone - powiedział, kiedy już zszedł na dół z walizką. - Jeśli nie naprawimy tego na czas, możemy nie wyrobić się w terminie.

Pocałował ją w policzek i dodał: - Przepraszam, że wyjeżdżam tak nagle.

Złapał swoje bagaże i ruszył w stronę drzwi. Judy, ubrana jedynie w szlafrok, odprowadziła go wzrokiem.

- Bezpiecznej podróży. I zadzwoń, gdy będziesz już na miejscu.

- Zadzwonię! Pewnie, że zadzwonię - odkrzyknął. - Muszę wziąć

samochód, więc będziesz tutaj trochę uwięziona.

- Nie martw się - zapewniła go. - Będę miała pretekst, żeby wsiąść na rower.

- Okej. I pamiętaj, żeby włączyć alarm. Kocham cię! - powiedział i odjechał.

Ja też cię kocham, pomyślała, czując, że jej siła woli słabnie. Kiedy tylko Tahoe zniknął z pola widzenia, zamuliło ją i wróciła do środka po klucz, a potem poszła do piwnicy. Chciało się jej płakać, tak bardzo potrzebowała narkotyku; żałowała, że nie potrafiła zbiec po schodach szybciej.

Omiotła piwnicę latarką, szukając rozpaczliwie tego, co powinni byli tutaj zostawić.

Wreszcie zobaczyła plastikową torebkę wciśniętą pomiędzy dwie beczki. Wyciągnęła ją, rozdarła i wrzasnęła: - Ty kłamliwy sukinsynu!

W środku były jedynie trzy grudki, choć obiecano jej dwadzieścia. Przy pierwszej lufce praktycznie płakała. Te trzy porcyjki starczą jedynie na godzinę. Cała się trzęsła, wdychając dym, który kusił ją słodkimi obietnicami, nigdy ich nie dotrzymując. Nie było wystarczająco dobrze, nigdy nie jest tak, jak za pierwszym razem, ale i tak próbowała. Euforia wkradła się w jej czaszkę niczym paskudny język liżący jej umysł.

Boże, jest mi tak źle i tak dobrze jednocześnie...

Druga lufka poszła tak samo szybko jak pierwsza. Usiadła na podłodze i cieszyła się hajem przez jakieś dwadzieścia minut. Zostaw to na później, ZOSTAW, usiłowała przekonać samą siebie.

Włożyła lufkę i torebkę do kieszeni, zła na siebie. Już miała wychodzić z piwnicy, kiedy pewna myśl wpadła jej do głowy pomimo odczuwanej euforii.

Czego chcieli ci mężczyźni? Czego potrzebowali?

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Zabrali pozostałe beczki? Szybko je policzyła.

Żadnej nie brakowało.

Coś jednak się zmieniło...

Ruszyli je...

Była pewna, że beczki zostały przesunięte. Czemu? Po co? Ukryte drzwi pozostały nienaruszone, nie otworzyli ich. Pewnie o nich nie wiedzą. Spojrzała na ziemię i w świetle latarki dostrzegła ślady stóp. Świetnie! Butem zatarła ślady.

Z jakiego powodu przesunęli beczki? Jakby... Szukali czegoś pod nimi...

...

Siedziała na górze i płakała już od godziny, a potem zasnęła na kolejne dwie, budząc się jednak co chwilę. Próbowwała się modlić, lecz jej słowa brzmiały nieszczerze.

Boże, wybacz mi, choć upadłam nisko. Moje grzechy są okropne, lecz wiem, że Twoje miłosierdzie jest bezkresne. Zdejmij ze mnie ten ciężar, proszę Cię. Kiedy tylko skończyła szeptać te słowa, poczuła usilną potrzebę zapalenia cracku.

Zmusiła się do pójścia pod prysznic, a po kąpieli założyła letnią sukienkę, lecz żadnej bielizny; nie chciała, aby cokolwiek dotykało jej skóry. Co ja wyrabiam? Czuła się, jakby wpadła w sidła, tak mocno trzymało ją pragnienie narkotycznego haju. Już raz to przerabiałam, nie dam rady znowu. Kolejny raz pomyślała o samobójstwie.

Jeśli nie rzucę, zrobię to. Zrobię.

Ale jak? W domu nie mieli broni, a przecież sama się nie udusi.



Nie wierzyła, że będzie miała tyle odwagi, aby poderżnąć sobie gardło.

Piwnica. Tam był sznur.

Zrobię to w ten sposób... Chyba, że rzucę.

Nadal miała jedną grudkę. To będzie ostatnia, jaką wypalę. Tak czy inaczej. Postanowiła, że pójdzie zapalić na pola, a potem wyrzuci lufkę w proso.

Wyszła przed dom, przeszła przez podwórko, a potem przez ulicę. Szeroka droga serwisowa przyzywała ją, jakby chciała ją wessać; tak, jak ona będzie wsysała dym z lufki. Szła, niemal biegła, w głowie mając jedynie myśli o cracku.

To już ostatnia, naprawdę ostatnia!

Przeszła ćwierć mili, zanim zorientowała się, że weszła w pole. Jedną ręką złapała wiszący na szyi krzyżyk, w drugą wzięła torebkę z narkotykiem. Upewnij się, że nie ma tutaj robotników, podpowiadała jej paranoja. Parła przed siebie z szeroko otwartymi oczami i skręciła w węższą dróżkę, prowadzącą na wschód. Zatrzymała się po kilku minutach. I nagle uleciały z niej wszelkie skrupuły, otworzyła woreczek i nabiła lufkę. Patrzyła na nią przez jakiś czas.

- Nie! - krzyknęła.

Pomyślała o mężczyznach, którzy ją zgwałcili, o tym, co jej zrobili. Pomyślała o przeszłości, o tym, co sama sobie zrobiła. Pomyślała o tym, jak krążyła po ulicach w poszukiwaniu okazji. Pomyślała o lubieżnych spojrzeniach, które odprowadzały ją do nieznanomych aut.

Pomyślała o tych wszystkich paskudnych zapachach i okropnych smakach. No i wreszcie pomyślała o sobie, z pętlą na szyi.

- Nie! - wrzasnęła i rzuciła lufkę tak daleko, jak tylko potrafiła.  
Nie będę ćpunką i nie zabiję się!

Widziała, jak szklanka lufka wpada w gęste proso.

Odpowiedziała jej cisza, jak po eksplozji.

- Nie będę paliła cracku - wyszeptała.

Poszła dalej, nieświadoma tego, że ścieżka prowadziła do tej dziwacznej polany, która z kolei znajdowała się jedynie kilkaset jardów od cmentarza, gdzie została wykorzystana seksualnie.

Szła szybko, jakby gonił ją jej nałóg. Poruszała się jak we mgle, nie do końca świadoma tego, co robi. Wyszła na polanę...

I niemal krzyknęła.

Na środku polany stał jakiś mężczyzna, odwrócił się, słysząc jej kroki. Serce waliło Judy jak oszalałe, myślała bowiem, że to jeden z zamaskowanych mężczyzn...

- A, to pani... Przepraszam, imię wyleciało mi z głowy.

- Judy Parker - powiedziała, otrząsając się z szoku. - Dziewczyna Setha Kohna. A pan nazywa się Croter, sprzedał nam pan Lowen House.

- Tak, dokładnie, miło mi panią widzieć - przywitał się, ale wydawał się nieco rozkojarzony.

- Co panią tutaj sprowadza?

- Wyszłam na spacer - powiedziała, próbując się zrelaksować. - Trafiłam tutaj któregoś dnia, kiedy Seth pracował.

- Naprawdę? Chciałbym więc panią o coś zapytać. Te kręgi z kamieni... Czy wtedy również były ułożone w ten sam sposób?

Judy musiała się wysilić, żeby zrozumieć sens tego, co usłyszała. Spojrzała na dziesięć kamiennych kręgów ułożonych na polanie, a w ich środku jedenasty. Zobaczyła, że są ochlapane jakąś ciemną, połyskującą substancją.

- Niezupełnie - zaczęła powoli. - Nie było na nich tego...

- Wygląda jak krew, prawda? - zapytał Croter.

We dwoje zbliżyli się do kamieni, aby im się lepiej przyjrzeć.

Może to farba, przekonywała samą siebie, lecz po co ktoś miałby...

- Wczoraj w nocy przejeżdżałem obok państwa posesji i zobaczyłem światła, dokładnie w tym miejscu.

Dwie noce wcześniej też widziałam tutaj światła, przypomniała sobie Judy.

- Pomyślałem więc, że przyjdę i to sprawdzę. - Croter spoważniał. - Ktoś polał te kamienie krwią.

- I to w ciągu ostatnich dwóch dni - dodała Judy.

Czy to naprawdę krew? Nagle oboje pobledli, kiedy podmuch wiatru przyniósł ze sobą odrażającą, trupią woń.

- Śmierdzi, jakby coś się rozkładało - stwierdził Croter, skrzywił się, podszedł do końca polany i odgarnął proso. - Jasna cholera!

Judy wstrzymała oddech i spojrzała mu przez ramię, a wtedy jej żołądek zaprotestował.

- Ohyda! - wykrzyknęła, widząc stertę bezgłowych zwierząt.

Naliczyła ich sześć. Zupełnie jak w...

- Nie uwierzy pan, ale kilka dni temu znalazłam stary cmentarz, niedaleko stąd, i tam również leżały trupy psów. Bez głów.

Croter odszedł od trucheł i skierował się w stronę ścieżki.

- Wygląda na to, że właśnie dowiedzieliśmy się, skąd wzięli krew.

Wywołane przez tę sytuację niepokój i mdłości odwróciły uwagę Judy od innych spraw.

Poszła za Croterem na szerszą drogę serwisową.

- Dziwne, naprawdę dziwaczne - powtarzał. - Tam dalej stoi mój samochód, podrzucę panią.

Skręcili na północ, oddalając się od Lowen House.

- Dziękuję - szepnęła.

Kiedy przechodzili obok miejsca, w którym wyrzuciła lufkę, Judy odruchowo spojrzała w tamtą stronę. Rzucisz to! Po prostu!

O tym nie myśl!

Stary niebieski Pontiac stał zaparkowany za gęstym pasem prosa, aby nie było go widać z drogi. Judy wsiadła do auta i złapała krzyżyk, próbując opanować nerwy. Dzięki Bogu, że mnie nie widział.

- Chyba powinniśmy zawiadomić policję. No wie pan, te psy i krew.

- Nie ma to większego sensu, nie tutaj. Policja na nic się nie zda. Ech, niech mi pani lepiej powie, jak się wam mieszka.

- Świetnie - powiedziała bez entuzjazmu. - Choć mieliśmy włamanie.

- Słucham?

- Tak, to nieco dziwne. Czytał pan może w gazecie o starym parowcu, który znaleziono na terenie Setha?

- A tak, było coś o trzęsieniu ziemi i zmianie biegu rzeki. Czy na statku było coś wartościowego?

- Raczej nie - powiedziała Judy. - Kilka starych beczek, które Seth kazał wnieść do piwnicy.

Strata czasu i pieniędzy.

Croter ruszył, nie spuszczając z niej wzroku. Jego gwiazda Dawida zaślniła na słońcu.

- Co znajdowało się w środku?

Judy zaśmiała się słabo.

- Pobite talerze, marmur, miał węglowy.

Croter nie bardzo wiedział, co o tym sądzić.

- No i - kontynuowała - kilka nocy później ktoś włamał się nam do piwnicy i zabrał cztery beczki. Seth zgłosił to na policję.

- Czemu ktoś miałby kraść pobite naczynia?

- Zapomniałam dodać, że w tych beczkach była glina.

- Glina? - powtórzył Croter głosem pełnym napięcia.

- Dokładnie. Uwierzyłby pan?

A uwierzyłby pan w to, że potem wpuściłam złodzieja do piwnicy raz jeszcze!

- Ukradli właśnie te beczki z gliną. Jeśli dodać do tego bezgłowe psy i krew na kamieniach, można spokojnie uznać, że przekroczyliśmy limit dziwności na ten tydzień.

Croter wyjechał z drogi serwisowej. Nic nie mówił, był pogrążony w myślach.

- Może to jakieś lokalne przesady - powiedziała Judy. - Przynoszące szczęście przy zbiorach.

- Mówi pani o krwi?

- Tak. Bo nie widzę innego powodu, dla którego ktoś miałby pomazać nią kamienie.

Croter zatrzymał się przed domem. Nie odpowiedział, patrzył na Judy bez słowa. Wydawało się jej, że mężczyzna czegoś się wystraszył.

- Dziękuję za podwiezienie, panie Croter - powiedziała i wysiadła z auta.

Skinął jej głową, mruknął coś pod nosem i odjechał.

Co się mu stało? - pomyślała, zdziwiona zachowaniem Crotera. Oczywiście, więcej myśli poświęcała temu, co dzisiaj zobaczyła:

bezglowym psom i zakrwawionym kamieniom. Weszła do domu i choć odpierała od siebie myśli o cracku, wiedziała, że nie będzie to łatwe, bała się tego, co miało dopiero nadejść. Dobrze, że dzisiejsze wydarzenia choć na chwilę odwróciły jej uwagę od narkotyków. Nagle usłyszała dzwonek telefonu. Komórka. Zostawiłam ją na górze, przypomniała sobie i pobiegła na górę. Pewnie Seth. Ucieszyła się na tę myśl. Wbiegła do sypialni i...

Chropowata dłoń chwyciła ją za gardło i zdusiła rodzący się tam krzyk. Pociągnęła, schowana za założoną na głowę pończochą twarz zbliżyła się do jej oczu, a palce zacisnęły mocniej.

- Zamknij się albo cię zabiję.

Zamknęła oczy i kiwnęła głową; palce poluźniły uścisk.

- Pewnie dzwoni twój Seth-fiut - powiedział.

Judy rozpoznała w nim tego, który śmierdział, tego chudszeo z długimi włosami.

Zobaczyła, że na brodzie miał zarost, kozią bródkę albo coś takiego.

- Kiedy wraca?

- Za chwilę. - Zakrztusiła się, a kiedy dłoń ponownie zacisnęła się na jej gardle, musiała zaniknąć oczy; nie mogła złapać oddechu.

- To ciekawe, bo dzisiaj rano widzieliśmy, jak odjeżdżał w stronę Salisbury, więc mnie nie wkręcaj. Kiedy wraca?

Jej głos zabrzmiał chropawo jak pocierane o siebie kamienie.

- Może jutro, a może za kilka dni. Jest w Tampie.

Rzucił ją na łóżko.

- Dobrze, mamy czas na zabawę. - Mięśnie pod jego skórą naprężyły się, kiedy zerwał z niej sukienkę. - Niegrzeczna z ciebie laseczka, bez majteczek, co? Takie lubię!

Mówiąc to, przeciągnął u w słowie lubię.

Judy usiadła na łóżku, a w głowie wirowało jej ostrzeżenie Seta. Nastaw alarm...

Czemu była taka głupia?

- Pewnie się wkurzyłaś, jak zobaczyłaś, ile cracku ci zostawiliśmy.

- Miało być więcej - odpowiedziała, choć zżerał ją strach.

Mężczyzna rozpiął pasek.

- Sami nieźle się wkurwiliśmy, bo w piwnicy nie było tego, czego szukamy.

- Czego wy w ogóle szukacie? - odpowiedziała hardo. - Zabraliście cztery beczki z gliną, choć nie wiem, po cholere wam ona. I zostawiłam drzwi do piwnicy otwarte, jak kazał twój kolega.

Po co poprzesuwalicie beczki? Szukacie czegoś w ziemi?

Splaszczona przez pończochę twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

- Nieźle, słoneczko. Dokładnie tam szukaliśmy. Ale nie znaleźliśmy, nawet detektorem. To może ty dasz radę nam coś podpowiedzieć.

Chciałabym mieć pistolet, pomyślała. Marzę o jego śmierci.

- Szukamy czaszki, zakopano ją tutaj dawno temu, gdzieś w piwnicy, lecz przeszukaliśmy całe pomieszczenie i nic.

Czaszka.

- Czaszka Gavriela Lowena - przypomniała sobie. - Czemu?

Pokryta odciskami dłoń uderzyła ją w twarz.

- Nie interesuj się. To ja zadaję pytania.

Policzek Judy niemalże płonął.

- Nie ma tam żadnej czaszki! - krzyknęła. - Jego ciało

pochowano w ruinach starego tartaku!

- Wiedzę, że sporo wiesz. Ktoś jednak wykopał trupa i pogrzebał go tutaj.

Judy skrzywiła się.

- Po co ktoś miałby... - zaczęła, ale w porę ugryzła się w wargę.

- No to już bez jaj. Zamknij się i słuchaj. - Zbliżył się o krok, stając pomiędzy jej rozwartymi udami. - Macie jeszcze jedną piwnicę, tak?

Ukryty pokój!

Uświadomiła sobie, że napastnik nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia.

Znaleźliśmy rękę, a więc musi być i czaszka...

W pierwszej chwili chciała zdradzić mu tę informację, z pewnością dostałaby w zamian trochę prochów, ale zamiast tego powiedziała: - Nic mi o tym nie wiadomo.

- To się dowiedz! - rozdarł się tak głośno, że Judy drgnęła ze strachu. - Może są jakieś drugie drzwi, a może wchodzi się z domu.

- Dobra, dobra - wybełkotała. - Rozejrzę się. Mieszkamy tutaj zaledwie od tygodnia.

- Szukamy też niewielkiego, drewnianego pudełeczka z kawałkiem papieru w środku...

Mezuza!

- ...jakiegoś świecznika i drewnianej miski.

Judy wiedziała teraz więcej niż on. Co oznacza, że mnie nie zabije...

- Rozejrzę się.

- Tak zrób - pogroził jej paluchem. - A jeśli znajdziesz to wszystko, dam ci pięćdziesiąt działek.



Nawet w tej sytuacji poczuła miłe mrowienie na wieść o narkotyku.

- A tymczasem dostaniesz to. - Wyciągnął z kieszeni torebeczkę, w której było co najmniej dziesięć grudek cracku. - Okej?

- Tak.

- Grzeczna dziewczynka. Zanim pójdę, musisz jednak uregulować opłatę...

Boże wszechmogący, nie znowu.

Ściągnął spodnie do kolan, odsłaniając niespotykane wielkie genitalia.

- Przecież dla kurwy to żaden problem. - Zaśmiał się. - No to kładź się na brzuch. Kolega zaliczył twoją cipkę, to ja zaliczę dupcię.

Judy zamarła. Siedziała i patrzyła na jego odrażające genitalia, a jej mózg wysyłał sprzeczne sygnały. Nagle rzuciła się do przodu, wzięła jego jądro pomiędzy zęby i pociągnęła.

Mężczyzna darł się jak zarzynany.

Ścisnęła zębami miękką skórę, aż poczuła, że udało jej się rozerwać ją zębami. Jego krzyk dźwięczał jej w uszach. Kolejny impuls kazał Judy odchylić się do tyłu i z całej siły wyprowadzić cios obiema stopami w jego głowę.

Niedoszły gwałciciel poleciał do tyłu i padł na podłogę.

Nie przestawaj! Nie daj mu się podnieść!

Judy naskoczyła na niego; mężczyzna wił się na podłodze, jedną ręką zasłaniając genitalia, a drugą próbując chwycić stojącą na komodzie lampę.

- Zabiję cię! Zabiję! - odgrażał się, ale jego krzyki zamieniły się w pisk, kiedy Judy z całej siły ścisnęła jego drugie jądro;

adrenalina dodała jej sił.

Wił się i kopał, kiedy jego jądro pękło w jej ręce.

Judy chwyciła lampę i waliła go w głowę ciężką podstawką.

Nie przestała nawet, gdy już znieruchomiał.

Kiedy skończyła, a napastnik był już martwy, nadal działała instynktownie. Wbiegła do łazienki, myśląc jedynie o odciskach palców, i wyciągnęła z szafki gumowe rękawice oraz nowy worek na śmieci. Wróciła do sypialni, nałożyła plastikową torbę na głowę trupa i ostrożnie wyciągnęła z opakowania jedną pończochę, którą obwiązała szyję mężczyzny.

Już, pomyślała, opierając się o komodę. Głowa trupa leżała obok dywanika, choć teraz, kiedy jest już w worku, nie zachłapie go krwią. Papierowymi ręcznikami wytarła te krople, które zdążyły zapaskudzić podłogę. Naciągnęła mu spodnie i zapięła pasek.

Zapadła cisza.

Usiadła nago na łóżku i spojrzała na trupa. Plastikowy worek nie szeleścił, czyli mężczyzna nie oddychał. Nie żyje. Skurwysyn nie żyje. Pomimo tej pewności i tak wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę. Nagle worek zaszeleścił i krzyknęła ze strachu, lecz mokre mlaśnięcie powiedziało jej, że to tylko jakiś pośmiertny odruch.

Krzyknęła ponownie, słysząc kolejny dźwięk; sądziła, że serce wyskoczy jej z piersi, lecz zachichotała nerwowo, kiedy zorientowała się, że to tylko telefon.

- Cześć, kochanie - powiedział Seth, kiedy odebrała. - Chciałem tylko powiedzieć, że dotarłem na miejsce cały i zdrowy.

- Świetnie - odparła.

- Jestem już w biurze i pracujemy pełną parą. Jimmy uważa, że

wie, na czym polega problem.

Judy musiała wziąć głęboki oddech.

- Poważnie?

- Źle wyasygnowaliśmy niektóre rzeczy, musimy więc doprowadzić to do porządku.

Mów normalnie, mów normalnie...

- Ile ci zejdzie?

- Dzień, może dwa...

- Aha... Bo wiesz... Tęsknię.

- Ja też, ale muszę to skończyć.

- Wiem...

- Zadzwoń wieczorem, sprawdzę, jak się czujesz. A co tam w domu?

Judy poczuła się, jakby była setki mil stąd. Spojrzała na leżące na ziemi trupa z workiem nałożonym na głowę.

- Wszystko świetnie, kochanie.

- A jak się czujesz? Brzmisz, jakbyś była... Wyczerpana.

Przed chwilą zabiłam takiego wieśniaka w naszej sypialni.

Aha, odgryzłam mu jedno jajo, a drugie zgmiotłam.

- Jeździłam na rowerze.

- Czyli czujesz się lepiej?

Patrzyła, jak po wewnętrznej stronie worka rozprzestrzenia się czerwona plama.

- Tak, o wiele lepiej.

- No nic, zadzwonię później.

- Kocham cię! - wybełkotała.

- Ja ciebie też. - Zaśmiał się. - Upewnij się, że włączyłaś alarm!

- Możesz być pewny, że już nigdy więcej nie zapomnę o pierdolonym alarmie - powiedziała pod nosem, kiedy skończyli

rozmowę.

Popatrzyła na trupa. Co teraz? Zawiadomić policję? Nie, wiedziała, że to nie jest dobre rozwiązanie.

Co więc robi?

Poczekam do wieczora, pomyślała, a potem zaciągnę go na pole, gdzie chuj zgnije.

Zaśmiała się, wyobrażając sobie zabawny obrazek: nagą kobietę w gumowych rękawicach, ciągnącą trupa jakiegoś wieśniaka z worem na śmieci założonym na łeb. To jeszcze nie wszystko.

Skuliła się, przybierając pozycję embrionalną. Jeden nie żyje, ale został jeszcze ten drugi, wielki łysol, który zgwałcił ją w piwnicy; z pewnością wreszcie tutaj przyjedzie. I nie chodzi o mnie...

Zabiją też Setha...

Z satysfakcją pokiwała głową. Zimny pot zaczął już schnąć na jej skórze.

Kiedy przylezie tutaj poszukać kumpla... Jego też zabiję...

Nie rozwiązała jeszcze problemu z trupem, prawda? Podświadomie poszukała wzrokiem czegoś, co mężczyzna przyniósł ze sobą.

Torebeczka cracku leżała na podłodze.

Podniosła ją i policzyła grudki. Dziesięć.

Setha nie będzie w domu jeszcze przez dzień czy dwa. Wypalę to i... RZUCAM.

Obiecała sobie to, co wielu ćpunów obiecuje sobie codziennie. Dzisiaj wyrzuciła jedną działkę, ale tutaj miała dziesięć razy więcej...

Zebrało jej się na płacz, kiedy wstała z łóżka i pobiegła na dół,

szukając czegoś, co mogłoby zastąpić lufkę...

# ROZDZIAŁ ÓSMY

31 LIPCA 1880

## (I)

Zupełnie jak na wojnie, pomyślał Conner, kiedy ostatniej nocy tego miesiąca rozległy się strzały. Grupy uderzeniowe zostały już rozstawione; została tylko jedna do ochrony obozu. Conner i Norris poszli sprawdzić tartak. Księżyc wisiał nisko, kiedy przedzierali się przez zarośla. Każdy z nich dźwigał skrzynkę z dynamitem.

- Przygotuj się - szepnął Conner, kładąc rękę na zatkniętym za jego pas pistolecie. - Lowen mógł postawić ludzi przy tartaku.

Za ich plecami, w zwykle sennym miasteczku Lowensport, rozległy się krzyki.

Norris zatrzymał się przy stojącej na tyłach szopie, obserwując budynek tartaku przez lornetkę.

- Przy drzwiach stoi jakiś facet. Chyba właśnie wyszedł, żeby sprawdzić, co to za krzyki.

- Nie daj mu odejść - rozkazał Conner. - Zabij, abyśmy mieli go z głowy.

Norris podniósł strzelbę, Springfield Model 1842, kaliber sześćdziesiąt dziewięć, zwaną grzmiącym kijem. Uklęknął, wymierzył, westchnął i wystrzelił.

Siła strzału odrzuciła Norrisa do tyłu, strzelba ryknęła i

wypluła z siebie grad iskier.

Zadzwonilo im w uszach.

- Nie stracilem nic z dawnej celnosci. Prosto w łeb.

- Świetny strzał! Idziemy...

Chwycili skrzynie z dynamitem i poszli w kierunku tartaku. Zanim dotarli do drzwi, w miasteczku rozpętało się istne piekło. Za to w środku panowała cisza; piły czekały nieruchomo, pasy napędowe czekały na kolejny dzień pracy. Szum rzeki zagłuszył dochodzące od strony zabudowań wrzaski i strzały.

Zabijają chyba wszystko, co się rusza, pomyślał Conner z nerwowym uśmiechem. Postawili skrzynie na ziemi i zapalili lampę.

- Tutaj - powiedział.

Norris złapał za przymocowane do skrzynek sznury i pociągnął je do schodów prowadzących na górę.

- Myślisz, że potwory są rozumne?

- Tak, kurwa, myślę. Potrafią gwałcić i zabijać.

- To może umiejają też czytać - zastanawiał się Norris i wskazał widniejący na skrzyniach napis: UWAGA! DYNAMIT!

Norris rozwinął lont i nakrył skrzynie brezentem.

- Dobry pomysł - skomentował Conner.

- Miejmy nadzieję, że uda im się sprowadzić Lowena żywego.

Conner wyciągnął pistolet.

- Uda im się. Corrigan, Pursey i Stoddard to dobrzy żołnierze, walczyli u mojego boku.

Otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. Kolejne wystrzały i krzyki wlały się do środka.

Widział ogień; wschodnia część miasta płonęła. Żydki też płoną...

- No to pozostało nam czekać.

Conner przytaknął.

- A jak już go tutaj sprowadzą, pozostanie nam odpalić te dwie ślicznotki.

Usiedli i czekali, słuchając odgłosów śmierci. Connerowi trzęsły się ręce. Przypomniał sobie o tym, co powiedział im Reid po powrocie z Salisbury: Proszę pana, płynie tutaj parowiec z ładunkiem, za który zapłacił Gavriel Lowen. Czemu się tym martwił?

- Jesteś pewien, że statek, o którym mówił Reid, nie dobił dzisiaj do brzegu?

- Całkowicie, panie Conner. Moi ludzie obserwowali doki. Żadnego parowca, żadnych innych statków. Nie ma mowy, żeby przyplłynął wcześniej.

Ciekawe, co wiezie, pomyślał Conner. Pewnie broń, choć teraz na niewiele mu się ona zda.

Kiedy tutaj dotrze, Lowen i jego miasto będą już gryźć ziemię.

- Czy tamci wykopali już grób? Tych, których nie spalimy, musimy zakopać, zanim przybędzie statek. Nie może zostać żaden ślad.

Norris przytaknął z poważną miną.

- Wykopaliliśmy taki dół, że zmieści się tam całe miasto, i nawet jeszcze zostanie miejsce.

Connerowi podobało się to, co usłyszał, oczyma wyobraźni widział piętrzące się ciała.

I miasto będzie nasze...

Dochodzące z zewnątrz krzyki i strzały były coraz głośniejsze, wiatr niósł odgłosy śmierci.

Te potwory, pomyślał Conner. Gdzie się podziały, kiedy moi



ludzie wybijają miasto?

Conner i Norris odwrócili się z bronią w ręce, kiedy drzwi otworzyły się na oścież. W progu pojawiła się jakaś sylwetka.

- Jezu, Corrigan! - wrzasnął Conner. - Na śmieć nas wystraszyłeś!

Potężny drwal wszedł do środka, nieco przygarbiony pod niesionym na plecach ciężarem.

- To, co dzieje się w mieście, wystraszyłoby pana bardziej, panie Conner – wydyszał mężczyzna i zrobił kilka kroków naprzód.

- Czy masz...

- Mam Gavriela Lowena - rzekł Corrigan i rzucił na ziemię to, co niósł na barkach. -

Żywego, choć nie było to łatwe.

Serce Connera prawie wyrwało się z piersi, lecz nie ze strachu, a z radości. Nieprzytomnym mężczyzną leżącym na ziemi faktycznie był Gavriel Lowen, związany i zakneblowany.

- Dobra robota.

Corrigan usiadł zmęczony na deskach. Kiedy nagle krzyki się wzmogły, wrzasnął.

- Gdzie są Pursey i Stoddard? - zapytał Norris i uniósł w górę latarnię.

Niegdyś silna, młodzieńcza twarz Corriganu wyglądała teraz na steraną i wychudzoną. Miał przekrwione oczy, a jego włosy pokrywał kurz.

- Obaj nie żyją, proszę pana. Dlatego zajęło mi to tak dużo czasu. Sam musiałem go nieść.

Conner zawahał się.

- Czy to...

- Tak, to stwory, o których pan opowiadał. - Corrigan otworzył szeroko oczy. - Rozszarpały ich jak szmaciane lalki. Szczęśliwie Bóg pozwolił mi przeżyć...

Tak, na pewno Bóg, pomyślał Conner. Kurwa. Może i nie noszę w sercu Boga, ale też i nie czczę diabła.

A te stwory, które zabiły mu żonę i Howetha, na pewno zostały zrodzone w ogniu piekielnym.

- Nie są zbyt szybkie, panie Conner - powiedział Corrigan - ale szły za mną. Widziały, jak zabierałem Lowena.

- I bardzo dobrze! - wykrzyknął Conner, ciągnąc nieruchome ciało Lowena.

Położył go obok skrzyń z dynamitem. Nadchodzą.

- Norris! Odpalaj!

Norris odwinął lont i przerzucił go przez otwarte okno.

Lowen ocknął się i próbował usiąść. Utkwił w Connerze swoje przeszywające spojrzenie i próbował coś powiedzieć, lecz uniemożliwił mu to knebel.

- Panie Conner, a ostatnie słowo? - zapytał Norris.

- O, nie. - Conner splunął na Lowena. - Nie chcę słuchać żadnego hokus-pokus, rzuciłby na nas klątwę.

- Pewnie tak, proszę pana, pewnie tak.

Pomimo knebla Lowen nie przestawał się uśmiechać.

Conner ciężkim buciorem kopnął Lowena w goleń, łamiąc mu kość. Lowen jęknął, ból wykrzywił mu twarz.

- Żeby przypadkiem się stąd nie wyczołgał. Corrigan, idź na zewnątrz i czekaj z Norrisem.

- Proszę pana, ale co z...

- Poczekam tutaj do ostatniej chwili... Rób, co mówię! Corrigan wylazł przez okno, a Conner przesunął Lowena bliżej dynamitu.

Lowen musiał odczuwać niesamowity ból, bowiem jego zduszony krzyk przyprawiał o dreszcze. Conner sprawdził pistolet i nagle...

Coś uderzyło w drewniane drzwi, które zatrzęśły się, choć były zamknięte na ciężką zasuwę.

Już tutaj są...

Kilka kolejnych uderzeń rozwalilo drzwi w drzazgi. Connera zamurowało. Połamane deski poleciały w powietrze; do środka wkroczył cień.

- Podpał na mój sygnał! - szepnął przerażony Conner, próbując otrząsnąć się z paraliżu.

Wyciągnął broń i zrobił krok naprzód.

- No chodźcie, przekłete istoty! - wrzasnął, choć łamał mu się głos. - Mam to, czego szukacie!

Nadepnął na złamaną piszczel Lowena, który wydał z siebie stłumiony krzyk.

- Mam tego, który zawezwał was z piekła! Chodźcie po niego!

W migoczącym płomieniu latarni Conner widział na tyle, żeby dostrzec zbliżającego się stwora. Był chudy jak szkielet i lśnił, jakby pocił się przez cienką warstwę gliny, którą nałożono na jego kości. Parł do przodu szybciej, niż Conner się spodziewał.

- No chodź! Obaj chodźcie! Jestem gotów!

Jednak nigdzie nie widział drugiego stwora i Conner z przestachem zdał sobie sprawę z tego, że tylko jeden potwór przyszedł uwolnić swojego pana.

Napędzał go strach; wypalił kilka razy w stronę monstrum i nie zdziwił się zbyt, kiedy potwór nawet nie zwolnił, gdy jedna z kul utkwiała w jego żebrach. Chude stopy waliły o podłogę, stwór przyspieszył...

- Podpalaj! - krzyknął, wystrzelił jeszcze dwukrotnie i skoczył

do okna.

## (II)

D-Manowi zrobiło się niedobrze; nie wiedział, co ma o tym myśleć. A więc... to tak wygląda. Dzisiaj na polanie nie paliły się żadne lampy, tylko pochodnie. W ich migającym świetle nadal widział jednak błyszczącą krew pokrywającą kamienne kręgi, które tworzyły razem jeden wielki okrąg. Kilku rabinów od Ashera - wszyscy ubrani na czarno - trzymało w rękach pożółkłe ze starości zwoje pergaminu. Wreszcie sam Asher odezwał się do D-Mana.

- Nie mam pojęcia, gdzie on jest - odparł, ociągając się, D-Man.  
- Nie odbiera telefonu.

- A kiedy widziałeś go po raz ostatni?

- Dziś po południu, kiedy jechaliśmy do ciebie z Somner's Cove, wyrzuciłem go pod Lowen House, bo wiedzieliśmy, że Kohna nie ma w domu.

Asher splótł dłonie, intensywnie myśląc.

- A można wiedzieć skąd?

- Bo widzieliśmy go dzisiaj rano, jak odjeżdżał. Nudziło nam się, mieliśmy trochę czasu do zabicia przed spotkaniem z Roshem. Kohn wyjechał swoim SUV-em drogą 413, więc na pewno pojechał do Salisbury. Nie było z nim dziewczyny, a na tylnym siedzeniu leżała walizka, więc domyśliliśmy się, że jedzie na lotnisko.

- I co?

- Potem, około pierwszej albo drugiej, dokonaliśmy wymiany z Roshem w knajpie z krabami i udaliśmy się z powrotem do

ciebie. Samochodu Kohna nadal nie było przed domem, więc wysadziłem tam Świrusa, miał iść do tej lafiryndy i trochę nią potrząsnąć, żeby powiedziała nam, czy wie coś o drugiej piwnicy albo czymś podobnym.

- Wiem, że to gdzieś tam jest - powiedział Asher, zaciskając dłoń w pięść - i ta wiedza została mi zesłana.

D-Man nie wiedział, o co mu chodzi.

- W każdym razie miał do mnie zadzwonić, kiedy już będzie gotowy, żebym po niego podskoczył.

- I nigdy nie zadzwonił - domyślił się Asher.

- Dokładnie. Nagrałem mu się na pocztę. - D-Man zaczął grzebać czubkiem buta w ziemi. -

Pomyślałem, że może wyczerpała mu się bateria i wrócił do miasta na piechotę, ale...

- Rozumiem, że minęło już kilka godzin.

D-Man skinął głową.

- Sprawdziłem, czy nie wrócił do siebie i czy może nie śpi upalony, ale nie było go tam.

Kurwa, Asher. Nie mam pojęcia, gdzie on może być.

Asher odwrócił głowę i spojrzał na płomień pochodni.

- Może ukochana Kohna jest bardziej przedsiębiorcza, niż sądziliśmy. Może go zabiła.

- Jakoś tego nie widzę, Asher. Jest na dnie. Gdybym powiedział, że w zamian za działkę cracku nasram jej na łeb, zgodziłaby się bez wahania.

Asher zacisnął usta, słysząc wulgarne słowa. Zanim zdołał odpowiedzieć, jeden z jego akolitów podszedł do nich i szepnął: - Jesteśmy gotowi, Gaonie.

Słowa te sprawiły, że oczy Ashera rozświecił czysty zachwyty.

- Przynieście ciało i ofiarę.

Kilka odzianych w czerń postaci wyciągnęło z furgonetki świeże zwłoki. D-Man patrzył sennie, jak mężczyźni położyli trupa w centralnym kręgu kamieni. Płomienie tańczyły na martwej skórze. Co za pojebaństwo, huczało mu w głowie.

- Taka piękna, nawet po śmierci. Będzie nieskazitelna. - Asher łąpał rozbieganymi oczami na wszystkie strony. - W 1880 moi przodkowie musieli wycinać skórę i mięso, aby pracować na jak najmniejszej powierzchni. Potrzebowali niewielkiej ilości gliny do jej pokrycia.

Żołądek D-Mana skurczył się, kiedy popatrzył na martwą dziewczynę z niebieskawymi sutkami. I teraz pokryją ją...

- Niegodne było myślenie, iż glina zamówiona przez Gavriela Lowena nigdy nie przybędzie - ciągnął Asher. - Przypominają mi się próby, którym poddano Hioba. A teraz my dostąpiliśmy zaszczytu, którego nie doczekał Wielki Gaon Lowen. Mogę jedynie zgadywać, czemu...

Mówiąc to, podniósł wzrok ku niebu.

Ci ludzie są nieźle pierdolnięci, pomyślał D-Man.

Gaon trzymał w rękach jedwabne zawiniątko. Uśmiechał się do bochna chleba jak do nowo narodzonego dziecka.

- Wiesz, co teraz zrobić, przyjacielu, prawda? - Głos mu drżał, jakby ostatkiem sił powstrzymywał okrzyk radości, zaś policzki zaróżowiły mu się z podeksycytowania.

- Chyba nie mam wyjścia. Pojadę do dziewczyny raz jeszcze.

- Zrób to rano, wtedy będzie potrzebowała narkotyku. Cokolwiek przytrafiło się twojemu towarzyszowi, nie jest nawet w części tak ważne, jak to, co musimy odnaleźć w tym domu. A jeśli będziesz musiał się nią zająć... Zajmij się.

D-Man poczuł ucisk w gardle i przytaknął skinieniem głowy.

- A teraz idź i niech cię błogosławi nasz król. - Asher uśmiechnął się i dodał: - Samael...

Nawet kiedy D-Man odwrócił się plecami, czuł, że powietrze za nim gęstnieje i łaskocze jego skórę. Nagły impuls kazał mu uciekać, gdyż nie chciał być tutaj, gdy tamci przystąpią do swojego rytuału.

Wsiadł do vana i wyjechał z polany, a potem opuścił pola najszybciej, jak mógł.

### (III)

Zanim zaszło słońce, pokryte odciskami dłonie Judy dawały o sobie znać bolesnymi skurczami; zapracowała sobie na nie godzinami, kopiąc w piwnicy. Crack - tak dużo cracku - sprawił, że nie była w pełni świadoma tego, co robi, bezmyślnie pograżyła się w swoim tajemnym zadaniu. Była pewna, że nie wycisną z niej informacji o istnieniu ukrytego pokoju, lecz jeśli będzie im stopniowo przynosiła rzeczy tam znalezione, zdoła obrócić wszystko na swoją korzyść.

Tego dużego będzie trudniej zabić.

A prędej czy później... on wróci.

Poza dłonią, którą znaleźli wcześniej, natrafiła tylko na jakieś przypadkowe pojedyncze kości: udową, obojczyk, część śródstopia - wszystkie pokryte dziwną, zaschniętą mazią, którą wzięła za glinę. Żadnej czaszki. Wspomniane kości znalazła we wschodnim krańcu piwnicy. Gdzie w takim razie była czaszka? Trudniejsze pytanie brzmiało: do czego jej potrzebowali? Ta wiedza była jej jednak zbędna, prawda? Wcześniej dzwonił Seth

i powiedział, że prawdopodobnie nie będzie go jeszcze przed tydzień - natknęli się na jeszcze więcej błędów.

Muszę odstawić to gówno, zanim przyleci, pomyślała o niewielkim woreczku, w którym zostało jedynie kilka grudek cracku.

Około północy dopadł ją tępy ból, a miała do zrobienia jeszcze jedną rzecz, więc wypaliła lufkę i zabrała się za wynoszenie trupa.

Zwłoki martwego wieśniaka, choć szczupłego, były cholernie ciężkie. Niech to! Jakbym ciągnęła po podłodze sejf! Makabrycznie wyglądający worek na śmieci nadal tkwił na jego głowie.

Judy z westchnieniem ulgi przyjęła fakt, że jego zwieracze i pęcherz nadal trzymały swoją zawartość na tyle dobrze, iż nie musiała sprzątać bałaganu. Złapała trupa za koszulę i zaczęła ciągnąć go po schodach...

Wyrzała na zewnątrz. Było gorąco, a księżyc zasłaniały chmury, co przyjęła z zadowoleniem. Może Bóg jednak jest ze mną, zaśmiała się w duchu. Spojrzała w obie strony, lecz w zasięgu wzroku nie zauważyła żadnych reflektorów. Działała szybko, ruszała się z prędkością, o jaką by się nigdy nie posądzała, i wyciągnęła trupa za próg, potem ściągnęła go z ganku i razem z ciałem weszła w pole prosa różgowego.

Gdy dotarło do niej, że targa zwłoki, adrenalina uderzyła jej do głowy. Zatrzymała się jakieś trzydzieści jardów w głębi pola i niemal upadła, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo była zmęczona. Próbowała się uspokoić, położyła się na plecach; jej serce wygrywało nietypowe rytmy.

Ćpunkci w średnim wieku często umierają na niespodziewane



ataki serca i wylewy, pomyślała, lecz nawet perspektywa śmierci nie poruszyła jej zbytnio. Gdyby umarła, raz na zawsze uwolniłaby się od konieczności kolejnego odwyku. Kiedy jednak się uspokoiła, wiedziała, że nie są to dojrzałe myśli. Musiała zaciągnąć trupa dalej, o wiele dalej. Do czasu zbiorów słońce zdąży odrzeć kości ze skóry i mięsa. Nie pozostanie żaden ślad łączący ją ze zwłokami.

Przez następne dwadzieścia minut przedzierała się z trupem przez pole.

Najmarniej sto jardów, pomyślała, dysząc w ciemnościach. Usiadła, aby chwilę odpocząć, i wtedy przypomniała sobie ostrzeżenie Hovisa o węzłach. Z moim szczęściem trafię na grzechotnika... Zastanawiała się, czy pójść po swoich śladach, lecz droga serwisowa była oddalona o zaledwie dwadzieścia jardów na wschód, uznała więc, że tamtędy będzie jej łatwiej.

Pot spływał po niej strumieniami, przez co poczuła się jeszcze gorzej, gdyż akurat dopadło ją obrzydzenie do siebie samej, kiedy pomyślała, że zapewne nie powstrzyma się dzisiaj od wypalenia reszty towaru. Pyłek z prosa i kurz przykleiły się do jej twarzy i przywarły do bluzki.

Nawet kiedy oczy przyzwyczały się do ciemności, Judy szła przez pola instynktownie.

Jeśli zboczyłam choćby o dziesięć stopni, będę przebijała się przez to zielsko jeszcze przez milę, zanim dojdę do drogi, ale niech tak będzie... Najważniejsze, że pozbyła się ciała.

Dzięki Ci! - ucieszyła się, kiedy rzędy łądyg przerzedziły się i wyszła na drogę serwisową.

Jezu...

Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy usłyszała nagły ryk

silnika. Na powrót wskoczyła w proso i położyła się na płask. Kto tutaj jedzie o tej godzinie?

Przezołgała się kilka stóp głębiej. Światła zamajaczyły na drodze.

Auto minęło miejsce, gdzie leżała; Judy szczykała zębami. Zdążyła jedynie rzucić okiem na pędzący samochód, ale nie miała wątpliwości, że była to czarna furgonetka.

Czyli na pewno prowadził ją drugi gwałciciel.

Leżała bez ruchu jeszcze przez kilka minut.

Gdzie on teraz jest? I dokąd jedzie? Do domu, aby przesłuchać ją w sprawie swojego kolegi? Jak będzie to wyglądało, jeśli przyłapie ją tutaj, w polu, skoro jego towarzysz zniknął?

Odczekała jeszcze moment, aż wreszcie odważyła się wyjść na ścieżkę. Idź powoli i spokojnie, miej otwarte oczy i uszy... Zanim doszła do domu, usłyszała dźwięki niesione przez nocne powietrze.

Stanąła w miejscu, nasłuchując. Głosy, stwierdziła. Potem cisza.

Obejrzała się za siebie i zobaczyła wąziutką dróżkę prowadzącą na tamtą polanę...

Dwa dni temu widziała tam wyraźnie pozapalane, jasne lampy, ale teraz...

Widziała jedynie bladą, żółtawą poświatę unoszącą się nad polaną.

Po chwili poświata zmieniła kolor na niebieski...

Nie wiem, co to takiego, i nie mam zamiaru się dowiadywać.

Nie miała czasu o tym pomyśleć, gdyż ponownie usłyszała silnik samochodu, a lodowata dłoń ścisnęła jej serce. Wskoczyła w proso.

Tym razem na drodze pojawiło się więcej światła; zobaczyła dwie pary reflektorów, a potem jadące bardzo powoli dwa auta - czterodrzwiowego sedana i kombi. Judy poczuła narastającą frustrację, która wyparła nawet lęk. Co robią tutaj ci wszyscy ludzie! Przecież to pieprzony środek nocy i kompletne zadupie! Nie mogła sobie wyobrazić, o co chodzi, szczególnie że żaden z pojazdów nie miał urzędowych oznaczeń, więc kim oni byli?

Czy to ludzie w jakiś sposób związani z mężczyzną z czarnego vana?

Ponownie przeczekała pół godziny ukryta w polu. Wreszcie wygramoliła się na drogę i ruszyła w stronę Lowen House. Na końcu drogi, kiedy już miała wyjść przed dom...

Nie! Nie ZNOWU!

Zobaczyła kolejne auto jadące w jej kierunku. Szybko zrobiła krok w tył, aby ukryć się wśród wysokich łądyg. Samochód jechał główną drogą i zwalniał.

Zatrzymał się pod domem, lecz nie widziała kierowcy - okna jasnego, dwudrzwiowego sedana były zamknięte.

Usłyszała cichy trzask. Pojazd stał przez chwilę w miejscu, a potem powoli odjechał.

Czy to był pan Croter?

Bardziej ciekawiło ją, czego mógłby tutaj chcieć o tej porze. Wytężyła wzrok i zorientowała się, że tajemniczy gość zatrzymał się przy ich skrzynce pocztowej. Dostawa gazet. Chyba jednak nie, nie zdążyli jeszcze żadnej zaprenumerować. Podeszła do skrzynki i wyciągnęła stamtąd kopertę.

Czy dziewczyna nie może już w spokoju pozbyć się zwłok? Szybkim krokiem poszła do domu, włączyła alarm i skierowała się do kuchni.

Jasne światła nieco ją uspokoiły. Obracała kopertę w dłoniach. Ktoś napisał na niej: SETH & JUDY.

Otworzyła ją i wyciągnęła ze środka pojedynczą, złożoną kartkę.

WIECIE, CZYM JEST GOLEM? - pytało niestaranne pismo. Judy mrugnęła nerwowo.

Golem...

WYJEDŹCIE STĄD I NIGDY NIE WRACAJCIE - dopisano na dole kartki.

## (IV)

Rano Judy czuła się dokładnie tak, jak wyglądała: koszmarne. Lustrzane odbicie wyzywało ją do stawienia czoła prawdzie. Pod oczami miała ciemne kręgi, na wychudzonej twarzy pojawiły się wyraźne zmarszczki. Około dziesiątej wypaliła ostatnią działkę; w tym celu wykorzystowała przedziurawioną puszkę po napoju.

Zdezaktywowała alarm. Usiadła w salonie i po prostu czekała na tego, który niechybnie miał się pojawić.

Nie zabiję go dzisiaj, zdecydowała. Nałóg kazał jej wyciągnąć od gwałciciela jeszcze jeden czy dwa woreczki. Potem rzuci to w diabły.

Tak robi.

Z rękoma skrzyżowanymi na piersi patrzyła na drzwi wejściowe i krzyknęła, kiedy usta zasłoniła jej wielka łapa. Zaszedł ją od tyłu.

- Myślałaś, że podejde od frontu?

Praktycznie zgięła się w pół, kiedy ją podniósł.

Przycisnął usta do jej ucha.

- Gdyby to zależało ode mnie, zajebałbym cię tu i teraz, ale muszę wiedzieć, gdzie jest mój kumpel - syknął i rzucił ją na kanapę tak mocno, że pisnęła.

- Co?

Spojrzała na jego ściśniętą przez pończochę twarz.

- Ktoś cię wczoraj odwiedził, co nie? Gdzie on jest?

- Ten twój współnik? - zapytała. - A skąd mam wiedzieć, gdzie polazł?

Mężczyzna zacisnął pięść.

- Był tutaj, więc nie fikaj.

- No był - odpyskowała. - Czas przeszły.

Uderzył ją mocno; mocniej niż jego kolega, lecz warto było. Judy mrugnęła, aby przegonić mroczki przed oczami, z których zaczęły płynąć łzy.

- Wszedł stąd około trzeciej.

- Dokąd poszedł?

- Nie mam pojęcia! - wykrzyknęła, zaskakując tym intruza. - Potrzebuję cracku!

- Nie ma szans. - Obszedł pokój, patrząc na stojące na półkach rzeczy. - Nic za darmo.

Jeśli coś chcesz, musisz też coś dać.

- Co? Może to! - wrzasnęła, rozpinając bluzkę i obnażając piersi.

- Chcesz mnie wyruchać jak twój kumpel? To dawaj!

Spojrzał na nią bez zainteresowania.

- Nie jestem teraz w nastroju, a poza tym mam cię serdecznie dość. Grunt pali mi się pod nogami, kumasz? Mówił coś, jak tu był?

Myśl, myśl! - poganiała się Judy. A potem skłamał.

- Coś o jakiejś piwnicy, że jest tam pogrzebana czaszka i musicie ją mieć. Powiedział też, że szukacie drewnianej mezuzy, świecznika i miski. - Spojrzała mu prosto w zasłonięte materiałem pończochy oczy. - A jeśli to dla was znajdę, dostanę pięćdziesiąt działek cracku.

Sięgnęła pod kanapę i wyciągnęła stamtąd złotą menorę i miskę.

Mężczyzna wybałuszył oczy.

- Macie więc połowę tego, czego szukacie - powiedziała Judy. - Daj mi więc połowę cracku.

Teraz. Trochę zejdzie, zanim znajdę resztę.

Intruz wziął od niej przedmioty.

- A to na pewno to...

- Teraz dawaj dwadzieścia pięć kryształów. Umowa to umowa.

- Kiedy wraca twój kochaś?

- Nie jest pewien. Może nawet jutro - skłamała.

- To lepiej do jutra znajdź czachę i pudełko.

Kurwa.

- Wystarczy nawet drewniane pudło, z nim odszukamy czaszkę sami.

Skrzywiła się, gdyż wiedziała na pewno, że na pergaminie ukrytym w mezuzie nie ma absolutnie żadnych wskazówek co do miejsca ukrycia czaszki. Co on ma na myśli? Lepiej nie pytać, trzeba grać na czas.

- Okej. Daj mi moje kryształy...

Rzucił jej niewielką torebeczkę.

- Masz dziesięć. Resztę dostaniesz wtedy, kiedy i my dostaniemy resztę.

Odwrócił się i odszedł w stronę drzwi.

- O której jutro przyjdiesz?

- O której mi się będzie, kurwa, chciało. - Uśmiechnął się. -  
Może jeszcze dzisiaj wieczorem, jeśli zachce mi się ruchać.

Wyszedł przez kuchnię; usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Dobrze, że chociaż mnie nie zgwałcił, pomyślała z ulgą, choć napięcie jej nie opuszczało.

Zgrzytnęła zębami, gdy spojrzała na woreczek z crackiem. Od razu wypaliła jedną lufkę, a potem pograżyła się w myślach.

Jutro albo pojutrze da mu mezuzę, ale nie przestanie szukać czaszki. Dalej nie miała pojęcia, o co mu chodziło. Jeśli będą mieli mezuzę, sami znajdą czaszkę? Co to mogło znaczyć?

Nagle na coś wpadła.

Czekaj, czekaj! Pognała do swojego gabinetu i rzuciła okiem na grzbiety książek, głównie z dziedziny filozofii i teozofii. Miała też osobną półeczkę o Kabale...

- Jest...

Wyciągnęła wolumin zatytułowany Praski Golem i inne legendy. Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce - to, co powiedział łysy gwałciciel, miało coś wspólnego z kartką, którą wczoraj znalazła w skrzynce na listy. Była niemal pewna, że jej tajemniczym gościem był pan Croter od nieruchomości. To było jego auto... Czemu jednak zostawił w skrzynce taką wiadomość?

Jako profesor teozofii - a także specjalistka od folkloru - oczywiście wiedziała, czym były golemy, bowiem przewijały się w tekstach talmudycznych. To nieożywione postacie z błota lub gliny, w które można było tchnąć iskrę życia za pomocą specjalnego rytuału. Ale to wszystko, oczywiście, było mitem. Judy gapiała się na rozpoczynającą książkę definicję; GOLEM:

rzeczownik (wymowa goilm), w żydowskim folklorze to sztucznie powołane do życia monstrum, przeważnie o ludzkiej postaci, które istnienie zawdzięcza mocy nadnaturalnej.

Sama definicja wystarczyła, aby wróciły do niej wspomnienia o judaistycznych mitach, które czytała. Najsłynniejszy golem pochodził z opowieści rabina Judy Loewa z Pragi. Loew, jeden z najświetlejszych szesnastowiecznych uczonych żydowskich, znał ponoć zaklęcie zdolne przywołać golema do życia i zrobił to wiosną roku 1580. Potwór ulepiony został z gliny pochodzącej z Wełtawy, której moc nadały anioły jeszcze przed stworzeniem Adama. Monstrum odparło zmasowany atak militarny wymierzony w praskich Żydów i rozpoczęło krwawy pochód po ulicach miasta; ponoć sam cesarz błagał rabiego, żeby odwołał golema, a w zamian obiecał jego ludowi ochronę. Loew zgodził się i unieruchomił stwora, lecz zatrzymał go przy sobie na zawsze, żeby służył mu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

To tylko legenda, mówiła sobie Judy.

A jednak męczył ją zbieg okoliczności. Loew, pomyślała. Lowen. Lowensport. A teraz ta notatka w naszej skrzynce mówiąca o golemach...

Czytała dalej:

Istnieje kilka sposobów na ożywienie golema, lecz ten wykorzystany przez Loewa wydaje się najbardziej znany. Na piersi stwora napisał „aemeath” (co oznacza „Prawda Boża”), zaraz po odprawieniu tajemnego rytuału. Kiedy chciał zatrzymać golema, starł dwie pierwsze litery i zostawił słowo „maeth” (co oznacza „śmierć”). Istnieją inne, mniej jasne metody, z których korzystano jeszcze przed rabbim Loewem, podczas schizmy pomiędzy dwunastowiecznymi kabalistami i



kischuphami (zajrzyj pod „Kischuph i sekty antyhasydzkie”). Z początku Kischuph funkcjonowało jako jedno z odgałęzień Kabały, lecz w późniejszym okresie odeszli od Boga i zwrócili się w stronę okultyzmu. Kabała opiera się na Dziesięciu Sefirotach, czyli Dziesięciu Księgach Bożego Oświecenia, zaś Kischup - poprzez czarną magię - umożliwiał dostęp do Jedenastej Księgi czy też Sefer Met (Księgi Ciemności), której sekrety zostały podsłuchane przez S'mola (Samaela, według wierzeń żydowskich: upadłego anioła), kiedy Bóg nauczał aniołów Kabały; dlatego też ekstremalni kischuphici byli dla judaistów tym samym, czym średniowieczni sataniści dla katolików. Członkowie tej sekty często maskowali się jako kabaliści, a po kryjomu oddawali się diabelskim rytuałom. Wierzano, że S'mol skłonny jest przekazać sekrety zawarte w Sefer Met wszystkim, którzy odwrócą się od Boga, a jedną z tajemnic był rytuał przywołania golema.

Kischuphici poprzez krwawe obrzędy potrafili zawezwać golema, często z wykorzystaniem okultystycznego rytuału kręgów (zajrzyj pod „Magiczne kręgi”, aby dowiedzieć się więcej).

Zapalano pochodnie, aby oświetlić demonowi drogę do kręgów, a kiedy płomień zapłonął na niebiesko, był to znak dla Gaona, że rytuał się powiódł - oznaczało to, że otwarte zostały bramy piekieł, które zespoliły się z krawędzią kręgu. W tym momencie składano ofiarę, przeważnie było to zepsute jedzenie, które miało obłaskawić przywołanego demona. W średniowiecznych pismach często wspomina się o przeklętym chlebie, który otrzymywało się poprzez zakopanie świeżego bochenka w grobie, przy zwłokach (ponoć sam S'mol zasmakował w przeklętym chlebie). W zamian demon miał

tchnąć życie w golema.

Judy oderwała wzrok od tekstu, aby odetchnąć.

Dla kischuphitów golem nie mógł być istotą czystą, więc pokrywano zwłoki grzesznika gliną z Wełtawy, największej rzeki w dzisiejszych Czechach. Golem traktowany był przez Gaonów jako poszukiwacz, który odnajdował zaginione skarby, ikony oraz zagubione rzeczy. Niektóre podania mówią, że S'mol posiadał sekret jasnowidzenia, a dokładniej wróżenia ze strumienia krwi wylewanego z gotującej się głowy osła lub kundla...

Gotującej się głowy kundla... Judy przypomniała sobie o bezgłowych truchłach psów, które widziała na cmentarzu, a później na polanie. Czeska glina. Pomyślała o beczkach skradzionych z ich piwnicy, które datowano na 1880 rok. Krwawe obrządki w kamiennych kręgach. Co więc mogłoby się dzieć na polanie, gdzie widziała poukładane starannie kamienie?

Jeśli znajdziesz pudełko, my znajdziemy czaszkę, powiedział łyśy gwałciciel, a teraz przeczytała, że w mocy golema było znalezienie jakiegokolwiek rzeczy. A czy wczorajszej nocy bijąca nad polami poświata nie była przypadkiem błękitna?

Poczuła mdłości. Przeczytała na głos: Dla kischuphitów golem nie mógł być istotą czystą, więc pokrywano zwłoki grzesznika gliną z Wełtawy. Zaś w piwnicy znaleźli przecież ludzkie kości.

Szkielet i zmumifikowane ciało pokryte gliną...

Nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Kischuph - był to termin nadal dla niej niejasny, choć pamiętała go dość dobrze ze swoich wykładów. Kabaliści wykorzystywali emblemat Magicznego Znak Zohara składającego się z dwóch trójkątów: w ten górny wpisano twarz człowieka oświeconego przez Boga; w

dolnym widniało oblicze pogrążone w cieniu, był to ktoś dopiero poszukujący oświecenia. Za to w emblemacie kischuphitów znajdowały się dwie zatopione w mroku twarze, szukające bezbożnego błogosławieństwa.

Asher Lowen miał w swoim domu symbol Zohara, przypomniawszy sobie. To dowód, że był kabalistą, czemu więc miała co do niego wątpliwości? Może przez podobieństwo imion? Loew - Lowen? Wznosiła czytanie: To właśnie parający się czarną magią kischuphici przywoływali golem, aby te służyły ich nikczemnym celom; Gaoni-heretycy i ich kahale studiowali kabałę, lecz nocami zbierali się, aby w sekrecie oddawać się bezbożnym praktykom. Ich golem gwałciły i zabijały nie tylko innowierców, ale także i Żydów, wszystko w imię Samaela. W zamian za szerzenie krwawego dzieła miał on obsypać ich bogactwem.

Judy wypowiedziała na głos wniosek, który przed chwilą wysnuła: - A jeśli Asher Lowen i jego kahał to...

Natychmiast odrzuciła tę myśl. To tylko mit.

Przeczytała kolejny akapit: W odróżnieniu od sławnego rabiego Judy Loewa, kischuphowie ożywiali golema nie za pomocą boskiego imienia, ale przeciwnie - imieniem S'mola albo innych demonów, lub też po prostu słowem-kluczem, zgodnym z celem zawezwania stwora, jak na przykład „tzahch” (mord), „nohv” (kradzież), „ahf” (gwałt, cudzołóstwo).

Wierzono, że golema można zatrzymać, prócz zmazania wypisanych na jego piersi liter, za pomocą ognia lub rozczłonkowania jego ciała. Żydowskie zaklęcia ochronne, ikony judaistyczne i modlitwy egzorcyzmujące mogły odstraszyć golema...

Zrobiło jej się słabo, bowiem drewniana mezuza zawierała modlitwę ochronną. Pobiegnęła do piwnicy i otworzyła drzwi do ukrytego pomieszczenia i zabrała mezuzę z kredensu.

Po co ona temu wieśniakowi? To gwałciciel i diler, czemu mu na niej zależy?

Poczuła usilną potrzebę wydostania się stamtąd. Wybiegła z piwnicy, zabierając ze sobą mezuzę. Na górze wyszukała w książce telefonicznej odpowiedni adres, z szafy wyciągnęła rower i wyjechała na drogę.

## (V)

Kilka ćpunek polewało ciepłą wodą starą glinę i mieszało ją kielniami, aby przywrócić jej dawną konsystencję lepkiej mazi. Ahron i Eli ostrożnie oblepiali gotową gliną zwłoki dziewczyny; szło im to powolnie, lecz dokładność była tutaj kluczowa. Gaon patrzył na ich wysiłki lśnącymi z radości oczyma.

- Ile to jeszcze zajmie? - zapytał D-Man.

- Tyle, ile potrzeba na dokładne pokrycie zwłok - odparł Asher.

- Potem muszę napisać na jej piersi imię naszego króla.

Zajebicie, pomyślał sarkastycznie D-Man. Będziemy mieli dwa takie stwory, a kiedy już znajdziemy czaszkę, to trzy...

- Zgaduję, że wykorzystasz znalezioną czaszkę, aby stworzyć kolejnego, co? - zapytał D-Man. - Ale skąd weźmiesz ciało?

- Mam nadzieję, że będziemy mogli wykorzystać zwłoki Setha Kohna - odpowiedział Asher.

- Podoba mi się sam pomysł, ta ironia. Człowiek, który kupił dom Gavriela; dom, który powinien należeć do mnie. Jeśli chcesz,

sam możesz odciąć mu głowę.

Asher poklepał D-Mana po plecach.

- No, ja...

- Dobrze, że nie zabiłeś ani nie torturowałeś tej dziewczyny - powiedział Asher. - Zrobimy to później, może wypróbujemy na niej nowego członka naszej rodziny. Znalazła menorę i miskę na wodę święconą, więc dajmy jej szansę na odszukanie mezuzy.

Asher spojrział na stół, gdzie leżały zwłoki; nagie piersi nawet po śmierci nie straciły na jędrności, jej twarz nadal była nienaruszona. W ciemności mogłaby uchodzić za żywą kobietę.

- Ahron, uważaj, by rozprowadzić glinę równomiernie.

- Oczywiście, Gaonie.

- Gdy już tchniemy w nią życie, zostanie taka, jaka jest. Chcę, żeby była nieskazitelna.

Mogłem sobie pić piwko i oglądać pornosa, pomyślał D-Man. A stoję tutaj i patrzę na kilku żydowskich rabinów, którzy smarują martwą laskę mokrą gliną.

- Jak to się stało, że tamtemu gościowi z trumny odcięli mięcho, zanim położyli glinę?

Asher spojrział na długie, drewniane pudło, w którym leżał ponad stuletni golem.

- Aby zmniejszyć powierzchnię, mój drogi. Widzisz, moi przodkowie nie mieli do dyspozycji wiele gliny, więc zmuszeni byli pozbawić ciało mięsa i skóry. Mniejsza masa, mniej gliny. Teraz nie musimy się jednak o to martwić. - Asher wskazał na cztery beczki pełne szarej substancji. - Hlina z Wełtawy. Magia...

Spojrział na D-Mana, a ten przełknął ślinę.

- Gavriel Lowen mógłby stworzyć pluton golemów z taką ilością gliny, lecz zmarł, zanim ładunek do niego dotarł. Teraz

my możemy pójść w jego ślady. Wczoraj wykonaliśmy rytuał obłaskawienia. Wszystko pójdzie doskonale - Asher popatrzył na psi łeb w kotle. - Przewidziałem to.

Kurwa, człowieku, ja chcę tylko sprzedawać dragi, pomyślał D-Man. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą waszą czarną magią.

Na to już jednak za późno, co? Tkwił w tym po uszy.

Coś, być może jakieś przeczucie albo wizja, odwróciło uwagę Ashera. Zmrużył oczy, podszedł do kominka i metalowymi szczypcami uniósł wieko wiszącego nad ogniem kotła. Psi łeb wypuścił z siebie strużkę dymu. Asher zajrzał do środka i zamknął oczy.

Co on tam widzi? - zastanawiał się D-Man.

- Wiem już teraz z całą pewnością, że twój towarzysz nie jest już wśród żywych. Nie ma to jednak znaczenia.

- Nie ma znaczenia? - sprzeciwił się D-Man. - Skoro nie żyje, to ktoś musiał go zabić. Może to jednak ona, tak jak mówiłeś.

- Nie ma znaczenia - powtórzył Asher, wstrząśnięty tym, co mu objawiono. - Coś o wiele ważniejszego ukazało się moim oczom.

- Ta?

- Wygląda na to, że dziewczyna nie tylko znalazła mezuzę, ale wyniosła ją z domu...

- Czyli...

Asher pokiwał głową.

- Czyli to przekłete zaklęcie ciężące na miejscu pochówku Gavriela Lowena zostało wreszcie zdjęte. S'mol jest z nami, mój wierny sługo. - Wisiorek Ashera, Znak Jedenastej Księgi, błysnął na jego szyi. - A teraz idź i zajmij się problemem, o którym właśnie mówiliśmy...

D-Man kiwnął głową.

- Mam wziąć go ze sobą?

- Nie. - Asher otworzył tylne drzwi. - Mam dla niego inne plany.

Kiedy D-Man wyszedł, Asher zwrócił się w stronę stojącej na podłodze, drewnianej skrzyni i wypowiedział jedno słowo: - Powstań...

## (VI)

Croter mieszkał w niewielkim domu pod lasem, milę od Lowensport. Judy już niemal dotarła na miejsce, kiedy znowu dopadły ją macki nałogu. Wjechała pomiędzy drzewa i wypaliła jeszcze jedną działkę cracku, a potem padła na ziemię i skuliła się. Nienawidzę siebie, nienawidzę...

Skomleniem nie rozwiąże jednak swoich problemów; w głębi wiedziała, że nie uda jej się rzucić prochów przed powrotem Seta do domu.

Mogła jedynie w dalszym ciągu się okłamywać.

Leżała przez jakiś czas na trawie, aż zobaczyła promienie słońca przesączające się przez drzewa. Zebrała się w sobie i podjechała do domu Crotera.

Zapukała i po chwili otworzył jej wyglądający na zmęczonego mężczyzna.

- Pani... Parker? Co pani tutaj...

- Co tutaj robię? - Judy wyjęła z torby mezuzę. - Wie pan, co to jest, prawda?

Croter popatrzył na nią zdziwionym wzrokiem: - No... to jest mezuzza starego typu, jaką ludzie kiedyś wieszali przy drzwiach.

- Kabaliści wykorzystywali ją przy egzorcyzmach i zaklęciach

ochronnych. Znalazłam ją w naszej piwnicy i mam powody wierzyć, że jest tam również pogrzebana głowa Gavriela Lowena.

Croter zamarł.

- Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi, i jestem teraz trochę zajęty, więc...

Judy pokazała mu trzymaną w dłoni notatkę.

- Wczorajszej nocy włożył pan to do naszej skrzynki pocztowej. Chcę wiedzieć, czemu.

Croter zbladł i zaczął się jąkać.

- Zwariowała pani? Nigdy nie...

- Widziałam pana, panie Croter. Podjechał pan pod nasz dom - wskazała niebieskiego Pontiacą stojącego na wysypanym żwirem podjeździe - tym samochodem. Wczoraj, kiedy na polach odprawiano jakiś rytuał.

Croter zmiękł.

- Lepiej niech pani wejdzie.

Judy weszła za nim do domu; od razu zauważyła stojące w korytarzu walizki i torby.

- Wybiera się pan na wycieczkę?

- Wyjeżdżam z miasta - powiedział i usiadł ciężko na kanapie, sięgnął po szklankę stojącą obok butelki whiskey i upił łyk. - Podrzuciłem syna mojej byłej żonie. Oboje myślą, że wyjeżdżam na konferencję dla handlarzy nieruchomości. A tak naprawdę mam zamiar zniknąć. Gdzie znalazła pani mezuzę?

Uniósł głowę i spojrzał na Judy.

- Znaleźliśmy w piwnicy ukryte pomieszczenie, a w nim kilka kości pokrytych gliną.

Widziałam tę polanę, psie truchła bez głów i groby, w których spoczywali ludzie z poodrywanymi kończynami. Niech mi pan



powie, co się tutaj dzieje!

Croterowi załamał się głos: - Boże! Nie mogę! To może mnie kosztować życie...

- Asher Lowen nie jest kabalistą, prawda? Jest członkiem sekty kischuphów.

- Tak. A i ja kiedyś nim byłem...

Judy spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Wyjedźcie stąd! - wychrypiał. - Zróbcie to samo co ja, nie macie wyjścia!

- To Asher Lowen ukradł glinę, prawda? Glinę z Wełtawy?

- Tak, a dokładniej dwóch jego pomagierów.

Judy opisała znanych jej gwałcicieli.

- Jeden muskularny, łysy, a drugi chudy z długimi włosami i jakąś bródką?

Croter wydawał się zaskoczony.

- D-Man i Świrus. Tak na nich wołają, ale nie znam prawdziwych imion. To dilerzy.

Żartujesz?

- Skąd pani ich zna?

- To właśnie oni kazali mi odnaleźć mezuzę - odparła. - I czaszkę. Domyśliłam się więc, że to oni ukradli glinę.

- Glinę zakupił przodek Ashera, Gavriel Lowen...

- Który z kolei był potomkiem Judy Loewa - Judy poskładała wszystko do kupy - rabina, który ochronił swoje miasto w 1580 roku za pomocą golema stworzonego z gliny pochodzącej z tej samej rzeki. A jednak Loew był kabalistą, dobroczyńcą, człowiekiem pełnym bojaźni bożej!

- Gavriel jako pierwszy z jego rodu zwrócił się ku herezji. Zaprzedał duszę S'molowi i został czarnoksiężnikiem, który

z głębił najczarniejsze sztuki magiczne. Asher Lowen jest jego potomkiem w prostej linii. - Croter spojrział w sufit, w jego wzroku nie było już nadziei. - Każdy mieszkaniec Lowensport jest spokrewniony z tymi, którzy ocaleli z rzezi w 1880, łącznie ze mną.

Judy wreszcie zdobyła się na to, żeby usiąść.

- A co pan wie o... golemach?

- W 1880 roku Gavriel, za pomocą rytuału znanego kitschuphom, stworzył dwa golemy, lecz jego ziomkowie mieli do dyspozycji niewielką ilość gliny, zmuszeni byli więc zdjąć ze zwłok, które miały się nimi stać, skórę i odkroić mięso. Uznał, że dwa stwory wystarczą, aby odpowiednio zabezpieczyć się przed szajką Connera do czasu, gdy przybędą beczki z gliną, lecz trzęsienie ziemi zatrzymało transport. Gavriel został zamordowany, a jego tartak wysadzono. W wybuchu zginął jednak tylko jeden golem...

Głos Judy przesiąknął strachem.

- Co stało się z tym drugim?

- Jest tutaj, w mieście, w jeshiwie Ashera. Zawsze tam był. Wykorzystuje go przede wszystkim do eliminacji konkurencyjnych dilerów.

- Asher jest dilerem?

Croter pokiwał niechętnie głową.

- To bogaty człowiek, S'mol nagradza swoich wiernych i chroni ich. Obraca interesami narkotykowymi w całym Somner's Cove, pracuje z policją, a jego przemytnicy przywożą kokainę na kutrach rybackich. Potem jego ludzie przerabiają to wszystko na crack, który z kolei rozprowadzają gliniarze. Wszystko odbywa się w Domu Nadziei.

Ładne mi centrum pomocy uzależnionym...

- Jest milionerem i nigdy nie złapano ani jego, ani nikogo z jego szajki, bo wszyscy złożyli przysięgę.

S'mol, pomyślała Judy.

Croter wydawał się roztrzęsiony; pociągnął kolejny łyk whiskey.

- Asher czekał na ten dzień bardziej niż ktokolwiek inny. Golem, który przetrwał, jest stary, zaczyna się rozpadać. Nie będzie mógł mu dłużej służyć, ten cholerny stwór ma sto trzydzieści lat!

Teraz jednak Asher ma beczki pełne gliny...

- Chce stworzyć kolejnego golema - wydedukowała Judy.

- To dlatego wczoraj widziałam na polanie światła. Czy to jakieś specjalne, rytualne miejsce?

- Tak - Croter niemal jęknął - a z całą tą gliną będzie mógł dokonać tego, czego nie zdążył dokonać Gavriel. Asher czci diabła, jest uczniem S'mola i teraz ma tyle gliny z Wełtawy, że jest w stanie wypełnić prorocstwo. Będzie zdolny tchnąć życie w najpotężniejszego golema w dziejach.

Judy poczuła się jak ofiara jakiegoś kiepskiego żartu. I ja mam w to wszystko uwierzyć?

- Czyli tym zajęci byli ostatniej nocy? To był Asher i...

- I jego kahał. Widziała pani jedynie, jak to powiedzieć, próbę generalną. Chcieli stworzyć golema z pierwszych lepszych zwłok, aby sprawdzić, czy rytuał działa. Jeśli tak, będą mogli dopełnić prorocstwa, które zesłano Asherowi.

- A jakie jest to prorocstwo? - zapytała Judy. - I po co im czaszka Gavriela Lowena?

- Odpowiedź kryje się w pani własnych słowach - odparł

Croter. - Czaszka Gavriela to prorocstwo samo w sobie. Asher wykorzysta ją do ulepienia głowy dla iście strasznego golema, będzie to bowiem golem posiadający wiedzę i moc Gavriela. Taką wersję zdarzeń zobaczył w oparach, w których wróży. Tym samym poniekąd wskrzesi samego Lowena. A ta czaszka musi znajdować się gdzieś w waszej piwnicy.

- Nie sądzę, całą przekopałam. Seth powiedział mi, że zakopano ją na terenie tartaku, nie pod domem.

Croter zacisnął usta.

- Bo tak mu powiedziałem, lecz to nieprawda, choć faktycznie została tam pogrzebana przez ocalałych członków klanu Connera. Jednak kilka miesięcy później kabalistyczni rabini usłyszeli o pogromie, wykopali czaszkę i ukryli w piwnicy.

- I to właśnie oni pobłogosławili ten dom i rzucili na niego ochronne zaklęcia?

- Tak - przytaknął Croter - aby nic złego nie mogło dostać się do środka po czaszkę, dlatego Asher nigdy nie mógł odzyskać jej sam, podobnie jego golem. Tylko niewierni, jak tych dwóch oprychów, którzy dla niego pracują, mogą przekroczyć próg. Mogę więc spekulować, że czaszkę zakopano w innej części piwnicy, północno-zachodniej. Sprawdziła pani wszystko dokładnie?

- Nie, jedynie okolice miejsca, gdzie znaleźliśmy kości. Chyba nie mam wyjścia; zacznę kopać tam, gdzie pan mówi.

Północny zachód. Pogrzebali go pod skrzyżowaniem dróg.

Croter wydawał się zaniepokojony.

- Niech pani tego nie robi, nie teraz.

- No ale powiedział pan, że...

- Skoro usunęła pani mezuzę - wskazała na leżące na stole

pudełeczko - czar ochronny został zdjęty.

- Jezu! - wykrzyknęła Judy. - Nie pomyślałam o tym!

Croter pokiwał głową.

- Prędzej czy później Asher to wyczuje. On i jego kahał będą mogli wejść do środka. I nie tylko oni...

Nie tylko oni... Judy siedziała bez ruchu, nie odzywając się ani słowem. Nie dało się tego wszystkiego zrzucić na karb zbiegów okoliczności, lecz... czy to wszystko może być prawdą?

Odzywał się w niej narkotykowy głód, zatracala zdolność logicznego myślenia, lecz próbowała z nim walczyć, myśląc o Sethcie. Co miała mu o tym wszystkim powiedzieć?

- Co teraz? - zapytała wreszcie.

- Jak to: co teraz? - Zaśmiał się niewesoło. - Ja stąd znikam i radzę pani to samo. To, co pani usłyszała, pani Parker, to wszystko prawda...

Spojrzała mu prosto w przepełnione strachem oczy i po chwili niemal zemdląca z przerażenia, kiedy w pokoju obok zadzwonił telefon.

- Pewnie moja eks - powiedział Croter i wstał. - Chce zrobić mi awanturę.

Mężczyzna zniknął w drugim pokoju.

Judy spuściła głowę i przetarła oczy.

Boże jedyny, co ja mam zrobić? Myślę tylko o cracku, a muszę dać sobie radę z TYM...

Miała jeszcze ze sobą kilka kryształów; modliła się, aby znalazła w sobie siłę i cisnęła je gdzieś w pole. Mogła zadzwonić do Seta, ale... Czy uwierzy w to, co usłyszy o Asherze Lowenie i jego diabelskich rytuałach? Pomyśli, że mam zwidy przez crack... Jeśli jednak Croter mówi prawdę, muszą stąd uciekać. Najpierw

musi jednak uporać się z jedną rzeczą...

Spojrzała na drewnianą mezuzę. Muszę odłożyć ją na miejsce, zanim Asher się zorientuje...

Po dziesięciu minutach Croter nadal nie wracał. Może wyszedł tylnymi drzwiami? Nie, przecież zostawił bagaże. Siedziała więc dalej, wierciła się i skubała wyimaginowane mrówki, które łąziły po jej udach, lecz nagle wstała.

- Panie Croter? - zawołała.

Przystawiła ucho do drzwi, lecz nie słyszała z drugiej strony odgłosów rozmowy telefonicznej. Odczekała chwilę i weszła do drugiego pokoju.

- Panie...

Croter wił się w konwulsjach, leżąc na kuchennym stole z twarzą napuchniętą jak balon.

Mięśnie jego oprawcy drżały, kiedy łapami wielkimi jak bochny chleba trzymał pewnie oba końce sznura, który zaciskał się na gardle Crotera. Handlarz wierzgnął jeszcze kilka razy, jego twarz pociemniała, język wyszedł na wierzch i skonał.

Morderca odwrócił się powoli w stronę Judy: spojrzała na nią para wąskich oczu. Ogolony na łyso mężczyzna uśmiechnął się do niej szeroko.

- Hej, Cycek. Fajnie cię widzieć.

Muskularny kolos okazał się drugim z gwałcicieli, D-Manem. Judy krzyknęła, obróciła się i rzuciła do ucieczki, lecz nie dość szybko. Mężczyzna błyskawicznym ruchem chwycił ją za włosy, powalił na ziemię i przeciągnął po podłodze, drugą ręką ściskając jej piersi.

- Miałem właśnie do ciebie jechać. Dzięki, że zaoszczędziłaś mi fatygi.

Judy nie przestawała krzyczeć, aż jego łapa z siłą uścisku imadła przygniotła jej gardło.

Oczy niemal wyszły jej z orbit.

- Zapytam tylko raz. Gdzie jest Świrus?

- Kto? - zapytała.

- Mój kumpel. I nie rób mnie w chuja, dziwko. - Podniósł ją do góry, nadal trzymając za gardło, i rzucił na trupa Crotera.

Judy zaczęła walić stopami w stół. Bez pończochy na głowie D-Man wyglądał jeszcze bardziej przerażająco. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie była w stanie, póki nie poluzował uścisku.

- M-mówiłam ci już - otumaniona, próbowała wymyślić na szybko dobre kłamstwo - wyszedł ode mnie około trzeciej...

- Kłamiesz! - wydarł się.

- Nie, nie! - wydyszała - Przysięgam.

D-Man zwolnił uścisk.

- I... znalazłam mezuzę - powiedziała.

Puścił ją i szarpnął, aż wstała.

- Daj mi ją, a cię nie zabiję.

Próbowała złapać oddech. Kiedy jako tako doszła do siebie, zaprowadziła go do pokoju, w którym rozmawiała wcześniej z Croterem.

- Tam. - Wskazała na stół.

- Niech mnie chuj upali - szepnął pod nosem, zadowolony; podniósł mezuzę i przyjrzał się staremu, ręcznie ciosanemu drewnu. - Czyli to jest ta rzecz. Skoro nie ma jej w domu, nieważne, gdzie jest czaszka. Teraz znajdziemy ją bez problemu.

Bezwiednie chwyciła stojącą na stoliku butelkę i rozbiła ją o kant mebla. Kurwa mać!

Praktycznie cała butelka rozpadła się w drobny mak, więc

zamiast ostrego tulipana, w ręce trzymała praktycznie samą szyjkę.

D-Man ryknął śmiechem, kiedy zrozumiał, co miała zamiar zrobić.

- No to będę musiał cię stuknąć - powiedział i wykręcił jej rękę, w której trzymała potłuczoną butelkę.

Powalił Judy na ziemię, podwinął jej sukienkę i zerwał majtki.

- W sumie, czemu nie miałbym jeszcze zamoczyć? - Zaczął bić ją po twarzy. - Kto wie?

Może Asher i z ciebie zrobi golema...

- Zabiłam twojego kolesia - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Boże, proszę, dopomóż mi... Próbowała odwrócić jego uwagę czy może raczej opóźnić to, co było nieuniknione?

- I zostawiłam jego jebane truchło w polu.

D-Man przestał wymierzać ciosy.

- Odgryzłam mu jajo i rozwaliłam na jego łbie lampę...

Gwałciciel spojrzał na nią i... zawył ze złości.

Korzystając z okazji, Judy złapała za krzyżyk, który nosiła na szyi, i wbiła go D-Manowi w oko. Mężczyzna odruchowo złapał się za ranę, spomiędzy palców trysnęła krew.

- A teraz zabiję ciebie, ty kupo gówna - powiedziała, chwytając za leżącą na podłodze szyjkę od butelki.

Wbiła mu ją w gardło, tuż pod jabłkiem Adama. Wycie D-Mana zastąpił niewyraźny bulgot, napastnik charczał. Judy przeturlała się na bok, zanim obryzgał ją strumień krwi. Mężczyzna, nadal klęcząc, odchylił się do tyłu, a z gardła buchnęła mu szkarłatna ciecz; na nieszczęście dla niego, szkło przecięło jego żyłę szyjną i tętnicę. Padł na ziemię i wyciągnął nadal tkwiącą w jego ciele butelkę. Serce dalej wypompowywało krew z jego ciała.



Judy stała nad jego ciałem i patrzyła, jak wykrwawia się na śmierć.

- Wyglądasz lepiej z pończochą na łbie - mruknęła do niego.

Kiedy D-Man przestał wierzgać, kopnęła go lekko w pierś, co spowodowało kolejny krwawy wytrysk, pomimo że jego serce już nie pracowało. Kiedy dotarło do niej, co przed chwilą zrobiła, poczuła jedynie zmęczenie. Jestem już zmęczona zabijaniem wieśniaków...

Ble. Wyciągnęła krzyżyk sterczący z oka D-Mana, wytarła go w koszulę trupa i przypięła z powrotem do łańcuszka, który miała na szyi. Może jednak Bóg istnieje, pomyślała pół żartem, pół serio. Przeszukała kieszenie trupa, zabrała mu kluczyki, telefon komórkowy i pistolet, a następnie wyszła z domu.

Nie pal cracku, nie pal cracku, powtarzała sobie w myślach. Przed domem stał duży, brzydki czarny van. Skrzywiła się, czując w kieszeni ciężar torebeczki z crackiem. Nie teraz, jeszcze nie teraz! Wsiadła do furgonetki...

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

31 LIPCA 1880

## (I)

Tartak wyleciał w powietrze. Nie spodziewali się, że wybuch będzie miał taką siłę.

Umrzemy! - pomyślał Conner, przewracając się na ziemię. Ciemne niebo rozświetliło się na moment, a po chwili z góry spadł deszcz cegłówek i desek. Norris i Corrigan wrzeszczeli, a ich krzyki stopiły się w jedno z kakofonią opadającego gruzu. Zamroczeni, leżeli w krzakach, czekając, aż hałas ucichnie i słychać będzie jedynie trzask płonącego drewna.

- Żyjemy - wymamrotał Conner i podniósł się ciężko. Wygląda na to, że oni także.

Pomógł wstać swoim towarzyszom, choć trzęsły im się nogi. Norris sprawiał wrażenie, jakby był w szoku, lecz nie miał żadnych widocznych ran; Corrigan, choć miał zakrwawioną twarz po uderzeniu lecącą deską, trzymał się nieźle.

- Boże mój - mruknął Norris, oglądając się za siebie.

Z tartaku nie zostało nic oprócz sterty płonących desek.

- Niemożliwe, aby to stworzenie przeżyło taki wybuch - stwierdził Corrigan. - A pewnie i z Lowena nic nie zostało.

- Dobra robota, panowie - powiedział Conner, choć głos mu się łamał ze strachu.

Norris oparł się o drzewo.

- Pański plan zadziałał, panie Conner.

- Niezupełnie - odparł. - Ten drugi stwór gdzieś tam jeszcze łązi.

- Mamy w mieście setkę ludzi - przez Norrisa przemawiała pewność - i nieważne, jaki jest silny. Nie da rady naszym.

Oby. Conner spojrział w stronę miasta.

- Nie słyszę żadnych strzałów, chłopcy musieli skończyć. Zwijamy się.

Prowadzeni przez światło księżyca i dogasające płomienie, torowali sobie drogę przez krzaki, aż znaleźli ścieżkę do Lowensport. Kiedy wreszcie dotarli do wyłożonej skorupkami głównej ulicy, zauważyli, że miasto jest pogrążone w ciemnościach i ciszy. Żadnych strzałów, żadnych krzyków. Ogień, jeszcze niedawno trawiący budynki, zdążył już się wypalić. Zwłoki, głównie mężczyzn i kobiet w zgrzebnych, czarnych żydowskich ubraniach, leżały na wznak na ulicach i na progach domów, zwisały z okien. Z kilku domów dobiegał dziecięcy płacz.

- Mamy pójść po dzieci? - zapytał Corrigan.

- Niech poleżą trochę we własnym gównie. Rano zaniesiemy je do łodzi - odparł Conner i zatarł ręce, ciesząc się z obrotu spraw. - Kto je znajdzie, ten je wychowa. A my musimy pochować tych Żydów jeszcze dzisiaj. Norris, zawołaj naszych.

- Klan Connera! - wrzasnął Norris, przykładając ręce do ust. - Wychodźcie! Śmiało!

Conner spojrział w okna kilku domów, do innych zajrzał przez drzwi. Widział tylko kilka trupów swoich ludzi, za to w każdym budynku leżał przynajmniej jeden martwy Żyd. Większość

zginęła od strzału w głowę; co bardziej urodziwe kobiety i dziewczęta zostały zgwałcone.

Connerowi podobało się to, co zobaczył. O tak. Moje chłopaki wykonały kawał dobrej roboty.

Zabili wszystko, co dycha...

Pięć minut później nadal stali na ulicy zupełnie sami.

- Klan Connera! - darł się Norris. - Wyłazić! Robota jest!

Po kolejnych kilku minutach Conner poczuł mdłości.

- Może po całej tej rzeźni po prostu wrócili do obozu - zgadywał Corrigan.

- Być może, ale przecież nie takie mieli rozkazy - odparł Norris.

- Rozejrzyjmy się - powiedział Conner. - Widziałem jedynie dwa czy trzy trupy naszych chłopaków. Czemu nikt do nas nie wyszedł?

Odpowiedź czekała za rogiem, w zaułku pomiędzy sklepem wielobranżowym a kowalem.

- Boże przenaajświętszy - wymamrotał Norris.

Connerowi zrobiło się niedobrze.

Znaleźli tam bowiem mężczyzn, których szukali - stertę ciał leżącą w zaułku. Wyglądało na to, że próbowali się tam przed czymś ukryć, lecz zostali okrzyknięci.

- Coś... rozerwało ich na strzępy - szepnął ze zgrozą Corrigan.

Żadne z kilkudziesięciu zwłok nie były kompletne. Jednym oderwano kończyny, innym poskręcano karki, a jeszcze innym otwarto klatki piersiowe; połamane żebra odsłaniały lśniące wnętrza niczym otwarty kredens z okropnościami. Niektóre głowy wyglądały jak zgniecione pomidory i Conner nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wszystkich tych bezceństw dokonano gołymi rękami.

Connera ogarnęło czyste przerażenie.

- To ten przeklęty stwór...

- Ten drugi - dodał Corrigan.

- Może i nasi chłopcy zabili wszystkich Żydów - jęczał Norris - ale ta rzecz wymordowała ich co do jednego...

- Musimy wrócić do obozu! Kobiety i dzieci! - zreflektował się Conner.

Biegli przez noc, repetując broń. Po drodze widzieli jeszcze kilka zbezczeszczonych zwłok; mężczyźni w panice uciekali z miasta, lecz to monstrum i tak ich dorwało.

Na miejscu czekał ich największy koszmar, jaki byliby w stanie wyśnić: kolejna rzeźnia.

Namioty porozdzierano, a drewniane szopy, w których spali oficerowie Connera, zrównano z ziemią. Mężczyźni, których pozostawili na straży, zostali zabici od razu; przy wejściu do obozu Connera powitały porozrzucane tu i ówdzie części ciała, a strumień krwi jeszcze nie zastygł. W głębi znaleźli ciała kobiet i dzieci.

Nikogo nie oszczędzono w tej mrożącej krew w żyłach masakrze. Ziemię zaścielały poodrywane głowy i kończyny. Większość kobiet leżała z szeroko rozłożonymi nogami; zgwałcono je przed śmiercią, a może nawet i po. Na samą myśl Connerowi podeszła do gardła zawartość żołądka.

Ile kobiet ta przeklęta rzecz potrafi zgwałcić jednej nocy?

Norris padł na kolana, kiedy zobaczył bezrękie zwłoki swojej żony, która została wypatroszona przez pochwę. Corrigan zapłakał, widząc swoją małżonkę i dwójkę rozerwanych na strzępy dzieci; kobiecie otworzono brzuch, a wnętrzności wsadzono do gardła. Conner, Norris i Corrigan obeszli cały obóz,

lecz nie znaleźli w nim ni żywego ducha. Podczas gdy jego ludzie oszczędzili dzieci z Lowensport, stwór nie odwdzieczył się tym samym.

- Co, na Boga Ojca, teraz zrobimy? - wychrypiał Norris.

- Dzisiaj nie było tutaj Boga - szepnął Corrigan.

- Jedyne, co możemy zrobić, to udać się na wzgórze - powiedział odrętwiały z przerażenia Conner, spoglądając w noc.

- Możemy być pewni, że ten stwór nadal się tutaj czai. Musimy dać nogę, bo inaczej...

Norris rozejrzał się po pobojuwisku.

- Bo inaczej on nas znajdzie.

## (II)

Po kilku minutach szarpania się z biegami i lawinie przekleństw Judy wreszcie opanowała czarny, poobijany furgon na tyle, aby prowadzić bez większego wysiłku. Samochód warczał i rzeził, kiedy wyjechała spod domu Crotera na drogę prowadzącą wzdłuż pól; nie wiedziała, czy pociemniało, czy to raczej nawalały reflektory vana.

Nie napotkała żadnego innego auta - nikt nie jechał za nią, nikt nie jechał z naprzeciwka.

Nie pal cracku, powtarzała sobie w myślach. Próbowwała skupić się na koszmarze, który odkryła zaledwie przed chwilą. Golemy. Magiczne kręgi i inkantacje wypowiedane nad odciętymi łbami psów. Asher Lowen jest nie tylko lokalnym bossem narkotykowym, ale też i czarnoksiężnikiem...

Seth! - wpadło jej do głowy. Chciała do niego zadzwonić, lecz

nie miała pojęcia, co też mogłaby mu powiedzieć. Seth, kochanie, właśnie jadę odłożyć meżuzę na miejsce, do piwnicy, aby czar ochronny nie przestał działać. Inaczej Asher Lowen odnajdzie czaszkę Gavriela, która, tak na marginesie, jest zakopana pod naszym domem. A, i jeszcze coś. Chce zrobić z niego golema.

Wiedziała, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę.

Po prostu do niego zadzwonię i powiem mu, żeby nie wracał do domu. Polecę dzisiaj do Tampy i wytłumaczę mu wszystko na miejscu.

Tego pewnie też nie kupi, lecz nie potrafiła wymyślić niczego lepszego. Wyciągnęła komórkę i jęknęła z rezygnacją, widząc, że bateria się wyczerpała. Kurwa! Mogła zadzwonić z komórki tego wieśniaka, ale zdała sobie sprawę, że zapomniała numeru do Seta, gdyż zawsze korzystała z opcji szybkiego wybierania.

Będę musiała najpierw naładować to cholerstwo. Jechała tak szybko, że szum pól zlewał się w jej uszach w jeden ciągły dźwięk. Kilka minut później zaparkowała pod domem i wbiegła do środka.

Cholera, pomyślała, gdy przełączyła włącznik światła i w domu nadal panowała ciemność.

Spróbowała jeszcze kilka razy, ale nic się nie działo. To chyba jakieś jaja! Nie ma prądu? Nie, tylko nie TERAZ! Oznaczało to bowiem, że nie będzie mogła naładować telefonu, lecz przypomniała sobie, że na górze powinna być zapasowa, naładowana bateria. Poszła na piętro, sapiąc z wysiłku, znalazła akumulatory i włożyła go do komórki. Wreszcie coś idzie po mojej myśli, ucieszyła się, widząc, że telefon jest gotowy do pracy. Zanim zadzwoniła do Seta, zobaczyła, że ma sześć nieodebranych połączeń.

Wysłuchiwała wiadomości nagranych na poczcie głosowej; wszystkie od Seta.

O nie...

Ostatnie słowa brzmiały: Judy, cholera, naprawdę się martwię. Nie oddzwaniaj do mnie. To pewnie nic poważnego, poszłaś wcześniej spać, źle się czułaś, ale i tak wracam dzisiaj do domu. Muszę wiedzieć, czy wszystko w porządku.

- Kurwa mać - syknęła.

Dzisiaj? Przecież dzisiaj jest teraz! Wybrała jego numer, ale odezwała się poczta głosowa.

Najwyraźniej Seth siedział już w samolocie i wyłączył telefon na czas podróży. Mogła jedynie zostawić mu wiadomość: - Seth, wszystko w porządku, ale... nie wracaj do domu! Musisz mi zaufać. Nie opuszczaj Salisbury, jadę tam, czekaj na mnie, spotkamy się na lotnisku. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale musisz mi zaufać. Kochanie, nie jedź do domu!

Mogła zrobić choć tyle...

Judy zamarła, słysząc dochodzący z dołu hałas; był całkiem głośny, a do tego nadal nie było w domu światła. Czyżby ktoś był w piwnicy?

Poczuła na skórze lodowaty pot. Asher ?

A może coś jeszcze gorszego?

Nie powinnam była zabierać stamtąd mezuzy, pomyślała, wiedząc, że jest już za późno na podobne żale. Zeszła po schodach, chcąc po prostu wyjść z domu i pojechać na lotnisko, do Seta, lecz...

Zżerała ją czysta ciekawość. Zastanawiała się, czy to wszystko, o czym usłyszała i przeczytała, to faktycznie prawda, pomimo tego, co ją spotkało, tych dziwactw i morderstwa Crotera, tego,



co powiedział jej D-Man, gdy próbował ją zgwałcić, że może kolejnego golema Ahser zrobi z jej zwłok...

A jeśli nadal w to nie wierzyła, czemu się tak bardzo bała?

Raz kozie śmierć, pomyślała, schodząc na parter. Złapała latarkę, a z furgonetki wzięła pistolet i mezuę.

Podeszła do drzwi piwnicznych i zobaczyła, że są otwarte...

Niech to...

Zeszła po schodach, przyświecając sobie latarką. Przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła, że drzwi do ukrytego pomieszczenia stoją otworem, a ze środka dobywa się jednostajny dźwięk kopania w ziemi. Podeszła bliżej do czarnego jak smoła otworu w ścianie...

Hałas ustał. Judy krzyknęła, kiedy z pokoju rozległ się nieludzki wrzask, który przeszył jej uszy.

Coś tam jest...

Kiedy zrobiła krok naprzód, rozległ się kolejny wrzask, jeszcze głośniejszy niż poprzedni.

Coś, czego nie potrafiła wyjaśnić, pchało ją do środka, chciała zobaczyć, co kryją ciemności.

Podejrzewała, iż wrzaski są oznaką gniewu i mają związek z bliskością mezuchy.

I jej zawartości.

Judy ruszyła w stronę ukrytego pomieszczenia, gdy nagle coś wychynęło z ciemności.

Nieprawdopodobnie chuda istota pojawiła się w świetle latarki; błyszczała, jakby była mokra lub spocona. Judy nie zdołała przyjrzeć się stworowi dokładnie, przerażenie odebrało jej zmysły, lecz zdążyła zauważyć, iż monstrem nie miało oczu - w ich miejscu ziały jedynie puste dziury - na jego głowie

pozostała jedynie kępka włosów, a twarz golema przypominała kulę błota. Judy uniosła w górę mezuzę; stwór ryknął, ale wycofał się.

Chce wydostać się z piwnicy, uświadomiła sobie Judy, lecz nie może stanąć blisko mezuzy...

Zebrała w sobie wszystkie siły, by zerknąć na twarz monstrum.

Próbuje wykopać tunel...

Patrzyła z obrzydzeniem na mokrą, cienką warstwę gliny; sądziła, że po upływie stu lat zdąży już zaschnąć na wiór. To jeszcze jeden dowód na ingerencję okultystycznej magii. Pomyślała o użyciu broni, lecz odrzuciła ten pomysł.

To tylko kości pokryte gliną, nie ma organów wewnętrznych, żadnej krwi.

Nie mogła jednak pozwolić temu czemuś uciec...

Czy naprawdę potrafiłoby wykopać sobie tunel?

Przypomniała sobie słowa, które przeczytała: - Zaklęcia ochronne, modlitwy i judaistyczne ikony odstraszą stwora - ulżyło jej, że to również okazało się prawdą. - Golema można zniszczyć ogniem lub rozczłonkując jego ciało...

Zbliżyła się o krok do monstrum, którego wrzask zmroził jej krew w żyłach. Im bliżej stwora była mezuzą, tym większy zadawała mu ból. Za nią znajdowała się beczka wypełniona pordzewiałymi obuchami. Postawiła mezuzę na ziemi i sięgnęła po jeden z obuchów; ważył jakieś dziesięć funtów.

- Jezu! - krzyknęła, ale udało jej się go podnieść.

Uderzyła stwora w klatkę piersiową, po chwili walnęła go raz jeszcze, z drugiej strony.

Teraz jego ciało trzymał w kupie jedynie kręgosłup.

- Skurwysynu! - krzyknęła, uderzając ponownie.

Trafiła go w czaszkę, odłupując golemowi kawał głowy.  
Łatwizna, odważyła się pomyśleć.

Monstrum nie przestawało kopać, choć jego starania na niewiele mu się zdały, a otrzymane ciosy skutecznie zahamowały jego działania. Judy chwyciła kolejny obuch i znowu podeszła do stwora.

Raz po raz waliła golema w to, co pozostało z jego czaszki, aż wreszcie rozłupała mu głowę w drobny mak.

Kolejny cios wymierzyła w jego kręgosłup - potwór złamał się w pół, a jego dwie rozdzielone połówki wiły się po ziemi. Co zadziwiające, jego ręce nie przestawały kopać...

Dopiero dwa następne ciosy, które starły na proch ramiona golema, sprawiły, że palce zamarły.

- Już po tobie - syknęła.

Dwa kolejne uderzenia strzaskały pokryte gliną piszczele. Judy rzuciła na ziemię obuch i usiadła na jednej z beczek, aby złapać oddech.

Kilka gnatów leżało jeszcze na ziemi, resztki szkieletowych rąk jeszcze drgały.

No to chyba mam swój dowód, co nie?

Zaśmiała się na samą myśl.

Zabrała ze sobą latarkę i weszła do tajnego pomieszczenia. Wstrzymała oddech, widząc, że Croter mówił prawdę... Zanim zeszła do piwnicy, golem zdołał wykopać głęboką na stopę dziurę w ziemi; wystawała z niej ludzka czaszka.

I tak też zostanie. Nikt jej stąd nie ruszy, pomyślała, wkładając drewnianą mezuzę z powrotem do kredensu.

Wróciła do piwnicy i wyciągnęła z kieszeni woreczek z crackiem. Popatrzyła na niego i przełknęła ślinę. Nie teraz! -

skarciła się. Miała tak ogromną ochotę zapalić, że czuła się, jakby coś w środku niej zaraz miało eksplodować.

Jeszcze nie teraz...

Pobiegła po schodach na górę i zatrzasnęła drzwi do piwnicy. Wskoczyła do furgonetki, uruchomiła silnik i odjechała sprzed domu. Ruszyła w stronę lotniska, gdzie, jak miała nadzieję, będzie czekał na nią Seth.

### (III)

Seth zjechał pod dom kilka minut chwilę przed północą. W środku nie paliło się światło, co uznał za zły znak; nagle błyskawica przecięła niebo, a ciemne chmury zasłoniły księżyc. Zapewne to właśnie nadchodząca burza była odpowiedzialna za informację o SŁABYM SYGNALE, która pojawiała się na ekranie jego telefonu za każdym razem, kiedy próbował zadzwonić do Judy po opuszczeniu samolotu w Salisbury.

Nieźle to wszystko pojebane, pomyślał z wściekłością, kiedy wszedł do korytarza i odkrył, że nie działają światła. Ani telefonu, ani prądu...

- Judy! Wróciłem! - krzyknął, lecz pogrążony w mroku dom wydawał się wchłaniać jego słowa.

Proszę, bądź w łóżku, błagał bezgłośnie, lecz kiedy wszedł do sypialni z latarką w ręce, zobaczył, że tutaj także jej nie ma.

Co się dzieje?

Serce wyrywało mu się z piersi. Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego, lecz nie usłyszał sygnału. Pobiegł do drugiego aparatu, stojącego w innym pokoju, lecz ten również był nieczynny.

Nawet nie mogę zadzwonić po gliny, bo pieprzone telefony NIE DZIAŁAJĄ!

A jednak migotała lampka sygnalizująca, że ktoś zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce. Zapasowa bateria. Może Judy nagrała się także na stacjonarny...

Ciekaw jestem, czy uda mi się ją odsłuchać, zanim się rozładuje...

Nacisnął przycisk.

Masz jedną wiadomość - usłyszał, potem wybrzmiał charakterystyczny sygnał i rozpoczęła się nagrana wiadomość.

- Panie Kohn, przepraszam, że dzwonię z tak nieprzyjemną sprawą. Zadzwoniłem pod numer na jednym z dokumentów, które podpisaliśmy, i podano mi pana aktualny telefon...

Nazywam się Karlswell i dzwonię z Domu Pogrzebowego Shoenfeld. To, co mam panu do powiedzenia, jest naprawdę dziwne... Obawiam się, że doszło do... pewnego wypadku na cmentarzu. Dokładniej miał tam miejsce godny potępienia akt wandalizmu. Przykro mi to mówić, panie Kohn, lecz zbezczeszczono... grób pańskiej pogrzebanej przed dwoma laty żony. Oczywiście, zawiadomiliśmy policję. Niestety, ciało zostało... wykradzione. Przepraszam pana, panie Kohn.

Proszę do mnie oddzwonić...

Koniec wiadomości.

Seth patrzył na telefon z otwartymi ustami. Co się dzieje... Najpierw zniknęła Judy, nie można się do niej dodzwonić, a teraz...

Ktoś ukradł ciało Helene?

Tego było już za wiele. Musiał odnaleźć Judy i dowiedzieć się, czemu zostawiła mu tak dziwną wiadomość.

Zbiegł po schodach z zamiarem udania się na posterunek policji. Podeszedł do auta, lecz, tknięty przeczuciem, odwrócił się. Wiatr targał niekończące się łąny prosa, ale przez szum przedzierał się wyraźny kobiecy głos.

- Seth?

Zamarł i wyteżył wzrok. Wiatr wiał jeszcze mocniej, mierzwiąc mu włosy.

Kto to? Przecież to nie może być...

- Judy! - krzyknął. - Czy to ty?

Zobaczył jakąś postać stojącą w głębi pola. Nie widział jej zbyt dokładnie, lecz miał wrażenie, że się go boi. Na pewno była to kobieta, ale nie Judy.

- Kim jesteś? - zapytał.

Podeszedł bliżej, lecz postać zniknęła pośród łąnów.

- Czeka!

Seth wskoczył w pole i zaczął przedzierać się przez proso, prowadzony przez donośne dźwięki kroków przed sobą.

- Stój, do cholery! Chcę z tobą porozmawiać! - krzyknął. Jeszcze przez moment słyszał kroki, lecz nagle zamilkły. Pewnie jedna z tych ćpunek z kliniki Ashera, zgadywał. Błąka się bez celu.

- Nie zrobię ci nic złego, szukam tylko swojej dziewczyny. - Nie podchodź bliżej, nie zrozumiesz - usłyszał delikatny, kobiecy głos.

To jakiś obłąd, pomyślał. Seth nie widział zbyt wiele, kobietę skrywał i mrok, i łąny prosa, lecz zobaczył, że jest całkiem naga.

- Skąd znasz moje imię? - zapytał.

- Och, Seth...

Od jej głosu przeszły mu po plecach ciarki.

- Daj mi wszystko wyjaśnić. - Zrobiła krok w jego stronę,

rozgarniając wysokie łodygi.

Seth patrzył na jej płaski brzuch, krągłe uda i jędrne, pełne piersi. Ale jej skóra była ciemna.

Chyba jest brudna, pomyślał Seth. Pewnie kręci się tutaj już od dłuższego czasu.

- Judy na nas czeka - powiedziała.

Co?

- Gdzie?

- U Ashera - syknęła. - Lecz potrzeba nam pewnej rzeczy z twojego domu, z piwnicy.

- O czym ty mówisz! Judy jest u Ashera? Czemu?

- Powiem ci później. Zabiorę cię teraz do niej, ale najpierw musisz iść do piwnicy i wziąć stamtąd czaszkę.

Czaszkę...

Seth nie wiedział, o co tutaj chodzi.

- Od tego może zależeć jej życie. Nasze również - powiedziała, patrząc na niego swoimi ciemnymi oczyma. - Zaufaj mi. Zrozumiesz, kiedy tam dotrzemy.

Od tego może zależeć jej ŻYCIE?

Seth nic z tego nie rozumiał, lecz wydawało się, że nie ma wyjścia; musiał dowiedzieć się, co jest grane. Weź to, co chcą, pomyślał. I jedź po Judy...

- No dobra - odpowiedział i wyszedł z powrotem przed dom. To szaleństwo. Czaszka? Musi mieć na myśli głowę Gabriela Lowena. I ona przez cały ten czas była w piwnicy? Ale po co...

Miał wiele pytań, lecz nie mógł szukać odpowiedzi na wszystkie naraz. Otworzył na oścież podwójne drzwi piwnicy i szedł na dół, włączając latarkę.

- O kurwa - mruknął, kiedy zobaczył leżący na ziemi szkielet.

Czy to kości, które Judy znalazła wcześniej w ukrytym pomieszczeniu?

Są pokryte gliną, zauważył, kiedy podniósł wilgotną piszczel. Rób to, co masz robić. Potem zajmiesz się resztą.

Drzwi do tajnego pokoju były otwarte. Seth wszedł do środka. Zobaczył, że po drugiej stronie ktoś wykopał dziurę, tym samym ułatwiając mu zadanie. Z ziemi wystawała szerniała czaszka. Seth wyciągnął ją z dziury i ruszył w stronę wyjścia z piwnicy.

A teraz ta popieprzona laska będzie musiała odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Wbiegł po schodach, odwrócił się i zamarł. Kobieta stała przed nim całkowicie naga i nie miał wątpliwości, że czymś ją wysmarowano.

Glina?

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, jaka substancja pokrywa jej ciało, ponieważ w tej samej chwili zdał sobie sprawę, kim jest ta kobieta. Czaszka wypadła mu z ręki na ziemię.

- Helene? - udało mu się wydusić ze ściśniętego gardła.

Jego martwa żona była piękna, pomimo wilgotnej mazi, która lśniła na jej skórze. Patrzył na wspaniałe krągłości, które tak dobrze pamiętał, na sprężyste piersi i sterczące sutki. I na jej uśmiech... Nie wiedział, co ma o tym myśleć, przecież pogrzebał ją przed dwoma laty. W głowie zadźwięczała mu dziwna wiadomość pozostawiona przez kierownika zakładu pogrzebowego...

Czymkolwiek była szarawa substancja, pokrywała również jej włosy oraz łono. Spuściła głowę i patrzyła na leżącą na ziemi czaszkę.

- Nie masz pojęcia, jakie to ważne - wyszeptała



rozentuzjasmowana.

- Przecież ty nie żyjesz! - wykrzyknął - To niemożliwe!

Zbliżyła się do niego o krok. Potem o kolejny.

- Jesteś pewien, że to nie sen, Seth?

Pytanie dźwięczało mu w uszach.

Sen!

- Nie, to niemożliwe...

- No to jakim cudem stoję przed tobą? - Zrobiła kolejny krok. -

Bo przecież masz rację...

jestem martwa.

Łodygi prosa zaszeleściły. Seth nie mógł się ruszyć, a ona podeszła do niego i dotknęła jego twarzy swoimi chłodnymi, wilgotnymi palcami. Nieprawdopodobieństwo tej sytuacji sparaliżowało go zupełnie. Pocałowała go w usta, poczuł jej martwy język...

I nagle złapała go i z niewiarygodną siłą powaliła na kolana. Miał przed sobą opačkane gliną łono.

- Zawsze byłeś moim ulubionym kochankiem, Seth - szepnęła, łapiąc go za włosy.

Wcisnęła jego twarz między swoje uda.

Seth robił to, czego od niego oczekiwała, choć zbierało mu się na mdłości. Kiedy spróbował oderwać od niej język, zacisnęła mocno uda.

- Nie wiem, czemu cię zdradzałam...

Seth był w szoku.

- Co...

- Naprawdę tego żałuję, kochanie, lecz byłeś tak bardzo zajęty pracą nad tą durną grą, że nigdy nie miałeś dla mnie czasu. - Wpiła palce tak mocno w głowę Seta, że nie miał wyboru,

musiał kontynuować zaspokajanie jej językiem. - Tej nocy, kiedy umarłam, wcale nie wracałam ze sklepu. Okłamałam cię...

Seth próbował się wyrwać, ale trzymała go mocno.

- Jechałam z mieszkania mojego kochanka. I że też musiałeś poprosić mnie o te cholerne papierosy... - Przycisnęła go do siebie tak mocno, że ledwo mógł oddychać, i zaczęła dyszeć.

- O tak, tak, dobrze, zupełnie tak, jak kiedyś. Wiedz, że nie mam do ciebie pretensji o... jak jej tam... Judy. Marzę jednak o tym, jak wsadzę jej łapę w gardło i wypruję flaki.

Sethowi zrobiło się słabo, lecz nie mógł nic zrobić, zaboląło go serce, a umysł spowiła czarna mgła depresji. Wreszcie stwór krzyknął z rozkoszy; Helene aż stanęła na palcach.

Potargała mu włosy, zostawiając w nich grudki gliny.

- Było uroczo, skarbie. Wkrótce będziemy razem już na zawsze - powiedziała i uderzyła Seta w skroń.

Padł na ziemię, pociemniało mu przed oczami. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim stracił przytomność, było tajemnicze słowo wypisane na jej piersiach: S'MOL.

## (VI)

- Wkrocz do Kręgu Dziesięciu Kręgów i zobacz, jak goreje płomień...

Głos wydawał się dobiegać z daleka. Seth ledwie rozróżniał słowa, ale powoli dochodził do siebie. Gdzie ja jestem...

Otworzył oczy, lecz nadal był lekko zamroczony, więc nie widział wszystkiego wyraźnie - jedynie zarysy sylwetek i migotanie pochodni. Nagle przypomniał sobie o Helene...

Boże... To nie mogła być prawda, to tylko zły sen. Jednak kiedy

uniósł głowę, zobaczył ją, stała nieopodal, wpatrzona martwymi oczami w krzątające się postacie. Skóra jego żony lśniła od mokrej gliny; jej ciało wydawało się silne i sprężyste, a na obfitych piersiach nadal widniał napis S'MOL.

Tajemniczy głos ponownie zagrział echem: - Jedynie wiara może nas ocalić, mój najświętszy królu. Obdarz nas tej nocy mocą, jaką obdarowałeś mojego wielkiego przodka - powiedział mężczyzna i podniósł w górę trzymaną w rękach czaszkę.

Seth, nawet pomimo bólu świdrującego jego głowę, rozpoznał ten głos.

Asher Lowen, a pozostali dwaj to...

Zmrużył oczy. Ahron i Eli, rabini, których poznał u Ashera.

Seth nie mógł się ruszyć - miał związane ręce i nogi. Leżał na środku okrągłej polany.

Polana, którą Judy dojrzała z okna sypialni... - domyślił się. Próbował rozejrzeć się wokół i zobaczył, że znajduje się w dziwnym kręgu, szerokim na jakieś dziesięć stóp; z kolei jego granice wyznaczały okręgi z mniejszych kamieni. Wydawało mu się, że wszystkie błyszczą czerwienią. Seth naliczył dziesięć kręgów, a jego rachunki potwierdził głos Ashera: - Dziesięć kręgów Dziesięciu Piekieł, a jedenasty za wielką Sefer Met. - Asher dotknął dziwnego wisiora, który nosił na szyi - przedstawiał on dwa nałożone na siebie trójkąty, w każdy z nich wpisano pogrążoną w cieniu twarz. - Módlmy się za siłę Zemu'im, Sekretnego Ucznia z czasów Adama...

Rytuał, zrozumiał Seth i uświadomił sobie ze zgrozą, że zaraz za nim rozpoczyna się właśnie jedenasty krąg z krwawych kamieni. I jestem jego częścią. Czaszka zresztą też, gdyż Asher położył ją obok jego głowy.

- Ahron!

- Tak, Gaonie?

- Złóż ofiarę, abyśmy mogli odebrać życie ku chwale S'mola.

Seth nie zdążył nawet mrugnąć, gdy Ahron zatopił nóż w jego piersi. Krzyknął, a jego wrzask przeciął nocną ciszę. Z każdym uderzeniem jego serce wypompuje krew. Zaczął drżeć i zrobiło mu się zimno, choć odniósł raczej wrażenie, że temperatura nagle wzrosła.

Umieram, przeszło mu przez myśl. Dlaczego?

Plama krwi rozlała się pod jego koszulą.

- Nie patrzmy już naszymi ludzkimi oczyma, lecz oczyma Neptesha, naszych czarnych dusz...

- Chwalmy S'mola.

- Zło złem zwyciężaj, jak zapisano przed laty. Zemu'im i Zew Pieczęci tak prawią.

Seth próbował złapać oddech, plując krwią.

- Zamknijmy teraz oczy i, uzbrojeni w wiarę, wkroczmy do Jedenastego Kręgu. Pochylmy w pokorze czoła przed jego majestatem...

Seth panikował. Czuł, że jego serce bije coraz wolniej, a krew nadal opuszcza jego ciało.

Niedługo umrę, ale co stanie się przedtem?

I co zwiastował odgłos, który słyszał już od jakiegoś czasu?

Kroki?

- Unieśmy głowy - rozkazał słabnący głos Ashera - niech spłynie na nas łaska S'mola i Tajemnic, które wyszeptał Bóg...

Ahron i Eli wstrzymali oddech; Seth również, choć targały nim przedśmiertne drgawki.

Pochodnie wydawały się teraz płonąć setki stóp od nich.

Ciągnące się milami łany prosa zniknęły z zasięgu jego wzroku, zastąpione nieprzebranym mrokiem. Zewsząd słychać było przytłumione wrzaski i szelesty; Seth był teraz pewien, że dźwięk, który usłyszał wcześniej, był szuraniem stóp.

Ktoś się zbliżał.

Płomienie pochodni zapłonęły błękitem.

- Wielki S'mol - ktoś szepnął.

Seth poczuł na skórze gorąco - nienaturalny żar, którego nie czuł nigdy wcześniej, nawet w najgorętsze letnie noce. Zamknął oczy i kiedy ponownie je otworzył, pochodnie oddaliły się od nich o jakieś pół mili, ledwie widział ich płomienie.

Seth zaczął charczeć, próbując złapać oddech; zobaczył bowiem tych, którzy nadeszli.

Mieli ludzkie kształty, lecz ich skóra płonęła szkarłatem, a rysy ich twarzy nie przypominały ludzkich. Zatrzymali się wszyscy prócz jednego, którego wykrzywione usta zajmowały większą część kanciastej twarzy i niemal zachodziły na czarne dziury ziejące w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. Stwór uśmiechał się.

- Gaonie! - szepnął pośpiesznie Eli. - Ofiara jeszcze żyje!

- Nie ma to znaczenia, przyjacielu. Niedługo jego głowa i tak zostanie odjęta od ciała.

Monstrum, które wychynęło z mroku, zatrzymało się.

- Królu nasz - powiedział z czcią Asher, padając na kolana - przyjmij z rąk swojego pokornego sługi tę oto skromną ofiarę.

Rabin wyciągnął ręce ku istocie; trzymał w nich coś, co wyglądało na bochen chleba. Chude paluchy szkarłatnego stwora zacisnęły się na podarku i stworzenie podniosło chleb do swoich nozdrzy. Wciągnęło głęboko powietrze i uśmiechnęło się,

pokazując rzędy czarnych, lśniących jak kryształy zębów.

Stwór ugryzł chleb i wybuchnął śmiechem, który bardziej niż ludzki rechot przypominał wycie szakala.

- Namaść tych, którzy składają ci ofiarę, wielki S'molu - mówił Asher, nadal na kolanach - i tę czaszkę, należącą do twego wiernego sługi, abyśmy mogli czynić naszą powinność...

Asher spojrział na Elięgo i skinął mu głową. Eli uklęknął obok Seta i uniósł toporek, mierząc w jego szyję...

## (V)

Judy jechała w stronę domu, a łzy leciały jej po policzkach.

Pewnie nie dostał mojej wiadomości...

Co oznaczało, że po wyjściu z samolotu pojechał prosto do domu. Przez całą drogę próbowała się do niego dodzwonić, lecz nie zgłaszała się nawet poczta. Domyślała się, że to z powodu zbliżającej się burzy. Każda kolejna mila przynosiła nowe zmartwienia.

Co mu powiem? A jeśli... zszedł do piwnicy?

Poczuła ulgę, kiedy zaparkowała toporną furgonetkę przed domem i zobaczyła stojącego tam Tahoe. Niepokój powrócił, gdy przeszukała cały dom z góry na dół, lecz nigdzie nie było Seta.

I co teraz? Gdzie mógł pójść? Wyszła z powrotem przed dom. Gruchnął piorun i w świetle błyskawicy zobaczyła, że drzwi do piwnicy są otwarte.

Boże, tylko nie to...

Zeszła po schodach, wołając jego imię, choć wiedziała, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi.

Latarka nadal leżała na jednej z beczek, ale nie tam, gdzie ją

zostawiła. Włączyła ją i skierowała snop światła na szczątki zniszczonego przez nią golema. Była pewna, że zamykała drzwi do ukrytego pomieszczenia - teraz stały otworem, wiedziała więc, że musiał tutaj być.

Bo kto inny mógłby tutaj wejść? Mezuzę nadal spoczywała tam, gdzie ją schowała...

Na dworze znowu zagrzmiało. Omiotła sekretny pokój latarką i zobaczyła, że z dziury w północno-zachodnim rogu pomieszczenia zabrano czaszkę.

Działała instynktownie. Wybiegła z piwnicy i zabrała pistolet D-Mana z furgonetki. Co więcej mogła zrobić? W stacyjce Tahoe nadal tkwiły kluczyki, więc wsiadła do środka i ruszyła, kierując się prosto na drogę serwisową, która przecinała pola.

Potrzebowali czaszki do przeprowadzenia rytuału, rozmyślała, próbując zrozumieć, z czym ma do czynienia, a na pewno przeprowadzą go na tamtej polanie, w Kręgu Dziesięciu Kręgów...

Zatrzymała się gdzieś w połowie drogi i wyłączyła silnik.

Miałam rację...

Nawet stamtąd widziała światło pochodni, prześwitujące przez wysokie łądygi. Podeszła bliżej i niedaleko polany zobaczyła zaparkowane auto, które zobaczyła tutaj zeszłej nocy. Czarny sedan Ashera Lowena.

Po cichu przemierzyła resztę odległości, kierując się na polanę. Słyszała głosy i wyłapała takie oto słowa: - ...niech spłynie na nas łaska S'mola i Tajemnic, które wyszeptał Bóg...

Rytuał Kischupów, rozpoznała. Boskie tajemnice podsłuchane przez S'mola, zanim został strącony z Niebios. Sefer Met, jedenasta księga boskich emanacji, której sekrety będą wykorzystane przez wrogów Boga...

Wtem usłyszała: - Wielki S'molu! - i zobaczyła, że światła pochodni płoną jasnoniebieskim blaskiem.

Wyjrzała zza łądyg na polanę.

Na ziemi ułożono kręgi ze świeżo pomalowanych krwią kamieni; wewnątrz leżała jakaś postać, zaraz obok niej zauważyła czaszkę Gavriela Lowena. Judy nie widziała, kim był rozciągnięty na ziemi mężczyzna, bowiem widok zasłaniała jej ubrana na czarno postać. Dostrzegła za to Ashera, również ubranego w ciemne szaty, który stał na drugim końcu kręgu. Asystował mu Ahron, jego pomocnik. Spojrzała w rozgorączkowane oczy Ashera, jego twarz płonęła z przejęcia. I wtedy zobaczyła...

Co to, u diabła, jest...

Na skraju polany stała naga kobieta, wysmarowana czymś, co mogło być jedynie gliną; jej skóra lśniła, podobnie jak słowo S'MOL wypisane na jej piersiach.

Kolejny golem, uświadomiła sobie Judy.

Im dłużej na nią patrzyła, tym większa groza ją ogarniała, aż wreszcie zrozumiała, kim jest ten stwór.

Helene. Wykopali jej zwłoki i zmienili w TO COŚ...

I wtedy urzeczywistnił się jej największy lęk; kiedy człowiek zasłaniający jej widok odszedł, zobaczyła, że leżącym na ziemi mężczyzną jest Seth.

Eli podniósł w górę toporek z zamiarem odrąbania głowy jej ukochanemu...

## (VI)

Utrata krwi pozbawiła Setha siły. Ledwo widzącymi oczyma



patrzył, jak ostrze unosi się nad jego głową, a istota o szkarłatnej skórze łypie na nich pustymi oczodołami. Seth próbował przyjąć śmierć z pokorą, mając nadzieję, że zostaną mu wybaczone jego grzechy, lecz przepełniał go gniew. Dlaczego? Czym sobie na to zasłużyłem?

Rozciągająca się wokół niego, wypełniona dymem ciemność wydawała się głęboka na milę.

Seth pomyślał o Judy, o tym, jak bardzo ją kocha. Uniesiony w górę toporek zaczął opadać.

Wydawało mu się, że usłyszał odgłos jakby łamanej gałązki; nie wiedział, co się dzieje, bowiem ostrze nie spadło na jego szyję, a Eli nagle upadł na ziemię, łapiąc się rękoma za głowę.

- Nie! - wrzasnął Asher.

Kolejny trzask - targany konwulsjami Ahron padł w mrok jak ścięte drzewo, a krew wytrysnęła z jego gardła.

- Rozerwijcie ją na strzępy! - krzyknął Asher.

Helene ruszyła z miejsca. Seth oddychał ciężko i mrugał, próbując odzyskać ostrość widzenia. Otworzył szeroko oczy i zobaczył, że znowu znajduje się na polanie pośród płonących pochodni. Nagły przypływ adrenaliny pozwolił mu unieść głowę i rozejrzeć się wokół...

Helene wyciągnęła Judy spośród łodyg prosa na polanę i siadła na niej okrakiem. Judy kopała i machała rękoma, ale podjęte przez nią próby walki okazały się bezowocne.

- Kiedy Seth stanie się golemem - powiedziała Helene, śmiejąc się ponuro - będę patrzyła, jak pierdoli twoje bezgłowe truchło.

Złapała Judy za głowę, jakby próbowała ją... odkręcić.

Seth jęknął, ostatkiem sił sięgając po topór. Zamachnął się nim na Helene...

Lecz ostrze jedynie obsunęło się po jej ramieniu, nie wyrządzając żadnej szkody.

Helene wypuściła Judy z rąk, odwróciła się i uśmiechnęła do Seta...

I nagle padła bez życia na ziemię.

Co się stało?

Zaskoczony Seth doczołgał się do Judy, która próbowała się otrząsnąć z oszołomienia.

Kiedy padł obok niej, przytuliła go mocno do siebie.

- Mój Boże, co oni ci zrobili!

- Dostałem nożem - wychrypiał i spojrzał na nieruchome zwłoki Helene. - Jak to...

Seth chciał zadać pytanie, ale zobaczył, że słowo S'MOL zostało starte z piersi golema.

Judy zastąpiła je niezrozumiałą dla niego zbitką liter: MAETH.

- To znaczy ŚMIERĆ - powiedziała. - Kiedy odciągnąłeś jej uwagę, odwróciłam zaklęcie.

Seth nic z tego nie rozumiał, lecz nie było to ważne. Liczyło się to, że wreszcie był z Judy.

- Nie ruszaj się, zabiorę cię do auta - szepnęła Judy - i zawieziemy cię do szpitala...

- To nic nie da...

- Jedziemy i już! - wrzasnęła i zaczęła go ciągnąć wzdłuż drogi.

- Widziałaś? - charczał. - Zabrali mnie do takiego miejsca, które nie było zwyczajną polaną, ciągnęło się na całe mile w dal, otaczał je mrok i dym...

- Seth, cały czas leżałeś w jednym miejscu. Wykorzystali cię i tę cholerną czaszkę do rytuału. Asher i tamci nie są żadnymi kabalistami, ale czarnoksiężnikami. Praktykują judaistyczny

odpowiednik czarnej magii - mówiła, ciągnąc go do auta, a zawieszony na jej szyi krzyżyk połyskiwał w świetle księżyca.

- Nie, nie, to nie była polana. Raczej wielki dół, szeroki na milę. Widziałem te stwory, które wyszły z mroku. Myślę, że to były demony. A na jednego z nich - Seth zakaszłał, wypuszczając ciężko powietrze z płuc - mówili S'mol.

Judy przystanęła.

- Nic nie mów, kochanie, oszczędzaj siły. - Ciągnęła go dalej, chwytając za ramiona.

Seth popatrzył na ciemne chmury na niebie i złapał dłoń ukochanej.

- Judy?

- Nic nie mów! Oszczędzaj siły, już jesteśmy przy aucie...

- Kocham cię - powiedział.

Judy starała się zignorować ogarniające ją zmęczenie. Dopiero gdy dotarli do zaparkowanego przy drodze serwisowej Tahoe, zorientowała się, że Seth nie żyje.

- Seth? - Padła na kolana przy jego ciele. - Seth!

Zobaczyła wielką plamę krwi na jego koszuli. Próbowała znaleźć puls, rozpoczęła nawet rozpaczliwą resuscytację...

- Seth...

Płakała, a jej łzy spadały na jego pierś. Szlochała jeszcze przez chwilę, aż wreszcie wstała.

- Już za późno na szpital...

Wzięła głęboko oddech i włożyła jego ciało do samochodu.

Niebo przecięła błyskawica.

Wykręciła niezdarnie na wąskiej drodze, miażdżąc pod kołami kilka łodyg. Nie pojechała w stronę domu ani nie skręciła w prawo, gdzie znajdował się szpital w Somner's Cove. Skierowała

się w lewo, do Lowensport...

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WRZESIEŃ 1880

## (I)

- Golem - powiedział Maharal. - Starodawne zło. Plama na naszej wierze.

Jeden z pozostałych rabinów wyszeptał: - Kischuph.

Maharal westchnął. Na imię miał Benjamin Moreinu, był najwyższym rabinem całej społeczności żydowskiej w Baltimore. Do jego uszu najpierw dotarły plotki, które szybko zostały zastąpione przez gorączkowe prośby jego wiernych - ponoć po trzęsieniu ziemi, które miało miejsce w zeszłym miesiącu, w mieście Lowensport doszło do ludobójstwa; Maharal uległ naciskom i bezzwłocznie wysłał tam delegację dwunastu silnych mężczyzn ze swego zgromadzenia i sam stanął na jej czele.

Stali teraz na środku jednej z głównych ulic Lowensport, zaniepokojeni panującą tam cmentarną ciszą. Wschodnią część miasta praktycznie zrównano z ziemią, lecz cała reszta budynków pozostała nienaruszona. Towarzyszący mu mężczyźni załadowali wozy rozkładającymi się zwłokami pomordowanych Żydów, a także zbezczeszczonymi zwłokami tych, których znali jako niegodziwców z klanu Connera.

To wszystko prawda, pomyślał Maharal.

Całe dni zajęłoby im przygotowanie godnego miejsca

pochówku. Wychodziło na to, że tutejsi Żydzi byli tak samo zepsuci jak ludzie Connera; to heretycy. Maharal wraz z rabinami obszedł miasteczko, aby ocenić straty. Przy życiu zostało jedynie dwóch dorosłych: Amos Croter i jego żona Derorah. Schowali się w lesie i dotarli do Baltimore. Kiedy ostatniego dnia lipca zakończyła się rzeź, Croter wraz z żoną - oboje nigdy nie sympatyzowali z Kischuphami - zaopiekowali się niemowlętami, które oszczędzono. Łącznie ocalało dwadzieścioro dwoje dzieci, w tym dziesięciomiesięczny syn samego Gavriela Lowena.

Dzieci nie są winne zła, pomyślał Maharal, tak naucza Bóg.

Osiedlą się w tej części miasta, która pozostała nienaruszona i zostaną wychowane w prawdziwej wierze.

Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy szli przez martwe miasto...

- Maharal! - zawołał jeden z jego ludzi. - Nie wierzę, że go znaleźliśmy!

Wszyscy razem pobiegli do ruin tartaku, z którego został jedynie popiół i kilka zwęglonych desek. Kilku mężczyzn kopało w tym miejscu już od kilku godzin, aby sprawdzić, czy Amos Croter faktycznie mówił prawdę odnośnie tego, co mieli tam znaleźć.

Wysadzili tartak w powietrze, a jedynym człowiekiem, który został w środku, był Gavriel Lowen.

Maharal znał to imię aż zbyt dobrze i nawet teraz czuł ciarki na plecach, gdy sobie o nim przypomniął.

Czarnoksiężnik...

Robotnicy pokazali mu czaszkę, która musiała należeć do Lowena. Kilku innych natknęło się na szczątki golema.

- Zabierzcie to do domu heretyka - poinstruował ich Maharal. - Rabinowie wiedzą, co dalej robić. Przekażcie im, że przyjdę tam później, przed zmrokiem, aby wypowiedzieć inkantacje potrzebne do nałożenia na to miejsce zaklęcia ochronnego... i dajcie im to.

Maharal podał jednemu z robotników drewnianą mezuę.

...

Masakra w Lowensport była przerażająca, lecz kiedy Maharal i jego delegacja wkroczyli do obozu klanu Connera, teraz będącego jedynie cmentarzyskiem namiotów i porozbijanych chałup, okazało się, że jeszcze nie widzieli najgorszego.

- Amos Croter mówił, że były dwa golemy - powiedział jeden z rabinów.

- A tylko jeden został zniszczony w wybuchu...

- Zaś ten drugi uczynił to, co widzimy...

Zwłoki leżały porozrzucane po całym obozie; mężczyźni, kobiety, dzieci - wszyscy z powyrywaniem kończynami.

- Ponoć S'mol obdarza tych, którzy odwrócą się od Boga, mocą ożywiania golemów - rzekł Maharal poważnym tonem. - Tym, którzy służą ciemności, obiecuje także bogactwo i piekielną moc. S'mol kpi z boskiego aktu stworzenia Adama, którego Bóg ulepił z gliny.

- Amen - mruknęli rabini.

Wypaczenie boskiego aktu stworzenia, powtórzył w myślach Maharal z bolącym sercem.

- Podziękujmy naszemu Stwórcy za trzęsienie ziemi, które wchłonęło parowiec...

Maharal pokiwał głową.

- Tak, boska ręka zatopiła ten statek. Bóg jest z nami.

Dysponując taką ilością gliny z Wełtawy, Gavriel mógłby bez przeszkód kontynuować swój złowrogi proceder.

Jeden z rabinów zadał pytanie: - Skąd wziął glinę na tych dwóch golemów?

Wszystko wskazywało na to, że niesławna legenda mówiła prawdę.

- Ci ludzie przywieźli ze sobą trochę gliny z Pragi, kiedy przyплыnęli do Ameryki w 1840 roku. Była ich ledwie setka, zostali wygnani z ojczyzny i potępieni jako Kischuphowie.

Przewieźli glinę w sekrecie, upychając ją w puszkach po tabace i słojach. Być może Gavriel Lowen przewidział czekające ich prześladowania... Zło, moi przyjaciele, ma wiele twarzy.

Gdy nie mógł już dłużej patrzeć na to miejsce pełne rozkładających się ciał, poprowadził swoich ludzi na obrzeża miasta, gdzie nie było już czuć smrodu. Dzikie psy miały niezłą wyzerkę.

Z daleka dobiegło ich nawoływanie: - Maharal! Znaleźliśmy coś jeszcze!

...

- To Conner - powiedziano mu - a tych dwóch to jego zaufani.

- Nadal mają na sobie identyfikatory wojskowe...

Obok zwłok Connera w krzakach leżały dwa inne ciała. Zleciały się muchy, a białe robaki łaziły po trupach. Ich twarze - a raczej to, co nie zostało zjedzone - zwisały z kości czaszek niczym kawały skóry, na których zastygł grymas przerażenia. Kończyny



zostały odgryzione, zapewne przez dzikie psy; próżno było szukać wyżartych wnętrzności.

- Conner to ten, Maharal - oświadczył jeden z mężczyzn.

Pomimo mdłości Maharal pomyślał, że oto dokonała się zwichrowana sprawiedliwość.

Golem, wypełniony gniewem S'mola, umyślił straszliwą zemstę: przywiązał Connera do drzewa ledwie kilka stóp od jego rozszarpanych kamratów.

- Psy, kiedy już miały dość martwego mięsa, wzięły się za niego.

Nie było wątpliwości, że Conner został zjedzony żywcem.

Zemsta będzie moja, rzekł Pan, pomyślał Maharal.

...

Później, gdy słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, zaprzężony w konie wóz zabrał jego i pozostałych rabinów do domu zbudowanego przez Gavriela Lowena.

Za chwilę wykonamy boskie zadanie i będziemy mogli opuścić to przekłete miejsce.

Jeden z rabinów rzekł: - Maharal, jeśli mogę coś powiedzieć... Rozumiem, że stwór Kischuphów został zniszczony...

- Tak - potwierdził Maharal. - Pamiętaj jednak, że Lowen powołał do życia dwa golemy, a nie jednego. To właśnie ten drugi wymordował klan Connera...

- Drugi golem - szepnął ze zgrozą rabin.

- I wiem, o czym myślisz, przyjacielu. Gdzie jest ten drugi golem? - Maharal spojrzał ku ciemniejącemu horyzontowi. - Zapewne czas pokaże... Czas pokaże...

## (II)

- Kapitanie, co jest? - narzekał Stein, stojąc przy automacie do kawy. - Od kilku dni nie jest pan sobą.

Rosh spojrzał na niego znad biurka. Co jest! Niech cię chuj.

Od momentu, w którym zobaczył, co kryje się na pace tamtej furgonetki, cały jego świat wywrócił się do góry nogami, wszystko się popieprzyło. Tamten widok sprawił, że to, co wcześniej uznawał za pewnik, okazało się kłamstwem.

Stein uśmiechnął się, podsuwając mu raport z nocnej zmiany.

- Czuję się, jakbyśmy zrezygnowali z handlu crackiem.

- Stul pysk - syknął Rosh, przecierając oczy.

- Jesteśmy tutaj sami, okej? Chodźmy pognębić jakieś kurwy albo zajebmy jakiegoś żula.

Zawsze mówiłeś, że źle wpływają na naszą gospodarkę.

Stein wybuchnął śmiechem, oczekując, że jego przełożony zrobi to samo.

- Jedyne, co teraz chcę zrobić - powiedział Rosh - to spieprzyć z tego miasta i nigdy nie wracać.

- Człowieku, zrób se wakacje. Jesteś tutaj jak człowiek z blizną.

Jego słowa wreszcie przyciągnęły uwagę Rosha, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

- O, sztukmistrz z Lublina - powiedział Stein. - Dawnośmy się nie widzieli.

Asher Lowen wszedł do środka ze zboląłą miną, jakby był w lekkim szoku. Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

- Panie Lowen, to chyba nie jest najlepszy pomysł, aby rabin

włóczył się po policyjnym posterunku - rzucił Rosh podniesionym głosem.

Asher usiadł obok niego, wydawał się wyczerpany.

- Potrzebuję pańskiej pomocy, kapitanie, a wzięwszy pod uwagę, że ja niegdyś panu przyszedłem z pomocą, z pewnością poczuje się pan zobligowany.

- A gdzie D-Man i Świrus? Przeważnie to oni robią za pańskich posłańców.

Asher postawił obok swojego krzesła niewielką torbę.

- Mam powody wierzyć, że obaj nie żyją, a i ja sam przed momentem ledwie uniknąłem śmierci.

Rosh i Stein spojrzeli po sobie.

- Wygląda pan na zmęczonego, panie Lowen - stwierdził Rosh.

- Co się stało? Jacyś przyjezdni wkroczyli na pańskie poletko?

- Zdarzyło się pewne nieszczęście - powiedział nadzwyczaj lekko Asher - w wyniku którego zginęło kilku moich ludzi. Przygotowywaliśmy właśnie coś niezwykle dla nas ważnego.

- To znaczy? - zapytał Rosh, choć skreśliło go w żołądku.

Asher wyciągnął z torby zbrązowiałą czaszkę.

- Nie zrozumieliby panowie nawet, gdybym panom powiedział. Nie uwierzylibyście.

Rosh odchrząknął, żeby ukryć swoje podenerwowanie.

- Po tym, co widziałem w tamtym vanie, jestem skłonny uwierzyć we wszystko.

Asher, pomimo że wyraźnie zdenerwowany, nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Na tym polega różnica pomiędzy czystą wiarą a potrzebą świadkowania rzeczom niezwykłym, które nieczęsto mamy okazję zobaczyć na własne oczy.

Zapadła cisza, którą przerwał Stein: - Kapitan sądzi, że wasz cyngiel to jakieś monstrum. - Zaśmiał się, oczekując, że Asher zareaguje podobnie, lecz jego twarz nadal wyrażała powagę.

- Potrzebuję ochrony - powiedział rabin.

- Przed czym? - wypalił Rosh. - Przed tą rzeczą?

Wszyscy trzej skoczyli na równe nogi, kiedy coś gruchnęło w korytarzu. Nagle dźwięki tłuczonego szkła, przewracanych mebli i dudniących kroków zlały się w jedno.

- Czy to ta rzecz? - krzyknął Rosh.

- Nie - odparł szeptem Asher. - To co innego... gorszego...

Twarcz Rosha poczerwieniała.

- Stein! Wyjdź tam!

Stein odbezpieczył broń, otworzył drzwi i wyszedł. Rosh od razu zasunął zasuwkę. Słysząc było szybkie staccato wystrzałów z pistoletu, potem jakieś niewyraźne uderzenia i wreszcie obłąkane krzyki Steina, które przeszły w cichy skowyt.

Zapadła cisza.

- Zabierz mnie stąd, Rosh - powiedział spokojnie Asher.

Rosh spojrzał na okno i wrzasnął, słysząc głośne uderzenie w drzwi. Potem kolejne i jeszcze kolejne. Coś dużego waliło w zamknięte drzwi - metalowe, w żelaznej framudze! - aż wreszcie zaczęły wypadać z zawiasów.

Rosh drżał, łzy zaczęły lecieć mu z oczu. Trzęsącymi się dłońmi podniósł pistolet i czekał na nieuniknione...

Drzwi wraz z framugą wypadły ze ściany.

Rosh złapał za radio.

- Do wszystkich jednostek! Sygnał trzynasty! Sygnał trzynasty! Komenda główna w Somner's Cove! Wysłać wsparcie...

Kłęb kurzu wisiał w miejscu, gdzie przed momentem

znajdowały się drzwi.

Dwie ludzkie nogi zostały wrzucone do pokoju.

Potem dwie ręce.

Następnie głowa Steina.

Napastnik przekroczył próg.

Rosh wyładował w jego lśniącą, szarobrązową skórę pół magazynka. W panice odczytał zapisane na piersi stwora słowo, które brzmiało inaczej niż to, które widział na ciele monstrum siedzącego w furgonetce: TZEDEK. Było jednak coś jeszcze...

Ten stwór był szeroki w barach, mięsisty, podczas gdy tamten kojarzył mu się raczej ze szkieletem. Czarne włosy spływały mu na twarz, a martwe oczy patrzyły wprost na Roshę.

Dziury po kulach, które kapitan wystrzelił w monstrum, wyglądały jak wgniecenia. Rosh rozpaczliwie wystrzelił jeszcze kilka razy, tym razem niżej, lecz również bez efektu.

Wycelował w środek głowy tej odrażającej istoty i wypalił.

Ostatnia kula trafiła wprost w czoło umazanego gliną napastnika.

Stwór jedynie się uśmiechnął.

Rosh wrzeszczał jak dziecko, kiedy golem rzucał nim od ściany do ściany, a gdy powoli wyrywano mu jedno z ramion, skamlał jak zarzynany pies. Stwór przysunął się bliżej i jedną ręką otworzył mu usta, napierając tak mocno, aż pękła żuchwa.

Z całej siły wepchnął mu do gardła oderwane ramię.

Rosh żył wystarczająco długo, aby poczuć, jak palce jego własnej dłoni dotykają ściany żołądka.

...

Siedem minut później trzy radiowozy i jedno auto policji stanowej zaparkowały z piskiem opon przed komendą w Somner's Cove. Funkcjonariusze wyposażeni w broń automatyczną wpadli do budynku, osłaniając się wzajemnie. Najpierw sprawdzili hol i zniszczony korytarz, potem biuro kapitana znajdujące się na tyłach.

Nikt nie wiedział, jakim cudem wyłamano metalowe drzwi, żaden z nich też nie odgadł, skąd wzięła się dziura wielkości dorosłego mężczyzny, ziejąca w tylnej, żelbetonowej ścianie.

- To chyba jakieś jaja - powiedział któryś z policjantów.

Zmasakrowane zwłoki dwóch mężczyzn w mundurach przyciągnęły jednak najwięcej uwagi. Praktycznie każdy cal podłogi pokryty był krwią, przez co wydawała się szkarłatnym lustrem. Wreszcie przyjechał starszy technik laborant mający zabezpieczyć dowody - człowiek imieniem Cristo - który powiedział, że historia lubi się powtarzać. Niedługo potem zidentyfikowano ciała; zamordowani zostali kapitan Rosh i sierżant Stein, choć nie ustalono dokładnych przyczyn ich śmierci ani powodów, przez które zginęli śmiercią tak okrutną. Cristo nie był jednak zaskoczony, że na zwłokach znaleziono kawałki zaschniętej gliny.

Kolejną tajemnicę stanowił zaparkowany pod komendą stary sedan, zarejestrowany na mieszkańca hrabstwa, Ashera Lowena. Nie ustalono jednak miejsca jego aktualnego pobytu i nigdy więcej go nie widziano.

### (III)

Coś kryjącego się w podświadomości kazało Judy schować się

w Lowen House, mimo że noc była diabelsko ciemna. Nie wiedziała nawet, na co czeka, ale czekała i czekała...

Po śmierci Seta zdecydowała, że nie pojedzie do szpitala; skręciła w stronę Lowensport, a mówiąc dokładniej, obrała za cel przestronny Dom Nadziei. Miasto wyglądało na wymarłe, w żadnym domu nie paliło się światło. Kierowana przeczuciem wyciągnęła z auta ciało Seta i zaciągnęła je do Domu przez tylne drzwi. W środku znalazła plastikowe wiaderka pełne cracku, zapewne warte dziesiątki tysięcy dolarów; pod ścianami stały rzędy zwyczajnych kuchenek gazowych, które służyły do „gotowania” kokainy. W tym samym pokoju zobaczyła też cztery beczki z napisem HILNA, które wykradziono z piwnicy Lowen House. Wieko jednej z nich było uchylone; brakowało jednej czwartej zawartości. Judy nie musiała nawet zgadywać, do jakich celów została użyta.

Trzydzieści minut zajęło jej zmiękczenie gliny za pomocą gorącej wody i kielni, która bez wątplenia służyła do tego już wcześniej. Kiedy skończyła, pokryła zwłoki Seta gliną; nałożyła podwójną warstwę.

Im więcej gliny, tym będzie silniejszy...

Na piersi swojego ukochanego napisała TZEDEK, co po hebrajsku oznaczało ZEMSTA.

I nagle ciało Seta wstało i wyszło z budynku.

Judy pojechała więc na polanę, przypominając sobie, jak zniszczyć golema - rozczłonkować ciało albo spalić. Toporek, którym chciano obciąć Sethowi głowę, nadal leżał w Kręgu Dziesięciu Kręgów, podobnie jak wyzuty z życia golem; niegdyś były to zwłoki żony Seta.

Było około piątej rano, kiedy z okien domu zobaczyła potężną

postać wychodzącą z łańców prosa, niosącą nieprzytomnego Ashera Lowena i niewielką torbę. Golem nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, bowiem od razu zszedł do piwnicy. Skrzywiła się, słysząc odgłosy łamanych kości i pełne bólu krzyki. Potem jej uszu dobiegły jakieś pluski i dźwięk łamanego drewna.

W sercu Judy nie było strachu, gdy powoli schodziła do piwnicy z włączoną latarką w ręce...

Asher Lowen leżał na ziemi w groteskowej pozie; jego nogi i ręce pękły jak zapałki. Dwie beczki zawierające miał węglowy zostały otwarte, a ich zawartość wysypano na Ashera i podłogę piwnicy. Czaszka Gavriela została rozbita w drobny mak.

Nadal słyszała odgłosy wylewanej wody. Golem, którego ożywiło pragnienie zemsty, oblewał miał węglowy i drewniane belki ścian benzyną z utrzymanego w łapach kanistra. Kiedy wylał już całą zawartość, odrzucił niedbale pusty pojemnik.

Stwór, niegdyś noszący imię Seth, odwrócił się i spojrzał na nią.

- Boże... - łkała.

Wiedziała, czego chce golem...

Wyciągnęła zapalniczkę. Płomieniem dotknęła rozlewającej się po ziemi benzyny. Miał węglowy od razu zajął się ogniem, który powoli pożerał Ashera Lowena. Po chwili zapłonęły ściany.

Judy cofnęła się o krok i spojrzała na Seta.

Jej zmarły chłopak stał w samym środku pomieszczenia, jego nogi zaczęły już się palić.

Uniósł swoją pokrytą gliną rękę i paluchem wskazał prowadzące na zewnątrz schody.

Szlochając, Judy wybiegła z piwnicy, kiedy poczuła na swojej skórze falę gorąca, a w nozdrzach dym.



Stała przez chwilę na podwórku, patrząc, jak piwniczne drzwi znikają w płomieniach.

Chciała odejść, ale po kilku krokach stanęła.

Z kieszeni wyciągnęła torebeczkę cracku. Zostało siedem kryształów. Siedem. Liczba idealna - pomyślała bez wesołości i rzuciła woreczek w ogień. Pobiegła do Tahoe, wsiadła do środka i pojechała na północ, w stronę lotniska.

Była jedna rzecz, na którą nie zwróciła uwagi. Kilka godzin wcześniej, kiedy wróciła z lotniska do domu, zaparkowała czarną furgonetkę na podwórku. Teraz auta nie było.

## EPILOG

Trawiaste pola i tereny uprawne ciągnęły się przez całe mile. Maryland, Virginia, Kentucky - wszędzie zielone piekło. Czarny van rzeził, wypuszczał z rury wydechowej kłęby dymu; wajcha zmiany biegów chodziła ciężko, hamulce piszczały. Nikt normalny nawet nie wpadłby na pomysł wybrania się tak zdezelowanym sprzętem w dłuższą trasę, lecz Lydia Lowen, nadal ubrana w długą, czarną suknię, nie kwalifikowała się jako normalna.

S'mol chroni swoich wiernych.

Może Asher nie miał w sobie wiary wystarczająco silnej. A może skoro nieznane są wyroki boskie, to diabelskie również...

Rytuał zakończył się fiaskiem, więc miasteczko szybko opustoszało - tak nakazywały pisma - i wszyscy wyznawcy z Lowensport rozpierzchli się po świecie; teraz każdy na swój sposób miał chwalić siły ciemności tam, gdzie rzucił go los. Lydia czuła, że S'mol ma ją w opiece i daje jej siłę, aby wzięła sprawy w swoje ręce. To z jego pomocą załadowała trzy beczki z gliną z Wełtawy na tył furgonetki. Załadowała tam też ciało D-Mana, które znalazła w domu zdrajcy Crotera.

Według niej Ashera zgubiła chciwość. Pycha i skąpstwo były grzechami bez względu na wyznanie.

Stracił z oczu nauki naszego króla. Była tego pewna.

Ja nie popełnię takiego błędu.

Jechała przed siebie, radując się myślą o swoim panu. Trafi tam, gdzie S'mol ją poprowadzi.

Tak jak Mojżesz, pomyślała z uśmiechem.

Miała pewność, że z ciała D-Mana stworzy wspaniałego golema. Pierwszego z wielu.

**KONIEC**